

ZESZYT TRZYDZIESTY SIÓDMY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1976

ZESZYT TRZYDZIESTY SIÓDMY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1976

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 266

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600-MAISONS-LAFFITTE

Piotr WANDYCZ

STANY ZJEDNOCZONE A EUROPA ŚRODKOWO-WSCHODNIA W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM 1921-1939

Polityka amerykańska wobec Europy Środkowo-Wschodniej w latach 1929-39 nie jest dotąd gruntownie przebadana. Składa się na to szereg przyczyn. Brak jest naukowców, którzy obracaliby się z równą swobodą w zagadnieniach amerykańskich i środkowo-wschodnio-europejskich. Historyków pociągały bardziej dramatyczne tematy, jak na przykład wkład Wilsona w odrodzenie wolnej Europy Środkowo-Wschodniej czy też rola Roosevelta i jego następców w czasie Drugiej Wojny Światowej i „zimnej wojny”¹. Badania stosunków między USA a interesującym nas regionem wymagają żmudnej kwerendy zarówno w archiwach Waszyngtonu i innych ośrodkach amerykańskich jak i w Warszawie, Pradze, Budapeszcie itp. Materiały dotyczące tej problematyki są rozrzucone w różnych zespołach „wielkiej polityki”, której często stanowiły margines, bądź też toną w powodzi raportów i akt imigracyjno-konsularno-finansowych, które dominują nad sprawami ściśle politycznymi. Mrówczej pracy wymaga odkrycie i zebranie informacji i uwag, odnoszących się do stosunków Stany Zjednoczone - Europa Środkowo-Wschodnia, a figurujących w opublikowanych dokumentach, pamiętnikach lub opracowaniach poświęconych szerszym zagadnieniom.

Pomimo tych trudności podjęcie poważnych badań w tym

1. Przykładowo można wymienić takie opracowania jak Victor S. Mamatey, *The United States and East Central Europe 1914-1918* (nowe wydanie, Port Washington, 1972) czy Bennett Kovrig, *The Myth of Liberation: East Central Europe in U.S. Diplomacy and Politics since 1941* (Baltimore, 1973).

zakresie wydaje się nieodzowne celem zrozumienia istoty tych stosunków tak wówczas jak i obecnie. Jedną z pierwszych prób naszkicowania polityki amerykańskiej wobec Europy Środkowo-Wschodniej podjął dwadzieścia lat temu historyk dyplomacji amerykańskiej Robert Ferrell² z uniwersytetu Indiana. Uwagi jego, jeśli chodzi o lata międzywojenne, ograniczają się jednak tylko do ośmiu stron rozdziału traktującego o całokształcie tej polityki od XVIII-go wieku do 1941 roku.

W ostatnich latach można zaobserwować zwiększone zainteresowanie tą tematyką na terenie m.in. Polski i Węgier. W 1975 roku ukazał się obszerny artykuł poświęcony Stanom Zjednoczonym i basenowi naddunajskiemu 1919-1939 pióra Zsuzsy L. Nagy³. W jesieni 1975 roku na światowym kongresie nauk historycznych w San Francisco, Marian Wojciechowski z Uniwersytetu Warszawskiego przedstawił referat, którego polski tytuł brzmi „Stany Zjednoczone Ameryki Północnej i Europa Środkowa między dwoma wojnami (1918-1939/41)”⁴. Z tych dwóch prac, referat Wojciechowskiego ma niewątpliwie bardziej polemiczny charakter i dość mocno podkreśla pewne kontrowersyjne tezy. Na łamach *Zeszytów Historycznych* (nr 34) zaatakował go ostro Jerzy Lerski w swym sprawozdaniu o kongresie historycznym. Lerski skwalifikował wystąpienie Wojciechowskiego jako „złośliwe, oparte na jednostronnych dokumentach [i] antyamerykańskie”⁵.

Celem niniejszego artykułu, który jest jedynie szkicem i próbą zaznaczenia głównych zagadnień, nie jest li-tylko polemika z referatem Wojciechowskiego. Jednakże rozwijając moje własne tezy i przedstawiając interpretacje, będę nawiązywał do tego referatu w tekście lub w przypisach.

Zacznijmy od pewnych ogólnikowych sformułowań dotyczących amerykańskiej polityki zagranicznej, które można by traktować jako tezy robocze. A więc, przede wszystkim truizm, o którym nie zawsze się pamięta: polityka amerykańska jest i była

2. Jego rozdział pt. „The United States and East Central Europe before 1941” ukazał się w: Stephen D. Kertesz, ed., *The Fate of East Central Europe: Hopes and Failure of American Foreign Policy* (Notre Dame, 1956).

3. *The United States and the Danubian Basin 1919-1939*, „Etudes Historiques”, 1975. II. Akadémiai Kiadó, Budapest.

4. W chwili pisania tego artykułu dysponowałem jedynie polskim maszynopisem referatu prof. Wojciechowskiego. Być może, że ostateczna wersja, która zapewne ukaze się drukiem, będzie odbiegała od powyższego tekstu. Prof. Wojciechowski jest znany historykom dyplomacji międzywojennej głównie ze swego cennego opracowania *Stosunki polsko-niemieckie 1933-1938* (Poznań, 1965), które ukazało się również po niemiecku w 1971 roku.

5. Patrz str. 216.

polityką w skali globalnej. W okresie międzywojennym głównym ośrodkiem jej zainteresowania nie była Europa, ale raczej Daleki Wschód, półkula zachodnia, oraz sprawy morskie. Jako wielkie mocarstwo Stany uważały za partnerów inne wielkie mocarstwa; ich stosunek do państw średnich i małych był niejako wypadkową „wielkiej polityki”. Kraje mniejsze traktowano otwarcie lub podświadomie jako petentów a ich stosunki z Ameryką jako wyraźnie jednostronne. Widział to jasno na przykład radca handlowy poselstwa R.P. w Waszyngtonie Hipolit Gliwicz, gdy przedstawiając swój obszerny raport o polityce amerykańskiej pisał: „nie można się nawet kusić o pozyskanie bezpośrednio Ameryki dla naszej polityki”⁶.

Nie należy zapominać wreszcie o dwóch sprawach: gospodarczej i „ideologicznej”, że użyję tu tego niezbyt precyzyjnego terminu. Dla gospodarczo ekspansywnej Ameryki sprawy gospodarcze i finansowe stanowiły niezmiennie ważną pozycję w polityce zagranicznej. Jeśli chodzi o zagadnienia rzędu „ideowego” to mam tu przede wszystkim na myśli przeświadczenie o moralnej wyższości Stanów nad skłóconą Europą. Element moralizatorsko emocjonalny, mocno zakorzeniony w amerykańskim protestantyzmie, nie był tylko czczym sloganem, choć był wyzyskiwany dla celów polityczno-wyborczych przez różne czynniki w Stanach.

Nie sposób jest przedstawiać amerykańską politykę zagraniczną w okresie Dwudziestolecia, jak zresztą i kiedy indziej, nie zdejść sobie w pełni sprawy z tej złożonej problematyki. Dochodzi na koniec kluczowe pytanie, którego nie da się ominąć: kto i w jaki sposób formował i decydował o charakterze polityki zagranicznej w Stanach? Próba odpowiedzi na to pytanie nie jest oczywiście możliwa w ramach jednego artykułu, ale naszkicujmy przynajmniej elementy, które należy brać pod uwagę. A więc, rola prezydenta i sekretarza Stanu: ogólnie można tu zaryzykować opinię, że w ich wzajemnym stosunku decydowała siła osobowości danych prezydentów i sekretarzy. Za prezydenturą Hardinga, o którym złośliwie napisał znany historyk Dexter Perkins, że „jeśli w ogóle myślał to myślał stereotypami”, rola Sekretarza Hughes’a była niewątpliwie duża. Hughes a po nim w pewnym stopniu Kellogg dominowali nad następnym prezydentem Coolidge’em. Silną osobowością był na pewno Stimson za prezydenturą Hoovera, choć trudno by tu było mówić o domi-

6. Raport z 13. IX. 1921, *Akta Adiutantury generalnej naczelnego dowództwa*, t. 76, 8823. Instytut im. J. Piłsudskiego w Nowym Jorku. Porównaj z raportem z 18. V. 1921, t. 74a, 7294. Następnie cytowane w skrócie *AGND*.

nancie sekretarza nad prezydentem. Wreszcie Roosevelt z pewnością narzucał swą wolę Sekretarzowi Hull'owi, choć i ten ostatni nie był *quantité négligéable*.

Z kolei należy rozważyć stosunek egzekutywy (prezydent i sekretarz Stanu) do Kongresu a szczególnie Senatu. Jak nieć przewodnia przewija się w najnowszej historii amerykańskiej konflikt o kontrolę nad polityką zagraniczną między egzekutywą i legislatywą. Po okresie wilsonowskim Kongres starał się odzyskać utracony — na rzecz prezydenta — teren i zarówno Hughes jak i Kellogg musieli się poważnie liczyć z kontrolą Kongresu. W tym układzie pozycja przewodniczącego komisji spraw zagranicznych, zaciętego izolacjonisty z Idaho, Williama Borah, stawiała się kluczowa w latach 1920-tych. Jego następca, Pittman, nie odgrywał większej roli ze względu na swą słabą osobowość i mały pretiż.

Rola partii politycznych w formowaniu się polityki zagranicznej jest w USA niewątpliwie odmienna niż w Europie i ich wpływ zaznacza się w bardziej skomplikowany sposób, którego nie będziemy tu przedstawiać. Należy natomiast zwrócić baczną uwagę na różne *pressure groups* z którymi władza wykonawcza musi się liczyć. Czy będą to grupy narodowościowe, czy religijne (np. grupa żydowska), czy finansistów, czy formujące się jeszcze na innej płaszczyźnie, nie wolno nam o nich zapominać. W pewnym sensie za *pressure group* należy uznać prasę, a raczej pewne koncerty prasowe, które równocześnie tworzą opinię publiczną i odzwierciedlają ją. Prasa jest więc barometrem i partie polityczne starają się jak najdokładniej odczytać przeważające prądy opinii i wykorzystać je w kampaniach wyborczych. Stąd też wypływa stosunkowo nie tak znaczna różnica pomiędzy postawami partii politycznych odnośnie polityki zagranicznej — żadna z nich nie chce być identyfikowana z niepopularnym programem.

Związek między polityką zagraniczną a wewnętrzną, który występuje w każdym państwie w nieco innej postaci, jest wyjątkowo silny w Stanach Zjednoczonych. Jakiegokolwiek byłyby poglądy prezydenta i sekretarza Stanu w tej dziedzinie, ich zakres działania jest skrępowany nie tylko przez prerogatywy Kongresu ale *in the last analysis* przez klimat polityczny kraju. W momentach kiedy amerykańska polityka zagraniczna napotyka na zdecydowany opór opinii lub też idzie wyraźnie pod prąd, jej twórcy i wykonawcy nie odważają się na posunięcia, które oznaczałyby ich śmierć polityczną. W okresie międzywojennym przykład Wilsona działał odstraszaюще.

Starając się pozyskać opinię publiczną politycy amerykańscy

są zmuszeni do używania metod przypominających do złudzenia technikę reklam handlowych. Potoczne używanie terminu *selling a policy* — „sprzedawanie” programu politycznego w takim sensie, jak sprzedaje się inne wyroby — jest tego doskonałą ilustracją. Podobnie jak w handlu, polityka, którą się „sprzedaje” musi być przedstawiona w jak najbardziej atrakcyjnej formie — bez skazy i zmazy. Wilson w swych wysiłkach celem zmobilizowania Ameryki do wojny, mówił o wojnie która stworzy świat bezpieczny dla demokracji (*to make the world safe for democracy*). Pokój miał być nie tylko traktatem pokojowym kończącym wojnę, ale otwarciem nowej ery szczęśliwości. W tych warunkach, jak to zauważa historyk amerykański Adler, zarówno wojna jak i pokój zostały *badly oversold* — termin, który jest prawie że nieprzetłumaczalny. Oznacza on mniej więcej, że obraz stworzony przez propagandę i „sprzedany” publiczności różnił się skrajnie od prawdziwej rzeczywistości. Nieuchronnym rezultatem była reakcja. Nie tyle reakcja przeciw polityce Wilsona, ale przeciw wypaczeniu jej obrazu w świetle propagandy. Jak to trafnie ujęło ostatnio dwóch amerykańskich dziennikarzy, pisząc zresztą w innym kontekście: „nic nie przewyższa amerykańskiej pasji mitotwórczej, chyba tylko pasja rozbijania mitów”. Mit wilsonowski został rozbity po Pierwszej Wojnie Światowej; wkrótce zastąpiono go innym mitem — Izolacjonizmem. Slogany budowy nowej społeczności międzynarodowej zastąpiono sloganami, które głosiły, że Fiume nie jest warte ani jednego życia czy dolara amerykańskiego. *No foreign alliances, no entangling leagues* stało się hasłem dnia.

W swym referacie Wojciechowski upraszcza kluczowe zagadnienie izolacjonizmu. Idąc śladami nader kontrowersyjnego historyka dyplomatycznego Williama A. Williamsa i zachodnio-niemieckich zwolenników jego interpretacji, W. Linka i H. J. Schrödera, Wojciechowski stwierdza, że można odrzucić koncepcję izolacjonizmu „jako zasady w polityce Stanów Zjednoczonych wobec Europy” w okresie międzywojennym.

O co tu właściwie chodzi? Williams, próbując zdefiniować izolacjonizm określa go jako zupełne odcięcie się od zagranicy i skoncentrowanie się na sprawach wewnętrznych. Przyjmując taką definicję, nie bez słuszności uważa, że terminem izolacjonistów można określić tylko bardzo nieliczną grupę. Dlaczego jednak mamy zwęzić ten termin w dość dowolny sposób zamiast używać go tak, jak go rozumieli sami izolacjoniści? Dla nich, jak podkreślają to krytycy Williamsa, izolacjonizm oznaczał „wolność od wiążących zobowiązań, mających na celu zachowanie

pokoju światowego”⁷. Innymi słowy niewiązanie sobie rąk w dziedzinie przede wszystkim politycznej poprzez sojusze, gwarancje, czy uczestnictwo w organizacjach międzynarodowych krępujących swobodę działania lub narzucających członkom pewne konkretne obowiązki.

Dochodzi jeszcze jeden aspekt zagadnienia, do którego powrócę nieco później, a mianowicie kwestia *klimatu* politycznego w powojennej Ameryce. Jakkolwiek sprawy takie jak klimat, opinia publiczna, charakter narodowy są niezwykle trudne do zbadania a zwłaszcza do sprecyzowania, nie oznacza to, że nie istnieją i nie odgrywają ważnej roli w życiu państwowym. A „izolacjonizm” w sensie „zasady” w polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych stanowił wypadkową pomiędzy izolacjonizmem w sensie klimatu politycznego a wymogami bieżącej polityki zagranicznej.

Tak rozumiany izolacjonizm nie był zjawiskiem nowym w historii amerykańskiej, z tym, że zmiany które zachodziły w jego formie wpływały częściowo z układu gospodarczo-politycznego danej epoki. Pożegnalna mowa prezydenta Waszyngtona i inauguracyjna Jeffersona ostrzegały przed „wiązącymi sojuszami”, dosłownie *entangling alliances* oznacza sojusze „omotujące” tak jak sieć w którą się można wplątać. W 1821 roku John Quincy Adams wyrażał sympatię dla sprawy wolności w Europie, ale przestrzegał przed aktywnym „wplątaniem” Ameryki. Tradycję tę kontynuuje, w tym wypadku już z pozycji pewnej siły, Doktryna Monroego z 1823 roku. W 1855 roku Prezydent Cleveland oferował w swym inauguracyjnym przemówieniu „pokój, handel i uczciwą przyjaźń z wszystkimi państwami; wiążące sojusze z nikim”. W poczuciu rosnącej potęgi Stanów Zjednoczonych, Prezydent Teodor Roosevelt ustanawiał dla Ameryki — że użyję tu słów wybitnych amerykańskich historyków Morrisona i Commagera — „prawo, którego w tym czasie [Ameryka] nie chciała, do konsultacji w polityce światowej”. Za następcy Roosevelta, Tafta, następuje pewien odwrót od tych roszczeń. Taft nie uświadamiał sobie w pełni, a w każdym bądź razie nie rozbudzał w świadomości amerykańskiej zrozumienia dla faktu, że bezpie-

7. Selig Adler, *The Uncertain Giant 1921-1941: American Foreign Policy Between the Wars* (New York, 1965), str. 80. Tenże autor napisał *The Isolationist Impulse: Its Twentieth Century Reaction* (New York, 1957). Literatura dotycząca izolacjonizmu jest oczywiście olbrzymia i uważanie Williamsa za pioniera jest trochę przesadne. Krytykę izolacjonizmu w sensie odwrócenia się od Europy można już znaleźć w liście J. B. Moore'a do Sekretarza Hughesa z 28. III. 1923 r. Patrz artykuł Roberta F. Smitha w W. A. Williams, ed., *From Colony to Empire: Essays in the History of American Foreign Relations* (New York, 1972), str. 268.

czeństwo Stanów łączy się z międzynarodową równowagą sił i rolą Anglii w utrzymaniu tej równowagi.

Po klęsce politycznej Wilsona, obie partie amerykańskie, demokraci i republikanie, zdali sobie w pełni sprawę z tego, że popieranie koncepcji bezpieczeństwa zbiorowego wraz z czynnym zaangażowaniem Stanów Zjednoczonych równałoby się politycznemu samobójstwu. Ameryka przechodziła przez fale ksenofobii i niechęci do Europejczyków, której nosicielami byli zresztą często żołnierze powracający z Europy. Wojujący nacjonalizm odzwierciedlał się we wzmożonej działalności Ku Klux Klanu. Kongres, będący w dużej mierze barometrem opinii publicznej, przeprowadził we wczesnych 1920-tych latach ustawę imigracyjną, utrudniającą dopływ imigrantów zwłaszcza z Południowej i Środkowo-Wschodniej Europy. Ustawa Fordney-McCumber wprowadziła bardzo wysokie taryfy celne, mające na celu ochronę rolnictwa i niektórych gałęzi przemysłu przed konkurencją zewnętrzną. W praktyce taryfy utrudniały niezmiernie sprawę spłaty długów europejskich wobec Ameryki.

Jest rzeczą oczywistą, że polityka „izolacjonistyczna” nie mogła oznaczać w praktyce odcięcia się od Europy, nie mówiąc już o innych kontynentach. Choć uczestnictwo *formalne* Stanów w Lidze Narodów czy Najwyższym Trybunale Haskim było nie do przeprowadzenia i próba Roosevelta w 1935 roku dotycząca reprezentacji w Hadze została odrzucona przez Kongres, Stany brały czynny udział w wielu konferencjach międzynarodowych. W 1921-22 morska konferencja rozbrojeniowa w Waszyngtonie doprowadziła do Paktu Czterech i Paktu Dziewięciu. Ameryka była sygnatariuszem obu umów. Przedstawiciele Stanów byli czynni w Genewie, zwłaszcza później na konferencji rozbrojeniowej. Sekretarz Stanu, Hughes, potrafił znaleźć pretekst, aby być obecnym na konferencji londyńskiej, przygotowującej Plan Dawesa. Równocześnie, jakkolwiek mało o tym pisano, Waszyngton patrzył niechętnie na próby wzmocnienia Ligi Narodów inspirowane przez Francję* i jej sojuszników wschodnich. Stosunek do projektowanego traktatu o wzajemnej pomocy z 1923 roku był raczej nieprzyjazny; to samo powiedzieć można o protokole genewskim z 1924 roku. Francuski system sojuszy w Europie Środkowo-Wschodniej traktowano jako kontynuację przedwojennych bloków, które w opinii wielu Amerykanów doprowadziły do wojny światowej. Trudno powiedzieć o ile miarodajny był dla polityki amerykańskiej pogląd wyrażony

* Problematykę stosunków francusko-amerykańskich przedstawia w interesujący sposób Walter Sommer w *Die Weltmacht USA im Urteil der französischen Publizistik 1924-1939* (Tübingen, 1967).

w okresie monachijskim przez George'a Kennana: „Mała Entente, na której Cześć zachęcani przez Francję starali się zabrać swe bezpieczeństwo, wydawała mi się sztuczną i nierozsądną kombinacją, mającą swe korzenie w lotnych piaskach mściwego, emocjonalnego i nierealistycznego ducha, który panował w polityce francuskiej w pierwszych latach po Pierwszej Wojnie Światowej”⁸. Wydaje się, że Kennan nie był odosobniony w tej krytycznej ocenie bloków regionalnych.

„Izolacjonizm” gospodarczy musi być też właściwie zrozumiany. Przy wyżej wspomnianych ograniczeniach taryfowych obserwujemy równoczesną ekspansję gospodarczą Stanów. W latach 1918-1928 amerykańskie inwestycje w Europie wzrosły sześciokrotnie. W 1920 roku zagraniczny dług wobec Ameryki wynosił 3 miliardy; pod koniec prezydentury Coolidge'a 21 miliardów. Sprawa kontroli rządowej nad kredytami i inwestycjami zagranicznymi wywołała konflikt między Hooverem (ówczesnym Sekretarzem Handlu) który domagał się ingerencji rządowej w obawie, że *businessman*'i lokujący niewłaściwie swe kapitały będą następnie żądać opieki i obrony swych interesów przez Waszyngton, a kołami finansowymi, które na ogół popierał Departament Stanu. Sprawa została załatwiona kompromisem z 1922 roku, w myśl którego Departament Stanu w konsultacji z Departamentami Handlu i Skarbu mógł zgłaszać obiekcje co do kredytów lub inwestycji, które uważano za szkodliwe z punktu widzenia państwa. W praktyce, obiekcje wysuwano jedynie w wypadku nieuznawanych rządów, jak Rosja, w stosunku do krajów, które zalegały z długami wojennymi, a wreszcie — jeśli zachodziła obawa poważnej konkurencji z interesami gospodarczymi amerykańskimi.

Wojciechowski postawił tezę, iż „odwrócenie się USA plecami do Wersalu i Ligi Narodów równało się w praktyce postawieniu przez Biały Dom na Niemcy w jego polityce wobec Europy Środkowej”. Teza ta jest oczywiście uproszczeniem i sprawa wymaga rozpatrzenia a głównie uściślenia i wyjaśnienia. I znów jak w wypadku izolacjonizmu należy ją rozpatrywać dwupłaszczyznowo: w sensie opinii publicznej i klimatu politycznego i w odniesieniu do aktualnej polityki rządu.

Historycy są na ogół zgodni w swych opiniach, że po krótkim okresie germanofobii nastąpiło przewartościowanie stosunku do byłych sojuszników i do Niemiec. Reakcja izolacjonistyczna przeciw zaangażowaniu Stanów w wojnie światowej objawiła

8. George F. Kennan, *Memoirs 1925-1950* (Boston, 1967), str. 94.

się również w kwestionowaniu, jeśli nie wręcz zaprzeczaniu winy Niemiec za wywołanie konfliktu światowego. W licznych książkach, ukazujących się w latach 1922-28, figurowały oskarżenia pod adresem Wilsona o wprowadzenie Ameryki do wojny celem obrony interesów Wall Street, oraz ataki na Francję i Rosję, które obarczano odpowiedzialnością za wywołanie wojny. H. E. Barnes w swej pracy *Genesis of the World War* zajął wyraźnie proniemieckie stanowisko, a nawet wybitny historyk Sidney B. Fay — którego dzieło uważano nieomal za ostatnie słowo na temat przyczyn wojny światowej — faworyzował Niemcy⁹.

Sympatie proniemieckie objęły dość szerokie koła opinii publicznej. Podtrzymywało je towarzystwo „Steuben Society of America” oraz inne organizacje. Kolejni ambasadorzy amerykańscy w Berlinie przejawiali wyraźny filogermanizm, wiarę w demokratycznego ducha narodu niemieckiego, oraz podkreślali zmierzch militarystyki Niemiec. Zarówno wielki przemysłowiec Alanson B. Houghton jak i jego następca na placówce berlińskiej, naukowiec Jacob G. Schurman, cieszyli się „intymnym zaufaniem” Niemców, jak to określił brytyjski ambasador Lord D'Abernon. Według D'Abernona istniała też „silna sympatia i instynktowne zrozumienie pomiędzy Amerykanami i Niemcami” w Berlinie¹⁰.

W dziedzinie gospodarczej, która została już szerzej opracowana, proniemieckie nastawienia wynikały w dużej mierze z chęci odbudowy gospodarki europejskiej, która pozwoiłaby na zwrócenie długów Ameryce i stworzyła korzystne warunki współpracy handlowej. Poglądy amerykańskie na gospodarczą stabilizację Niemiec były bliskie koncepcjom brytyjskim, różniły się natomiast dość zasadniczo od punktu widzenia Francji. Obawy francuskie przed odbudową potęgi Niemiec, tak politycznej jak i gospodarczej, wydawały się Amerykanom wręcz obsesyjne a antyniemiecka polityka Francji niebezpieczną dla stabilizacji europejskiej.

Dochodzi tu wreszcie zagadnienie rewizji granic. Stany Zjednoczone odrzuciły Traktat Wersalski i związany z nim Pakt Ligi Narodów w dużej mierze dlatego, że miały one „zamrozić” system powersalski i zobowiązać Stany do utrzymywania go. Pragmatyzm anglosaski — i tu znów występują podobieństwa między

9. Patrz między innymi Selig Adler, *The War-Guilt Question and American Disillusionment 1918-1928*, „Journal of Modern History”, XXIII (1951) i Arnold A. Offner, *American Appeasement: United States Foreign Policy and Germany 1933-1938* (Cambridge, Mass., 1969).

10. Lord D'Abernon, *The Diary of an Ambassador* (New York, 1929-31), I, 19.

nastawieniem brytyjskim i amerykańskim — odrzucał możliwość permanentnego zachowania *status quo*, przy wroгим nastawieniu Niemiec do wersalskiego „dyktatu”. Artykuł 19 Paktu Ligi, przewidujący możliwość zmian terytorialnych i warunków życia międzynarodowego, których kontynuacja „mogłaby zagrozić pokojowi światowemu” stanowić miał klępkę bezpieczeństwa i dawać szanse korektur. Prawie natychmiast po podpisaniu traktatów pokojowych pojawiła się bardzo surowa ich krytyka. Ekonomista angielski Keynes nazwał Wersal pokojem kartagińskim a jego książka, która stała się światowym *best-seller*’em, niemiłosiernie krytkowała postanowienia traktatowe. Jeśli chodziło o Wilsona, to Keynes nazwał go „ślepy i głuchy Don Kichotem”.

W tych warunkach „stawka na Niemcy”, o której mówi Wojciechowski, nie była jakimś demonicznie-perfidnym posunięciem polityki amerykańskiej, skierowanym świadomie przeciw Europie Środkowo-Wschodniej, ale wynikała z całego spłotu powojennych nastrojów, ocen i interesów Stanów Zjednoczonych. O znaczeniu tej polityki dla naszego regionu, będzie jeszcze mowa poniżej.

We wczesnych dwudziestych latach, poczynając od roku 1921, stosunki amerykańsko-środkowo-wschodnio-europejskie były nader anemiczne. Ameryka patrzyła raczej niechętnie na próby restauracji Habsburgów na Węgrzech upatrując w nich francuską intrygę. W 1923 roku Stany uznały granicę ryską, ale nie wydaje się, aby do posunięcia tego przywiązywały jakąkolwiek wagę. Było to raczej posunięcie formalne, uznające istotny stan rzeczy w następstwie uznania tej granicy przez Konferencję Ambasadorów. W problematyce Ameryka - Europa Środkowo-Wschodnia dominowały sprawy gospodarcze. Wzrastały obroty handlowe, choć w większości wypadków miały one bilans ujemny dla krajów naszego regionu. W 1922 roku Jugosławia otrzymała pierwszą pożyczkę amerykańską (Blair and Co.) w wysokości 15 milionów dolarów. Następną, dwukrotnie wyższą, otrzymała w 1927 roku. Amerykański ekspert Royal Tyler odgrywał poważną rolę w transakcji związanej z pożyczką węgierską z 1924 roku. Polska uzyskała we wczesnych 1920-tych latach jedynie drobne kredyty. Większe pożyczki tak dla Polski jak i dla Czechosłowacji przyjdą dopiero po zawarciu umów ze Stanami regulujących spłatę skonsolidowanych długów wojennych.

Z punktu widzenia politycznego, zainteresowanie Europą Środkowo-Wschodnią, było raczej małe, choć Waszyngton, rzecz jasna, pragnął pewnej stabilizacji gospodarczej i wewnętrzno-politycznej tych krajów. Placówka w Warszawie powierzona

została wybitnemu dyplomacie Hugh Gibsonowi, przyjaznemu, ale i krytycznie nastawionemu do Polski¹¹. Pierwszy poseł amerykański w Pradze, Richard Crane (syn wielkiego poplecznika Czechosłowacji, który finansował niektóre akcje czeskie w czasie wojny) nadsyłał entuzjastyczne i raczej bezkrytyczne raporty. Na jednym z nich, naczelnik zachodnio-europejskiej sekcji w Departamencie Stanu dopisał: „prawdopodobnie [Crane] przyjmuje jak ewangelie to wszystko co Czesi mu mówią”¹².

Jakkolwiek można przyjąć iż amerykańskie zainteresowanie w stabilizacji Europy Środkowo-Wschodniej łączyło się z obawami przed wzrostem komunizmu w tych krajach, nie należy chyba przeceniać tego czynnika. W latach 1921-23 organizacja hooverowska była zaangażowana również w masową pomoc dla Rosji sowieckiej. Podejrzliwość ze strony sowieckiej niewątpliwie istniała, niezależnie od oficjalnego podziękowania jakie Kamieniew jako przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych przesłał w 1923 roku na ręce Hoovera, ale chyba nie do tego stopnia jak to przedstawia oficjalna historiografia. Jeśli chodzi o Stany, to stanowisko nieuznawania Związku Sowieckiego nie wykluczało wzrastających obrotów handlowych — eksport amerykański zwiększył się dziewięciokrotnie w latach 1923-1925. Teza, że stosunki gospodarcze mogą przyczyniać się do sukcesu NEP'u w Rosji była reprezentowana w amerykańskich kołach przemysłowych.

Lata 1924 i 1925 przyniosły początek procesów, których znaczenie dla krajów Europy Środkowo-Wschodniej — szczególnie dla Polski — okazało się bardzo poważne. Etapami tej nowej polityki, choć *novum* stanowiła raczej aktywność Stanów niż sama treść polityki, były Plan Dawesa, poparcie dla układów locarneńskich i masowe zaangażowanie kapitału amerykańskiego celem stabilizacji i odbudowy potencjału niemieckiego. Analiza tego całego procesu wymagałaby odrębnej rozprawy i choć wiele już o tym wiemy pozostaną wciąż jeszcze pewne sprawy sporne lub niezupełnie przebadane.

Przypomnijmy po krótku pewne fakty. Okupacja Ruhry przez Francję, podjęta w styczniu 1923 roku była zarówno próbą zmuszenia Niemiec do płacenia reparacji jak też i ostrzeżeniem

11. Krytyczne wydanie raportów Gibsona jest obecnie przygotowywane przez Hoover Institution gdzie te materiały się znajdują. Wyjątki z niektórych raportów ogłosił Zygmunt J. Gąsiorowski, *Joseph Pilsudski in the Light of American Reports, 1919-1922*, „Slavonic and East European Review, XLIX, no. 116 (1971).

12. Cytowane w: Piotr S. Wandycz, *France and her Eastern Allies 1919-1925* (Minneapolis, 1962), str. 158 n.

pod adresem Berlina, że polityka Rapalla okrażenia Polski przez Rosję i Niemcy nie może przynieść korzyści tym ostatnim. Okupacja Ruhry zakończyła się Pyrrusowym zwycięstwem Paryża, głównie na skutek presji gospodarczej jaką Wielka Brytania i Stany Zjednoczone wywarły na Francję. Pod hasłem *business not politics* komisją pod przewodnictwem Amerykanina Charles Dawesa przygotowała projekt, nazwany od jego nazwiska Planem Dawesa, mający rozwiązać sprawę reparacji niemieckich. W praktyce Plan Dawesa oznaczał klęskę polityki francuskiej wobec Niemiec i rozdzielał sprawę reparacji od kwestii bezpieczeństwa. Stanowił on też gospodarczą podbudowę projektu paktu bezpieczeństwa na zachodzie (tzw. pakt reński) wysuniętego w 1925 roku przez ministra Spraw Zagranicznych Niemiec Gustawa Stresemanna. Gwarantując *status quo* na zachodzie, projekt Stresemanna, który stał się podstawą paktów locarneńskich, pozostawiał otwarte sprawy środkowo-wschodnio-europejskie. Nic też dziwnego, że wschodni sąsiedzi Niemiec, Czechosłowacja a przede wszystkim Polska uznały się za zagrożone przez rewizjonizm niemiecki.

Przeciwstawienie się planom locarneńskim, które Francja i Anglia dyskutowały z Niemcami, oznaczać by mogło izolację dyplomatyczną Polski. Popierając więc zasadę zwiększenia bezpieczeństwa dla Europy, minister Spraw Zagranicznych Skrzyński starał się jedynie uzyskać maksimum możliwych gwarancji dla Polski. W lecie 1925 roku zdecydował się on na podróż do Stanów Zjednoczonych, których pozycję w świecie finansowym uważał słusznie za kluczową, a finanse za czynnik rozstrzygający w aktualnej sytuacji międzynarodowej. Analiza ta nie była pozbawiona podstaw. Przez swe wyraźne poparcie dla koncepcji locarneńskich Stany działały na korzyść Stresemanna tak jak poprzez Plan Dawesa wzmacniały gospodarczą pozycję Republiki Weimarskiej. Skrzyński liczył na to, że uda mu się oddziaływać na kierownicze ośrodki amerykańskie i na opinię publiczną w kierunku życzliwym dla interesów Polski. Równocześnie starał się posunąć naprzód sprawę pożyczki amerykańskiej dla Polski, o którą rokował w tym czasie Feliks Młynarski. Jak bardzo sprawy polityczne i gospodarcze zazębiały się ze sobą w tym momencie widać jasno z polityki Stresemanna wobec Polski. Celem tej polityki była rewizja granic; głównym narzędziem nacisku gospodarcze. W swych cyrkularzu do placówek Stresemann (30 czerwca 1925) zalecał dyskretną akcję rewizjonistyczną na zachodzie, stwierdzając jednocześnie, że uzyskanie przez Polskę dalszych pożyczek amerykańskich będzie decydujące dla jej przyszłości gospodarczej, no i oczywiście politycznej¹³.

Głównym przebadanie wszystkich aspektów wizyty Skrzyńskiego w Ameryce — jak dotąd wizytę tę najobszerniej zrelacjonował Wiesław Balcerak¹⁴ — może wnieść sporo elementów do dyskusji. Ciekawe na przykład jest wystąpienie, tuż przed mową Skrzyńskiego w Williamstown, Williama R. Castle'a z Departamentu Stanu, uważane za miarodajną wypowiedź rządową w sprawie polityki zagranicznej. Interesujące są kontakty Skrzyńskiego z finansjerą amerykańską. Niedawno opublikowana skrajnie krytyczna ocena jego wizyty wydaje się mało obiektywna¹⁵, ale pozostaje fakt, że Skrzyński nie mógł wiele osiągnąć. Niewątpliwym sukces jakim było uzyskanie 10-milionowej pożyczki interwencyjnej z Federal Reserve Bank było zasługą bardziej Młynarskiego niż ministra Spraw Zagranicznych.

W okresie polocarneckim i latach poprzedzających dojście Hitlera do władzy stosunki amerykańsko-niemieckie były wyjątkowo kordialne. Waszyngton wykazywał zrozumienie dla „pokojowej i konstruktywnej” polityki Stresemanna. Sprawy gospodarcze wyglądały lepiej i ogromne kredyty amerykańskie płynęły do Niemiec i nie tylko do Niemiec. Kwestia oceny stosunków amerykańsko-środkowo-wschodnio-europejskich zależy w tym układzie od odpowiedzi na pytania, które przewijają się przez cały ten artykuł. Sprecyzujmy je raz jeszcze: (1) czy i o ile Stany Zjednoczone popierały gospodarcze i rewizjonistyczne cele polityki Niemiec Weimarskich *per se*, czy też niezależnie od intencji Waszyngtonu trend polityczno-gospodarczy działał na korzyść Berlina?; (2) czy amerykańskie posunięcia polityczne w ogólnej płaszczyźnie międzynarodowej były korzystne dla Niemiec a niekorzystne dla krajów naszego regionu?

Wspomniany już Plan Dawesa był niewątpliwie korzystny dla odbudowy Niemiec i przynosił pewne ograniczenia swobody manewru Francji. Czy jednak odbudowując potęgę gospodarczą niemiecką amerykańscy współautorzy planu świadomie zachęcali

13. Pełny tekst cytowany przez Kristopha M. Kimmicha, „The Weimar Republik and the German-Polish Borders” w: T. V. Gromada, ed., *Essays on Poland's Foreign Policy 1918-1939* (New York, 1970), str. 41-42.

14. Patrz tegoż *Polityka zagraniczna Polski w dobie Locarna* (Wrocław, 1967). Ciekawy materiał znajdujemy również w książce Barbary Ratyńskiej, *Stosunki polsko-niemieckie w okresie wojny gospodarczej 1919-1930* (Warszawa, 1968).

15. Patrz list Fredericka Cunliffe-Owena w *Archiwum politycznym Ignacego Paderewskiego* (Warszawa, 1974), III, 104-105. Niżej podpisany przygotował krótkie sprawozdanie na temat wizyty Skrzyńskiego w Stanach dla jednej z sesji historycznych Polskiego Kongresu Naukowego w Montrealu w 1975 roku. Rozwinięcie go w formie artykułu nie zostało niestety dotąd zrealizowane.

Niemcy do gospodarczej ekspansji na wschód? Na pytanie to nie jest łatwo odpowiedzieć i dotychczasowe badania nie pozwalają na jednoznacznie pozytywną odpowiedź. Podobnie rzecz się ma ze słynnym Moratorium Hoovera z 1931 roku. Patrząc na sprawę z punktu widzenia Białego Domu nasuwają się poważne wątpliwości czy moratorium było spowodowane jakimś pro-niemieckimi sentymentami ze strony Hoovera. Wydaje się raczej, że Hoover, który *nota-bene* nie lubił w ogóle Europejczyków, kierował się jedynie i wyłącznie interesem amerykańskim — tak jak go rozumiał.

Teza o jednostronnym popieraniu Niemiec w sprawie rewizjonistyczno-gospodarczej wydaje się również co najmniej przesadzona. W okresie kiedy Stresemannowi, jak zaznaczyłem powyżej, zależało na odcięciu kapitałów zagranicznych dla Polski, Ameryka nie szła całkowicie po jego linii. Dziesięciomilionowa pożyczka interwencyjna była wstępem do dalszych negocjacji kredytowych i do lokat kapitału amerykańskiego w Polsce. Niektóre z tych inwestycji, np. Harrimana, działały na korzyść kapitału niemieckiego zagrożonego przez akcję rządu polskiego. Mam tu głównie na myśli sprawę towarzystwa Giesche w Katowicach i organizacji amerykańsko-niemiecko-polskiego konsorcjum. Jednocześnie nie zapominajmy o tym, że napływ kapitału amerykańskiego do Polski — w roku 1930 zajmował on trzecie miejsce w kraju — nie mógł odpowiadać interesom niemieckim. Co więcej w okresie rokowań o pożyczkę stabilizacyjną, front Schacht-Norman (z Bank of England) spotkał się z kontrą frontu amerykańsko-francuskiego. Wszelkie próby związania pożyczki stabilizacyjnej dla Polski z dezyderatami rewizjonistycznymi rozbiły się w dużej mierze o postawę Stronga z Federal Reserve Bank i Moreau z Banque de France.

W trakcie rokowań o pożyczkę występowały ze strony amerykańskiej elementy, grające na korzyść Niemiec. Chodzi tu o pewne akcenty zaleceń amerykańskiego rzeczoznawcy Kemmerra, np. nacisk na rozwijanie rolnictwa polskiego ze szkodą przemysłu lub krytyczne stanowisko wobec wydatków zbrojeniowych. Z drugiej strony działalność doradcy Banku Polskiego Charles'a Dewey'a była ogólnie rzecz biorąc bardzo życzliwa dla Polski. Dewey był *bête noire* Berlina i jego propolskie wypowiedzi wywoływały tam niechętnie komentarze¹⁶.

16. Czytelnik znajdzie wiele materiału na ten temat w szczegółowym opracowaniu Zbigniewa Landaua, *Plan stabilizacyjny 1927-30* (Warszawa, 1963) i w wielu innych pracach tegoż autora. Moje próby uzyskania naświetleń ze strony wciąż jeszcze żyjącego Dewey'a spotkały się z wymijająco-negatywną odpowiedzią.

Niezależnie od Polski kapitały amerykańskie lokowano w wielu innych sąsiednich krajach: w Czechosłowacji, Austrii i na mniejszą skalę w Rumunii i na Węgrzech. Najmniejszą rolę odgrywał ten kapitał w Jugosławii. Jest rzeczą oczywistą, że lokując te kapitały Ameryka nie była zainteresowana w gwałtownych wstrząsach tego regionu tak wewnętrznych jak i pochodzących z zewnątrz. Jeszcze w lecie 1925 roku Herbert Feis, odgrywający parokrotnie poważną rolę jako gospodarczy doradca rządowy, pisał: „Nasze inwestycje w Austrii i na Węgrzech, w Polsce i Czechosłowacji, pozostaną i mogą nawet wzrosnąć o ile ekonomiczna sanacja tej części świata będzie kontynuowana. Bezpieczeństwo naszych pożyczek... zależy od sukcesów Ligi Narodów w jej wysiłkach celem utrzymania międzynarodowego pokoju¹⁷”. Pokój jednak nie musiał oznaczać utrzymania powszechnego *status quo*. Co więcej, opinia, że pokój jest uzależniony od zaspokojenia słusznym żądań państw pokonanych w Pierwszej Wojnie Światowej — w pierwszym rządzie Niemiec — zyskiwała wielu zwolenników po obu stronach Atlantyku. Dotykamy tu bezpośrednio ważnej sprawy, a mianowicie stosunku Amerykanów do rewizjonizmu niemieckiego.

W październiku 1931 roku polska i środkowo-europejska opinia publiczna została zaszokowana wypowiedzią przewodniczącego senackiej komisji Spraw Zagranicznych, wpływowego Williama Borah. Senator Borah w wywiadzie udzielonym prasie i przygotowanym na skalę, która wskazywała na zaangażowanie, jeśli nie *placet* Białego Domu i Departamentu Stanu, oświadczył, że rozbrojenie europejskie nie nastąpi dopóty, dopóki będą istniały takie rzeczy jak „korytarz”. Stawiając kropkę nad i senator dodał: „zmieniłbym polski korytarz gdyby to było możliwe; a także zmieniłbym sytuację odnośnie Górnego Śląska¹⁸”. Tło wypowiedzi Boraha i cały kontekst w którym należy ją rozpatrywać zasługuje na oddzielne opracowanie. Tu możemy jedynie zasygnalizować pewne aspekty tej sprawy.

Rzecz charakterystyczna, Borah przemawiał podczas wizyty Laval'a w Stanach i uwagi jego były w dużej mierze adresowane do Francji. Departament Stanu, pomimo oficjalnych *dementi*, był już od pewnego czasu zainteresowany sprawą granicy polsko-niemieckiej. Gwałtowna kontrakcja polska — Piłsudski polecił ambasadorowi w Waszyngtonie oświadczyć Hooverowi, że Polska będzie bronić granic do ostatniego żołnierza — została przyjęta

17. *The Export of American Capital*, „Foreign Affairs”, III (1925), str. 680.

18. Cytuję za *New York Times*'em z 24 października 1931.

przez rząd amerykański z dużym niezadowoleniem. *Chargé d'affaires* donosił z Warszawy, że Piłsudski groził, że w pewnej sytuacji może być zmuszony do marszu na Niemcy i dodawał od siebie, że nie należy tego traktować jako czczej pogroźki¹⁹.

O możliwościach rewizji granicy polsko-niemieckiej wspominał już Sekretarz Stimson zarówno attaché francuskiemu jak i w liście do premiera brytyjskiego MacDonalda. Naczelnik sekcji wschodnio-europejskiej w Departamencie Stanu, Kelley uważał, że *à la longue* Polska nie będzie się w stanie oprzeć naporowi niemieckiemu. Wreszcie prezydent Hoover we wcześniejszych rozmowach z ambasadorem Filipowiczem, dotyczących sprawy moratorium, podkreślał wprawdzie, że silna Polska jest najlepszym puklerzem dla Niemiec przeciw Rosji, ale dodawał również, że Warszawa niesłusznie przypisuje agresywne intencje Berlinowi i zalecał „kompromis” w konflikcie polsko-niemieckim.

Zdaje się więc nie ulegać wątpliwości, że jakkolwiek Borah wystąpił niezręcznie z punktu widzenia Waszyngtonu, jego nastawienie odzwierciedlało poglądy Białego Domu i Sekretarza Stanu. Co więcej, nie izolacjonista, ale raczej „internacjonalista” Walter Lippmann pisał w swym komentarzu do całego incydentu, że Borah powiedział tylko głośno to o czym wszyscy mówili po cichu. Stany Zjednoczone nie uważały aby utrzymanie terytorialnego *status quo* było warunkiem *sine qua non* bezpieczeństwa europejskiego²⁰. Inny „internacjonalista”, Hamilton Fish Armstrong, opisując ówczesne spotkanie z Paderewskim u House’a — Paderewski wydrukował właśnie obszerny artykuł broniący polskich praw do Pomorza w *Foreign Affairs* — zauwa-

19. Poza raportami *chargé d'affaires* w Warszawie, Wiley’a, znajdującymi się w archiwum Departamentu Stanu w National Archives, interesujące materiały znaleźć można również w teczce no. 1, John C. Wiley Papers, Franklin D. Roosevelt Library, Hyde Park. Na szczególną uwagę zasługują memoranda opracowane przez wydział zachodnio-europejski Departamentu Stanu oraz przez T. W. Lamonta dla Hoovera. Wynika z nich, że autorzy uważali rewizję granic polsko-niemieckich za niemożliwą do przeprowadzenia wobec oporu Polski i Francji i sugerowali inne środki dla spacyfikowania niemieckiego rewizjonizmu, np. „wschodnie Locarno” lub „polityczne moratorium” czy „polityczny rozejm”. W ramach tychże Niemcy zrezygnowałyby z kampanii rewizjonistycznej na jakiś czas otrzymując w zamian rekompensaty w formie ulg zbrojeniowych czy nawet zwrotu niektórych kolonii. Vide: Memorandum z 5. X. 1931, *State Department, National Archives* (dalej cytowane w skrócie *SDNA*) 033.5111 Laval, Pierre/98 1/8; Memorandum for the President, 20. X. 1931, Thos. W. Lamont File, Herbert Hoover Presidential Library, West Branch oraz memorandum 19. X. 1931, Presidential Papers: Foreign Affairs Financial-Correspondence, *ibid*.

20. Patrz *United States in World Affairs 1931*, str. 223-225. W tym czasie Lippmann objął redakcję tego wydawnictwa.

żał, że zebrani „starali się udawać wielkie zainteresowanie polskimi sprawami²¹”. Akcje polskie w Ameryce nie stały na pewno wysoko.

Uwagi na temat ewentualnej rewizji „korytarza” powtarzały się i później, choć nigdy nie nadano im wielkiego rozgłosu. Już po objęciu prezydentury przez Roosevelta, Sekretarz Hull zapewniał ambasadora Patka, że Stany nie mają zamiaru poruszać sprawy „korytarza” za plecami Polski²². W tym samym mniej więcej czasie Roosevelt zaznaczył w rozmowie z Herriot'em, że nie widzi powodu dlaczego „jakieś mechaniczne *arrangement*” nie mogłoby pozwolić na połączenie Prus Wschodnich z Niemcami²³.

Lippmann miał niewątpliwie rację, że o rewizji polskich granic mówiono powszechnie, choć na ogół po cichu. Zebranie wypowiedzi na ten temat polityków brytyjskich, francuskich, czeskich i innych dostarczyłoby ogromnego materiału rzeczowego, ale w niniejszym artykule można jedynie przypomnieć, że wypowiedzi takich było wiele. Oczywiście nie brakło wśród nich głosów polityków sowieckich, którzy w swych słowach potępienia dla imperialistycznego traktatu wersalskiego i absurdałnego podziału Niemiec, mogli powołać się na autorytet Lenina²⁴. W tych warunkach poglądy amerykańskie w sprawie rewizji granic R.P. nie były odosobnionym zjawiskiem i nie trzeba tezy o „stawianiu na Niemcy” aby je wytłumaczyć.

Obraz nie był biało-czarny i dla pokazania zróżnicowanych opinii oraz blasków wśród cieni, nie od rzeczy będzie spojrzenie na obszerne memorandum przygotowane na polecenie Waszyngtonu przez ambasadę amerykańską w Warszawie i przesłane do Departamentu Stanu 19 marca 1932 roku²⁵. Konkluzja memorandum, obejmująca blisko osiem stron (strony 6-13) zasługiwałaby na opublikowanie w całości. Tutaj przytoczymy tylko niektóre ustępy wskazujące na to, że ambasada USA w Warszawie miała dobre rozeznanie w problematyce polsko-niemieckiej i naświetlała ją we właściwy sposób. Autorzy memorandum stwierdzają, że „Polska dała dowody swej chęci ustalenia

21. *Peace and Counterpeace: Memoirs of Hamilton Fish Armstrong* (New York, 1971), str. 455-56.

22. Patrz pod datą 10 kwietnia 1933, *The Papers of Cordell Hull*, tom 61; 247. Library of Congress, Washington.

23. *Foreign Relations of the United States 1933*, I, 111. Cytowane dalej jako *FRUS*.

24. Patrz wypowiedź Lenina 2 października 1920, *Soczinienija* (3 wyd.), XXV, 401.

25. *SDNA*, 760 c. 6215/584.

normalnych sąsiedzkich stosunków z Niemcami” oraz, że istnienie „korytarza” powoduje tylko „drobne niewygody” dla Niemców. Dlaczego zatem pytają autorzy, Niemcy są tak wrogo nastawione do Polski i przeciwnie „korytarzowi” (słowo w oryginale podawane stale w cudzysłowie)? Memorandum wyjaśnia, że od chwili podpisania traktatu wersalskiego Niemcy mówią o obaleniu go. Sprawa „korytarza”, slogan, że Niemcy zostały „przecięte” są łatwiejszym argumentem w akcji propagandowej i przemawiają silniej do człowieka ulicy, niż kwestia kolonii czy skomplikowane sprawy finansowe. Istniejąca, zwłaszcza w Prusach, pogarda dla „niższej kultury” polskiej ułatwia to zadanie. Autorzy memorandum widzą zatem główną przyczynę niemieckiej wrogości wobec Polski w dziedzinie psychologicznej.

Memorandum rozprawia się następnie z tezą, iż Niemcy są moralnie zobowiązane do opieki nad swymi zagranicznymi współziomkami. Miliony Niemców żyją poza granicami Republiki a tymczasem propaganda skupia się nad sprawą 800.000 Niemców w Polsce. Nie chodzi więc tu tyle o oswobodzenie Niemców, ale o panowanie nad Polakami. Podkreślając kapitalne znaczenie jakie ma dostęp do morza dla Polski, autorzy memorandum zwracają uwagę, że uzyskanie „korytarza” przez Niemcy oznaczać będzie ich dominantę nad Polską. Cytat z wypowiedzi Fryderyka II podkreśla ten argument. Memorandum dyskutuje z kolei rolę moralności w stosunkach międzynarodowych i wytacza ciężkie oskarżenia przeciw Niemcom, z niemieckimi liberałami i socjalistami włącznie. W tych warunkach niemieckie żądania terytorialne są tylko kamuflażem dla *Drang nach Osten* i ewentualnego rozbioru Polski między Niemcy a Rosję. Oddanie Niemcom „korytarza” stworzyłoby w Europie „stan rzeczy o wiele groźniejszy niż ten, który istnieje dzisiaj”. Obecna propaganda niemiecka, podsycana przez rząd, podtrzymuje „ducha rewanzu i zatrzuwa świat”. Żaden z przywódców niemieckiej demokracji nie ma dość odwagi, aby zaprotestować przeciw tym tendencjom. Niemiecka polityka gałazki oliwnej wobec Zachodu a zniszczenia wobec Wschodu zatrzuwa umysły młodzieży i szerzy fałsz i nienawiść. Konkluzja kończy się słowami: „Dopóki ten stan umysłów w Niemczech nie ulegnie zmianie, międzynarodowe rozwiązanie poprzez gwarancje jest pierwszą potrzebą dla Europy, gdyż bez niego bezpieczeństwo Polski musi opierać się na jej własnej sile zbrojnej i na wierności jej sojuszników”.

Wydaje mi się, że to amerykańskie memorandum nie wymaga dodatkowych komentarzy.

Zanim spróbujemy wyciągnąć pewne ogólniejsze wnioski, do-

tyczące polityki amerykańskiej w dobie przed-hitlerowskiej, należałoby wspomnieć o dwóch sprawach: traktacie berlińskim między Niemcami a Rosją z 1926 roku i o Pakcie Briand-Kellogg z 1928 roku. Traktat berliński następujący wkrótce po paktach locarneńskich wywołał duże zaniepokojenie w Europie Środkowo-Wschodniej. Między innymi zaalarmowana była Praga i czechosłowaccy dyplomaci zwrócili się do mocarstw zachodnich z ostrzeżeniami przed dwulicową grą Stresemanna. Poseł w Londynie, Jan Masaryk, rozmawiał z amerykańskim ambasadorem Houghtonem, znanym nam już ze swych pro-niemieckich sympatii. Houghton, co było do przewidzenia, bagatelizował możliwość zbliżenia sowiecko-niemieckiego. Berlin, jego zdaniem, pozostawał wierny koncepcji Locarna, ale nie mógł rezygnować ze swych gospodarczych interesów w Rosji. Wobec niejasnej postawy Anglii i Francji używanie „bolszewickiego straszaka” przez Niemcy było dla amerykańskiego dyplomaty całkiem zrozumiałe²⁶. Uwagi Houghtona są tu jedynie interesujące ze względu na poruszenie aspektu rosyjskiego, do którego powrócimy później.

Sprawa Paktu Briand-Kellogg miała niewątpliwie pewne ujemne znaczenie dla Polski i wschodnich sojuszników Francji. Pierwotna propozycja bilateralnego traktatu amerykańsko-francuskiego nie odpowiadała Kelloggowi który upatrywał w nim chęć Francji zyskania swobody działania w Europie przy życzliwej neutralności amerykańskiej. Na propozycję Brianda Kellogg odpowiedział kontropropozycją: pakt multilateralny. W praktyce oznaczało to nie tylko sprowadzenie paktu do międzynarodowej deklaracji bez większego znaczenia, ale i możliwość zastosowania sankcji „moralnych” przeciw działaniom Francji wpływającym z jej zobowiązań sojuszniczych w Europie Środkowo-Wschodniej. Tak zresztą ocenili inicjatywę Kellogga eksperci w ministerstwach Spraw Zagranicznych Francji i Niemiec. Briandowi udało się wprawdzie uzyskać zapewnienie Waszyngtonu, że pakt nie może chronić agresora a sam fakt podpisania paktu w Paryżu przy udziale Kellogga miał też pewne propagandowe znaczenie dla Francji. W rezultacie — jak wiemy — pakt nie odegrał żadnej roli w dalszym rozwoju stosunków międzynarodowych²⁷.

Nawiasowo warto by jeszcze wspomnieć o wizytach szefa sztabu armii amerykańskiej, Douglasa MacArthura, w Europie Środkowo-Wschodniej w latach 1931-32. Podczas swej pierwszej

26. Alena Gajanová, *ČSR a středoevropská politika velmoci 1918-1938* (Praha, 1967), str. 206-207.

27. Interesujące materiały na ten temat, pochodzące z archiwum Quai d'Orsay, wnosi niepublikowana praca doktorska z Yale Edwarda D. Keetona, *Briand's Locarno Policy* (1975).

podróży MacArthur odwiedził Francję i Jugosławię. Rok później był we Francji, Polsce, Czechosłowacji, Rumunii, Austrii, Węgrzech i Turcji. Amerykański generał uczestniczył jako gość w manewrach i odbywał szereg rozmów. We Francji wyraził opinię, że Niemcy mogą zechcieć raz jeszcze spróbować szczęścia w wojnie zaczepnej. W Warszawie MacArthur został przyjęty na dłuższą rozmowę przez Marszałka Piłsudskiego. W swych wspomnieniach wizycie w Warszawie poświęcił jedynie krótką wzmiankę. Chwalił polską kawalerię choć uważał ją za przestarzałą i współczuł Piłsudskiemu w jego wysiłkach odwrócenia katastrofy od Polski, znajdującej się w niemiecko-rosyjskich kleszczach²⁸. Niektórzy historycy zdają się przypisywać wizytom MacArthura jakąś większą wagę²⁹. Widzą w niej znak zainteresowania Stanów naszym regionem i dowód dobrych stosunków polsko-amerykańskich. Wydaje się jednak — jakkolwiek sprawa jest mało zbadana — że głównym celem podróży MacArthura było zdobycie dodatkowych argumentów dla jego kampanii o przeorganizowanie i wzmocnienie armii amerykańskiej. Kreśląc obraz sytuacji europejskiej w czarnych barwach, MacArthur nawoływał Amerykę do czujności i zwiększenia zbrojeń.

Ale powróćmy teraz do tezy Wojciechowskiego, na poparcie której powołuje się na niemieckiego historyka Wernera Linka³⁰, że „clou amerykańskiej polityki stabilizacyjnej wobec Niemiec” był wzgląd na niebezpieczeństwo rewolucji komunistycznej w tym kraju. Teza to oczywiście nie nowa i powtarzana w różnych zwulgaryzowanych formach przynajmniej od czasu „zimnej wojny”. W ujęciu oficjalnej historii polityki zagranicznej ZSSR, wydanej po angielsku w Moskwie, brzmi ona następująco: „Mocarstwa te — głównie Wielka Brytania i USA — starały się stworzyć zjednoczony front państw kapitalistycznych przeciw ZSSR. Chciały one podminować sowiecko-niemiecką współpracę zapoczątkowaną przez Traktat w Rapallo i wprowadzić Niemcy do anty-sowieckiego frontu w celu użycia odmłodzonego niemieckiego imperializmu przeciw zarówno ZSSR jak i rewolucyjnemu ruchowi w Zachodniej Europie. Taki był jeden z celów planu Dawesa, przygotowanego przy aktywnym współdziałaniu monopolu USA³¹”.

Teza ta nie jest dla niżej podpisanego do przyjęcia ponieważ

28. Douglas MacArthur, *Reminiscences* (New York, 1964), str. 99.

29. Na przykład cytowana już Zsuzsa Nagy.

30. Główną pracą Linka jest *Die amerikanische Stabilisierungspolitik in Deutschland 1921-1933* (Düsseldorf, 1969).

31. *History of Soviet Foreign Policy 1917-1945* edited by B. Ponomarev, A. Gromyko, V. Khvostov (Moscow, 1969), str. 236.

opiera się w małym stopniu na materiale źródłowym a głównie na apriorystycznych założeniach ideologicznych. Oczywiście zarówno Anglia jak i Francja były poważnie zaniepokojone możliwością współpracy antywersalskich i rewizjonistycznych Niemiec i Rosji. Tak Rapallo jak i próby odciążenia Niemiec od Ligi Narodów — o których również wspomina wyżej wzmiankowany podręcznik sowiecki — godziły w *status quo* i międzynarodowy układ powersalski. Stanowiły one poważną groźbę dla Polski i krajów obszaru Europy Środkowo-Wschodniej. Stany Zjednoczone patrzyły na te zagadnienia nieco inaczej niż mocarstwa zachodnio-europejskie. Stabilizację Niemiec i Europy traktowały głównie jako konieczny warunek do odbudowy międzynarodowej struktury gospodarczej, w której amerykański kapitał i handel odgrywałyby pierwszorzędną rolę. Pokój był potrzebny dla zabezpieczenia interesów Stanów Zjednoczonych, a pokój widziany z Waszyngtonu równał się gospodarczej stabilizacji i utrzymania zrębów istniejącego systemu międzynarodowego minus czy plus korektury terytorialne lub inne, które — drogą negocjacji — miały na celu jedynie zwiększenie stabilności.

Widmo przewrotu socjalnego w Niemczech, którego odbicie można oczywiście z łatwością znaleźć w różnych ówczesnych raportach czy memorandumach, nie było traktowane tak poważnie jak usiłują nam to obecnie wmawiać różni historycy piszący *à thèse*. Wyżej wzmiankowany ambasador Houghton mówił dość spokojnie i niefrasobliwie o używaniu straszaka bolszewickiego przez Niemcy. Gdy w 1927 roku Kellogg próbował użyć argumentu ideologicznego, tzw. *Red scare* odnośnie Meksyku, Kongres odniósł się do tego sceptycznie a nawet ironicznie. W latach 1920-tych rewolucja socjalna była „za rogiem” jedynie w wyobraźni działaczy Kominternu.

Pozostaje jednak sprawa stosunków amerykańsko-rosyjskich, która w żadnym wypadku nie mogła być obojętna dla państw graniczących z ZSSR. Wydaje się, że można przyjąć za cytowanym tu już Adlerem, że rządy republikańskie odziedziczyły po Wilsonie pewne ogólne wytyczne stosunku wobec Rosji. A mianowicie, sympatię do Rosji i wrogość do władców Kremla; opozycję wobec czynników trzecich pragnących obalić bolszewizm; przekonanie że granice imperium rosyjskiego traktować należy jako jednoznaczne — z małymi odchyleniami — z granicami Rosji; (tę sprzeczność z wilsonowską zasadą samostanowienia narodów zauważył już płk House) wreszcie odmowę uznania Rosji sowieckiej dopóty, dopóki konspiruje ona przeciw ustrojowi amerykańskiemu. We wczesno-dwudziestych latach dochodziła jeszcze wiara — podzielana zresztą przez wielu leaderów na zachodzie

Europy — że istniejący reżym jest krótkotrwały i że należy przygotować sobie dobrą bazę wyjściową do współpracy z jego następcami. W pewnym przynajmniej stopniu pomoc hooverowska dla Sowietów miała na celu uchylenie drzwi do Rosji w sensie ubiegnięcia innych mocarstw w ekonomicznej penetracji rynku rosyjskiego.

Podczas gdy koła gospodarcze w Stanach popierały uznanie Rosji sowieckiej nie chcąc zbyt długo czekać na mające rzekomo nadejść zmiany ustrojowe a Senator Borah wygłaszał opinię, że Rosja ma takie same prawo do ustanowienia państwa socjalistycznego w kapitalistycznym świecie jakie miała republikańska Ameryka w świecie monarchicznym, rząd, popierany przez dużą część opinii publicznej, sprzeciwiał się uznaniu ZSSR. Wśród wysuwanych argumentów poczesne miejsce zajmowały twierdzenia o działalności Trzeciej Międzynarodówki i komunistów amerykańskich przeciw ustrojowi Stanów Zjednoczonych. Twierdzenia te szły w parze z podkreślaniami, że Rosja ma niespłacony dług w wysokości 1/3 miliarda wobec Stanów; że handel nie może się rozwinąć dopóki Rosja nie uzna prawa prywatnej własności; wreszcie szermowano argumentem religijnym o ateizmie władców Kremla. O przewrocie na kontynencie europejskim mówiono bardzo niewiele.

Kiedy w zmienionej sytuacji międzynarodowej w 1933 roku Stany nawiązały oficjalne stosunki dyplomatyczne z ZSSR, Waszyngton nalegał na Litwinowa, aby przyrzekł, że rząd sowiecki powstrzyma się od jakiegokolwiek ingerencji w wewnętrzne sprawy amerykańskie. I w tym wypadku jednak głównym motorem polityki amerykańskiej były nadzieje na ogromne korzyści gospodarcze, które okazały się równie iluzoryczne jak i próby „zameerykanizowania” Rosjan przez uczenie ich gry w polo. Pierwszy ambasador amerykański w Moskwie, William Bullitt, obejmował swą placówkę pełen najlepszych chęci i złudzeń. Trzy lata później opuszczał ją jako wróg komunizmu i ZSSR.

Polityka amerykańska w dobie przed-hitlerowskiej w dużej mierze wychodziła na korzyść Republice Weimarskiej a co za tym idzie zawierała elementy niepokojące z punktu widzenia krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Nie oznacza to jednak, że szła na pasku Berlina ani że „stawiała” na Niemcy, świadomie podporządkowując ich interesom dobro innych państw. W takich sprawach jak rewizje granic zbliżała się do koncepcji Londynu i nie odbiegała też tak znacznie od myśli politycznej francuskiej, jakby się mogło wydawać.

Dojście do władzy Hitlera zbiegło się w czasie z objęciem prezydentury Stanów przez Roosevelta. Oba te wydarzenia miały

miejsce w kontekście szerzącego się kryzysu zapoczątkowanego krachem giełdy nowojorskiej w 1929 roku. Według ówczesnie przyjętej nomenklatury Roosevelt był bliski izolacjonistów. Nie oznaczało to oczywiście aby nie widział współzależności między sytuacją gospodarczą amerykańską a światową lub związku między polityką wewnętrzną i zagraniczną. Nie pozostawał też obojętny wobec wydarzeń w Europie, ale nie podejmował prób włączenia Stanów Zjednoczonych w powoli rysujący się system przeciwnych bloków na kontynencie europejskim. Przedstawiciele amerykańscy odgrywali poważną rolę na konferencji rozbrojeniowej — już Hoover był w nią zaangażowany i w swych propozycjach faworyzował raz Francję, raz Niemcy — a delegacja amerykańska wzięła udział w konferencji gospodarczej w Londynie. Konferencja rozbrojeniowa, jak wiemy, została rozbita przez Hitlera; do upadku konferencji gospodarczej w Londynie przyczyniła się sztywna polityka Roosevelta. Jednocześnie jednak Roosevelt doceniał znaczenie handlu zagranicznego dla dobrobytu amerykańskiego. W 1934 roku Kongres uchwalił tzw. *Reciprocal Trade Agreement Act*. W rok później podsekretarz Sumner Welles popierał ożywienie handlu z krajami bałkańskimi a Roosevelt zapewniał senatora z Alabamy, że Export-Import Bank udzieli kredytów Czechosłowacji i pertraktuje z Węgrami, celem umożliwienia im zakupów bawełny w Ameryce³².

Po przyjściu Hitlera do władzy stosunki amerykańsko-niemieckie ulegać poczęły stałemu pogarszaniu. Wojciechowski tłumaczy ten fakt zniknięciem niebezpieczeństwa komunizmu w Niemczech. Polityka amerykańska mogła — mówiąc jego słowami — „powrócić do starych sympatii wobec Paryża i Londynu”. Spróbujmy na chwilę potraktować tę tezę poważnie. Jak wiadomo, w pierwszym momencie ZSSR uważał dojście Hitlera do władzy za zjawisko przejściowe. Sądzono, że ostatecznie ustali się triumwirat Papen-Neurath-Blomberg a prawicowe rządy, poparte przez ciężki przemysł, będą za dalszą współpracą niemiecko-sowiecką. Pewne złudzenia co do utrzymania przyjaznych stosunków między Berlinem a Moskwą pokutowały jeszcze w rządowych kołach sowieckich przez następne dwa lata. W listopadzie 1935 roku Litwinow zwracając się do Schulenburga wznieście toast za „odnowienie starej przyjaźni”³³.

32. Edgar M. Nixon, ed., *Franklin D. Roosevelt and Foreign Policy* (Cambridge, Mass., 1969), II, 510-513, III, 98-102.

33. Patrz Václav Král, *Spojenectví Československo-sovetské v evropské politice 1935-39* (Praha, 1970), str. 124. Ta obficie udokumentowana książka daje, może wbrew intencji autora, fascynujący obraz współpracy sowiecko-niemieckiej.

Jeśli takie oceny i nastroje istniały w Moskwie, trudno doprawdy winić dyplomację amerykańską za błędy w rozeznanii nowopowstałej sytuacji. Czyż zresztą błędy te były aż tak poważne, jak nam to sugeruje Wojciechowski posługując się dość dowolnie wybranymi cytatami i wykazując słabe rozeznanie w osobistościach amerykańskiego świata dyplomatycznego? Do sprawy tej przejdziemy za chwilę po wyjaśnieniu rzeczywistych powodów oziębienia się stosunków amerykańsko-niemieckich.

Niewątpliwie Waszyngton nie chciał początkowo zadrażnień z nowym reżymem w Berlinie. Nie wyglądało wcale na to, że Hitler ma zamiar zerwać z Rosją i ambasador amerykański Frederick M. Sackett nie różnił się w swej ocenie sytuacji od innych kolegów gdy donosił, że hitlerowcy „nie mają zamiaru odstręczyć [*alienate*] Rosji³⁴”. Wybrany osobiście przez Roosevelta na ambasadora w Berlinie, profesor historii z Chicago William E. Dodd, żywił wielkie sympatie do Niemiec, w których spędził młode lata na uniwersytecie lipskim. Patrzenie z bliska na hitleryzm „gleichszaltujący” Niemcy, było dla Dodda osobistą tragedią. Ustroju i przywódców nazistowskich nie trawił, a jeśli nie miał wielkich talentów dyplomatycznych, z czego sobie zdawał sprawę, to przyczynił się do mobilizowania opinii w Ameryce przeciw hitleryzmowi.

Wśród głównych przyczyn zaostrzenia się stosunków amerykańsko-niemieckich, należy podkreślić przede wszystkim sprawy gospodarcze, kwestię żydowską i agresywny styl polityki hitlerowskiej. Dochodzi jeszcze nieukrywana pogarda i niechęć Hitlera do „zażydzonej” i „zamurzynionej” Ameryki³⁵. Napis „JerUSAlem” będzie ozdabiał łamy różnych *Stürmerów* i *Völkischer Beobachter*. Amerykańska polityka gospodarcza „otwartych drzwi” musiała prędzej czy później znaleźć się w kolizji z hitlerowską *Grosswirtschaft*, opartą na autarkii i systemach *clearing’owych*. Co więcej, niemiecka ofensywa handlowa w Ameryce Łacińskiej stała się poważną konkurencją dla Stanów. Pierwsze starcia amerykańsko-niemieckie miały miejsce poza Europą a broń należała do gospodarczego arsenału. Kwestia żydowska wywołała falę oburzenia opinii publicznej w Stanach i nastawiła anty-niemiecko czy raczej anty-hitlerowsko prasę i ośrodki na wybrzeżu atlantyckim, np. Nowy Jork. Prześladowania Żydów kosztowały Niemcy drogo; ceną był spadek sympatii odzyskanych po Pierwszej Wojnie Światowej. Wreszcie

34. *FRUS*, 1933, II, 193.

35. Interesujący artykuł poświęcił tej sprawie Gerhard L. Weinberg, *Hitler's Image of the United States*, „*American Historical Review*”, LXIX, 4 (1964).

agresywny styl polityki hitlerowskiej zaniepokoił Amerykę. Rewizjonizm niemiecki, praktykowany przez Stresemanna i formułowany ostrożnie z uwzględnieniem elementów ludzkich, mogących apelować do Amerykanów, ustąpił miejsca brutalnym żądaniom Hitlera. *Chargé d'affaires* amerykański donosił już w kwietniu 1933 roku o „obsesyjnym” nastawieniu Hitlera odnośnie „korytarza” i natychmiastowej rewizji granic. Gordon wyjaśnił Hitlerowi, że jakkolwiek na świecie istnieje pewne zrozumienie dla „sensownych modyfikacji Traktatu” wersalskiego, to próby przeprowadzenia rewizji siłą zniszczą zaufanie międzynarodowe i będą nosiły w sobie zarzewie klęski³⁶. Opinia ta odzwierciedlała poglądy panujące w Waszyngtonie.

Poselstwo węgierskie, śledzące bacznie amerykańskie nastroje wobec rewizji granic i traktatów, raportowało do Budapesztu, że wydarzenia niemieckie oddziałują na opinię niekorzystnie z punktu widzenia rewizjonizmu³⁷. W negatywnych ocenach polityki hitlerowskiej może najdalej szedł w tym czasie naczelnik sekcji zachodnio-europejskiej w Departamencie Stanu J. P. Moffat, gdy notował w swoim dzienniku: „Naziści chcą pięciu lat pokoju, aby móc przygotować się do wojny”³⁸. Nawiasem można dodać, że Moffat miał pewien staż dyplomatyczny w Europie Środkowo-Wschodniej, gdyż w 1920 roku przebywał w Warszawie.

Interesującą ilustracją sposobu w jaki prof. Wojciechowski posługuje się materiałem źródłowym jest ustęp o ambasadzorze amerykańskim w Warszawie Johnie Cudahym. Wojciechowski referuje raport Cudahy’ego z 27 grudnia 1933 roku w którym ambasador po objęździe placówek w Środkowej Europie i wizycie w Paryżu doszedł do wniosku, że wieści o niemieckich zbrojeniach są przesadzone i że choć możliwy jest *Anschluss* Austrii to osłabi on raczej niż wzmocni Niemcy. Wojciechowski nie komentuje raportu, pozostawiając czytelnika pod wrażeniem, że Cudahy był co najmniej naiwny, ale następnie „wykańcza” go pisząc: „Cudahy wreszcie, nie orientował się zupełnie w przygotowującym się — w chwili gdy objęźdzał Europę — zwrocie w stosunkach polsko-niemieckich, co nastąpiło 26 stycznia 1934 roku w rezultacie podpisania polsko-niemieckiej deklaracji o nie stosowaniu przemocy”.

Czy było tak rzeczywiście? Cudahy objął swą warszawską

36. *FRUS*, 1933, II, 216-220.

37. Raport cytowany przez Zsuzsę Nagy we wspomnianym opracowaniu na str. 19.

38. *Diary*, 2 maja 1933, Jay Pierrepont Moffat, *Diplomatic Papers and Correspondence*, vol. 33. Houghton Library, Harvard.

placówkę gdzieś w lecie czy wczesną jesienią 1933 roku. Dnia 2 listopada odbył półtoragodzinną rozmowę z Beckiem starając się wysondować jego opinie o sytuacji po wystąpieniu Niemiec z Ligi Narodów. Cudahy podawał cyfry członków paramilitarnych formacji hitlerowskich i prosił o polskie dane. Interesował się szczególnie tym, co myśli Piłsudski, bo zdaniem Roosevelta i rządu amerykańskiego sytuacja była poważna. Beck zapewnił ambasadora, że choć rozwój sytuacji wewnętrznej w Niemczech stwarza pewne niebezpieczeństwo dla sąsiadów, Marszałek Piłsudski ocenia stan rzeczy spokojnie i żadne decyzje zwiększenia sił zbrojnych nie zostały podjęte³⁹.

Dwa tygodnie później, 17 listopada, Cudahy odwiedził Becka ponownie, żeby zainterpelować go w sprawie wiadomości w *Gazecie Polskiej* z 16 listopada na temat jakiejś „deklaracji dotyczącej nieagresji” między Niemcami a Polską. Beck udzielił trochę wyjaśnień odnośnie rozmów w Berlinie, ale zaznaczył że *the time is not opportune* dla podpisania paktu o nieagresji w typie traktatu z Rosją. Zapytany co do szans ewentualnego podpisania takiego traktatu później, Beck odpowiedział: „*the time is not ripe for any definite written rapprochement*”⁴⁰.

W grudniu Cudahy dokonał wyżej wspomnianego objazdu i w raporcie dla Roosevelta, który Wojciechowski w swym streszczeniu bardzo uprościł, podkreślał głównie to, że w danym momencie nie grozi realne niebezpieczeństwo ze strony Niemiec i że armie francuska, polska i państw Małej Ententy są o wiele silniejsze od Reichswehry. Trudno mu odmówić słuszności. O ogłoszeniu deklaracji polsko-niemieckiej Cudahy dowiedział się — zapewne jak i reszta dyplomatów w Warszawie — po fakcie dokonanym i podobnie jak oni czuł się wyprowadzony w pole przez Becka. Wynika to jasno z jego raportu z 29 stycznia 1934 roku, w którym opisując swą rozmowę z Beckiem podaje, że przypomniał mu jego wymijające uwagi i sformułowanie, iż „owoc nie dojrzał jeszcze do zerwania”⁴¹.

Epizod ten, zrelacjonowany tak szczegółowo ma służyć jedynie jako ilustracja; innych uproszczeń czy dowolnych interpretacji Wojciechowskiego nie będziemy już analizowali w ten sposób. Skrótkowo powiedzieć tylko można, że pomimo wszystkich niedociągnięć, a przede wszystkim braku jasnej koncepcji polityki

39. Notatka z rozmowy, *Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Archiwum Akt Nowych*, Warszawa, t. 108, str. 104-108. Dalej cytowane w skrócie *AMSZ*.

40. Raport Cudahy'ego z 18 listopada 1933, *SDNA*, 760 c. 62/214.

41. List do Roosevelta w Nixon, *Op. cit.*, I, 553-555; raport z 29 stycznia 1934: *SDNA*, 760 c. 6214/14.

zagranicznej, dyplomacja amerykańska w swej funkcji sprawozdawczej i opiniodawczej nie stała gorzej od wielu służb zagranicznych tego okresu. W niektórych wypadkach stała lepiej.

Na przykładzie placówki amerykańskiej w Warszawie można by wnioskować że poziom i zorientowanie w sprawach polskich ze strony dyplomatów USA były niezłe. Oczywiście trudno jest generalizować. Po pierwszym pośle, zawodowym dyplomacie Hugh Gibsonie — którego można by zaliczyć do czołówki Departamentu Stanu — przyszła kolej na kilku wielkich *businessman*’ów (John B. Stetson czy Willys), prawnika z Milwaukee (Cudahy) a pod koniec bardzo wybitnego amatora dyplomaty Anthony’ego Drexell Biddle’a. Raporty ich przesyłane do Departamentu Stanu lub wprost do prezydenta są interesujące i widać, że starali się oni być *au courant* sytuacji polskiej. Można to samo powiedzieć o *chargé d'affaires* Wilej’u⁴². O dyplomacji amerykańskiej świadczy raczej dobrze fakt, że ani na chwilę nie uwierzyła w istnienie jakichś tajnych zobowiązań czy protokołów w polsko-niemieckiej deklaracji o nie-agresji⁴³.

Placówka w Warszawie uważana była za ważną⁴⁴. Bullitt, którego rola jako „nadrzędnego” ambasadora w Europie komunikującego się bezpośrednio z Rooseveltem, była duża, pisał 12 kwietnia 1935 roku do prezydenta: „osoba, którą Pan pośle do Warszawy musi znać francuski a jeśli możliwe i niemiecki. Jeśli zaś chce Pan mieć informacje z Warszawy [ambasador w RP] powinien być prawdziwym *gentleman*’em o wybitnej inteligencji⁴⁵”.

Określenie czołówka dyplomatyczna amerykańska, czy „czołowy personel dyplomatyczny” (Wojciechowski) jest oczywiście terminem mało precyzyjnym i czytelnik musi sobie zdać sprawę z dość specyficznego składu przedstawicieli USA za granicami. Byli wśród nich i zawodowi dyplomaci — których *nota-bene* Roosevelt wyraźnie nie lubił, z wyjątkiem tych których sam

42. Za urzędowania Wilej’a sporządzono w poselstwie amerykańskim w Warszawie notatkę z datą 21 marca 1931 charakteryzującą główne osobistości w MSZ. Tekst w polskim tłumaczeniu wraz z krótkim komentarzem ogłosiłem pt. „MSZ widziane oczami amerykańskiego dyplomaty” w *Zeszytach Historycznych*, nr 32 (1975), str. 153-157.

43. Patrz między innymi raport Bullitta do Roosevelta z 12 kwietnia 1935 w Nixon, *Op. cit.*, II, 478-479 i Cudahy do Sekretarza Stanu, 27 stycznia 1937, *FRUS*, 1937, I, 32-37.

44. Patrz uwagi w liście podsekretarza stanu J. Grew do Sekretarza Stanu z 10 czerwca 1925 w: Joseph C. Grew, *Diary*, Houghton Library, Harvard.

45. Nixon, *Op. cit.*, II, 748.

mianował na różne placówki. Byli wielcy przemysłowcy czy finansiści, dla których ambasada była nagrodą za ich działalność na rzecz partii. Mając odpowiednie środki finansowe mogli łatwiej utrzymać się w wielkich stolicach europejskich niż dyplomaci żyjący jedynie z pensji. Fakt mianowania ambasadorem w jednej z głównych stolic nie zawsze kwalifikował daną osobę do poważnego miejsca w czołowym personelu. Na przykład wyjątkowo uzdolniony i wpływowy George Messersmith był tylko posłem w Wiedniu, choć potem przeszedł na wysokie stanowisko w centrali. Bogaty *gentleman* z południa Breckenridge Long zajmował miejsce ambasadora w Rzymie, ale jego raporty nie zawsze traktowano poważnie. Wszechwładny sekretarz osobisty Roosevelta, L. M. Howe, informował prezydenta, że Long „jest zahipnotyzowany przez Mussoliniego”⁴⁶. Niektóre zresztą oceny Longa nie były pozbawione pewnej wizji.

Do wybitnych i bardzo wpływowych osób w Departamencie Stanu należeli W. R. Castle⁴⁷ i trochę później Sumner Welles. Nie sposób ich pominąć przy jakiegokolwiek analizie dyplomacji amerykańskiej. W Europie Środkowo-Wschodniej zasługuje niewątpliwie na uwagę wieloletni poseł w Pradze (1921-1930), Lewis Einstein, należący do zawodowych dyplomatów. Bardziej kontrowersyjną postacią był J. F. Montgomery, poseł w Budapeszcie od 1933 do 1941 roku, wyraźnie zapatrzony w Węgry i dzielący ich punkt widzenia⁴⁸. Zarówno Gibson jak i Moffat powinni być uwzględnieni przy badaniach nad amerykańską polityką zagraniczną. Kwestia do jakiego stopnia przedstawiciele USA za granicą formowali politykę w okresie międzywojennym jest w dużym stopniu sprawą do dyskusji. Odnosiłoby się to zwłaszcza do takich osób jak Bullitt w Moskwie i Paryżu, Dodd i Wilson w Berlinie oraz Joseph Kennedy w Londynie.

Systematyczny przegląd polityki amerykańskiej w 1930-tych latach oraz jej wpływ na Europę Środkowo-Wschodnią przerasta ramy tego artykułu. Z konieczności więc skoncentrujemy się na paru zagadnieniach i przedstawimy pewne kierunki tej polityki zdając sobie sprawę z tego, że nie dadzą one pełnego obrazu. Okres pierwszej prezydentury Roosevelta upłynął pod znakiem dużej ostrożności w posunięciach międzynarodowych. Mowa tu

46. 18-go października 1935, *ibid.*, III, 28.

47. Papiery Castle'a, zdeponowane w Harvardzie i zawierające ponoć fascynujący dziennik i korespondencję były przez pewien czas udostępniane wybranym historykom. Obecnie są one niedostępne.

48. Papiery Montgomery'ego są w Yale. Wykorzystała je częściowo cytowana już parokrotnie Zsuzsa Nagy. Papiery Einsteina są w bibliotece Uniwersytetu Wyoming.

jest oczywiście o Europie. Ostrzeżenia o agresywnych zamiarach Hitlera napływały z placówek. W maju 1935 Dodd pisał z Berlina, że wszystko potwierdza pogląd, iż Hitler pragnie „aneksji części Korytarza, części Czechosłowacji i całej Austrii”⁴⁹. O parę tygodni wcześniej Long ostrzegał z Rzymu, że pierścień otaczający Niemcy ulegnie osłabieniu na wschodzie i południowym wschodzie. Long uważał, że z chwilą wybuchu wojny jedynie dwa mocarstwa mogą wyjść z niej jako „prawdziwy zwycięzca”: Niemcy albo Rosja. Z dwojga złego Long wołał Niemcy, gdyż — jak pisał — „wzdrygam się na myśl o rosyjskiej dominacji Europy”⁵⁰. Obawa przed Rosją Sowiecką, która przewijała się i w innych raportach i memorandumach amerykańskich, była w tym czasie podzielana przez większość rządów europejskich. Nawet Francja i Czechosłowacja, podpisujące sojusze z Moskwą, traktowały je bardziej jako narzędzie presji na Niemcy i instrument mający zapobiec wojnie niż jako przygotowanie do walnej rozprawy z Hitlerem.

Stany Zjednoczone nie były absolutnie w możności przyłączenia się do jakiegoś, choćby wyłącznie dyplomatycznego, bloku przeciw Niemcom. Obawa przed wojną i ponownym zaangażowaniem się w niej przez Amerykę była dominującym czynnikiem w opinii publicznej Stanów. *Bestseller*-em roku 1934, wybranym przez *Book-of-the-Month Club* była książka F. C. Hanighena, *Merchants of Death* (Handlarze śmierci) atakująca przemysł zbrojeniowy. Komisja badająca rolę fabrykantów broni — tzw. komisja Nye’a — przyczyniła się wcale do poglądu, że bankierzy, handlarze i producenci broni oraz spekulanci podstępnie wciągnęli Amerykę do wojny światowej. Kongres wprowadził serię ustaw regulujących neutralność USA a mających na celu uniemożliwienie egzekutywie wpłatania Stanów Zjednoczonych w jakikolwiek konflikt światowy. Ustawy neutralne grały na niekorzyść republikańskiej Hiszpanii i Abisynii — dostawy amerykańskiej ropy naftowej do Włoch wzrosły parokrotnie w okresie sankcji. Wypowiedzenie przez Hitlera klauzul rozbrojeniowych Traktatu Wersalskiego zostało przyjęte życzliwie przez opinię amerykańską — donosił ambasador niemiecki w Waszyngtonie⁵¹.

W tych warunkach projekty jakiegóż bardziej aktywnej postawy rządu Stanów Zjednoczonych musiały zawisnąć w próżni. Roosevelt w korespondencji z płk. House’em zastanawiał się nad pośrednią pomocą dla Anglii, Francji, Włoch i Małej Ententy, gdyby

49. Cytuję za Offnerem, *Op. cit.*, str. 132.

50. Long do Roosevelta, 19 kwietnia 1935, Nixon, *Op. cit.*, II, 486-488.

51. Offner, *Op. cit.*, str. 114.

zdecydowały się one na podjęcie akcji przeciw Niemcom hitlerowskim. Gdyby akcja ta przybrała formę blokady Niemiec, pomoc USA objawiłaby się w uznaniu efektywności tej blokady i zaprzestaniu handlu z Niemcami⁵². Brzmiało to bardzo mglisto i nierealnie, ale Waszyngton miał związane ręce. Ambasador Cudahy po dłuższej rozmowie z Beckiem przekazał opinie tego ostatniego, że protesty w Berlinie przeciw naruszeniu Traktatu Wersalskiego nie mają sensu jeśli nie są poparte czynem⁵³. Stany Zjednoczone oczywiście nie były w stanie poprzeć żadnej inicjatywy siłą.

Remilitaryzacja Nadrenii 7 marca 1936 roku była następny wielkim wstrząsem dla polityki międzynarodowej. Był to może ostatni moment dla utworzenia prawdziwego frontu przeciw agresji hitlerowskiej, który zmusiłby Berlin do odwrotu. Amerykańska opinia publiczna przyjęła to wydarzenie nader obojętnie. Znaczenie remilitaryzacji Nadrenii amerykańscy dyplomaci w Europie Środkowej i Wschodniej ocenili jako wyraźną groźbę dla pokoju. Attaché wojskowy w Berlinie stwierdził, że przez jedno posunięcie na dyplomatycznej szachownicy Hitler podciął korzenie całego systemu powojennych sojuszków Francji. Dodd w obszernym opracowaniu pt. „A Survey of German National Socialist Foreign Policy” stwierdzał, że jedynie zaskakującym elementem w polityce Hitlera jest wybór czasu i sposób realizowania celów; poza tym posunięcia jego wypływają z podstawowych założeń *Mein Kampf*. Dodd również zauważył, że Zachód gra na korzyść Hitlera a remilitaryzacja Nadrenii „odcina Francję od jej wschodnich sojuszników⁵⁴”. Cudahy z Warszawy przepowiadał wojnę z Niemcami za rok, dwa, lub pięć⁵⁵. Pod koniec roku 1936 Cudahy stwierdzał, że Niemcy są główną groźbą dla pokoju. „Cały impuls kraju idzie w kierunku przygotowania wojny”. Cudahy podkreślał, że właściwy konflikt jest między Niemcami a Rosją, nie między Komunizmem a Faszyzmem i nie szczędził ostrych słów pod adresem Rosji. Ambasador dodawał, że samo oświadczenie Stanów na rzecz pokoju nic nie da⁵⁶. W odpowiedzi Roosevelt poprosił o informacje na temat możliwości obrony przed Niemcami ze strony Polski i Czechosłowacji jak też o opinie dotyczące ich przyszłości gospodarczej. Ocena Cudahyego była pesymistyczna. Uważał on Pol-

52. House do Roosevelta, 20 kwietnia 1935, Nixon, *Op. cit.*, II, 488-489.

53. Offner, *Op. cit.*, str. 113.

54. *Ibid.*, str. 143, 173. Bullitt widział jasno niebezpieczeństwo wpływające z remilitaryzacji Nadrenii dla Austrii i Czechosłowacji. Patrz Robert Kvaček, *Nad Evropou zataženo* (Praha, 1966), str. 230.

55. Cudahy do Roosevelta, 20 marca 1936, Nixon, *Op. cit.*, III, 267-168.

56. Cudahy do Roosevelta, 22 grudnia 1936, *FRUS*, 1937, I, 24-26.

ske za najbiedniejszy kraj Europy, który może nie wytrzymać gospodarczo następnych dziesięciu lat. Podobnie pesymistyczną opinię przekazał już zresztą Bullittowi w 1935 roku. Sytuację Czechosłowacji ocenił Cudahy o wiele optymistycznie⁵⁷. Jakkolwiek chodziło tu o stronę gospodarczą, być może, że optymizm Benesa w sprawach politycznych odgrywał też pewną rolę. Poselstwo z Pragi donosiło, że choć Benesz nie wątpi iż Niemcy są gotowe do obrony, to uważa że w wypadku wojny ofensywnej „prawie każdy żołnierz” niemiecki „zdezzeruje”⁵⁸.

Jesienią 1936 roku miało miejsce trzystronne porozumienie monetarne pomiędzy USA, Wielką Brytanią i Francją, do którego impuls dała Francja wysyłając do Waszyngtonu specjalnego emisariusza. Francuski wysłannik położył szczególny nacisk na złą sytuację gospodarczą sąsiadów Niemiec (zwłaszcza Polski) i upatrywał w porozumieniu finansowym Zachodu pierwszy krok w kierunku stabilizacji Europy. Po podpisaniu porozumienia Sekretarz Skarbu, Henry Morgenthau, komentował je jako *greatest move taken for peace*⁵⁹. W swych wysiłkach celem utrzymania pokoju Waszyngton starał się użyć jedynej broni jaką posiadał do dyspozycji, a więc ekonomicznej.

Niewątpliwie zarówno Biały Dom jak i dyplomaci amerykańscy w Europie uważali że głównym celem polityki zagranicznej jest utrzymanie pokoju. Sposób w jaki starali się to osiągnąć nie był ustalony i występowały daleko idące rozbieżności między poglądami poszczególnych ambasadorów, wyższych urzędników Departamentu Stanu i samego Roosevelta. Pewien *appeasement* w wydaniu amerykańskim — jaki obserwujemy w latach 1937-1939 — nie wypływał jednak z identycznych przesłanek co w Anglii i we Francji. Jedynie operując apriorystycznymi stereotypami można określać go jako politykę „kontrolowanej przez mocarstwa zachodnie ekspansji III-ciej Rzeszy w kierunku wschodnim”⁶⁰. Istniały bowiem, mówiąc ogólnikowo, koncepcje Bullitta i Kennedy’ego — Roosevelt był bliski Bullittowi a pogardzał Kennedym — oraz idee wyznawane przez takich ludzi w Departamencie Stanu jak Sumner Welles, Moffat, czy Messersmith. Sprowadzanie tych różnic do jednego mianownika nie pozwalała nam na zrozumienie istoty źle skoordynowanej i z konieczności nieśmiałej polityki zagranicznej USA.

57. Cudahy do Roosevelta, 6 lutego 1937, *ibid.*, str. 40-41. Porównaj list Bullitta do Roosevelta z 12 kwietnia 1935, Nixon, *Op. cit.*, II, 478-479.

58. Raport J. Butler Wrighta, 18 marca 1936, *SDNA*, 740.0011 Mutual Guarantee/543 (Locarno).

59. John Morton Blum, *From the Morgenthau Diaries* (Boston, 1959), I, 155-173.

60. Sformułowanie Wojciechowskiego.

Bullitta gnębiła wizja przyszłej wojny, zniszczenia z powietrza cywilizacji europejskiej i rozprzestrzenienie się „Azjatyckiego despotyzmu” na gruzach Europy. Należało ratować pokój i zdaniem Bullitta jedynie Ameryka, Polska i kraje Środkowo-Wschodniej Europy, z wyjątkiem Węgier i Bułgarii, pragnęły pokoju. Frankofilski Bullitt chciał w pierwszym rządzie ratować Francję i dlatego też upatrywał jedyną szansę pokoju w zbliżeniu francusko-niemieckim. Zalecał Rooseveltowi politykę dążącą do tego po cichu i unikającą nagłych wystąpień w stylu Moratorium Hoovera⁶¹. W okresie kryzysu monachijskiego Bullitt będzie reprezentował pogląd, iż sprawa trzech milionów Niemców sudeckich nie może stać się przyczyną wplątania Francji w wojnę. Zwłaszcza, że Stany Zjednoczone nie przyjdą Francji z pomocą.

Frankofilskiej koncepcji Bullitta, która stawiała również na Polskę — Bullitta łączyły bliskie stosunki z Juliuszem Łukasiewiczem — można przeciwstawić pro-brytyjskie nastawienie Kennedy’ego, który widział klucz do rozwiązania sytuacji w porozumieniu brytyjsko-niemieckim. Kennedy, podobnie jak Bullitt, nie doceniał w pełni Niemiec hitlerowskich, ale o wiele bardziej niż Bullitt skłaniał się do grupy *appeaser*’ów w wydaniu angielskim. Pewne identyfikowanie się z krajami przy których dani przedstawiciele byli akredytowani było dość charakterystyczne nie tylko dla Bullitta i Kennedy’ego ale i dla wspomnianego uprzednio Montgomery’ego w Budapeszcie i Biddle’a w Warszawie. Biddle był zresztą jednym z nielicznych dyplomatów zagranicznych, który miał wspólny język z Beckiem i doceniał jego politykę*.

W lutym 1937 roku sekcja spraw zachodnio-europejskich Departamentu Stanu przygotowała memoriał, w którym głównym pytaniem było czy Niemcy mogą być zaspokojone gospodarczo i politycznie. Norman H. Davis otrzymał polecenie przeprowadzenia badań pod przykrywką rozmów na temat ograniczenia zbrojeń morskich. Amerykańska polityka zagraniczna — nawet przyjmując jej skrępowanie przez nastroje izolacjonistyczne w kraju — nie miała jednak jasno wytyczonych celów i metod działania. Sekretarz Stanu Cordell Hull uważał, że Stany Zjedn. powinny się zbroić i zachęcać demokracje zachodnie, aby się zbroiły. Należało szerzyć koncepcję „filarów pokoju” aż Europa Zachodnia pojmie swą misję i zatrzyma agresorów. Co to oznaczało w praktyce — trudno powiedzieć. Nowy podsekretarz

61. Bullitt do Roosevelta, 20 grudnia 1936, Nixon, *Op. cit.*, III, 550-553.

* Raporty Biddle’a pt. *Poland and the Coming of the Second World War*, nakładem Ohio University Press, ukażą się drukiem zapewne jednocześnie z tym artykułem.

Stanu Sumner Welles propagował ze swej strony ideę wysunięcia programu międzynarodowego pokoju i zyskania dla tych celów współpracy angielskiej. Na przestrzeni 1937 roku Roosevelt podejmował pewne inicjatywy wobec Londynu włącznie z zaproszeniem Chamberlaina do Ameryki. Próby te trafiały w próżnię.

Jesienna mowa Roosevelta, w której porównywał agresję do zarazy i sugerował izolację i kwarantannę — stąd nazwa *quarantine speech* — spotkała się z mieszanymi reakcjami w Stanach; izolacjoniści atakowali ostro Roosevelta, choć w mowie nie było słowa o aktywnym zaangażowaniu Ameryki w Europie. We Francji przyjęto mowę raczej życzliwie; z Warszawy Biddle donosił, że Beck określił przemówienie Roosevelta jako wywieszenie ostrzeżenia: *stop, look, and listen* (zatrzymaj się, patrz i słuchaj) pod adresem potencjalnych agresorów. Odpowiadając na list Biddle'a, Roosevelt pisał, że należy obecnie postawić w każdym kraju pytanie co się stanie jeśli faszyzm się rozprzestrzeni zapamiętuje nad światem. Innymi słowy, hasłem dnia winno być alarmowanie opinii publicznej⁶² ale, jak pisze historyk Selig Adler, Rooseveltowi przychodziło łatwiej zmienić swój własny punkt widzenia niż nastroje w Stanach Zjednoczonych.

Messersmith, świeżo przeniesiony do Waszyngtonu, trzeźwo oceniał sytuację. W memorandum do Sekretarza Stanu rozwijał pogląd, że jeśli demokracje nie są gotowe bronić pokojowymi środkami swego politycznego, socjalnego i gospodarczego punktu widzenia to będą zmuszone zrobić to zbrojnie. Fakt, że kolej na Stany Zjednoczone przyjdzie na ostatku, był mało pocieszający dla Messersmitha, bo oznaczał, że USA będą wtedy osamotnione. Messersmith podkreślał, że cele Niemiec hitlerowskich obejmują Anglię i Amerykę i wzywał do opracowania dalekosiężnej polityki zagranicznej⁶³. Z początkiem 1938 roku Messersmith sugerował wysłanie specjalnego emisariusza do rozmów ze Stalinem — „tak mało wiemy o Rosji” dodawał⁶⁴. Równocześnie Sumner Welles nie ustawał w swych projektach nawiązania bliższej współpracy z Anglią i Francją. Chamberlain był nadal wymijający, wychodząc z założenia, że jakikolwiek anglo-sasko-francuski front może tylko prowokować Niemcy.

Nieśmiałe próby podjęcia bliżej nieokreślonych inicjatyw ze strony polityki amerykańskiej odbywały się w kontekście silnie

62. Patrz wymiana listów Roosevelt-Biddle z 27 października i 10 listopada 1937, *FRUS*, 1937, I, 151-154.

63. Messersmith do Sekretarza Stanu, 11 października 1937, *ibid.*, str. 140-145.

64. Messersmith do Sekretarza Stanu, 3 stycznia 1938, *FRUS: The Soviet Union 1933-1939*, str. 505.

anty-wojennych nastrojów w USA. W styczniu 1938 wniesiono poprawkę do konstytucji, tzw. *Ludlow Amendment*, według którego Ameryka mogłaby znaleźć się w wojnie (z wyjątkiem inwazji kontynentu amerykańskiego) jedynie po przeprowadzeniu referendum. Rząd musiał wyteńczyć wszystkie siły, aby poprawkę tę utracić, ale o jakiegokolwiek bardziej aktywnej polityce trudno było w ogóle myśleć. Jakkolwiek *Anschluss* Austrii wisiał już w powietrzu, Roosevelt i Hull stwierdzili publicznie, że Stany Zjednoczone nie mają zamiaru być policjantem światowym. Wiley starający się uszczywnić Schuschnigga otrzymał reprimendę od Hulla i instrukcje, aby nie mówić niczego, co mogłoby być zrozumiane jako zajęcie przez Amerykę stanowiska w sprawach europejskich.

Sam *Anschluss* wywołał antyhitlerowskie reakcje jedynie ze względu na brutalność Berlina a nie z powodów merytorycznych. Dla czołowego izolacjonisty Borah, wcielenie Austrii do Niemiec nie miało najmniejszego znaczenia dla Ameryki. Rzecz ciekawa, szereg wybitnych Europejczyków widziało inaczej stosunek Stanów Zjednoczonych do Europy. Poselstwo węgierskie raportowało jeszcze przed *Anschluss*'em, że jeśli sytuacja stanie się naprawdę poważna „Ameryka stanie z pewnością po stronie Wielkiej Brytanii i tak zwanych zachodnich demokracji⁶⁵”. W czasie kryzysu majowego (1938) generał niemiecki Ludwig Beck uważał, że w krytycznym momencie Stany poprą Wielką Brytanię, Francję i Czechosłowację. Podobnie ambasador brytyjski Lindsay sądził, że w wypadku wojny europejskiej Ameryka również się w niej znajdzie⁶⁶.

Rola Stanów Zjednoczonych w kryzysie czechosłowackim 1938 roku nie jest jeszcze w pełni przebadana, choć istnieją na ten temat poważne studia⁶⁷. Można chyba zaryzykować ogólne stwierdzenie, że zarówno Biały Dom jak i Departament Stanu

65. Cytuję za Nagy, *Op. cit.*, str. 24.

66. Offner, *Op. cit.*, str. 254-258.

67. Między innymi John McWickar Haight, Jr., *France, the United States and the Munich Conference*, „Journal of Modern History”, XXXII (1960) oraz raczej tendencyjne prace sowieckiego historyka M. Baturina, *The United States and Munich*, „International Affairs”, V, 1959 i *SSzA i Minchen: iz istorii amerikanskoj wnesznej politiki 1937-1938* (Moskwa, 1961). Zbiór dokumentów wydanych przez Czechosłowacką Akademię Nauk, *Das Abkommen von München 1938: Dokumente* (Praha, 1968) nie zawiera ani jednego raportu z Waszyngtonu. Okres monachijski w szerszym tego słowa znaczeniu opracował ostatnio Henryk Batowski w ciekawym artykule *Dyplomacja USA wobec wydarzeń w Europie Środkowej w latach 1938-1939* wydany w zbiorze *Ameryka Północna: Studia* (Warszawa, 1975) pod redakcją M. M. Drozdowskiego. Oceny Daviesa i Bullitta przez Batowskiego budzą poważne zastrzeżenia.

oraz dyplomaci na placówkach europejskich byli głównie zainteresowani w tym, aby nie doszło do konfliktu światowego z powodu Czechosłowacji. Poza tym działania ich robiły wrażenie nieskoordynowanych i bezplanowych. W maju 1938 roku Wilson sugerował z Berlina, by pozwolono jemu i posłowi w Pradze Carrowi podjąć próbę mediacji. Hull stanowczo się temu sprzeciwił. Mimo to Wilson zjawił się w Pradze tego samego dnia co brytyjski rozjemca, słynny Lord Runciman, wywierając pośrednią presję na Benesa. Wilson tłumaczył, że Praga nie powinna się dać zwieść antyniemieckim wypowiedziom amerykańskiej prasy, zwłaszcza ze wschodniego wybrzeża, gdyż prasa tamtejsza jest kontrolowana przez Żydów i nie odzwierciedla prawdziwej opinii całej Ameryki. Amerykanie mogą się oburzać na Niemcy, ale to wszystko⁶⁸.

Kennedy w Londynie wygłaszał pro-niemieckie i antysemityczne zdania wobec swego niemieckiego kolegi; Bullitt zapewniał francuskiego ministra Spraw Zagranicznych, że Stany Zjednoczone nie będą się do niczego mieszać. Koncepcja międzynarodowej konferencji z udziałem Ameryki istniała jednakże tak w umyśle Roosevelta jak i Bullitta. Zwłaszcza w chwilach gdy po kapitulacji czechosłowackiej, rozmowy w Godesbergu doprowadziły do poważnego napięcia międzynarodowego, Bullitt sugerował konferencję, w której wzięłyby udział Wielka Brytania, Francja, Niemcy, Włochy, Polska i Stany Zjednoczone. Roosevelt wcześniej popierając wysiłki Chamberlaina, miał pewne wątpliwości czy załatwienie sprawy czechosłowackiej *per se* przyniesie pokój i stabilizację. Niemcy w swej agresywnej polityce mają dalsze żądania i Roosevelt wspominał sprawę polską i duńską. Dlatego też konferencja światowa, jeśliby doszła do skutku, powinna zająć się zmianą w sposób racjonalny „wszystkich niezadawalających granic”⁶⁹. Czy oznaczać to miało próbę zaspokojenia Niemiec poprzez rewizję granic ich sąsiadów, a jeśli tak, co mógłby tu wnieść udział Ameryki hamowanej stale przez Kongres? Czy Rooseveltowi chodziło o dalsze edukowanie opinii publicznej amerykańskiej i zyskanie na czasie?

Słynny telegram *Good man*, wysłany przez Roosevelta do Chamberlaina po Monachium, miał zapewne oznaczać uznanie dla „załatwienia” sprawy bez wojny. Istnieją rozbieżne oceny stosunku Roosevelta do konferencji monachijskiej. Offner uważa, że prezydent był z niej zadowolony; Haight sądzi odwrotnie. Z pewnością Messersmith, który ostrzegał, że Monachium nie

68. *FRUS*, 1938, I, 539-545.

69. Offner, *Op. cit.*, str. 261-262.

jest końcem lecz początkiem, Carr, który uważał, że zapłacono za wysoką cenę za pokój i Bullitt, który w tym czasie poważnie rewidował swe poglądy, uznali Monachium za klęskę Zachodu i zwycięstwo Hitlera. Wydaje się, że Niemcy — a zwłaszcza Hitler — przywiązywali minimalną wagę do posunięć amerykańskich w tym okresie. Widziane z Berlina USA nie były mocarstwem, z którym należało się liczyć. Odpowiedź Hitlera na apel Roosevelta w okresie monachijskim była jeszcze utrzymana w poprawnym tonie; odpowiedź na apel z 14 kwietnia 1939 roku w sprawie pokoju była wyszydzeniem prezydenta Stanów Zjednoczonych w brutalny sposób. Sarkastycznym zwrotem Hitlera towarzyszyły wybuchy śmiechu zgromadzonego Reichstagu.

Roosevelt ze swej strony przechodził powoli do ofensywy, jak na razie słownej. W apelu do Hitlera i Mościckiego z sierpnia 1939 roku mówił o narodzie amerykańskim, który jest zjednoczony w swej opozycji do polityki zdobyczy dokonanych siłą i hegemonii. Po agresji niemieckiej na Polskę Roosevelt stwierdził, że „nawet od kogoś kto jest neutralny nie można wymagać aby zamknął oczy i uciszył swe sumienie”. Używając nadal sloganów antywojennych i obiecując że Ameryka nie wejdzie do wojny, Roosevelt przemyczał nowe hasła i systematycznie urabiał opinię publiczną. Znajdował też sposoby na obchodzenie ustaw neutralnych, aby pomóc Anglii. Nic dziwnego, że wrogowie oskarżają go później o okłamywanie społeczeństwa i wypychanie Stanów do wojny: Roosevelt *led the American people into war* powie republikanka Claire Luce. Nie można dokładnie przewidzieć jak rozwinęłaby się dalsza polityka USA gdyby nie atak japoński na Pearl Harbor w 1941 roku, ale nie był to tylko przypadek, że Ameryka weszła do wojny w wyniku wydarzeń pozaeuropejskich.

Jak powiedzieliśmy już na wstępie tego artykułu, problematyka europejska w ogóle, a zagadnienia naszego regionu szczególnie, traktowane były w okresie międzywojennym jedynie wycinkowo. Klucz do polityki amerykańskiej leżał w jej interesach globalnych, choć zbyt często zapominano w Waszyngtonie, że interesy globalne są sumą interesów lokalnych i że wielkie mocarstwo nie może sobie pozwolić na traktowanie jakichkolwiek spraw jako drobnych i obchodzących Amerykę tylko pośrednio. Ale te prawdy odkryto, i to nie w pełni, dopiero po Drugiej Wojnie Światowej.

Piotr WANDYCZ

Jan NOWAK

SPRAWA GENERAŁA BERLINGA

W dniu 28-go listopada 1956 roku *Le Monde* zamieścił następującą depeszę *Agence France Presse* z Warszawy:

„Kilka dni temu w Warszawie rozesłany został otwarty list podpisany przez gen. Berlinga wiceministra PGR, zaadresowany do Gomułki. Na pierwszy rzut oka list wydaje się stanowić jeden z elementów jakiejś mętnej polemiki między dwoma ludźmi. Jednakże w otoczeniu Gomułki twierdzi się, że za niezadowolonym generałem ukrywają się polscy staliniści”.

Z tym samym komentarzem list Berlinga dotarł wówczas do moich rąk za pośrednictwem jednego z korespondentów zachodnich, akredytowanych w Warszawie. Był to odbity na powielaczu egzemplarz w bardzo słabym tłumaczeniu na język angielski. Kolporterowi lub kolporterom zależało wyraźnie na tym, by wypowiedź Berlinga przedostała się do prasy zachodniej. Kopie w wersji angielskiej otrzymali — jak się później okazało — prawie wszyscy dziennikarze zagraniczni i placówki dyplomatyczne. Jedynym wszakże echem listu była przytoczona powyżej depesza francuskiej agencji prasowej.

Oto pełny tekst w przekładzie z angielskiego na polski.

LIST BERLINGA DO GOMUŁKI

z dn. 20. XI. 1956

Drogi Towarzyszu Sekretarzu!

Dziś dopiero otrzymałem dokładny tekst Waszego oświadczenia złożonego 29-go października w odpowiedzi na pytanie postawione Wam w rezolucji na studenckim wiecu na Politechnice. Nie mogę pozostawić go bez odpowiedzi.

Przed wszystkim muszę stwierdzić, że jestem marksistą a jestem marksistą ponieważ w socjalizmie widzę wielkość Polski. Moje oddanie tej wielkiej sprawie udowodniłem w ciągu ubiegłych 14 lat zarówno w słowach jak i w czynach. I nikt nie może i nie ma prawa twierdzić, że kiedykolwiek zauważył najmniejsze wahanie z mojej strony.

Warunki, w jakich pracowałem, wymagały ode mnie bardzo często wielkiego poświęcenia. Zaciskałem zęby i trzymałem się mocno ponieważ celem była wielka sprawa. W nagrodę za to ja, generał Polski Ludowej, który oddał jej wiele usług, potraktowany zostałem, jak przysłowiowy murzyn, jak obywatel drugiej klasy, którego pozbawiono jego praw a uczyniono to za zgodą i wiedzą Biura Politycznego Partii. Ograbiono mnie nawet z dorobku, który zdobyłem jako żołnierz. Nawet z historii Pierwszej Dywizji moje imię zostało starannie wymazane. W nagrodę za to wszystko — kiedy wydawało się, że prawda zwyciężyła — z Waszych własnych ust padły słowa, które głęboko mnie zabolowały. Jestem takim samym jak Wy, Towarzyszu Sekretarzu, fanatycznym wyznawcą zasady sprawiedliwości i prawdy i piszę do Was w imię tych zasad. Mam prawo domagać się i domagam się, aby te rzeczy, które rzucają cień na moje dobre imię i które zostały przez Was wypowiedziane zostały sprostowane. Jestem głęboko przekonany, że zostaliście wprowadzeni w błąd przez innych. Wiem, że w Waszym otoczeniu są ludzie, którzy usiłują kontynuować swoją ciemną przeszłość w obecnej chwili, którzy szukają i nadal szukać będą usprawiedliwienia swojej poprzedniej działalności i uczynków, między innymi sposobu, w jaki potraktowali moją osobę. Są to ludzie, których główną bronią są kłamstwa, oszczerstwo i oszukaństwo. Są to mali, zaślepieni ludzie, którzy nie potrafią wznieść się ponad osobiste animozje. To oni ponoszą winę. Tylko w ten sposób mogę wytłumaczyć sobie Wasze stanowisko, tylko takie wyjaśnienie pozwala mi pisać do Was.

Przechodzę teraz do istoty sprawy.

By postawić rzeczy jasno zacytuję dosłownie pytania wysunięte przez studentów oraz Wasze odpowiedzi. — Na każde z nich udzielę z kolei mojej odpowiedzi.

Pytanie: żądamy wyjaśnienia sprawy aresztowania generała Berlinga, który chciał przyjść z pomocą powstańcom w czasie Powstania w 1944 roku.

Wasza odpowiedź:

„Chciałbym bardzo wiedzieć, kto wam podsunął takie pytanie i chciałbym w tej sprawie porozmawiać z nim osobiście”.

(Tysiące ludzi stawia to pytanie).

„Po pierwsze wiem, że Berling nie był w 1944 roku aresztowany. To jest nieprawdą, że był aresztowany. Po drugie nie mogę udzielić odpowiedzi, dlaczego gen. Berling w 1944 roku znajdował się nie w Warszawie, ale w Związku Radzieckim. Nie mogę dać na to odpowiedzi ponieważ sam generał Berling nie życzyłby sobie tego. W każdym razie nie przedstawiłbym w korzystnym świetle osoby generała Berlinga”.

Moja odpowiedź: właśnie to zdanie, Towarzyszu Sekretarzu, które włożono w Wasze usta, głęboko mnie dotknęło. Nigdy nie uwierzę, że to jest Wasz pogląd i że ktoś w perfidny sposób nie nadużył Waszego zaufania.

Drugie pytanie: jak długo jeszcze generał Berling pozostanie w Ministerstwie PGR zamiast w Ministerstwie Obrony Narodowej?

Wasza odpowiedź:

„Nie wiem, wątpię raczej czy znajdzie się w Ministerstwie Obrony Narodowej. W tych sprawach, jak już przedtem wspomniałem, trzeba mieć trochę zaufania do rządu i do kierownictwa Partii, że jeśli robi pewne rzeczy to czyni to po starannym przemyśleniu zwłaszcza w dziedzinie wojskowej. Nie mamy wielu ludzi ze starej kadry w armii. Tam, gdzie istnieją jakieś możliwości staramy się je w pełni wykorzystać”.

Z kolei ja (Berling) wyjaśniam:

Prawdą jest, że nie zostałem aresztowany w 1944 roku w wyniku próby przyścia z pomocą Powstaniu Warszawskiemu, ale prawdą jest, że zostałem usunięty z dowództwa Pierwszej Armii i odesłany do Lublina, gdzie zacząłem pracę jako członek Polskiego Komitetu Wyzwolenia i członek Krajowej Rady Narodowej.

Nie wiem i nie mogę pojąć na czym opieracie, Towarzyszu Sekretarzu, Waszą opinię, dlaczego po 1944 roku przebywałem nie w Warszawie lecz w Związku Radzieckim i dlaczego wyrażiliście obawę, że moglibyście przedstawić mnie w niezbyt dobrym świetle. Uważam za swój obowiązek podziękować Wam za Waszą troskliwość o moje dobre imię, ale nie jest ona konieczna. Według Waszych słów prawda, którą się ukrywa, burzy się i wścieka, musi być więc wydobyta na światło dzienne. Wielka szkoda, że przed złożeniem Waszego oświadczenia nie zasięgnęliście mojej opinii w tej sprawie, tym bardziej że domagałem się rozmowy z Wami kilka razy od pierwszego dnia po VIII-ym Plenum. Niestety bez rezultatu.

Moje polityczne poglądy są Wam znane. Wyraziłem je publicznie na wiecu w Poznaniu. Z mojej strony chciałbym powiedzieć, że w całym moim życiu politycznym nie ma ani jednego

uczynku, którego nie chciałbym ujawnić i za który nie byłbym gotów przyjąć pełnej odpowiedzialności.

Nie mam tajemnic wobec społeczeństwa i jestem gotów ze wszystkich moich posunięć w pełni rozliczyć się przed społeczeństwem. Mam czyste sumienie. Zbliżam się teraz do istoty zagadnienia. Niestety będzie to raczej długi wywód ponieważ trzeba zacząć od Adama i Ewy.

Oczywiście historia powołania do życia Związku Patriotów nie jest Wam nieznana. Z pewnością znacie również genezę utworzenia naszej armii w Związku Radzieckim i wiecie, że pewna liczba osób w naszym środowisku w Moskwie przeciwna była w 1943 roku utworzeniu naszej Polskiej Armii, i że opozycja ta wspierana była przez czynniki wpływowe, które sięgały bardzo wysoko. Chciały one po prostu wprowadzić do Polski socjalizm na bagnietach armii radzieckiej. Niektóre z tych osób dziś nie żyją, ale inne przebywają w Polsce i zajmują wysokie stanowiska w aparacie partyjnym. Jak wiecie sprawa ta została rozstrzygnięta przez Stalina, który w czasie jednej z konferencji na Kremlu odpowiadając na wątpliwości jednego z członków Politbiura* powiedział w mojej obecności:

„Nie tak stoi sprawa — nasze zadanie to pomóc Polakom wypędzić Niemców. I tego razem z nimi dokonamy. A jak oni zechcą potem urządzić swój kraj to ich sprawa — nie nasza. Dlatego potrzebne im polskie wojsko. Wszystko czego żądamy — to mieć w nich wiernego sojusznika”.

Stanowcza odpowiedź Stalina, jego szczerza i stała troskliwość o potrzeby polskiej armii, jego niezwykle zainteresowanie losami rodzin żołnierzy, ile razy zwracałem się do niego w tych sprawach, jego osobista interwencja w sprawach dotyczących losu deportowanych z Polski, o czym opowiadała mi Wasilewska, wszystko to sprawiło, że nie znając tego, co ujawnił XX Zjazd — miałem do Stalina prawie bezgraniczne zaufanie i głęboko wierzyłem, że rzeczywiście pragnie dopomóc w odbudowaniu naszej wolnej Ojczyzny. Rozumiałem, że bez jego pomocy znajdziemy się w niebezpieczeństwie tragedii.

Usunięcie mnie z dowództwa I-ej Armii uważam za zwy-

* Członkiem Politbiura, który miał „wyrządzić wątpliwości” był W. Mołotow. Berling wymienia go po nazwisku w wywiadzie ogłoszonym w *Trybunie Opolskiej* (12. 10. 1973). W kołach zachodnich dyplomatów w Moskwie orientowano się, że Mołotow, który był wiernym echem głosu swego pana, w czasie rozmów Stalina z cudzoziemcami występował często w roli *advocatus diaboli*, co pozwalało ukazywać Stalina, jako bardziej ugodowego. Przykład Berlinga świadczy, że ten chwyt stosowany był skutecznie wobec bardziej naiwnych rozmówców.

cięstwo zabiegów przeciwników utworzenia polskiej armii. Wyśiłki te, jak wicie prawdopodobnie, nigdy nie ustały a między innymi miały one na celu usunięcie mnie z dowództwa Armii. Po moim przybyciu z przedmieść Warszawy do Lublina zastałem tam straszną sytuację. W całym kraju pachołkowie Berii z wojsk NKWD szerzyli spustoszenie. Sekundowały im w tym bez przeszkód kryminalne elementy z aparatu Radkiewicza. Ludność okradano z jej mienia w czasie legalnych i nielegalnych rewizji. Zupełnie niewinnych ludzi deportowano i wtrącano do więzień. Strzelano do ludzi, jak do psów. Dosłownie, nikt nie czuł się bezpieczny i nie znał dnia ani godziny. Naczelny prokurator wojskowy powiedział mi po powrocie z inspekcji, na którą wysłałem go do więzień Przemyśla, Zamościa i Lublina, że trzyma się tam ponad 12 tysięcy ludzi. Nikt nie wie jakie zarzuty im się stawia, przez kogo zostali aresztowani i co się z nimi zamierza uczynić. Prawdą jest, że był to okres ostrej walki o socjalizm. Prawda, że w owych czasach nie można było urzędować w rękawiczkach. Jednakże rządy bezprawia, zbrodni i prowokacji w kraju przekraczały wszelkie granice. Cierpienia ludzkie były takie, że nie można było tego znieść. Musiały one rewoltować każdego uczciwego człowieka bez względu na jego polityczne poglądy albo przynależność partyjną. Zebrałem materiał i przedstawiłem go na posiedzeniu PKWN. Zażądałem, by osoba odpowiedzialna została aresztowana i wysłana do więzienia. W kilka dni później zostałem zaproszony przez przewodniczącego Krajowej Rady Narodowej (Bieruta) i otrzymałem propozycję udania się ze stałą misją do Moskwy w zamian za co miałem otrzymać awans na generała dywizji. Zapytałem przewodniczącego, czy nie ma wstydu. Stanowczo odrzuciłem jego ofertę. Równocześnie stwierdziłem, że gotów jestem złożyć moją rezygnację. Wtedy właśnie doprowadzony do ostateczności, jak tonący człowiek chwytający się brzytwy wysłałem telegram do Stalina (to właśnie Waszym zdaniem miało mnie ukazać w złym świetle). Tekst miał brzmienie następujące:

„Błagam was, abyście ratowali Polskę dla Związku Radzieckiego z rąk bandy agentów i bandytów międzynarodowego trockizmu!”.

Miałem na myśli prawdziwych kryminalistów spod znaku Berii i naszych własnych beriowców wyszkolonych w Moskwie. Znać niewątpliwie ich nazwiska. W każdym razie są one powszechnie znane. Tylko poseł Drobner wiedział o wysłaniu telegramu i znał jego tekst. W kilka dni później otrzymałem depeszę wzywającą mnie do Stalina. Za zgodą moich przełożonych udałem się do Moskwy, gdzie wyjaśniono mi, że przez kilka

miesiący nie będę mógł powrócić do Polski. Otrzymałem propozycję odbycia studiów na Akademii Sztabu Generalnego.

Nie miałem wyboru, musiałem się zgodzić. Nikt nie wspominał ani słowem o telegramie wysłanym z Lublina. Nie zostałem dopuszczony do Stalina. Miesiące zamieniały się w lata. Starania moje były bezowocne. Pisałem do kraju, protestowałem i powoływałem się na moją nietykalność poselską. Pisałem do Stalina, lecz nie odnosiło to żadnego skutku. W tej sytuacji nie oszczędzono mi nawet prowokacji. Pewnego dnia prowokator Berii przybył do mego mieszkania i zaofiarował pomoc w imieniu rządu Jego Królewskiej Mości (Wielkiej Brytanii). Propozycja przedstawiona była w sposób atrakcyjny a prowokator powiedział mi, że przybył właśnie z Londynu. Wyrzuciłem go tak, jak na to zasługiwał. Człowiek ten żyje i pracuje w Warszawie. Często jeździ za granicę i to tylko uprzytomniło mi, że oferta jest prowokacją. Aparat Berii w Moskwie i w Warszawie działał sprawnie. Polska ambasada w Moskwie otrzymała instrukcje, by nie wydawać mi wizy. Formalnie biorąc nie byłem więc aresztowany, ale można to określić jako deportację. W końcu zamknąłem się w jednym z pokojów ambasady i oświadczyłem, że odmówię przyjęcia posiłków i nie opuszczę pokoju, dopóki nie otrzymam pozwolenia powrotu. Przez 3 dni nie przyjmowałem żadnego jedzenia. Po trzech dniach otrzymałem z Warszawy od jednego z członków Biura Politycznego telegraficzne zapewnienie, że sprawa zostanie załatwiona w ciągu dwóch tygodni. Oczywiście ta obietnica nie została dotrzymana, ale narastał skandal i w końcu po paru jeszcze miesiącach powróciłem do Polski. Naturalnie nie było dla mnie miejsca w Dowództwie Armii. Otrzymałem zadanie zorganizowania Akademii Sztabu Generalnego. Ale i tu także w tym okresie terroru Berii byłem niebezpiecznym człowiekiem, bo miałem wychowywać i szkolić dowódców armii. Usunięto mnie więc także stamtąd wiążąc mi ręce i nogi bez podania jakiegokolwiek powodu. Poszedłem do Ministerstwa PGR'ów. Przypuszczam, że tylko resztki wstydu i przyzwoitości nie pozwoliły mnie aresztować. Co prawda nie było po temu najmniejszych podstaw i zbyt wielu ludzi o tym wiedziało.

I teraz po tym wszystkim Wy, Towarzyszu Sekretarzu, po Waszym przemówieniu na VIII Plenum, po zadeklarowaniu, że krzywdy wyrządzone ludziom muszą być naprawione, po obwieszczeniu, że rozpoczęły się rządy oparte na praworządności, sprawiedliwości i prawdzie — uważacie, że nie ma dla mnie miejsca w Armii, która jest moim dzieckiem. Nie jestem w stanie tego pojąć i nikt nie zrozumie Waszych wątpliwości. Nawet bowiem

jeśli przyjmiemy że, Waszym zdaniem, popełniłem błąd (pytam) czy tylko komunistom mają być wybaczone zbrodnie przez nich popełnione a wszyscy inni mają cierpieć za swoje błędy aż do śmierci?

Czy nie jest to sprzeczne z poczuciem sprawiedliwości? A może istnieją dwa rodzaje sprawiedliwości? Żądacie dla Narodu kredytu zaufania a zaufanie nie rodzi się samo. Musi ono być na czymś oparte.

Proszę o przyjęcie etc.

(—) Zygmunt Berling, gen. dyw.

PS. Uważam, że zgodne będzie z zasadą praworządności, jeśli tekst tego listu przekazany zostanie do wiadomości tvch, którzy otrzymali Waszą odpowiedź na pytania postawione w rezolucji.



Tekst powyższy jest jedyną wersją okoliczności towarzyszących upadkowi Berlinga, która pochodzi od niego samego. W roku 1967 prasa krajowa podała, że wkrótce ma się ukazać pierwsza część pamiętników Berlinga licząca 300 stron maszynopisu i obejmująca lata od września 1939 do wyjścia armii Andersa z ZSSR. Skończyło się jednak na zapowiedzi. Warszawska *Kultura* ogłosiła w kwietniu 1967 pięć odcinków tych wspomnień, przerywając ich dalszy druk bez wyjaśnienia. W roku 1972 to samo pismo ogłosiło jeszcze 3 wybrane odcinki a 2 inne fragmenty zamieściło *Życie Literackie* w roku 1973. Selekcja rozdziałów udostępnionych prasie jest bardzo znamienna. Pierwszy odcinek przedstawia losy autora we wrześniu 1939 i urywa się w chwili wejścia armii czerwonej do Wilna. Drugi fragment przeskakuje okoliczności dostania się Berlinga do niewoli sowieckiej i pobyt w Starobielsku a zaczyna się dopiero jesienią 1940 roku, z chwilą przewiezienia Berlinga z sześciu innymi oficerami z obozu w Griazowcu do Moskwy na rozmowy z Merkułowem i Berią, i kończy na dramatycznej rozmowie z gen. Andersem po zawarciu układu Majski-Sikorski. W ten sposób pominięto wszystko, co wiązało się z likwidacją obozu w Starobielsku i z losami około 5 tysięcy jeńców wywiezionych podobnie jak z Kozielska wiosną 1940 roku w nieznanym wówczas kierunku.

Dalszy ciąg wspomnień ogłoszony był w wybranych odcinkach dopiero w pięć lat później w 1972 i 1973 roku. Opisane są w nich wybrane epizody poczynając od mianowania Berlinga przez Andersa komendantem bazy ewakuacyjnej w Krasnowodzku

nad Morzem Kaspijskim w lutym 1942 a kończąc na rozmowie z przedstawicielami NKWD pod koniec grudnia 1942 roku, w której Berling odmówił Rosjanom przerzucenia go do Polski. Dalszych wspomnień pisanych przez samego Berlinga już nie ogłoszono. Wyręczył go w tym dziennikarz Zdzisław Ciesiołkiewicz streszczając późniejsze losy Berlinga w wersji przyjętej przez cenzurę na łamach *Życia Literackiego* (23. 7. 1972) i doprowadzając je do chwili desantu oddziałów Dywizji Kościuszkowskiej na Czerniakowie w czasie Powstania 1944 roku. Propagandzista nie wspomina ani słowem o usunięciu Berlinga z dowództwa I-ej Armii i jego przyczynach. Incydent ten, który położył kres karierze Berlinga w służbie sowieckiej został przez Ciesiołkiewicza sfałszowany w sposób odpowiadający oficjalnej linii propagandowej. Tym sposobem pominięto z pamiętników Berlinga wszystko, co mogło rzucić choćby pośrednio światło na dwie zbrodnie sowieckie: Katyń i odmowę pomocy Powstaniu Warszawskiemu. Ponieważ pamiętniki nie ukazały się, wnosić należy, że sam Berling nie zgodził się na zmiany i opuszczenia, których żądała cenzura.

Znaczenie listu z 1956 roku polega na wyraźnym stwierdzeniu przez samego Berlinga, że przyczyną odwołania go do Lublina z linii frontu pod Warszawą była jego próba przyścia z pomocą Powstaniu Warszawskiemu.

Przedwojenna przeszłość Berlinga

Nie tylko list Gomułki, ale cały życiorys Zygmunta Berlinga ukazuje go jako człowieka o bardzo złożonym charakterze.

Berling urodził się w roku 1896 w Limanowej, jako syn miejscowego kierownika szkoły powszechnej.

Już jako wyrostek brał udział w Związku Strzeleckim. W roku 1914 znalazł się w Legionach. Najprzód służył w drugiej a od maja 1915 roku w trzeciej brygadzie. Wojnę polsko-bolszewicką przeżył w 4-tym Pułku Piechoty Legionów. Zdobył sobie ładnie zapisaną kartę żołnierską. Odznaczony został Krzyżem *Virtuti Militari* i czterokrotnie Krzyżem *Walecznych*.

Po wojnie, w roku 1925 ukończył Wyższą Szkołę Wojskową w stopniu majora z dobrą lokatą. W czasie wypadków majowych zaangażował się czynnie po stronie Piłsudskiego. W dalszych latach był najpierw szefem sztabu dywizji w Bydgoszczy pod generałem Thommé a następnie w randze podpułkownika mianowany był szefem sztabu DOK Kraków. Świetnie zapowiadająca się kariera wojskowa zakończyła się nieoczekiwanie tuż przed

wybuchem wojny w maju 1939 roku. W owym czasie Berling rozwiódł się z żoną i ożenił powtórnie z pewną Rumunką. Małżeństwo trwało zaledwie 3 miesiące i zakończyło się bliżej nieznanym skandalem obyczajowym. Reszty dopełniły konflikty z oficerami 4. p.p., którym Berling wówczas dowodził. Po dramatycznej rozmowie z ministrem Kasprzyckim przeniesiony został w stan spoczynku. W dniu 1 września 1939 roku mając zaledwie czterdzieści trzy lata miał objąć posadę w Państwowym Instytucie Rozrachunkowym w Warszawie.

W czasie kampanii wrześniowej Berling nie został zmobilizowany i nie otrzymał żadnego przydziału. Przebywał w Wilnie w chwili wkroczenia do miasta armii czerwonej. Dostał się do niewoli sowieckiej nie na polu bitwy, lecz w okolicznościach, które nie przynoszą mu chluby. Podczas, gdy inni oficerowie, którzy uniknęli aresztowania przechodzili do działalności w Podziemiu — Berling zgłosił się dobrowolnie do NKWD odpowiadając na wezwanie do rejestracji wszystkich oficerów służby czynnej i rezerwy. We wspomnieniach swoich twierdzi, że już wtedy po dłuższych kontemplacjach i walce wewnętrznej doszedł do przekonania, że droga do „Wolnej Polski” prowadzi przez nieunikniony konflikt między Niemcami a Rosją i związanie się z ZSSR.

Starobielsk i „Willa Rozkoszy”

Bezpośrednio po wojnie w czasie pracy w Sztabie Głównym w Londynie zetknąłem się z obszernym raportem pt. „Sprawa grupy Berlinga”. Dokument bez daty i bez podpisu opracowany był, jak z treści wynika, na Bliskim Wschodzie na użytek gen. Andersa i oparty na zeznaniach pensjonariuszy tak zwanej „Willi Rozkoszy” w Małachówce. Przedstawia on szczegółowo przebieg losów Berlinga w okresie, gdy był jeńcem sowieckim. W wielu szczegółach, jeśli idzie o daty i nazwiska, raport pokrywa się dokładnie z danymi przytoczonymi w tych fragmentach wspomnień „generała”, które ogłoszone zostały w prasie krajowej. Przebieg wydarzeń ustalony został na podstawie obu źródeł.

Berling wywieziony był z Wilna do obozu jeńców w Starobielsku, gdzie znaleźli się także jego przyszli współpracownicy i współlokatorzy z Małachówki. Według relacji samego Berlinga (*Życie Literackie*, 23. 7. 1972) w marcu 1940 roku w obozie starobielskim NKWD przeprowadziło coś w rodzaju plebiscytu. Każdy z jeńców miał odpowiedzieć na pytanie co zamierza robić po ewentualnym zwolnieniu. Uczestnikom ankiety przedstawiono

trzy możliwości: wyjazd na tereny okupowane przez Niemców, wyjazd do kraju neutralnego i pozostanie w ZSSR.

Jak twierdzi Berling spośród przeszło 5 tysięcy jeńców około połowa chciała być przeniesiona do niemieckich obozów jenieckich, reszta zaś żądała odesłania do krajów neutralnych wymienionych w ankiecie. Były to Węgry, Rumunia, Bułgaria i Turcja.

Według Berlinga zaledwie 64 jeńców w Starobielsku wyraziło w ankiecie życzenie pozostania w ZSSR by wziąć udział w przyszłej walce z Niemcami u boku Rosji. W świetle późniejszych wypadków i ta liczba wydaje się przesadzona.

Ankieta przeprowadzona była na krótko przed Katyniem. Bardzo możliwe, że jej wynik przyczynił się do decyzji masowego mordu polskich jeńców.

W czasie codziennego wywożenia jeńców ze Starobielska do nieznanego po dzień dzisiejszy miejsca kaźni wyczytano w dn. 25 kwietnia 1940 nazwiska 73 oficerów i podchorążych, których przewieziono do obozu Juchnowo. Znajdowała się tam już grupa 103 oficerów i podchorążych z gen. Wołkowickim na czele, przywieziona z obozu internowania w Kozielsku. W sumie obóz liczył 405 mieszkańców. Po dziś dzień nie wiadomo, jakimi kryteriami kierowało się NKWD w doborze tych, którzy uniknęli zagłady. Obok ludzi typu Berlinga i jego przyszłej grupy znaleźli się tam oficerowie, których postawa nie budziła cienia wątpliwości.

W czerwcu 1940 roku obóz w Juchnowie został zlikwidowany a jeńców przewieziono do Griazowca pod Wołogdą. Tu po raz pierwszy uformował się tzw. „Krasny Ugołok” złożony z dwóch oficerów rezerwy, przedwojennych członków KPP: ppor. Romana Imacha z Sosnowca i ppor. Stanisława Szczypiorskiego z Częstochowy, do których dołączyli kpt. Kazimierz Rosen Zawadzki, komisarz policji Łopaciński, por. Tadeusz Wicherkiewicz i kilku innych. „Krasny Ugołok” rozpoczął w obozie kurs wykładów marksizmu-leninizmu. Pojawiali się na nich od czasu do czasu Berling i Bukojemski. W tym samym czasie po raz pierwszy jeńcy spostrzegli, że Berling i kilku innych udawali się na częste i tajemnicze rozmowy do obozowych władz NKWD. Tak było do jesieni tegoż roku. Stosunki sowiecko-niemieckie uległy wówczas pogorszeniu w związku z zajęciem Rumunii przez Niemców w dniu 7. 10. 1940 roku. Prawdopodobnie właśnie wtedy władzom sowieckim zaczęły chodzić po głowie plany wobec Polski i ocalałych jeńców w razie wybuchu wojny między ZSSR a Trzecią Rzeszą. W trzy dni po zajęciu Rumunii, 10 października 1940, wywieziono z Griazowca do Moskwy grupę złożoną

z 7 oficerów. Byli to płk Künstler, płk Gorczyński, ppłk Berling, ppłk Morawski, ppłk Bukojemski, płk Tyszyński i mjr Lis.

Po przyjeździe w dn. 11. 10. 1942 na dworzec Białoruski, jeńców przewieziono w karetkie więziennej („suce”) do więzienia na Butyrkach i ulokowano w celi nr 94. Nie zastosowano jednak wobec nich zwykłych rygorów więziennych lecz jeszcze tego samego dnia zapraszano pojedynczo na rozmowy z dygnitarzami NKWD. Z najstarszym rangą pułkownikiem Künstlerem rozmawiał „kom-bryg” Rajchman. Z Gorczyńskim, Tyszyńskim i Berlingiem „narkom” Merkułow, z najmłodszym — Lisem — ppłk Jegorow. W rozmowach, które miały charakter uprzejmej pogawędki wyszło z miejsca sztydło z worka. Chodziło o wybadanie jaka byłaby reakcja oficerów, gdyby w wypadku wojny z Niemcami Rosjanie postanowili zorganizować na terytorium ZSSR własną jednostkę wojska polskiego.

Po powrocie do celi jeńcy wymienili swoje wrażenia. Okazało się, że tylko Künstler zareagował z miejsca ostro oświadczając Rajchmanowi, że podlega nadal rozkazom Naczelnego Wodza gen. Sikorskiego i że walkę z Niemcami gotów jest podjąć natychmiast po uzyskaniu wolności, ale tylko w szeregach Polskich Sił Zbrojnych. Współtowarzyszy płk Künstler ostrzegł, że służba w jednostce wojskowej utworzonej przez Rosjan bez zgody Rządu Polskiego byłaby pogwałceniem przysięgi żołnierskiej i zostałaby osądzona w przyszłości jako zdrada.

Rezultat nie dał na siebie długo czekać. Już na drugi dzień sześciu oficerów przewieziono na Łubiankę. Płk Künstler został wyeliminowany i pozostawiony na Butyrkach.

W więzieniu na Łubiance w dniu 13. 10. 1942 r. podjęto dalej rozmowy rozpoczęte w Butyrkach. Dołączył do nich tym razem sam Beria. Najczęściej dochodziło do spotkań Berii z Berlingiem. W rozmowach w cztery oczy Beria i Merkułow zasięgali opinii, który z generałów polskich więzionych w Moskwie powinien znaleźć się na czele przyszłej polskiej dywizji. Padały zapytania o Andersa, Borutę-Spiechowicza i Januszajtisa. Pułkowników Bukojemskiego, Gorczyńskiego, Tyszyńskiego i Berlinga — każdego z osobna — zapytał Beria, czy gotów byłby objąć dowództwo polskiej dywizji pancerniej *silnoj kak bronirowannyj kułak*, opartej na polskich tradycjach, wyposażonej w polskie mundury i godła. Zgodę wyraził tylko Berling i zakomunikował o tym trzem pozostałym. Od tego momentu Rosjanie wysunęli go na szefa grupy.

Rozmowy trwały w sumie dwa tygodnie i zakończyły się wspólną herbatką z zakąskami w gabinecie Berii. Nazajutrz w dniu 31. 10. 1940 sześciu oficerów przewieziono samocho-

dami do willi w miejscowości Małachówka, położonej przy szosie do Riazania, oddalonej o 40 km. od Moskwy. Willa otoczona była lasem sosnowym, ogrodzoną wysoką palisadą, obstawioną gęsto posterunkami strażników. Jeńcom towarzyszył płk NKWD Kondratik, który miał być od tej chwili ich opiekunem i łącznikiem z władzami NKWD. Wraz z Kondratikiem jako jego pomocnicy przybyli ppłk Jegorow i kpt. Iwanow.

Willa urządzona była luksusowo, wyposażona w głośniki i dobrze zaopatrzoną bibliotekę — wyżywienie było wykwintne, służba składała się z kucharza, dwóch przystojnych pokojówek i dozorczy. Po długim okresie spędzonym w obozach jenieckich i więzieniach wydała się lokatorom „willą rozkoszy”. I ta nazwa do niej przylgnęła.

W dniu wyjazdu do Małachówki ppłk Marian Morawski, jeszcze na Łubiance złożył Rosjanom dłuższy memoriał polityczny. Nie wiadomo, czy wywody uznane zostały przez adresatów za niepoważne, czy też nie podobała im się treść dość, że 5-go listopada Kondratik porozmawiał na osobności z Morawskim po czym zapytał pozostałych, kto solidaryzuje się z memoriałem. Nikt się nie zgłosił, więc samego tylko Morawskiego zabrano tegoż dnia na Butyrki, gdzie w celi nr 94 zastał Künstlera.

Z początkowej grupy 7 oficerów pozostało już tylko pięciu, przy czym, jak twierdzi w swych wspomnieniach sam Berling (warszawska *Kultura*, 30. 4. 1967), w burzliwych dyskusjach w Małachówce mjr Józef Lis wysunął od początku zastrzeżenia wobec projektu tworzenia polskiej jednostki wojskowej z pominięciem legalnych władz polskich. W tej sytuacji Berling i Bukojemski zażądali przez Kondratika (nie wiadomo czy dopiero w Małachówce, czy jeszcze na Łubiance) wzmocnienia ekipy przez sprowadzenie z Griazowca członków „Krasnego Ugołka” tj. ppłk. Dudzińskiego, kpt. Rosen-Zawadzkiego, por. Imacha i Wicherkiewicza, ppor. Szczypiorskiego i podchor. Kukulińskiego. Przywieziono ich do Małachówki w połowie listopada.

W miesiąc później 25. 12. 1940 r. liczba lokatorów znowu się powiększyła. Przywieziono w tym dniu z Łubianki trzech oficerów trzymanyh poprzednio w Kozielsku.

Grupa kozielska w liczbie 21 oficerów przywieziona została z obozu do Moskwy 11. 10. 1940 r. a więc w tym samym dniu co jeńcy z Griazowca. Z tej liczby 21 wybrano 11 i przewieziono ich następnego dnia na Łubiankę, gdzie umieszczono ich w celi nr 62. Byli to: gen. Przeździecki, ppłk Kończyc, mjr Gułakowski, mjr Steczkowski, mjr L. Ziobrowski, rtm. N. Łopianowski, rtm. A. Pruszyński, por. Tkacik, por. Szumigalski, por. Tomala, por. Siewierski. Rozmowy z wysokimi dygnita-

rzami NKWD trwały dłużej niż z grupą Berlinga i przyniosły jeszcze gorsze rezultaty. Nie tylko gen. Przeździecki od początku zajął wobec sowieckich sondaży stanowisko negatywne.

W dniu 24. 12. 1940 r. z celi zabrano: Przeździeckiego, Gudakowskiego, Steczkowskiego, Ziobrowskiego i Tomalę pozostawiając na miejscu tylko czterech — Łopianowskiego, Tkacika, Szumigalskiego i Siewierskiego. W tym samym dniu przewieziono z Małachówki Berlinga i Gorczyńskiego. Berling przemówił do czterech oficerów pozostawionych w celi nr 62 przy obiedzie przyniesionym z restauracji. Gorczyński milczał. Berling przedstawił możliwość utworzenia polskiej jednostki pod sowiecką komendą i wezwał obecnych do udziału w pracach przygotowawczych. Spotkał się od razu z ostrą odprawą Tkacika, który z miejsca wygarnął, co myśli o tej propozycji. Goście opuścili celę późnym wieczorem po długiej i dość ożywionej dyskusji.

Następnego ranka zabrano z celi por. Tkacika. Pozostałych trzech wywieziono do Małachówki.

Dobór oficerów wybranych z grupy kozielskiej zdaje się wskazywać, że Rosjanie nie chcieli ograniczać sondażu do oportunistów i przedwojennych komunistów, lecz postanowili objąć nim ludzi o walorach żołnierskich i patriotycznych. Rotmistrz Łopianowski tym się na przykład wyróżnił, że w dn. 22 września 1939 roku na czele swego szwadronu w boju pod Kodziowcami zniszczył 17 sowieckich czołgów i oddział piechoty.

Nowi przybysze z Łubianki zastali w Małachówce „kolektyw” z Berlingiem na czele i pułkownikami Gorczyńskim, Ty-szyńskim i Bukojemskim w charakterze jego pomocników. Po ich przybyciu Małachówka miała 15 lokatorów (płk Eustachy Gorczyński, ppłk Zygmunt Berling, ppłk Kazimierz Dudziński, ppłk Leon Tyszyński, płk Leon Bukojemski, mjr Józef Lis, kpt. Kazimierz Rosen-Zawadzki, rtm. Narcyz Łopianowski, por. Roman Imach, por. Tadeusz Wicherkiewicz, por. Michał Tomala, por. Włodzimierz Szumigalski, por. Janusz Siewierski, ppor. Stanisław Szczypiorski i podchor. Franciszek Kukuliński).

Berling i najbliższa mu grupa zajęta była w Małachówce tłumaczeniem regulaminów rosyjskich na użytek przyszłej dywizji, opracowywaniem schematów organizacyjnych i zapotrzebowań na kadrę. Obliczono, że obsada personalna wymagać będzie 500 oficerów i około 1.000 podoficerów. Na tej podstawie sporządzono listę imienną tych, którzy mieli być sprowadzeni do przyszłego rejonu organizacji dywizji. „W tej materii — pisze Berling — Kondratik nie chciał zabierać głosu”. Nic dziwnego. Większość tych, którzy figurowali na liście już od pół roku z kulą w tyle głowy — spoczywała w masowych grobach.

Prócz tych przygotowań podejmowane były w Małachówce próby indoktrynacji politycznej i nieustanne sondáže prowadzące do częstych konfliktów. Imach wykładał o dialektyce i materializmie, Dudziński o stalinowskiej konstytucji, Szczypiorski mówił na temat „Komuna paryska i Wielka Rewolucja” itd. „Dużą inteligentną pracę propagandową” — pisał później ppłk Tyszyński — „prowadził osobiście ppłk Berling wraz z grupą komunikującą... Do ścisłego sztabu należeli: Imach, Szczypiorski, Wicherkiwicz, Rosen-Zawadzki i Dudziński”.

Do pierwszego konfliktu między tym gronem a pozostałymi doszło, gdy na polecenie Berlinga zawieszono na ścianie mapę, na której figurowała wprawdzie okupowana przez Mussoliniego Abisynia a przez Niemców Norwegia, Francja, Belgia etc., ale znikła z niej Polska. Protestowali przeciw temu głośno mjr Lis i rtm. Łopianowski.

Sondáže prowadzone były przy pomocy częstych głosowań w łonie „kolektywu” zarządzanych przez Berlinga. Przeciwno zawieszeniu na ścianie portretu Lenina i Stalina głosowali Lis i Łopianowski. Kukuliński oddał białą kartkę. Gdy Łopianowski i Lis odmówili z kolei złożenia podpisów pod listem do *Nowych Horyzontów* — „grupy oficerów byłej Armii Polskiej” — obu odstawiono z powrotem z „Willi Rozkoszy” do celi Nr 94 na Butyrkach, gdzie znaleźli się w towarzystwie płk. Künstlera, płk. Morawskiego i por. Tkacika.

W dniu 1 maja pozostałych mieszkańców „Willi Rozkoszy” przewieziono do Moskwy, przebrano w wyfasowane, nowiutkie ubrania cywilne, rosyjskie kaszkiety i ustawiono na trybunie na Placu Czerwonym, skąd mogli oglądać defiladę wojskową przed Stalinem. W dn. 22 czerwca, jak bomba spadła na nich wiadomość o napaści Hitlera na ZSSR. W trzy dni później mieszkańców „Willi” przewieziono do Moskwy i umieszczono pod strażą w mieszkaniu przy Neapolimowskim Piereułku 11/12. Zdawało się, że wybiła godzina realizacji planów ujawnionych przez Berię i Merkułowa. Toteż niecierpliwość Berlinga rosła w miarę jak upływał dzień za dniem beczynnego czekania. W końcu Berling i jego „Krasny Ugołok” wystąpili z projektem zbiorowej prośby do władz sowieckich o „przyjęcie ich jako ochotników do Armii Czerwonej w randze szeregowców”.

Złożenia podpisów pod tym dokumentem, który był jawnym złamaniem przysięgi żołnierskiej odmówili: Gorceżyński, Siewierski, Tyszyński i Bukojemski. Podpisało ośmiu. Wszyscy otrzymali z miejsca sowieckie dowody tożsamości i prawo swobodnego poruszania się po mieście.

Tymczasem zamiast oczekiwanej nominacji na dowódcę for-

mującej się dywizji — Berlinga oczekiwał nie byle jaki zawód. Grupa oficerów wybranych z Głazowca i Kozielska była jakby próbką wziętą pod mikroskop przez Berię i Merkułowa. Ten próbny balon miał wykazać czy byłoby możliwe zorganizowanie polskiej jednostki wojskowej podlegającej bezpośrednio Sowietom a utworzonej z pominięciem Rządu Polskiego w Londynie. Próba wypadła negatywnie. NKWD mogło być przekonać się, że zorganizowanie w tym celu kadry oficerskiej z pozostałych przy życiu jeńców nie było możliwe inaczej, jak w porozumieniu z prawowitymi władzami polskimi w Londynie. W dwa lata później nie krępowano się wypełniając dywizję Berlinga polskimi komunistami w roli politruków a Rosjanami w charakterze zawodowych oficerów. W konstelacji politycznej, jaka powstała bezpośrednio po wybuchu wojny między III-cią Rzeszą a ZSSR, nie było to możliwe. Niepowodzenie Małachówki dopomogło niewątpliwie do zawarcia układu Majski-Sikorski.

Rokowania polsko-sowieckie rozpoczęły się dnia 5-go lipca 1941 roku. Układ podpisany 30 lipca zawierał postanowienie o utworzeniu na terenie ZSSR wojska polskiego podlegającego Naczelnemu Dowódcy Polskich Sił Zbrojnych. W dniu 14 sierpnia przybył do Moskwy szef Polskiej Misji Wojskowej — gen. Szyszko-Bohusz w celu podpisania umowy wojskowej. W tym samym dniu w mieszkaniu na Neapolimowskim Piereułku pojawił się płk Kondratik i zapytał, czy Berling i jego grono nie zechciałoby udać się na rozmowę z gen. Andersem, który jest właśnie w Moskwie i przebywa na wolności.

„Trudno opisać naszą radość i nasz entuzjazm — pisze dosłownie Berling w swych wspomnieniach — byliśmy szczęśliwi...”. ... „Wszyscy wyraziliśmy zgodę i po krótkiej naradzie postanowiono, że ma pojechać na rozmowę ppłk Dudziński i ja”.

Reszta niedoszłych ochotników do Armii Czerwonej udała się wprost do Polskiej Misji Wojskowej w hotelu „National”.

Przypuszczać należy, że w drodze do Andersa Berlingowi i Dudzińskiemu towarzyszyć musiały nie tyle „nieopisana radość i entuzjazm” ile uczucie głębokiego niepokoju i zawodu.

Generał Anders był już dokładnie poinformowany o wszystkim przez generałów Przeździeckiego i Wołkowickiego. W swoich wspomnieniach („Bez ostatniego rozdziału”) tej rozmowie gen. Anders poświęca 33 wiersze, Berling natomiast rozpisuje się o niej bardzo obszernie (Warszawska *Kultura*, 7. 5. 1967). Wysłuchawszy spokojnie opowiadania obu oficerów, gen. Anders wygarnął im z miejsca bez ogródek, co myśli o całym ich postępowaniu a w szczególności o samowolnym podjęciu się orga-

nizacji polskiej dywizji pod komendą sowiecką i o prośbie przyjęcia do Armii Czerwonej.

W ówczesnej sytuacji, na terytorium ZSSR, o wyciągnięciu jakichkolwiek konsekwencji i o ukaraniu Berlinga i jego współpracowników nie mogło być mowy. Być może gen. Anders wolał dać im okazję do rehabilitacji. W wiele lat po wojnie wystawił w swojej książce „Bez ostatniego rozdziału” pozytywną opinię ppłk. Kazimierzowi Dudzińskiemu podkreślając, że cała jego późniejsza służba i zachowanie się w okresie Jałty były bez zarzutu. Berling otrzymał wysokie stanowisko — został szefem sztabu 5-tej Dywizji pod dowództwem gen. Boruty-Spiechowicza. Poszedł jednak inną zupełnie drogą.

Z tego okresu — zakończonego wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej — jeden istotny szczegół, dotychczas nieznan, ujawnił Berling we wspomnieniach ogłoszonych po wojnie. Okazuje się, że już wiosną 1940 roku NKWD zaproponowało mu przerwienie do kraju w celu zorganizowania tam sieci szpiegowsko-dywersyjnej. Ofertę Berling wówczas przyjął, lecz z nieznanych powodów nie skorzystano z jego gotowości. Powrócono do niej dopiero w dwa lata później.

Po raz drugi po stronie wroga

Po kilku miesiącach pracy na stanowisku szefa sztabu 5-tej Dywizji Piechoty Berling popadł w konflikt z gen. Borutą-Spiechowiczem, który zakończył się siedmiodniowym aresztem domowym. Poufne kontakty Berlinga z sowieckim generałem Żukowem i NKWD nie były wówczas tajemnicą dla nikogo.

Gen. Anders proponuje mu przeniesienie na komendanta bazy ewakuacyjnej w Krasnowodzku. Ofertę Berling z miejsca przyjmuje. Funkcja komendanta bazy ewakuacyjnej w ówczesnej sytuacji miała znaczenie kluczowe dla losów 2-go Korpusu i deportowanej ludności polskiej. Sabotaż ze strony Berlinga mógł mieć skutki fatalne. Jednakże zarówno gen. Anders, jak i Berling wiedzieli zapewne co robią. Stalinowi zależało na jak najszybszym pozbyciu się wojska polskiego z terenu ZSSR, by stworzyć miejsce dla marionetkowej jednostki polskiej podlegającej już tylko jego rozkazom. Berling widział siebie na stanowisku przyszłego dowódcy. Jednemu i drugiemu zależało więc na tym, by ewakuacja miała przebieg sprawny i szybki. Gen. Anders prawdopodobnie rozumował, że Rosjanie nie będą przeszkadzali swojemu człowiekowi. Nie omylił się.

W wykonaniu swego niełatwego zadania Berling okazał duże zdolności organizacyjne i niepospolitą energię. W dniu 25-tym marca 1942 rozpoczęła się ewakuacja. W ciągu pierwszych 8 dni przez bazę w Krasnowodzku pod komendą Berlinga przybyło i odeszło do Iranu przeszło 40 tysięcy żołnierzy i ich rodzin. Przy ograniczonej przepustowości bazy był to nielada wyczyn. Świadkowie twierdzą, że Berling okazywał w tym czasie dość dużą troskę o ewakuowanie wraz z wojskiem ludności cywilnej.

W dniu 31-szym sierpnia 1942 roku ostatni oddział generała Andersa odpłynął z Krasnowodzka. Berling pozostał na miejscu i zniknął. Przedstawiając dalsze jego losy można polegać już tylko na strzępkach jego własnych wspomnień ogłoszonych w prasie krajowej.

Zamiast zameldować się — jak mu polecił Anders — w dniu 1-szym września 1942 roku w sztabie armii w Jangi Jul, udał się do Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych Republiki Turmeńskiej, Dawidowskiego i na jego ręce złożył po raz drugi w życiu podanie o przyjęcie do Armii Czerwonej z prośbą o wysłanie na front. Przeczynał zapewne, że spotka go zupełnie inna propozycja. Istotnie Dawidowski zakomunikował mu, że jest upoważniony, by skierować go do Moskwy. Zdawało się, że będzie tam bardziej potrzebny niż kiedykolwiek, i że nareszcie wybiła jego godzina.

Gdy jednak po siedmiu dniach jazdy koleją z kochanką i 3 oficerami dotarł w końcu na dworzec w Moskwie — nikt go tam nie oczekiwał. Z trudnością odszukał pułkownika NKWD Kondratika, z którym utrzymywał łączność w czasach Małachówki. Zaproponowano mu wystosowanie pisma do Merkułowa z zawiadomieniem, że przybył i jest gotów przystąpić do pracy. Partnerem Berlinga było więc nadal NKWD.

Piszząc do Merkułowa Berling załączył do listu memoriał wysłany jeszcze przed przyjazdem do Moskwy. Składał się on z siedmiu punktów o następującym brzmieniu:

- 1) Przystępujemy do pracy w całkowitej niezależności od rządu polskiego w Londynie, który przestał reprezentować interesy narodu polskiego.
- 2) Polska jest parlamentarną republiką, wolną i suwerenną, w której władza należy do ludu pracującego.
- 3) Polska demokratyczna pozostaje w trwałym, nierozrwalnym sojuszu i przyjaźni ze Związkiem Radzieckim.
- 4) Polska demokratyczna nie zgłasza pretensji do ziem zamieszkałych przez większość Ukraińską, Białoruską i Litewską oraz uznaje ich słuszne prawa do połączenia się ze swymi państwami.

5) Polska demokratyczna winna być uwolniona od trwającej od wieków grozy najazdów ze strony Niemiec.

W tym celu powinna być:

a) zlikwidowana na korzyść Polski enklawa Prus Wschodnich i Wolnego Miasta Gdańska,

b) powinny wrócić do Polski i znaleźć się w jej granicach stare piastowskie ziemie nad Nysą, Odrą i Bałtykiem.

6) Ostateczna decyzja o ustroju Polski należy do swobodnie wybranego sejmku.

7) U boku armii czerwonej stanie do walki z Niemcami wojsko polskie zorganizowane w Związku Radzieckim*.

Powyższy „program” nie zawierał nic oryginalnego. Był po prostu zbiorem stale powtarzanych tez propagandy sowieckiej. Siedem punktów Berlinga miało być dowodem, że jest on w pełni gotowy do realizowania zamiarów Stalina. Wiedział, że plan utworzenia jednostki wojska polskiego pod sowiecką komendą, zarzucony chwilowo po zawarciu paktu Sikorski-Majski, stał się z powrotem aktualny. Niewątpliwie decyzja zapadła już dawno w zamysłach Stalina. Nie obejmowała ona jednak bynajmniej kandydatury przyszłego dowódcy. Berling miał się o tym wkrótce przekonać osobiście.

Odpowiedzi od Merkułowa nie było. Berling i jego towarzysze zostali natomiast przeniesieni do niewielkiej dachy w Srebrnym Borze. Z nadejściem zimy, pobyt w nieopalanym domu okazał się niemożliwy i znowu nastąpiła przeprowadzka do tego samego mieszkania przy Neopolimowskim Piereułku, w którym Berling i towarzysze mieszkali już pod strażą po powrocie z Małachówki. Tym razem straży wprowadzić nie było, ale ze słów Kondratika lokatorzy Piereułka zorientowali się, że są izolowani i nie wolno im nawiązywać żadnych kontaktów z Polakami przebywającymi w Moskwie.

Miesiące mijały, a jedyna działalność polityczna Berlinga ograniczyła się do napisania pod dyktando, listu do *Nowych Widnokręgów*, krytykującego wyjście armii Andersa z ZSSR i domagającego się zorganizowania nowego wojska polskiego. Tego rodzaju listów wyrażających „wolę ludu” ukazywało się w *Nowych Widnokręgach* coraz więcej. Kondratik nalegał jednak, by list nie był podpisany prawdziwym nazwiskiem. Ukazał się więc z podpisem Stanisława Limanowicza. Pseudonim pochodził od miejsca urodzenia Berlinga.

Każde pojawienie się Kondratika budziło nadzieje, że może przynosić coś nowego i za każdym razem odwiedziny kończyły się

* *Warszawska Kultura* z 5 marca 1972.

rozczarowaniem. Dopiero pod koniec grudnia 1942 roku Kondratik przyjechał po Berlinga samochodem, który zatrzymał się przed bramą jednego z domów przy Placu Puszkina. I tu czekało Berlinga nie byle jakie zaskoczenie. Generał, który przedstawił się nazwiskiem Kuźniecowa i towarzyszący mu tajemniczy major zamiast zaofiarować mu stanowisko dowódcy przyszłej armii polskiej w ZSSR wysunęli zgoła inną propozycję.

Powrócono do oferty sprzed dwóch lat przerzucenia Berlinga do Polski. Tym razem propozycja została odnowiona „z upoważnienia i w imieniu tow. Stalina”. Berling miał wejść w skład zespołu przerzucanego do Polski w celu zorganizowania tam podziemnej organizacji wojskowej, podporządkowanej Moskwie. Rola i funkcja Berlinga w tym zespole nie zostały sprecyzowane.

Berling poprosił o godzinę czasu do namysłu i ... ofertę odrzucił. W roku 1940 — powiedział — sytuacja była inna. Dziś został ogłoszony przez gen. Andersa zdrajcą i dezterterem. Zanim zdołałby rozwinąć jakąś akcję, zostałby wykończony przez Armię Krajową. Równocześnie wysunął kontrpropozycję, z góry zapewne licząc się z tym, że nie zostanie przyjęta. Zgłosił mianowicie gotowość przerzutu do kraju najchętniej gdzieś w góry, gdzie mógłby zorganizować samodzielny oddział partyzancki i wszcząć akcję dywersyjno-wywiadowczą.

Zgodnie z jego przewidywaniem kontrpropozycja została z miejsca odrzucona.

— Do takiej roboty, jaką wy proponujecie, mamy ludzi pod dostatkiem.

Stalin najwyraźniej wolał wtedy mieć kogoś innego na czele polskiej dywizji w ZSSR.

Widocznie jednak nie miał innego wyboru. W nocy z 14-go na 15-ty lutego 1943 Berling wezwany został na Kreml i w kilkugodzinnej rozmowie ze Stalinem otrzymał wreszcie zadanie do którego tak dawno się szykował. Data rozmowy jest niezwykle znamienna. Sprawa Katynia wybuchła w dwa miesiące później, w dniu 13 kwietnia 1943. Moskwa zerwała stosunki dyplomatyczne z Rządem Polskim w dniu 25-tym kwietnia. Dopiero zaś 8-go maja agencja TASS podała wiadomość o utworzeniu Pierwszej Dywizji im. T. Kościuszki pod dowództwem Berlinga. Objął on swoje obowiązki już cztery dni wcześniej. Z rąk obcego mocarstwa przyjął równocześnie awans na generała. Z zestawienia dat wynika, że Stalin postanowił zerwać stosunki z Rządem Polskim już w pierwszej połowie lutego, czekał tylko na odpowiedni pretekst, by swój zamiar wprowadzić w życie. Kalendarz podboju Polski miał dokładnie ułożony.

Pozostaje jeszcze do wyjaśnienia najważniejszy bodaj epizod w działalności Berlinga: zarządzony przez niego desant na przyczółku czerniakowskim z wybrzeża praskiego w dniach dogorywania Powstania Warszawskiego.

Jak już wspomniano Berlinga nie dopuszczono do przedstawienia relacji z tych wypadków na łamach prasy krajowej. Uczynił to za niego Zdzisław Ciesiołkiewicz w artykule „Najkrótsza droga do Polski” (*Życie Literackie*, 23. 7. 1972).

Oddziały dywizji Berlinga zajęły Pragę natarciem z rejonu Międzylesia w dn. 14-tym września 1944 roku. W godzinach popołudniowych tego dnia 1-szy Pułk Piechoty dotarł do brzegu Wisły a 3-ci Pułk Piechoty osiągnął most kolejowy. Jeszcze tego samego dnia Berling wydał rozkaz gen. Galickiemu, by rozpoczął desant na Czerniakowie. Akcja desantowa rozpoczęła się o 2-giej nad ranem 15-go września pod osobistym nadzorem Berlinga.

Na Czerniakowie broniły się dosłownie resztkami sił oddziały AK złożone z zaprawionych w walce żołnierzy Kedywu pod dowództwem Radosława (ppłk Mazurkiewicza). Obrońcy przyczółka obliczali, że przy głodowych racjach żywności potrafią utrzymać się jeszcze najwyżej trzy dni, jeżeli uda im się zdobyć kanałami nieco amunicji od płk. Karola z Mokotowa. Bitwa o Pragę i pojawienie się oddziałów Berlinga widzianych gołym okiem po drugiej stronie rzeki obudziła determinację obrony do ostatniego naboju. Cała nadzieja dla Warszawy leżała w utrzymaniu Czerniakowa i umożliwieniu desantu.

Od strony Armii Krajowej wszystkie fakty znane są z relacji kpt. Jerzego Białousa, dowódcy I-go Batalionu Zgrupowania „Radosław”.

Powstańcy nawiązują kontakt z Pragę. Drużyna „Czaty” przepływa Wisłę pod ogniem nieprzyjaciela. Wczesnym rankiem 15-go września lądują na Czerniakowie oddziały armii Berlinga pod komendą mjr. Łatyszonka. Składają się one z plutonu fizylierów uzbrojonego w ckm-y, jednego plutonu sztabu i zwiadu dywizji w składzie nieco większym niż pluton. W ciągu następnej nocy z 15-go na 16-go ląduje część kompanii moździerzy z 4-ma moździerzami a prócz tego kilkudziesięciu żołnierzy i 2 działka przeciwpancerne. Na tym kończy się desant. Zapowiadane zrzuć żywności i broni nie następują. Przybycie Berlingowców pogarsza jeszcze bardziej sytuację żywnościową.

W dniu 18-tym września Radosław stawia ультиматywne żądanie, by najpóźniej 19-go września nastąpiło lądowanie dalszych

oddziałów. W nocy z 19-go na 20-ty września, gdy nie doszło do dalszego lądowania, Radosław zarządza ewakuację Czerniakowa kanałami na Mokotów. Sam Radosław wycofuje się rannym 20-go. Na miejscu pozostaje jeszcze kpt. Białous i mjr Łatyszonek z Berlingowcami.

Tymczasem Niemcy równie dobrze zdają sobie sprawę z konieczności szybkiego zlikwidowania przyczółka czerniakowskiego. Przedmoście dosłownie miażdżone jest ogniem artylerii, karabinów maszynowych i granatników. Mały skrawek miasta nad Wisłą zamienia się w dantejskie piekło. Pozostaje już tylko jedna droga odwrotu — przeprawienie niedobitków na Pragę. Potrzebne są do tego pontony i osłona ognia artyleryjskiego.

Według relacji kpt. Białousa późnym popołudniem 23-go września dochodzi do dramatycznej rozmowy telefonicznej między nim a Berlingiem. Oto fragment relacji:

„Mówię, że mjr Łatyszonek przedstawił panu generałowi naszą sytuację. Jest ona naprawdę tragiczna. Jeżeli dzisiejszej nocy nie nastąpi ewakuacja — los nasz zostanie przesądzony. Dom, w którym siedzimy płonie i dalsza walka z pożarem jest już beznadziejna”.

Berling mówi głosem wyraźnie wzruszonym:

— „Zapewniam pana kapitana, że los wasz leży mi na sercu. Dostaniecie 100 pontonów, to wam powinno wystarczyć”.

— „Ciągłe przesuwanie terminu — odpowiadam — budzi wielki niepokój”.

— „Niech mi pan wierzy, że osobiście dopilnuję aby wszystko było dobrze”.

— „To mi wystarczy, dziękuję”.

Obiecane pontony nie przybyły. Operacja desantowa była samowolną akcją podjętą przez Berlinga. Niechcący pokazała, że odsiecz przy pomocy frontalnego desantu z Pragi leżała w granicach operacyjnych możliwości.

Nie jest znany dokładny dzień i godzina usunięcia Berlinga z jego stanowiska. Wiadomo tylko, że ok. 2-giej po północy 24-go września dopłynął wpław do Czerniakowa oficer I-szej Dywizji, który oświadczył, że nastąpiła zmiana rozkazu: nie będzie pontonów — natomiast dostarczane będą Powstańcom po 15 łódek saperskich każdej nocy, aż do całkowitej ewakuacji.

Meldunek zakrawał na drwinę.

Były żołnierz armii Berlinga, Benjamin Weil, ogłosił list do redakcji w piśmie *Nowiny Kurier*, ukazującym się w Tel-Awivie

(11. 7. 1972). Opisuje w nim co zaszło w kwaterze sztabu I-szej Dywizji przy ul. Kawęczyńskiej na Pradze:

„Po 2-ch dniach do Berlinga przyjechał osobiście Rokossowski i zaczął do niego krzyczeć:

— *Czto ty... dielajesz? Prikaz Stalina naruszył!*

Berling odpowiedział:

— *Wied' naszymy bracia Polaki...*

Rokossowski:

— *Mać t... z Polakami! Prikaz Stalina światoj zakon!*

Na tym zakończyła się pomoc dla Powstańców”.

Dziwny obraz człowieka daje zestawienie tych wszystkich faktów. Nieokiełznana ambicja i doznany tuż przed wybuchem wojny zawód życiowy pchnęły Berlinga na drogę zdrady. Nie widział dla siebie odwrotu, brnął dalej i zaszedł na tej drodze daleko i wysoko.

Polityczna i ideologiczna motywacja jego postępowania, przedstawiona w 30 lat po wydarzeniach, nie budzi zaufania. Wątpliwości budzić musi zwłaszcza jego rzekome „bezgraniczne zaufanie” do Stalina jako zbawcy „wolnej Polski”. Berling za dużo wiedział i widział, aby można było wierzyć w jego bezgraniczną naiwność. Całym postępowaniem zasłużył sobie na miano zdrajcy. A jednak w chwili, kiedy poprzez Wisłę ukazała się przed nim Warszawa jako jeden wielki słup ognia i dymu — gdzieś na dnie duszy tego człowieka odezwała się nuta uczucia dla ginącej Stolicy, któremu nie umiał się oprzeć.

Jan NOWAK

Ź R Ó D Ł A :

Sprawa Berlinga — Opracowanie II-go Oddziału Sztabu APW.

Zygmunt Berling: „Wspomnienia” — *Warszawska Kultura*: 16. 4; 23. 4; 30. 4; 21. 5. 1967. 5. 3; 12. 3; 19. 3. 1972.

„Anders wychodzi z armią do Iranu” — *Życie Literackie*, 23. 7 - 7. 10. 1973.

Zdzisław Ciesiołkiewicz: „Rozmowa z gen. broni Zygmuntem Berlingiem” — *Trybuna Opolska*, 12. 10. 1973.

Życiorys Berlinga: Dział studiów R.W.E.

Ryszard Białous (ps. „Jerzy”): *Czerniaków*. Relacja (maszynopis) odczytana na wieczorze 'Oskarżam' w drugą rocznicę Powstania Warszawskiego 1 sierpnia 1946 roku. Cytowany z niej ustęp nie został powtórzony w wydanej później drukiem broszurze „Walka w poźodze”.

WSPOMNIENIA

Bogusław MIEDZIŃSKI

WSPOMNIENIA

(dokończenie)

W ciągu ostatnich tygodni, poprzedzających mój wyjazd na wschód, odbyłem szereg rozmów „pożegnalnych”, chcąc zorientować się jak najlepiej w sytuacji bieżącej oraz zapoznać się ze zdaniem ludzi, do których opinii przywiązywałem wagę. Z tych rozmów dwie pozostały mi szczególnie w pamięci. Jedna, była to rozmowa z Kunowskim, członkiem Tymczasowej Rady Stanu, należącym dawniej do P.P.S., w ostatnich latach zaś biorącym udział w pracy politycznej obozu niepodległościowego. Popierał on ruch strzelecki, a następnie Legiony; miał największe uznanie dla Piłsudskiego i uważaliśmy go bezwarunkowo za jednego ze swoich. Wkrótce po marcowej rewolucji rosyjskiej, Kunowski zdołał uzyskać pod takim, czy innym pretekstem, pozwolenie na wyjazd do Sztokholmu, prawdziwym celem którego to wyjazdu było nawiązanie łączności z polskim obozem niepodległościowym po rosyjskiej stronie frontu. To mu się udało; do Sztokholmu przybyli przedstawiciele P.P.S., inteligencji demokratycznej oraz P.O.W. z tamtej strony frontu. Przed wyjazdem Kunowski odbył dłuższą rozmowę z Piłsudskim, który przekazał mu swoje instrukcje dla P.O.W., wypowiadając się za udzieleniem poparcia w tworzeniu oddziałów wojska polskiego wyodrębnionego z armii rosyjskiej. Piłsudski polecał P.O.W. wzięcie udziału w tym ruchu, przedstawił też Kunowskiemu swoje przewidywania co do dalszego rozwoju wypadków włącznie z klęską wojenną państw

centralnych. Kunowski jednak rozmawiał nie tylko z Piłsudskim, ale i ze swymi kolegami z Tymczasowej Rady Stanu, aktywistami, zaś po wyjeździe z Warszawy zatrzymał się w Krakowie dla rozmów z członkami N.K.N., w szczególności z Ignacym Daszyńskim. Byliśmy jednak przekonani, że zdanie Józefa Piłsudskiego było dla niego decydujące. Toteż z niepokojem otrzymywaliśmy później wiadomości ze wschodu, świadczące jak gdyby, że tamtejszy obóz niepodległościowy i P.O.W. nie bierze udziału w tworzeniu wojska polskiego, a nawet jak gdyby przeciwstawia się tej akcji. Przyjmowaliśmy te wiadomości z największym zdziwieniem, nie tylko dlatego że — jak nam się zdawało — sama wymowa faktu uwięzienia Piłsudskiego i Sosnkowskiego powinna była wystarczyć, ale i dlatego, że wiedzieliśmy o wyraźnych instrukcjach wydanych przez Komendanta.

Rozmowa z Kunowskim, który był już wówczas poważnie chory, stała się dla mnie rewelacją; gdy bowiem wspomniałem mu o moich lubelskich rozmowach z Komendantem Kunowski zakwestionował najbardziej zasadnicze przewidywania Komendanta, powołując się na opinie innych polityków między innymi, Daszyńskiego. Z przebiegu tej rozmowy wynioskowałem niewątpliwie, że Kunowski należy do tych, którzy mając ogromną cześć dla Piłsudskiego jako świetnego organizatora i dowódcy wojskowego, stawia jednak wyżej parlamentarzystów i polityków galicyjskich, jeśli chodzi o zagadnienia polityczne, w których zdaniem jego mają oni większe doświadczenie i wyrobienie niż Piłsudski. W szczególności jasne było, że autorytet Daszyńskiego w sprawach politycznych jest dla Kunowskiego górujący. Wobec tego zapytałem Kunowskiego wyraźnie o przebieg jego rozmów w Sztokholmie i stwierdziłem, że dał on tam wyraz przewidywaniom i opiniom nie Piłsudskiego, lecz Daszyńskiego, ponieważ te były dla niego bardziej przekonujące, wydawały mu się realniejsze i pokrywały się z jego własnym przekonaniem. Z grubsza biorąc, uważał on tzw. austro-polskie rozwiązanie za najprawdopodobniejszy wynik wojny.

Rozmowa ta zaniepokoiła mnie niezmiernie. Wkrótce potem, gdy znalazłem się w Kijowie, przekonałem się że owe rozmowy sztokholmskie leżały w podłożu ogromnych trudności, jakie napotkałem w moim usiłowaniu należytego nastawienia P.O.W. po tamtej stronie frontu.

Zastrzec się muszę, że daleki jestem od zarzucania Kunowskiemu złej woli w najmniejszym choćby stopniu. Błąd który popełniał, widząc w Piłsudskim tylko znakomitego wodza Legionów, wskrzesiciela wojskowych tradycji polskich i utalentowane-

go dowódcę, nie doceniając zaś jego talentu politycznego — był błędem dość powszechnym wśród polityków naszego obozu. Miał on też sporadyczny tylko kontakt osobisty z Piłsudskim, nie był związany ani dyscypliną wojskową w stosunku do niego, ani też nie miał możliwości, tak jak wielu z nas, całkowitego podpadnięcia pod wpływ jego potężnego autorytetu. Traktował swą rozmowę z Piłsudskim jako jedną z wielu rozmów z wybitnymi ludźmi, mających mu pomóc w skryształowaniu jego własnej opinii. Opinię tę podał następnie w swoich rozmowach sztokholmskich, nie licząc się z tym, że przez wysłańców P.O.W. mogła być ona rozumiana jako opinia Piłsudskiego. Był to człowiek prawy i rzetelny, który na pewno nie chciał nikogo rozmyślnie w błąd wprowadzić.

Nie mogłem rozmawiać z nim tak długo jakbym chciał, ani rozpytywać o szczegóły, widziałem bowiem z zachowania się jego otoczenia, że rozmowa dłuższa przy jego stanie zdrowia jest niedopuszczalna, tym bardziej, że i jego wyraźnie poruszyła i zaniepokoiła.

Drugą, nadspodziewanie interesującą rozmowę, miałem z Jodką-Narkiewiczem. Był to jeden z najwybitniejszych i najstarszych przywódców P.P.S.; człowiek o niepospolitej inteligencji, dużej wiedzy w zakresie zagadnień społecznych i ekonomicznych. Indywidualność niezmiernie interesująca. Znany był powszechnie w sferach P.P.S. i lewicy niepodległościowej pod pseudonimem Jowisz. Jego ciekawa głowa okolona ciemną brodą, z ciemno-kasztanowatym odcieniem, przypominała istotnie uderzająco głowę Jowisza ze starych rzeźb greckich. Pochodził z rodziny ziemiańskiej, zawsze nosił na palcu piękny sygnet szlachecki, ubierał się zawsze bardzo starannie chociaż w stylu trochę późno-wiktoriańskim, lub wczesno-edwardiańskim, nosząc zawsze białą, pikową kamizelkę i starannie dobrane krawaty. Będąc weteranem ruchu socjalistycznego, miał jednak zawsze liczne koneksje sięgające daleko do obozu prawicowego, oparte na koneksjach rodzinnych. Dużo pisał w prasie partyjnej we Lwowie i w Krakowie, w latach przedwojennych miewał częste wykłady publiczne na temat marksizmu i materialistycznego pojmowania dziejów. Popierał na ogół działania Piłsudskiego, nie angażując się jednak osobiście w robotę strzelecką. Krążyły o nim anegdotyczne opowieści; powtarzano historię o znacznych kapitałach, bądź kilkakrotnych spadkach po zamożnych ciotkach czy stryjenkach. Dzielił on rzekomo sprawiedliwie spadające na niego fundusze, oddając połowę na cele partyjne, resztę zaś zużywając na swoje wydatki osobiste, dalekie od przeciętnej stopy życiowej proletariusza. My, młodzież, znaliśmy go oczywiście dobrze; czytaliśmy jego artykuły

i słuchaliśmy jego wykładów, wiedzieliśmy o jego twórczym i kierowniczym udziale w P.P.S., ale nie mieliśmy z nim nigdy żadnego kontaktu osobistego. Nie należał on do tych, którzy kontaktu z młodzieżą szukali. Trzymał się raczej osobno w niewielkim kółku partyjnej starszyny; poza tym miał swoje koneksje towarzyskie z partią nie mające nic wspólnego i o stosunki z nim już nie tylko poufałe, lecz zażyłe nie było łatwo. W okresie wojennym miałem możność kilkakrotnie zauważyć, że Komendant traktuje go wprawdzie z większym zaufaniem niż wielu innych cywilnych polityków, lecz nie należy on jednak do grona najbliższych i całkowicie oddanych jego współpracowników. Jodko stał jak gdyby zawsze nieco z boku, chociaż wysoko, w niepisanej hierarchii naszego obozu. Gdy po uwięzieniu Komendanta i Sosnkowskiego układaliśmy listę Konwentu, nie uszło też mojej uwagi, że Jędrzej Moraczewski pominął go, wybierając przedstawicieli P.P.S., chociaż ja wspominałem tentatywnie jego nazwisko. Opinie członków Konwentu znałem oczywiście dobrze, ale miałem nieodpartą ochotę zapoznać się z poglądami Jodki, do którego inteligencji i doświadczenia politycznego przywiązywałem dużą wagę. A więc, mimo że nigdy nas nie łączyły bliższe stosunki towarzyskie, lecz tylko wieloletnia znajomość, poszedłem go odwiedzić któregoś wieczora. Gdy zastukałem do drzwi, zastałem go już w płaszczu i kapeluszu wyraźnie wybierającego się na miasto. Powiedziałem mu o moim bliskim wyjeździe, co go najwidoczniej dość zainteresowało i usprawiedliwiwszy się, że nie może mnie ugościć w swym kawalerskim gospodarstwie, zaprosił mnie na kolację do restauracji. Poszliśmy więc, o ile pamiętam, do Udziałowej, gdzie jednak trudno było mówić swobodnie wobec zbyt licznej i blisko siedzącej publiczności. Pewne szczegóły rozmowy wzbudziły jednak dalsze zainteresowanie u Jodki, który zaproponował mi abyśmy wrócili na czarną kawę do jego mieszkania, gdzie będziemy mogli mówić swobodnie. Tam, obok masy czarnej kawy, ukazała się na stole butelczyna koniaku, w miarę opróżniania której Jodko ożywił się znacznie i przeszedł od rozpytywania się mnie o zamierzoną wyprawę, do wypowiadania swoich własnych poglądów, na czym mi tak bardzo zależało.

Nie uważałem oczywiście za potrzebne tać przed Jodką moich ostatnich rozmów z Komendantem przed jego uwięzieniem, prosiłem go jednak, aby powiedział mi swoje poglądy na rozwój sytuacji wojennej i politycznej, wiedząc że Jodko ma rozmaite źródła informacyjne zarówno w obozie aktywistycznym, jak narodowo-demokratycznym i że czyta prasę berlińską, wiedeńską, a nawet szwajcarską, której stopy leżały na biurku i na fotelach w pokoju. Jodko powiedział mi najpierw, pół żartem — pół

serio, że dziwi się mojej ciekawości, bo skoro otrzymałem instrukcje od Komendanta, to przecież nic innego nie powinno mnie obchodzić. Odpowiedziałem mu na to, że nie należę do typu bałwochwalców i mój stosunek do Komendanta nie wypływa bynajmniej z tego, abym go uważał za Pana Boga, który wie wszystko co jest i co będzie; że zawsze buntowałem się przeciwko wszelkiego rodzaju autorytetom, ale z moich młodocianych doświadczeń liczących sobie niepełny lat dziesiątek, wynikało przekonanie, że Piłsudski jest mądrzejszy ode mnie i dlatego zdecydowałem się iść raczej za jego zdaniem niż za swoim własnym. To nie przeszkadza mi jednak w szukaniu z ciekawością zdania innych ludzi, których za mądrych uważam. Wcale nie wykluczam, że Piłsudski może się od czasu do czasu mylić; uważam jednak, że prawdopodobieństwo jego omyłki jest bez porównania mniejsze niż moje własne i mniejsze również niż wszystkich znanych mi polskich polityków. Wytworzyło się też we mnie wbrew najgłębszym cechom mego buntowniczego charakteru, coś w rodzaju żołnierskiego przywiązania i sentymentu do Komendanta, dzięki czemu gotów jestem dzielić z nim nie tylko dobrą, ale i złą dolę, nie tylko zwycięstwa, ale i klęski; a co więcej iść za nim nie tylko kiedy widzę jego rację, ale i wtedy kiedy obawiam się jego błędów. To znowu zaciekawiło Jodkę.

„Jest pewnie ze dwadzieścia pięć, albo trzydzieści lat różnicy między nami”, powiedział, „i Wy zetknęliście się z Piłsudskim dopiero wtedy, kiedy miał już aureolę legendy koło swej głowy. Ja zaś znam go i pracowałem z nim, kiedyście jeszcze koszulę w zębach nosili i kiedy był on jednym z nas i wcale nie było z góry powiedziane, że musimy się z jego zdaniem koniecznie liczyć. Ja osobiście nie uważałem się nigdy za głupiego, przeciwnie, to co mam karku wcale sobie cenię, jako zupełnie dobry instrument. Nie tak to dawne czasy, kiedy w partii mój głos wcale nie ważył mniej, niż głos Ziuka i nie miałem bynajmniej w stosunku do niego tego poczucia podwładności, które musiało grać rolę u was, młodych, którzy zetknęliście się z nim dopiero w Z.W.C. i Strzelcu, gdy stał on już wysoko nad wami i otoczony był legendą. Ale pamiętajcie, że ja o tyle starszy od was, że mógłbym być waszym ojcem i starszy wiekiem od Ziuka, zetknąłem się z nim wówczas gdy był on tylko po prostu obiecującym młodzieńcem, cenionym nie tyle ze względu na intelekt, ile śmiałość i energię. Było to lat temu dwadzieścia kilka. Całe lata spędzaliśmy razem, nie tylko w pracy, ale i w życiu prywatnym. Bywało, że mieszkaliśmy w jednym pokoju. Francuzi mówią, że nikt nie jest wielki w oczach swych domowników, a jednak właśnie — czy też pomimo — tego bliskiego kontaktu,

w pantoflach i w szlafroku, mój pogląd na niego jest bardzo bliski tego, co Wy mówicie. Użyliście przed chwilą, mówiąc o Ziuku, wyrażenia, że jest to człowiek niezwykle. Otóż to właśnie. Po dwudziestu latach jest on dla mnie ciągle zagadką. Znam doskonale środowisko z którego wyszedł — kresowe ziemiaństwo. Nie jest on do nich w niczym podobny, oprócz jednej może cechy strasznego uporu; ale jest to raczej kwestia jego krwi litewskiej, niż środowiska. Jego upór nie ma nic w sobie z tego głupawego nieraz dziwactwa naszych typów kresowych. Niezwykły, powiadacie. Znam mnóstwo ludzi w Polsce od wysokiej szlachty do robotników i parobków. Na ogół można łatwo podzielić ludzi na kilka zasadniczych kategorii z drobnymi odmianami, ale Ziuk do żadnej z tych kategorii nie pasuje. Przede wszystkim jego metoda myślenia jest całkowicie odrębna; zastanawiająco, irytująco, odrębna. Zdawałoby się, że ludzie rozumni, jeśli naprawdę zajmą się danym zagadnieniem i rozporządzając jednakowymi elementami do wnioskowania powinni dochodzić do tych samych lub zbliżonych wyników, ale w moim doświadczeniu z Ziukiem natykałem się raz po raz na to, że moje i jego myślenie w tych samych sprawach, przy tej samej znajomości stanu faktycznego, doprowadzało nas do wręcz przeciwnych wniosków; było to po prostu zdumiewające; byłem niejednokrotnie tak pewny siebie i prawidłowości mego myślenia, że głowę bym dał za to, że Ziuk się myli, a tymczasem z reguły okazywało się, że rzeczywistość potwierdzała całkowicie jego wnioski, a nie moje. Gniewało mnie to nieraz i prawdę powiedziawszy — gniewa i dziś, ale nauczyłem się ostrożności. I od pewnego czasu, jeśli nawet w dalszym ciągu nie widzę uzasadnienia dla jego poglądów lub przewidywań, jeśli nie mogę się zdobyć na postępowanie wbrew memu przekonaniu, to wolę stać z boku niż iść przeciwko niemu. Niezwykły” — powtórzył raz jeszcze Jodko. — „To jest pewne i jeżeli mu gdzieś Niemcy po cichu karku nie skręca, to jeszcze nam ten Ziuk gotów niejedną sztukę pokazać”.

Korzystając z niezwyklej rozmowności „Jowisza”, zacząłem go wyciągać na słowa. Zapytałem, czy może mi powiedzieć kiedy Komendant powziął przekonanie, że państwa centralne przegrają wojnę, i na czym się na tym przekonaniu opierał.

„Jeśli myślicie — odparł Jodko — że to wypłynęło z przebiegu działań wojennych, to się grubo mylicie. Wyobraźcie sobie, że ja to usłyszałem od niego po raz pierwszy już w roku 1913, gdzieś w październiku czy listopadzie, gdy omawialiśmy sprawę wzięcia udziału w zjeździe socjalistycznym projektowanym w Paryżu na styczeń 1914 roku. Jestem przekonany, że jego przewidywania były prawdopodobnie, ze zwykłą mu pracowitością my-

ślenia, gotowe już od lat kilku. Jeśli kto, to Sosnkowski mógłby pewnie coś więcej o tym powiedzieć. Ze mną mówił o tym tylko dlatego, że byłem mu potrzebny do wykonania części jego planów z tym zjazdem związanych. Być może też i dlatego, że chciał się ze mną poradzić co do pewnego ryzyka z planami tymi połączonego. I tu Wam powiem rzecz szczególnie dla Ziuka charakterystyczną. W chwili gdy pewne sprawy stały pod znakiem zapytania dla wszystkich chyba mężów stanu na świecie — to znaczy, czy w ogóle dojdzie do wojny między mocarstwami, nie mówiąc już o tym jaki będzie ewentualny tej wojny wynik — Ziuk wyliczył mi krótko jako oczywiste i bezsporne przewidywania następujące: 1) że wojna między Rosją i Francją z jednej strony, zaś Niemcami i Austrią z drugiej, wybuchnie w najbliższym czasie, prawdopodobnie już w roku następnym; 2) że będzie miała dwie fazy i w obu tych fazach zachód zwycięży wschód, tj. że najpierw Niemcy i Austria rozbiją militarnie Rosję; następnie zaś Francja, poparta przez Anglię i Stany Zjednoczone, pobije Niemcy i Austrię; 3) że klęska wojenna przyniesie tym razem prawdziwą rewolucję w Rosji, albowiem obejmie ona i armię lub nawet od niej się zacznie; 4) że w związku z tym sprawa polska wypłynie jako zagadnienie międzynarodowe; 5) że tak czy owak, przy ogromnym wyczerpaniu wszystkich mocarstw europejskich prowadzących wojnę, można będzie zabezpieczyć dla Polski głos, aby nie była tylko obiektem cudzej decyzji, jeśli Polska ta będzie posiadała choćby niewielką tylko stosunkowo siłę wojskową”.

„Zrozumcie — mówił mi wyraźnie podniecony Jodko — że wówczas, w 1913 roku, Ziuk myślał już tylko o tym, co będzie w momencie zakończenia wojny światowej. Wszystko poprzedzające było już dla niego niewarte dyskusji; zaś co do tego, jak mówił, ostatniego dnia wojny, przewidywał, że znajdziemy się oko w oko z jakąś porewolucyjną Rosją, z którą należałoby mieć możliwość osiągnięcia porozumienia. Dlatego też sądził, że zachodzi potrzeba uprzedzenia przynajmniej niektórych, odpowiednio poważnych i godnych zaufania rewolucjonistów rosyjskich, o zawisłościach naszej sytuacji, wtajemniczyć ich ramowo w politykę, której będziemy musieli się trzymać w czasie wojny, aby nie byli nią zaskoczeni i aby mogli celowość jej zrozumieć. Dla tego właśnie celu zamierzał Ziuk wyzyskać zjazd paryski. Chciał, abym mu pomógł w poufnych rozmowach z Rosjanami; chciał usłyszeć moje zdanie, co do ryzyka które pomysł ten w sobie zawiera. Mianowicie: przygotowywać kadry dla polskiej siły zbrojnej można tylko w zaborze austriackim, zaprawić je i rozszerzyć kadry można będzie w pierwszej fazie wojny również tylko po stronie

państw centralnych. Trzeba będzie mocnego charakteru i uporu i zaufania u ludzi, aby to wszystko konsekwentnie przeprowadzić; 'nie widzę', mówił mi Ziuk, 'kto by mógł to zrobić oprócz mnie. A jeżeli moje przewidywania co do przebiegu wojny i klęski, która ostatecznie czeka Austrię i Niemcy, dojdą do wiadomości wiedeńskiego sztabu generalnego, to oczywiście odbiorą mi oni wszelką możliwość działania przed wojną i nie dopuszczą do dowodzenia w czasie wojny'.

Musiąłem zgodzić się z Ziukiem, że ryzyko jest niewątpliwe i ogromne. Wypowiedziałem się raczej przeciwko jego planowi, powołując się na jego własne zdanie, jak ostrożnym trzeba być z Moskalami, nie tylko wobec tego, że ich rewolucyjne organizacje są mocno zaszpiclowane, ale i wobec łatwości z jaką przychodzą im 'wyznania' pod presją Ochrany w wypadku aresztowania. Ziuk nie przeczył ważkości moich argumentów; uważał jednak, że gra warta świeczki, tak wielką bowiem będzie doniosłość naszych stosunków z Rosją w pierwszym momencie po zakończeniu działań wojennych. Uważał też, że dużo będzie zależało od tego, kogo z rewolucjonistów rosyjskich w Paryżu spotkamy".

Słowa Jodki były dla mnie po prostu rewelacją. Słuchałem ich skwapliwie i dopomogło mi to niezmiernie w głębszym zrozumieniu moich warszawskich i lubelskich rozmów z Komendantem. O zjeździe paryskim ze stycznia 1914 roku nie pamiętałem i o jego przebiegu nie miałem żadnych wiadomości. Poprosiłem więc Jodkę, żeby mi powiedział, jak to było.

Dowiedziałem się, że po przybyciu do Paryża, Piłsudski postanowił plan swój wykonać. Na posiedzeniu Komisji rozpatrującej położenie międzynarodowe, w sali Towarzystwa Geograficznego, Piłsudski zabrał głos i referując sytuację międzynarodową postawił swoje tezy, że wojna europejska jest nieunikniona i nastąpi szybko i zarysował przewidywany przez siebie jej przebieg. Referat jego — może na szczęście — nie wywołał większego zainteresowania, gdyż dla olbrzymiej większości zebranych twierdzenia Piłsudskiego wydały się wręcz fantastyczne, ot, typowe, specyficzne polskie marzycielstwo, niezaskługujące nawet na poważniejszą dyskusję. Mimo to, Piłsudski w porozumieniu z Jodką wybrał jednego z delegatów rosyjskiej partii socjal-rewolucjonistów, Czernowa, którego zawsze wysoko cenił i szanował, aby wtajemniczyć go w plany działania P.P.S. i polskiego obozu niepodległościowego, wynikające z przewidywań wojennych Piłsudskiego. Jodko udał się więc na najciszej poufną rozmowę z Czernowem, omówiwszy przedtem dokładnie jej treść z Piłsudskim. O przebiegu i wyniku tej rozmowy powiedział

mi Jodko tylko tyle, że dała ona rezultat raczej negatywny. Czernow z najwyższym niedowierzaniem traktował przewidywania Piłsudskiego, jeśli zaś chodzi o decyzję P.P.S. wzięcia udziału w wojnie przeciwko carskiej Rosji po stronie państw centralnych, aż do momentu kiedy carat padnie, Czernow przyjął tę perspektywę nie tylko bez zrozumienia, ale wręcz z oburzeniem. „I nic dziwnego”, dodał Jodko, „socjal-rewolucjoniści byli najbliższym odpowiednikiem naszej P.P.S.; łączyli hasła rewolucji społecznej z patriotyzmem narodowym i ten drugi moment wziął u Czernowa górę na myśl o tym, że w wojnie która może decydować o losach narodu rosyjskiego, Polacy pójdą przeciw Rosji”.

„Mówicie tylko o Czernowie — zauważyłem — a czy nie można było trafić do innych poważnych rewolucjonistów rosyjskich?”

„Po mojej rozmowie z Czernowem — odparł Jodko — Ziuk zrezygnował z dalszych prób, w czym go zresztą podtrzymałem. Ale powiem Wam, to co mi się teraz przypomniało i co w zestawieniu z innym faktem, o wiele lat wcześniejszym, świadczy o przenikliwości umysłu naszych przyjaciół pochodzenia żydowskiego. Oto jedynym uczestnikiem zjazdu paryskiego, którego zastanowił referat Piłsudskiego, był niejaki towarzysz Natanson. Zwrócił się on potem do mnie ogromnie poruszony i zainteresowany przewidywaniami Piłsudskiego, powiedział mi, że przemawiają mu one do przekonania i że widzi on w Piłsudskim człowieka przerastającego o głowę wszystkich innych, człowieka na miarę męża stanu”.

Z ciekawością zapytałam Jodki o ten poprzedni wypadek.

„To było w 1906 roku, na posiedzeniu Centralnego Komitetu Robotniczego P.P.S., z udziałem reprezentantów Wydziału Bojowego. Było to tuż przed rozłamem i w czasie, kiedy CKR był opanowany przez lewicę. Wtedy to Ziuk wygłosił słynny referat o krótkowzroczności działań rewolucyjnych zarówno rosyjskich jak naszych, o zupełnym nieprzygotowaniu obozu rewolucyjnego do poważnej walki z szansami na zwycięski wynik i dał swoje wskazania jak prowadzić akcję bojową, aby miało to jakikolwiek plan i sens. Referat jego był tak głęboki, tak przemyślany i umotywowany, że nawet zasadniczo przeciwna mu większość CKR-u zdecydowała się na pozostawienie Piłsudskiemu kierownictwa w dziedzinie akcji czynnej. Nawet nasi bojowcy, którzy mieli więcej bohaterstwa niż rozumu i których razii pesymizm Piłsudskiego, pochylili głowy przed jego autorytetem. Otóż po tym posiedzeniu nie kto inny jak Maks Horwitz powiedział do mnie: 'Dobry marksista to z towarzysza Piłsudskiego nigdy nie będzie, ale sądzę że byłby świetnym generałem'. I, jak się zdaje, jak dziś

widzimy, miał rację. A przecież Ziuk nie służył w żadnym wojsku; a do studiów wojskowych z książek, wówczas dopiero się zabierał. Nie macie pojęcia, jak w roku 1914 rozmaici oficerowie austriaccy — Polacy i Niemcy — z którymi rozmawiałem, patrzyli na Piłsudskiego i całą jego imprezę legionową. Były to albo złośliwe drwiny, albo co najwyżej uśmiech lekceważącej pobłażliwości. A jednak ten człowiek swoją garstką uzbrojoną jak na śmiech ludzki w przedpotopowe Werndle, bez karabinów maszynowych, z komicznymi pukawkami, strzelającymi dymnym prochem, zamiast artylerii, w czasie klęskowego obrotu operacji austriackich, potrafił zwrócić na siebie uwagę nie tylko bitnością swoich szczeniaków, ale i umiejętnością dowodzenia. Zaś w dwa lata potem, wiecie przecież co mówią o tym tacy znawcy sztuki wojennej jak Niemcy, bo tego im przecież odmówić nie można. Po walkach Piłsudskiego na Wołyniu nie tylko Bernhardi, ale i Ludendorff, mówią o Legionach i o Piłsudskim jako o pierwszorzędnym wojsku, świetnie dowodzonym. Zaś dla tych samych Austriaków nie mają dość słów lekceważenia i pogardy”.

„Dobrze — powiedziałem. — „Ale czy nie sądzicie, że wielu z tych ludzi, którzy dziś przeciwstawiają się Piłsudskiemu i starają się go pozbawić możliwości działania, nie robiłoby tego, gdyby znali jego przewidywania i rozumieli konsekwencje jego działania na tym tle. Przecież na miły Bóg, mało kto nawet z nas I-szej Brygady wie o tym wszystkim, z wyjątkiem chyba Sosnkowskiego”.

„Nie bądźcie naiwni — odrzekł Jodko. — Po pierwsze, wiedzieć, a wierzyć, to nie jest to samo. Właśnie ci, którzy stoją na czele całej roboty krzyżującej plany Piłsudskiego, jak choćby Studnicki i Sikorski — znali myśl Piłsudskiego jeszcze przed wojną. Gdyby zaś wiedzieli wszyscy, to na pewno wiedzieliby i austriacki sztab generalny i Piłsudski nie tylko by niczym nie dowodził, ale prawdopodobnie siedzieliby od początku wojny za drzwiami lub pod kluczem, jako poddany rosyjski. Ziuk potrafi trzymać język za zębami jak nikt inny; potrafi nie powiedzieć nic co by mogło pokrzyżować jego plany, choćby zrzekając się najbardziej przekonujących argumentów, choćby się to zdawało niezbędne w takim, czy innym momencie taktyki politycznej. Pamiętam posiedzenie organizacyjne N.K.N.-u w Krakowie, w dniach wybuchu wojny, u prof. Jaworskiego, gdy cała dyskusja toczyła się nad tym jakich gwarancji należy domagać się od Austriaków w związku z tworzeniem Legionów, dla sprawy polskiej. Piłsudski słuchał w milczeniu, błąd z gniewu i zniecierpliwienia. W pewnym momencie nie wytrzymał i mruknął pod wąsem tak, że tylko najbliżsi go słyszeli: 'A na jakiegoż diabła

potrzebne mi ich gwarancje, jeśli oni tę wojnę przegrają'. Spędziłem z nim szereg godzin po zakończeniu tego posiedzenia. Dopytywał się mnie, czy słyszałem jego słowa i kto więcej mógł je słyszeć — i był literalnie wściekły sam na siebie. Myślę czasem, że pewnie nigdy sobie nie wybaczył tej nieostrożności i jeszcze teraz w więzieniu żyje sam na siebie, gdy to wspomina, chociaż rzecz dawno już przestała być aktualna, gdy otworzył swe karty w zeszłym roku”.

„No dobrze — odpowiedziałem, — ale przecież wszyscy ci ludzie, którzy jak mówicie, przewidywania Piłsudskiego znać musieli, mieli już dosyć dowodów na to, że się one punkt po punkcie sprawdzają. Wojna między mocarstwami zaborczymi przyszła, tak i wtedy, kiedy zapowiadał; Rosja została pobita; rewolucja rosyjska nastąpiła; upadł carat, a z nim główna przeszkoda dla koalicji, aby uznać sprawę polską jako zagadnienie międzynarodowe; Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny. Czyż to nie powinno było ludzi przekonać, że Piłsudski to nie fantasta, a jego przewidywania, to nie tylko pobożne polskie życzenia”.

„Nic podobnego — rzekł Jodko. — Przecież sami widzicie, że właśnie po tym wszystkim aktywiści są tak pewni siebie, jak nigdy przedtem. Uważają, że właśnie teraz zwycięstwo państw centralnych jest zapewnione, zaś w tej perspektywie postępowanie Piłsudskiego było szalone i szkodliwe. Aktywiści Studnickiego potępiają go z wściekłością; łagodniejsze baranki z N.K.N. kiwają ze smutkiem głową i ubolewają nad jego nieobliczalnością, czy warcholstwem. Rozważają ewentualne rozmiary i komplikacje rozwiązania polsko-austriackiego i mają nadzieję, że może zeszłoroczny wybryk Piłsudskiego będzie zapomniany i nie przyniesie zbyt wielkiego uszczerbku w życzliwości jego cesarsko-królewskiej i apostołskiej mości dla narodu polskiego”.

„A cóż Wy osobiście o tym myślicie?” — zapytałem ostrożnie.

„A ja powiem otwarcie, skoro się już tak z Wami rozgadałem, że i dla mnie wszystko to nie jest takie proste, jeśli chodzi o ostatnie i główne ogniwo przewidywań Ziuka. Czy Niemcy i Austriacy poniosą definitywną klęskę? To prawda, że Austriacy i ich wojsko niewiele dziś warte; to prawda, że u Niemców widać wyczerpanie ciężkimi stratami i brak materiału ludzkiego. Ale przecież likwidacja frontu wschodniego to olbrzymia ulga; przecież lada dzień Rosja podpisze odrębny pokój; przecież Francuzi i Anglicy także skrwawili się okrutnie, zaś Ameryka nie tak prędko zorganizuje wojsko, mogące stawić czoła Niemcom i nie tak łatwo przeprawi je przez Atlantyk. Są wiadomości, że Francuzi i Anglicy starają się o porozumienie z Austrią i odrębny

pokój z nią, co oczywiście doprowadzić by musiało do jakichś rozstrzygnięć kompromisowych, do pokoju negocjowanego, a wówczas tak zwane polsko-austriackie rozstrzygnięcie wydawałoby się najprawdopodobniejsze. Zaś w razie rozpadu Austrii jakieś rozstrzygnięcie inne, z poważnym głosem niemieckim w jego treści; kto wie, zależy to od stopnia zmęczenia wojennego Francji i Anglii, czy nie pójdą oni na daleko idącą ustępliwość w kwestii wschodniej granicy Niemiec. Obrót, który wzięła rewolucja rosyjska, może zaważyć w kierunku powierzenia Niemcom bezpieczeństwa Europy od wschodu, co pachniałoby zgodą na rozciągnięcie ich protektoratu nad ewentualnie wskrzyszonym państwem polskim, z natury rzeczy słabym militarnie. I powiem Wam, że nie bardzo się dziwię aktywistom i enkaenowcom. Może być, że gdyby nie moje wieloletnie doświadczenie z Ziukiem i z tym co nazwaliście tak trafnie jego 'niezwykłością', sam bym myślał tak jak oni. Ale ja mam dobrze w pamięci moment, kiedy Ziuk skonstatował z całą pewnością nieuniknioną porażkę pierwszej rewolucji rosyjskiej wówczas, gdy ogromna większość partii była pełna entuzjazmu i widziała już otwarte niebo przed sobą. Ja pamiętam nie tylko wszystko, to, o czym mówiliśmy poprzednio, jeśli chodzi o historię wojny obecnej. Przede wszystkim zaś jestem w moim osobistym myśleniu zaszachowany tą niesłychaną pewnością siebie, jaka przez te wszystkie lata cechowała postępowanie Ziuka. Wszystkie jego przewidywania to nie były hipotezy; postępował on przez cały czas tak, jak gdyby to były fakty już dokonane; nie wytrąciły go nigdy z tej pewności ani zwłoki w czasie, ani komplikacje, które w oczach każdego innego przekreśliłyby dane przewidywanie jako mylne. Więc i teraz, mimo że cała moja natura buntuje się przeciwko temu, mimo całego mego zaufania do sprawności własnego myślenia — nie tylko moje doświadczenie, ale jakiś instynkt podszeptuje mi, że pewniejsza jest wiara w taki obrót rzeczy, jaki Ziuk przewidywał, i nie byłbym spokojny w sumieniu swoim, gdybym przeciw temu działał. A niech to wszyscy diabli wezmą" — zirytował się nagle Jodko, nalał mnie i sobie po ostatnim kieliszku koniaku i wychylił swój do dna.

Późny świt zimowy zaglądał już w okna. Pożegnałem się z Jodką. Nieraz potem, aż do listopada 1918 roku, wracałem myślą do tej, pamiętnej dla mnie rozmowy.

Szczególną rewelacją była dla mnie wiadomość, że przewidywania Piłsudskiego co do kolei tej wojny były powzięte już przed jej wybuchem. Przypuszczałem poprzednio, że dopiero w toku wojny Piłsudski doszedł do przekonania, że państwa centralne zostaną pobite i odpowiednio do tego „zmienił front”. Co i tak

zresztą świadczyłoby o wielkiej przenikliwości, skoro Niemcy byli jeszcze wówczas w pełni zwycięstw i ogromna większość naszych polityków uważała odpadnięcie Rosji za gwarancję ich ostatecznego zwycięstwa. Fakt, że te wszystkie rzeczy, włącznie z wiarą w ostateczną klęskę niemiecką, Piłsudski widział już w roku 1913, uderzył mnie niesłychanie. Do dziś zresztą wśród społeczeństwa polskiego, i nie tylko w obozie przeciwników Piłsudskiego, przetrwało mniemanie, że dopiero w ciągu wojny zmienił on swoje koncepcje. Nie od rzeczy więc będzie odnotować niepolskie świadectwo: o w tej sprawie, na które natknąłem się dopiero w roku 1952. Jest to w dodatku świadectwo człowieka, który nie wierzył w przewidywania Piłsudskiego, a wynikający z nich jego plan, potępiał.

Świadectwem tym są wspomnienia W. M. Czernowa, drukowane w kwartalniku rosyjskim „Nowyj Żurnał” (Księga XXVIII, New York, 1952).

W połowie lutego 1918 roku, gdy opuszczałem już Warszawę, udając się przez Kraków w tak dawno postanowioną podróż na wschód, podpisany został w Brześciu nad Bugiem układ państw centralnych z Bolszewikami, oddający „Republice Ukraińskiej” ziemie polskie z Chełmszczyzną włącznie. Zakończyły się słynne pertraktacje zmierzające do odrębnego pokoju na wschodzie, skomplikowane słynną zasadą „ni mira, ni wojny”, postawioną przez Trockiego. W Polsce zawrzało. Nastąpił protest Rady Regencyjnej i jej rządu. P.O.W. w całym kraju organizowała ostre manifestacje. Już w dzień wyjazdu z Warszawy udałem się wraz z Konradem Libickim do gmachu Teatru Wielkiego, by zażądać od opery polskiej, prowadzonej wówczas przez panią Janinę Korołowicz-Wajdową, odwołania przedstawienia na znak żałoby narodowej.

Po przybyciu do Krakowa, udałem się na ostatnią odprawę u Komendanta Głównego P.O.W., pułkownika Śmigłego-Rydza. Komenda Główna mieściła się wówczas na Wawelu. Była doskonale ukryta w podziemnych zakamarkach, udzielonych do naszej dyspozycji przez kierownictwo odbudowy Wawelu. Nie podobna było tam trafić bez specjalnego przewodnika. Odbyłem tam konferencję, w której wziął udział również Jędrzej Moraczewski. Ustalony został podwójny charakter mojej misji; otrzymałem mandat reprezentowania Konwentu, jako najwyższej władzy politycznej Obozu Niepodległościowego, zastępującej autorytet Józefa

Piłsudskiego. Mandat ten podpisany został przez Moraczewskiego i Śmigłego. Zadaniem moim było skoordynowanie pracy grup i stronnictw Obozu Niepodległościowego na wschodzie, ze stanowiskiem zajęтым przez nas w kraju. Jednocześnie zaś miałem zorientować się dokładnie w sytuacji powstałej na terenie imperium rosyjskiego, zbadać stosunek różnych grup rewolucyjnych rosyjskich do sprawy polskiej, przede wszystkim zaś zorientować się co do możliwości jakiegokolwiek współpracy między nami a bolszewikami, jeśli chodzi o przeciwstawianie się Niemcom. Mieliśmy bardzo niewiele wiadomości o tym, co się naprawdę dzieje na wschodzie, jaki jest rzeczywisty układ sił i jakie są perspektywy opanowania sytuacji przez trzy walczące z sobą odłamy: bolszewików, przeciwstawiających się im socjalistów i współdziałających z nimi demokratów, wreszcie reakcjonistów, zmierzających do restauracji caratu. Miałem wreszcie zlikwidować najwyraźniejszy anachronizm, polegający na tym że część Piłsudczyków na wschodzie — według dochodzących do nas wiadomości — opowiada się za Radą Regencyjną, a nawet zajmuje negatywne stanowisko wobec wojskowych formacji polskich na wschodzie. Oba te zjawiska były oczywiście wręcz sprzeczne z polityką naszego obozu, od chwili odmowy przysięgi i uwięzienia Piłsudskiego.

To były moje zadania polityczne. Obok tego otrzymałem nominację na Komendanta Naczelnego P.O.W. na Ukrainę i Rosję (K.N. 3.). Miałem zająć kwaterę w Kijowie z rozciągnięciem kontaktu na Moskwę, Petrograd i wszystkie inne środowiska, skupiające Polaków w Rosji.

Śmigły zakomunikował mi, że towarzyszyć mi będą dwaj oficerowie, kpt. L. Lis-Kula oraz ppor. T. Schaetzel. Śmigły sądził słusznie, że jeżeli chodzi o nawiązanie kontaktu z polskimi organizacjami wojskowymi, szczególnie z korpusem Dowbora, Lis-Kula będzie znacznie odpowiedniejszym kandydatem niż ja, nie mówiąc już o tym, że nie podobna było połączyć w jednych rękach tych dwóch zadań, tj. reorganizacji i odpowiedniego nastawienia politycznego P.O.W. z jednej strony, zaś pracy ze zorganizowanym już „regularnym” wojskiem polskim na tamtych terenach, z drugiej. T. Schaetzel miał — zależnie od okoliczności stwierdzonych na miejscu — pomagać bądź Lisowi-Kuli bądź mnie, zaś w razie gdyby jeden z nas uległ jakiejś niefortunnej przygodzie, Schaetzel miał go zastąpić.

Po odprawie w Komendzie Głównej udałem się do Lwowa, gdzie tamtejsza P.O.W. miała nam dać pomoc techniczną do dalszej podróży. We Lwowie spotkałem Lisa-Kulę, mego serdecznego przyjaciela z czasów pobytu na froncie oraz Tadeusza Schae-

tzła, którego wówczas dopiero poznałem. We Lwowie dowiedzieliśmy się też, że przed kilkoma dniami wyruszył już na wschód Tadeusz Hołówko, jako emisariusz P.P.S., że według otrzymanych meldunków minął już ostatnią kwaterę naszą po tej stronie frontu, w Zbarażu, i że w Zbarażu otrzymamy wiadomości o jego dalszej marszrucie, względnie otrzymamy informacje o innej, jeśli by tamta okazała się niefortunna.

Miejscowa Komenda P.O.W. posiadająca oczywiście wszelkie potrzebne blankiety dokumentów wojskowych austriackich, wszelkie możliwe pieczętki, wzory podpisów ważnych na odpowiednich liniach naszej podróży oraz podstawowe informacje, pozwalające na wystawienie dokumentów, wyglądających możliwie wiarygodnie i autentycznie. Wywiad nasz zasygnalizował jednocześnie, że coś ważnego zaczyna się dzieć na najbliższym odcinku frontu wschodniego, że są oznaki jakichś poważnych ruchów wojskowych, zamierzonych w najbliższych dniach i nawet godzinach. Mogło to oczywiście naszym celom dopomóc, lub też zaszkodzić; o dalszej zwłoce albo czekaniu na dalsze informacje, nie pomyśleliśmy jednak ani przez chwilę.

Wystawiono nam dokumenty podróży do jakowegoś Feld-Lab. Nr 59, na fałszywe oczywiście nazwiska; dostarczono nam mundurów i płaszczy z odznakami podoficerów z cenzusem i z przeciętną ilością medali austriackich; załadowaliśmy najniezbędniejsze rzeczy do plecaków i wytknęliśmy sobie w ogólnych zarysach linię marszu na Kijów. Z kolei nie mogliśmy korzystać dalej niż do Tarnopola. Ostatnim punktem zapewnionego kontaktu organizacyjnego był klasztor Bernardynów w Zbarażu. Tam, ewentualnie, mieliśmy dostać dalsze informacje i wskazówki jaka marszruta będzie najbardziej praktyczna. Emisariusze P.P.S., którzy przed kilkoma dniami wyruszyli do Zbaraża, mieli ewentualnie przesyłać z dalszych etapów swej podróży informacje o swoich doświadczeniach.

Wyruszyliśmy ze Lwowa późnym wieczorem pociągiem, aby znaleźć się o świcie w Tarnopolu, gdzie mieliśmy pewną kwaterę w domu sędziego, krewniaka Moraczewskiego i Schaetzla. Bez większych przeszkód przeszliśmy przez kontrolę dokumentów na dworcu we Lwowie, wiedząc że jak zawsze — uwaga żandar mów zwrócona jest na tych, którzy podróżują w kierunku tyłów, nie zaś frontu. Z całej naszej trójki ja musiałem najbardziej uważać na siebie ze względu na to, że nie umiałem po niemiecku co przy odznakach podoficera z cenzusem było niełatwe do wytłumaczenia, zaś każde zwrócenie na siebie uwagi mogło doprowadzić do baczniejszej kontroli naszych dokumentów, co oczywiście musiałoby się źle skończyć. Wsunęliśmy się w pociąg do

pustego przedziału II klasy ale po chwili zjawił się jakiś porucznik austriacki, któremu rzecz jasna musieliśmy się służbowo zameldować, co nie stanowiło żadnej trudności dla Lisa i Schaetzla, ja jednak potrafiłem tak ohydnie przekręcić formułę meldunku, że oficer ten spojrzał na mnie z nieukrywanym zdumieniem. Na szczęście był wyraźnie pod gazem i w bardzo łaskawym usposobieniu, zaś Lis i Schaetzel wsunęli się szybko między mnie a niego i odpowiadali na wszystkie jego pytania, a ja usadowiłem się w najdalszym kącie i zaczęłem udawać śpiącego.

Z Tarnopola, zjadłszy solidne śniadanie i przysposobiwszy się do dalszego marszu pieszego, ruszyliśmy na Zbaraż. Tu już bowiem zaczynał się teren etapowy i wiedzieliśmy, że jeżeli spotkamy punkty kontrolne na drodze, będą one obsadzone nie przez żandarmów, lecz przez zwyczajnych żołnierzy, którzy się naszymi dokumentami zaledwie interesować nie będą. Istotnie raz tylko napotkaliśmy na szosie posterunek, nawiasem mówiąc niemiecki, a nie austriacki, który ledwie rzuciwszy okiem na nasze marszruty, przepuścił nas dalej bez żadnych pytań. Ze zrozumiałym wzruszeniem wchodziliśmy w sławne mury Zbaraża; dotarliśmy z łatwością do zacnego ojca Bernardyna i wymieniwszy hasła peowiackie zostaliśmy gościnnie przyjęci, nakarmieni i napojeni. Dowiedzieliśmy się, że Hołowko i Andrzej Strug przeszli kilka dni temu i ruszyli dalej na wschód, nie przysłali jednak żadnych wiadomości z dalszych etapów. Jedyna wskazówka jaką otrzymaliśmy na dalszą drogę była, że o kilkanaście kilometrów dalej, w dużej wsi Bazylówce, znajduje się polski kościół parafialny i że proboszcz tamtejszy z Zakonu Misjonarzy będzie prawdopodobnie mógł pchnąć nas na jakiś dalszy etap, wskazać następną kwaterę, może też przy pomocy swoich parafian, Polaków, dostarczyć nam środków lokomocji. Po kilkogodzinnym odpoczynku ruszyliśmy dalej, już w niepewne, bo księża Bernardyni nie mogli dać nam ścisłych wiadomości, gdzie przebiega linia frontu; potwierdzili jedynie lwowskie informacje o jakichś wielkich ruchach wojsk.

O zmroku dotarliśmy do owej Bazylówki. Spostreegliśmy z daleka, że jest ona pełna wojska, które się najwidoczniej kwateruje na noc. Obeszliśmy więc polami, orientując się na z daleka widoczny kościół i podeszliśmy do plebanii od tyłu, obawiając się że możemy tam zastać zakwaterowany jakiś sztab austriacki. Na szczęście tak nie było. Plebanijka była mała i oficerowie woleli zająć opuszczony dwór. Gdy zapukaliśmy do drzwi, wpuściła nas jejmość gospodyni, która z przerażeniem spojrzawszy na nasze niesłychanie zabłocone buciska, wahała się, czy może nas prowadzić dalej na starannie wyfroterowane czyściutkie podłogi

i schludne dywaniki. Wywołała jednak po chwili wahania księdza, który wyszedł z jadalni, ukazując nam przez otwarte drzwi kusząco nakryty i zastawiony przekąskami stół. Poczciwy proboszcz nie okazał również zachwyty na nasz widok. Gdy powołaliśmy się na polecenie ojców Bernardynów ze Zbaraża, poprosił nas wprowadzić dalej, napomykając jednocześnie, że spodziewa się wizyty panów oficerów austriackich. Powiedzieliśmy mu otwarcie, że jesteśmy oficerami Legionów i że udajemy się na wschód celem nawiązania łączności z tamtejszym wojskiem polskim i że nasze podoficerskie mundury austriackie są tylko przebraniem. Ksiądz był raczej zalekniony, gościnność jednak zwyciężyła i zaproponował nam, że możebyśmy coś przekąsili. Byliśmy istotnie głodni i zmęczeni; przyjęliśmy więc zaproszenie bez ceremonii, zdjawszy płaszcze i oczyściwszy z grubszą zabłocone buciska przy pomocy gospodyni, weszliśmy do jadalni. Ksiądz patrzył na nas z wyraźną nieufnością, co stwarzało dość przykrą dla nas sytuację. W pewnej chwili spojrziałem na wiszącą na ścianie jadalni dużą fotografię i ze zdumieniem zobaczyłem na niej dom mojej siostry w garwolińskim powiecie i zbiorową fotografię przed gankiem tegoż domu z naszym gospodarzem i znajomymi mi doskonale księżmi garwolińskimi w środku, zaś z całą moją rodziną obok nich. Gdy wymieniłem księdzu nazwę miejscowości oraz nazwiska wszystkich, znajdujących się na fotografii, lody pękły i proboszcz zaprosił nas do stołu, tym razem już z prawdziwą i serdeczną gościnnością. Poza odpoczynkiem i obfitym posiłkiem, niewiele jednak uzyskaliśmy. Ksiądz poinformował nas, że okolica jest pełna wojska, że Polacy miejscowi boją się ruszać z miejsca wobec wrogiego stosunku Rusinów; że okoliczne dwory polskie są opuszczone. Jasne też było, że mimo zmęczenia będziemy musieli ruszyć dalej piechotą, bo oczywiście próba opuszczenia wsi w inny sposób nie mogłaby ująć uwagi, zaś wszelka próba wylegitymowania się z celu i charakteru naszej podróży musiałaby się źle skończyć. Zatrzymani przez samotny posterunek na drodze czy w polu moglibyśmy jeszcze liczyć na ostatni argument w postaci wypróbowanych brauningów, które mieliśmy w kieszeniach. Zapadająca noc dawała pewne szanse. Niepodobiestwem jednak było próbować tej metody w zapełnionej wojskiem wsi. Poczekaliśmy więc by się dobrze ściemniło i wyruszyliśmy wprost w pole spoza stołów probostwa.

Ruszyliśmy dosłownie w nieznane. Wiedzieliśmy tyle tylko, że gdzieś przed nami, w odległości kilku godzin marszu, musi się znajdować linia frontu. Liczyliśmy na to, że wobec trwającej od szeregu miesięcy sytuacji, polegającej na zupełnym wygaśnięciu operacji wojennych, i rozpełzania się armii rosyjskiej, czuj-

ność na froncie będzie minimalna po stronie austriacko-niemieckiej, zaś żadna po stronie rosyjskiej. Powzięliśmy więc założenie, że albo uda nam się przeniknąć na drugą stronę w ciągu nocy, albo też jeśli napotkamy na trudności na samej linii frontowej — przycupniemy gdzieś w polu czy w lesie, zaobserwujemy stan rzeczy w ciągu dnia i zaplanujemy dalszy skok na noc następną. Ścisłość kierunku była więc nam na tę noc dość obojętna — będziemy mogli wytknąć ją po przejściu przez front. Tymczasem jednak wędrówka nasza nie należała do przyjemności; zapadła noc chmurna, bezksiężycowa, ciemno choć oko wykol, mowy nie było o zorientowaniu się w kierunku polnych dróg i drózek, które napotykalismy. Nie pozostawało więc nic innego jak marsz na przełaj według kompasu. Była zaś odwilż, po paru miesiącach tęgich mrozów. Szliśmy przez głęboko zorane gliniaste pola, o odmarzniętych z wierzchu tylko skibach, po których nogi ześlizgiwały się za każdym krokiem. Było to diabelnie męczące; coraz to któryś z nas potykał się i przewracał, klnąc przez zęby; co kilkaset kroków sprawdzaliśmy kierunek, czas dłużył się niezmiernie, plecaki ciężyły coraz bardziej. Od czasu do czasu odpoczywaliśmy chwilę w jakimś rowie, czy na kupie kamieni gdzie można było usiąść na suchym stosunkowo miejscu. O jakiejś godzinie wśród nocy zobaczyliśmy niedaleko przed sobą zielonkawo ognie kilku wypuszczonych kolejno rakiet; musiała to być oczywiście linia frontu. Zbliżyliśmy się nieco w tym kierunku i zatrzymaliśmy się na dłuższą chwilę nasłuchując uważnie. Gdzieś przed nami, na prawo, usłyszeliśmy dalekie głosy, parskanie koni, skrzyp wozów, dalekie błysnięcie latarni. Na lewo od nas panowała głęboka cisza. Było jeszcze parę godzin do świtu, panowała ciemność zupełna.

Postanowiliśmy więc iść naprzód, zbaczając dobrze na lewo od kierunku głosów i świateł. Po paru godzinach dalszego marszu na przełaj, natknęliśmy się, zarywszy nosami w ziemię, na jakieś puste okopy, w których przycupnęliśmy i nie słysząc żadnych oznak życia posunęliśmy się ostrożnie naprzód, krok za krokiem, od czasu do czasu oświetlając grunt pod nogami krótkimi błyskami latarki elektrycznej. Zauważyliśmy dobrze wydeptane ścieżki i drogi, paliki od zlikwidowanych zagród kolczastych, mnóstwo rozmaitego śmiecia, jak puszki od konserw, pudełka od papierosów, papiery i najrozmaitsze odpadki, pozostające zwykle na miejscu długo zajmowanych pozycji. Niektóre z tych odpadków były tak świeże, że musiały to być nie dawne, lecz tylko co porzucone stanowiska. Po krótkiej naradzie doszliśmy do przekonania, że front musiał zostać zwinięty tej lub poprzedniej nocy, że w danej sytuacji wojska na pewno ruszyły się naprzód

kolumnami marszowymi, zwinąwszy się w kierunku najbliższych dróg i traktów; że zatem według wszelkiego prawdopodobieństwa mamy wolną drogę przed sobą.

Poprawiło nam to znacznie humor, choć nie zmniejszyło okrutnego zmęczenia. Poszliśmy dalej. Jeszcze przez godzinę, czy dwie, wlekliśmy się przez pola, nie widząc ani słysząc żadnego śladu życia dokoła. Nasłuchiwalismy niecierpliwie nieomylnego znaku jakowegoś osiedla ludzkiego — szczekania psów. Nie dochodziło ono jednak znikąd. Wreszcie zaczęły się lekko przejaśniać chmury na wschodzie; jeszcze jedna podorywa, jeszcze jedna podmokła łąka i w końcu zobaczyliśmy przed sobą niewyraźny zarys drzew i przebłysk bielonych ścian przed nami. Po chwili zobaczyliśmy z bliska dwie czy trzy grupy zabudowań; natrafiliśmy wreszcie na jakiś chutor. W żadnym z okien nie widać było światła, wybraliśmy więc jedną z chat, podeszliśmy do drzwi i zaczęliśmy stukać początkowo lekko, zaś coraz mocniej, gdy odpowiadała nam martwa cisza. Trwało to dość długo, nasłuchiwalismy w przerwach między stukaniem i wreszcie zdawało się nam, że słyszemy jakiś ruch wewnątrz domu, bez żadnej jednak odpowiedzi na nasze dobijanie się. W pewnej chwili wydało mi się, że koc zasłaniający najbliższe od drzwi okno, od wewnątrz uchylił się lekko i jakieś oko błysnęło w naszym kierunku. Zacząłem więc dla odmiany stukać do tego okna i wołać, że podróżni zabłąkali chcą prosić o wskazanie drogi; mówiłem po rosyjsku. Nikt nie odpowiedział. Zniecierpliwieni i niełudzko zmęczeni ponowiliśmy dobijanie się do drzwi. Po chwili jakiś męski głos, bynajmniej nie przychylny odezwał się, radząc byśmy szli swoją drogą i dali dobrym ludziom spokój. Podjąłem próbę tłumaczenia z tym tylko rezultatem, że usłyszeliśmy odsuwanie jakichś ciężkich przedmiotów za drzwiami najwidoczniej zabarykadowanymi i przez wąską szparę uchylonych drzwi wysunęły się końce luf dwóch karabinów, co zostało poparte stanowczą radą, abyśmy sobie poszli do wszystkich diabłów, bo nie takie czasy, żeby nieznajomych ludzi do chaty wpuszczać, i że jeśli nie posłuchamy, będą strzelać. W przystępie wisielczego humoru zawołałem do Lisa i Schaetzla po polsku: „Masz ci babo placek, no i co teraz będziemy robić”. W tej chwili rozległ się rumor za drzwiami, które otworzyły się szerzej, stanął w nich siwy, niebieskooki wąsacz i powiedział: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, to panowie Polacy. A no to prosimy do chaty”. Nie czekaliśmy oczywiście na powtórzenie zaproszenia. Wpakowaliśmy się do środka, gdzie zobaczyliśmy jeszcze dwóch dorodnych parobczaków z karabinami, a za nimi dwie czy trzy niewiasty i gromadkę wystraszonych dzieci. Weszliśmy do gościnie otwartej izby, zasiedliśmy z uczu-

ciem nieopisanego szczęścia na szerokiej ławie i w przeciągu paru minut dość bezładnej rozmowy, potwierdziliśmy, że jesteśmy do-
brzy Polacy i katolicy, że przybywamy ze Lwowa i wędrujemy
na Kijów i że prosimy o parę godzin spoczynku, i jeśli można
posiłek oraz radę co do dalszej drogi. Poczciwe niewiasty krzątały
się już koło kuchni, rozpałały ogień. Za chwilę poczuliśmy za-
pach gotującego się mleka, a tymczasem gospodarz poinformował
nas, że mieliśmy niezwykle szczęście wybrawszy spośród trzech
sąsiadujących zagród, bo w dwóch sąsiednich mieszkają źli ludzie,
hady i bolszewiki, którzy w dodatku mają zwyczaj dobijających
się w nocy witać strzelaniem bez żadnego gadania. Powiedział
nam zresztą, że nie bardzo można się temu dziwić, bo nie ma
prawie nocy, by kogoś w sąsiedztwie nie ograbili, lub nie zamor-
dowali. Za chwilę stała na stole dymiąca kasza na mleku, chleb
i masło, do których zabraliśmy się chciwie. Gospodarze dopyty-
wali się z niesłychaną ciekawością co słychać na świecie, a szcze-
gólniej w Polsce, od której od kilku lat byli odcięci. Czy się
wojna kończy i czy będzie wreszcie jakiś porządek, boć tu czło-
wiek dnia ani godziny niepewny i w dzień i w nocy gwintówki
z rąk nie może puścić. Opowiedzieli nam o dzikich rzeczach, które
się działy u nich w ciągu ostatniego półrocza; o jeszcze strasz-
niejszych, dziejących się dalej na wschód. Przyznawali otwarcie,
że przyjście Niemców było ich główną nadzieją, albowiem wszel-
ki porządek i wszelkie prawo ustało. Niewiele mogli nam powie-
dzieć, mieszkając na odludziu, co się gdzie indziej dzieje; słyszeli
jednak że po miastach są polskie komitety i że nawet tu i ówdzie
jakoweś wojsko z orzełkami polskimi się pokazuje. Wiedzieli na
pewno, że Polacy rządzą w Płoskirowie, skąd bolszewicy uciekli.

Oczy nam się zamykały ze zmęczenia, coraz to któryś z nas
zsuwał się z ławy, zasnawszy w połowie zdania, wobec czego gos-
podarze zaproponowali nam, żebyśmy zdjęli z siebie nasz prze-
moczony przyodziełek i zabłocone buciska i przespali się parę
godzin przynajmniej. Młodzież dopomogła nam zzuć buty; zaście-
lono w komorze grubą warstwę siana i za chwilę spaliśmy snem
kamiennym na miękkich poduszkach, przykryci prześcieradłami
i kocami. Około godziny jedenastej zbudziło nas jasne słońce i
śliczny wiosenny dzień. Umywszy się więc i ogoliwszy, przystą-
piliśmy do narady z gospodarzami co do dalszej podróży. Oczy-
wiście nie można było puszczać się dalej w naszych austriackich
mundurach. Dom jednak był obficie zaopatrzony w płaszcze, pa-
pachy i mundury rosyjskie, które można było dostać za grosze,
lub z goła brać za darmo w czasie dzikiej demobilizacji armii
rosyjskiej. Chłopcom miejscowym podobały się zaś niezmiernie
nasze austriackie płaszczyki z cienkiego stosunkowo sukna oraz

szeniurowane buciki, które nam chętnie zamienili na rosyjskie długie buty, ogromne płaszcze i papachy. Podjęli się też odwiedzić nas końmi do Płoskirowa, pod warunkiem, że ruszać musimy zaraz, aby nasz woźnica mógł przed nocą do domu wrócić. Tak też uczyniliśmy, podziękowawszy serdecznie naszym gospodarzom i obdarzwszy kieszonkowymi drobiazgami dzieci. O zaofiarowanym wynagrodzeniu pieniężnym pocziwi ludzie nawet słuchać nie chcieli.

Ruszyliśmy więc parą dobrych koni i wasążkiem do Płoskirowa. Dzień był piękny, drogi puste — jak nas poinformował wiozący nas syn gospodarza — wszyscy siedzieli w domu i bali się ruszać, bo w dniu wczorajszym rozeszła się wiadomość, że niemieckie i austriackie wojska ruszyły naprzód w kierunku Dniepru i nikt nie wie co też będzie dalej, ale wszyscy się spodziewają, że będzie jakaś nowa władza i porządek.

W Płoskirowie woźnica nasz spotkał od razu znajomego Żydka, od którego dowiedział się, że w mieście rządzi milicja, że komendantem jest pan Królikowski, który dobry porządek trzyma, dobrych ludzi broni, a złych w mordę bije. Pod wskazanym adresem zastaliśmy rzeczywiście wąsatego jegomościa, z potężną szablą u boku i naganem u pasa, oraz z bardzo kształtnym z tektury wyciętym orzełkiem na czapce. Temu powiedzieliśmy wprost kto jesteśmy, poprosiliśmy o opiekę i pomoc w dalszej podróży. Skierował nas z karteczką od siebie do hotelu, wskazał restaurację, w której możemy się pożywić powoławszy się na niego i obiecał, że za kilka godzin gdy się zwolni z bieżących obowiązków, przyjdzie do nas i wszystko się załatwi.

Umieściliśmy swe rzeczy w pokoju hotelowym, udaliśmy się do restauracji. Nad każdym stolikiem widniały drukowane zapowiedzi, że nie wydaje się reszty z banknotów tysiąc i dwa tysiące pięćset rublowych, czyli innymi słowy, że się takowych nie przyjmuje. Okazało się, że jesteśmy uprzywilejowani, posiadając stare carskie pieniądze, nie zaś wyżej wspomniane grube „kierenki”, lub też arkusze drobnych banknotów rządu tymczasowego; chociaż te ostatnie przyjmowano z konieczności wobec braku jakiegokolwiek bilonu. Kończyliśmy właśnie obiad, gdy przybył obywatel Królikowski. Dowiedzieliśmy się od niego definitywnie, że wojska austriackie i niemieckie ruszyły transportami kolejowymi i szosami na wschód i na południe; Niemcy na Kijów, Austriacy w kierunku Odessy, obsadzając co większe i ważniejsze miasta i zostawiając na razie miejscową administrację, a raczej tylko służbę bezpieczeństwa takim czy innym komitetem przez kogośkolwiek zorganizowanym. W miasteczkach, jak Płoskirów, najczęściej Polacy sprawowali władzę przez ochotniczą milicję,

z udziałem Żydów. Poza miasteczkami we wsiach żadnej władzy w ogóle nie ma, panuje zupełna anarchia, spory rozstrzygane są z bronią w ręku, jedyną rękojmą bezpieczeństwa jest karabin. Przed kilku dniami wszystkie drogi były zajęte gromadami i watahami uzbrojonych ludzi, zajmujących na noc przemocą kwatery po wsiach, toczących częstokroć walki między sobą i rabujących bez miłosierdzia podróżnych, jeśli tylko mieli cokolwiek wartościowego przy sobie, lub na sobie. Ostatnio, w obawie przed maszerującymi wojskami, uspokoiło się nieco. Drogi opustoszały, bandy przycupnęły w lasach lub po chutorach. Noce są w dalszym ciągu niebezpieczne, ale w dzień można się poruszać raczej swobodnie. Jednakże poza miejscowymi sprawami Królikowski niewiele mógł nam powiedzieć. Wiedział oczywiście, że poważne siły zorganizowanego wojska polskiego znajdują się gdzieś w okolicy Bobrujska, pod dowództwem generała Dowbora; że jakoby w Odessie są również polskie siły; że drobne oddziały są rozproszone tu i ówdzie na całej przestrzeni w kierunku aż do Dniepru i że postara się przez Żydków miejscowych, którzy jak zawsze mają swoją pantoflową pocztę, ustalić gdzie możemy znaleźć najbliższy polski oddział. Ze swej strony, wyłożyliśmy Królikowskiemu sytuację polityczną międzynarodową i polską specjalnie, po czym poddał się on całkowicie pod nasze rozkazy i przyrzekł zorganizować niezwłocznie wszelką możliwą pomoc dla dalszej podróży.

Następnego dnia rano zameldował się z informacją, że najbliższy oddział kawalerii polskiej znajduje się z całą pewnością w miasteczku Chmielnik. Zdecydowaliśmy więc na natychmiastowe wyruszenie do owego Chmielnika. Królikowski dał nam do dyspozycji dwukołowy wózek, używany przez sanitarną służbę armii rosyjskiej; trzy konie, różniące się o parę piędzi wzrostem jeden od drugiego; wobec deszczowej pogody załadowaliśmy na ten wózek olbrzymią plandekę, używaną do przykrycia wielkich dział, pod nią wsunęliśmy nasze plecaki i pół tuzina granatów ręcznych na wszelki wypadek i po dobrym śniadaniu ruszyliśmy naprzód szerokim traktem podolskim.

Przypuszczaliśmy początkowo, że zdołamy przebyć nasz najbliższy etap w ciągu jednego dnia; wkrótce jednak zrezygnowaliśmy z tego. Szeroki, gliniasty trakt, przez odwilż i przemarsz wojsk przed kilku dniami, został przekształcony w rzekę błota. Nasze nieszczęsne chabety nie były w stanie ciągnąć naszej dwukółki wraz z nami, a nawet gdy już zeszliliśmy i brnęliśmy w błocie obok wózka po paru godzinach i tego było dla naszych skapin za dużo. Zaczęły nam ustawać. Okazało się tedy, że mamy przed sobą nie jazdę, lecz marsz pieszy i że będziemy musieli

gdzieś po drodze zanocować. Droga była rzeczywiście prawie pusta; od czasu do czasu widzieliśmy z daleka poszczególnych ludzi, którzy jednak odchodzili daleko w pole na nasz widok. Raz czy drugi spotkaliśmy większą gromadę, z którą mijaliśmy się, nieufnie oglądając się wzajemnie, z rękami w kieszeniach na rękojeści rewolweru.

Jeden z naszych koni wkrótce zakulał. Zatrzymaliśmy się przy kuźni przydrożnej, obok zgłiszcz spalonej wioski. Kowal zgodził się przekuć konia, upewniwszy się przedtem że zapłatę otrzyma w carskich rublach nie w kierenkach. Chcieliśmy kupić owsa, by konie podkarmić; kowal początkowo wzruszył ramionami, oświadczając, że dawno owsa w tej okolicy nikt nie widział. Gdy jednak, widząc stajnię przy kuźni, z której dochodziły parskania koni, nalegaliśmy, oświadczył że mógłby ostatecznie sprzedać nam pud owsa za trzydzieści rubli. Suma była poważna, więc naradziwszy się między sobą, postanowiliśmy sprzedać jednego z naszych koni, sądząc że w ten sposób otrzymamy pokrycie na parę pudów owsa. Kowal zaśmiał się, wyprowadził nas z kuźni i wskazał ręką na otaczające pola; rozejrzawszy się, zobaczyliśmy w polu widzenia co najmniej z dziesięć koni włóczących się, lub leżących na oziminach zaś przyjrawszy się bliżej, dojrzelismy mniej więcej tyle samo trupów końskich. „To jeszcze z czasów demobilizacji 13-tej armii”, powiedział nam kowal. „Co lepsze to ludzie powyłapywali, a resztę zostawili właśnie dlatego, że paszy nie ma. Może gdzieś dalej po drodze znajdziecie kupca na konia, ale nie liczcie, żeby wam dali więcej jak 15 rubli za tego najlepszego z waszych. A te dwa gorsze, to możecie panowie od razu puścić w pole!”. Cena konia równająca się cenie pół puda owsa zadziwiła nas niepospolicie, ale cóż było robić. Z liłości nad biednymi stworzeniami zafundowaliśmy im pud owsa na przekąskę i ruszyliśmy dalej.

Droga była męcząca straszliwie. Za każdym krokiem nogi wchodziły w glinę powyżej kostek. Musieliśmy iść tuż przy koniach, bo inaczej ustawały; pod każdą górkę musieliśmy pchać nasz wózek, a od czasu do czasu obierając koła z oblepiającej je masy gęstej gliny. Bryzgające spod kopyt końskich błoto opryskiwało nas od stóp do głów i musieliśmy co chwila obcierać twarze i oczy zachłapanne błotem. O zmroku dowlekliśmy się do jakiejś dużej wsi, stosunkowo zamożnie wyglądającej. Jadąc przez nią powoli, nasłuchiwalismy uważnie głosów wybiegających z chat na drogę dzieci. Usłyszeliśmy w końcu język polski. Zboczyliśmy więc w podwórze i poprosiliśmy o nocleg. Z niebardzo otwartymi ramionami nas przyjęto, może jednak nie tyle gościnność, ile ciekawość wiadomości ze świata spowodowała, że nas wpuszczono.

Wieś była mieszana — polsko-ukraińska. Wiadomość o przybyciu Polaków ze świata rozeszła się najwidoczniej błyskawicznie, gdyż ledwie zdążyliśmy wyprzęgnąć konie, opłukać się nieco i oskrobać z błota, a już zaczęli się schodzić gospodarze z sąsiedztwa, którzy zasiadali uroczyście na ławach, szykując się do rozprawy i usłyszenia o tym, co się dzieje na szerokim świecie. Zostaliśmy gościnnie nakarmieni, ba, nawet konie nasze miały przed sobą obficie zasypane żłoby.

Przez parę godzin musieliśmy opowiadać o wojnie, o jej przypuszczalnym zakończeniu, czy i kiedy nastanie jakiś porządek i czy naprawdę może być Polska i w jakich granicach. O sytuacji miejscowej świadczyły charakterystyczne symptomy: gdy tylko noc zapadła jeden z parobczaków wziął karabin z kąta, załadował go uważnie i wyszedł patrolować koło obejścia. Po godzinie wrócił i oddał karabin innemu, który go zastąpił. Zaś przez cały czas toczących się rozmów jeden z synów gospodarza stał w kącie izby i ostrzył na toczydle siekierę, od czasu do czasu podchodząc do światła, oglądając ostrze uważnie i szlifując je jeszcze dodatkowo ręczną osełką. Zapytałem po cichu siedzącej koło mnie gospodyni, co też ten proceder oznacza, czy chłopak wybiera się może po drzewo do lasu. Odpowiedziała mi na to, że nie, że natomiast Józiuk ma jutro sprawę z sąsiadem o graniczną łączkę. „Po coś w sądzie siekiera”, zapytałem „Jakiż tam sąd teraz — odpowiedziała mi. „Toż nie ma ani sądów, ani żadnej władzy; będą się nasi chłopcy z Siemionowymi bić”. Całe to przygotowanie do sądu Bożego o łąkę było najwidoczniej przez wszystkich obecnych traktowane jako rzecz zwyczajna.

Wkrótce nie byliśmy już zdolni do dalszych rozmów, zbyt byliśmy zmęczeni i niewyspani. Na drugi dzień wczesnym rankiem, wypoczęci i nakarmieni udaliśmy się w dalszą drogę. Cały dzień upłynął na zmaganiu się z błotem, pod wieczór jednak zobaczyliśmy z góry upragniony Chmielnik, małą miejscinę, nad którą dominowało wzgórze, uwieńczone jakąś fortalicją z resztkami murowanej baszty. Przy wjeździe do miasteczka zobaczyliśmy z radością dwóch żołnierzy z orzełkami na czapkach; kontrolowali oni najwidoczniej ruch drogowy. Wskazali nam którądy dojechać do kwatery dowództwa, mieszczącego się właśnie w owej fortalicji. Wciągnęliśmy z trudem resztkami sił naszych i naszych koników swój wózek krętą drogą nad szczyt wzgórza i przez obstawioną wartą bramę dotarliśmy do naszego upragnionego celu. Z prawdziwym głębokim wzruszeniem wchodziliśmy do sklepionej komnaty, w której po raz pierwszy spotkać mieliśmy braci oficerów polskich, po drugiej stronie frontu.

Ze zdziwieniem spojrzął na nas rotmistrz, dowódca oddziału,

na nasze papachy i oblepione błotem postaci. Gdy jednak wymieniliśmy nasze szarże legionowe i powiedzieliśmy skąd i po co przybywamy, przywitał nas z całą serdecznością, dla podkreślenia której kazał wezwanemu wachmistrzowi dostarczyć za wszelką cenę butelkę wódki. Zjawiła się też ona za chwilę wraz z prymitywną przekąską. Było to pierwsze w moim życiu spotkanie z tak zwanym samogonem. Był to trunek w całym tego słowa znaczeniu piekielny. Miał jednak w tym momencie swe niezaprzeczalne symboliczne znaczenie. Zjawili się po chwili jeszcze dwaj oficerowie, podporucznicy, zasiedliśmy nad misą jajecznicy z kiełbasą, godną wachmistrza Soroki i potoczyła się rozmowa. Wkrótce spostrzeżliśmy, że nie trafiliśmy zbyt szczęśliwie. Nasi koledzy nie odznacжали się ani szczególną inteligencją, ani orientacją w sprawach publicznych, w elementarnym nawet zakresie. Wiadomości ich były mgliste i niejasne; nie mogliśmy ustalić pod czym oddział jest dowództwem i do jakiej formacji należy. Najwidoczniej zebrali garść żołnierzy Polaków, zakwaterowali się tutaj i żyli z dnia na dzień. Dowiedzieliśmy się tyle tylko, że wojska niemieckie przeszły dalej na wschód, że do nich tu się nikt na razie nie wtrąca, że takich Polaków, którzy by coś wiedzieli o polityce i przebiegu zdarzeń, możemy chyba znaleźć nie bliżej niż w Winnicy, lub Żytomierzu. Zjadliwy samogon uderzył nam do głowy, oczy smarowane od dwóch dni błotem paliły, poszliśmy więc spać na gościnnie zaścielonym w tejże izbie sianie, odkładając dalsze plany i decyzje na dzień następny.

Czułem się jak w gorączce. Spałem niespokojnie; obudziłem się raz słysząc podniesione głosy w pokoju i otworzywszy na chwilę oczy zobaczyłem scenę, która mi się bynajmniej nie podobła. Przed rotmistrzem stał wachmistrz w bynajmniej nie służbowej pozycji i najwyraźniej toczyła się między nimi jakaś kłótnia. Na stole leżała kupa banknotów, a na niej — jak mi się zdawało — jakieś pierścionki i portmonetki. Zmęczone oczy opadły mi po chwili. Dwa razy jednak jeszcze w ciągu tej nocy obudziły mnie serie karabinu maszynowego oddane gdzieś blisko, jak gdyby z dachu naszego budynku. Rano postanowiliśmy ruszyć do Winnicy. Chcieliśmy jednak zmienić nieco nasz żołdacki wygląd, oraz przepakować nasze rzeczy, z rzucających się w oczy austriackich plecaków wojskowych do jakichś cywilnych torb, czy walizek.

Uprzejmy rotmistrz dowiedziawszy się, że planujemy wycieczkę do miasteczka po zakupy, dodał nam eskortę w postaci uzbrojonego podoficera, zapewniając że inaczej nie można. Przy pomocy tegoż podoficera zakupiliśmy u Żyda czapnika dość ohydne, ale cywilne czapczyska, aby się naszych papach pozbyć, gdzie

indziej znowu dostaliśmy dwie czy trzy stare walizeczki; wreszcie wyszukaliśmy krawca, któremu zaproponowaliśmy dobrą zapłatę, jeśli nam do południa przykroi jakoś nasze wojskowe płaszcze na mniej więcej cywilną modłę. Krawiec początkowo słuchać nie chciał o tak krótkim terminie naszego obstalunku, ale nasz podoficer wziął go do kąta i odbył z nim najwidoczniej przekonującą rozmówkę, bo biedny Żydowina oświadczył nam, że sprowadzi swoich czeladników i że na południe płaszcze będą gotowe.

Chcąc porozmawiać swobodnie, odprawiliśmy naszego podoficera, mimo że obstawał przy konieczności towarzyszenia nam, „bo w miasteczku niespokojnie”, wpłaciliśmy krawcowi pieniądze i znowu zauważyliśmy że nabrał lepszego humoru, zobaczywszy carskie banknoty a nie kierenki. Podoficerowi kazaliśmy odebrać nasze płaszcze, gdy będą gotowe i odnieść do kwatery.

Przechodząc przez rynek, zauważyliśmy porządnie wyglądającą bryczkę, zaprzęgniętą w parę stosunkowo dobrych koni, koło której stało trzech młodych ludzi, rozmawiających z furmanem po polsku. Wygląd tych młodzieńców budził zaufanie, tak że podeszliśmy do nich, prosto z mostu oświadczyliśmy kim jesteśmy i poprosiliśmy o informacje i wskazówki. Przypadek sprawił, że trafiliśmy doskonale, byli to bowiem chłopcy należący do organizacji narodowej, dobrze poinformowani i udający się właśnie w drogę do 1-go Korpusu, do Bobrujska. Utwierdzili nas w zamiarze udania się do Winnicy, a co ważniejsze, dali nam adres adwokata w Winnicy, który jest seniorem tamtejszej Polonii, a którego syn — harcerz — udzieli nam wszelkiej dalszej pomocy. Okazało się też, że konie którymi tu przybyli wracają do Winnicy i mogą nas tam zawieźć. Powiedzieli nam też, żebyśmy opuścili Chmielnik, a szczególnie naszą kwaterę bez zwłoki, a w każdym razie przed nocą, gdyż oddział polski w którym znaleźliśmy gościnę jest jednym z tak zwanych „dzikich” oddziałów, niezwiązanych z żadną z polskich formacji i żadnym wyższym dowództwem, że poczynają sobie tutaj nieco na wzór panakmicicowej kompanii, że ludność okoliczna ma ich dosyć i pierwszej lepszej nocy, może już najbliższej, uzbrojone chłopstwo gotowe jest przypuścić szturm do fortalicii chmielnickiej. Inne informacje, udzielone nam przez nich okazały się tylko częściowo prawdziwe; poinformowali nas bowiem — ku wielkiej naszej konsternacji — że gen. Dowbor poddał się Radzie Regencyjnej i wszedł w układy z Niemcami. Dodali też, co jak się okazało nie było prawdą, że gen. Dowbor został złożony z dowództwa, które objął płk Żeligowski.

Podziękowawszy serdecznie naszym nieocenionym informa-

torom, umówiliśmy się z ich woźnicą, że zaraz po dwunastej przyjedzie po nas pod fortalicję i ruszymy do Winnicy. Tak też się stało. Pożegnawszy naszych gospodarzy, oczyszczeni, umyci i przybrani w sposób nie budzący szczególnej uwagi, opuściliśmy Chmielnik, oglądając się mimo wszystko nie bez sentymentu na starą forteczkę na wzgórzu z jej basztą, której nie do twarzy było z ciężkim karabinem maszynowym, spozierającym ponuro na otaczające miasteczko. Zmieniały się w tej forteczce przed wiekami załogi polskie i tureckie; służyła potem konfederatom barskim i powstańcom z partii Różyckiego. Oto znowu ma załogę z orłami polskimi na czapkach, choć może niezbyt fortunnie dobraną. Co jeszcze oglądać będzie w najbliższej przyszłości?

Rzeźkimi końmi, z rozmownym i wesołym furmanem dotarliśmy w kilka godzin do Winnicy. Po koszmarnych warunkach naszej poprzedniej podróży rozpieraliśmy się na wygodnym siedzeniu naszej bryczki, jak dziedzice.

Pod wskazanym adresem, w miłym mieście Winnicy, przyjął nas zapowiadziany młody i zuchowaty skaut, żywy i ujmująco sympatyczny. Dowiedzieliśmy się, że kolej i stacja w Winnicy są obsadzone przez Austriaków i że właśnie uruchomiony już został ruch pasażerski, z tym tylko, że dla ludności cywilnej kursują prawie wyłącznie towarowe wagony, w których miejsce trzeba zdobywać szturmem. Po krótkiej naradzie zdecydowaliśmy się rozstać z Lisem i Schaetzlem. Ja uważałem za konieczne jak najprędzej dostać się do Kijowa i objąć komendę P.O.W., Lis i Schaetzel natomiast mieli poszukać kontaktu z wojskiem polskim, bardziej miarodajnego niż chmielnicki.

Odprowadzono mnie na dworzec kolejowy i po niedługim stosunkowo czekaniu nadszedł pociąg idący do Kijowa. Towarowe wagony były istotnie wypełnione szczelnie; w rozsuniętych drzwiach siedzieli ludzie z opuszczonymi na zewnątrz nogami, w papachach i płaszczach wojskowych, witający każdego zbliżającego się kandydata na pasażera zapewnieniami, że nie ma miejsca, a w razie nalegania niedwuznacznym machaniem ciężkich butów pod nosem, podczas gdy z głębi wagonu rozlegały się zgoła nieprzystojne aluzje, dotyczące matki i najbliższej rodziny natręta. Chciałem już machnąć ręką i czekać na następny pociąg, gdy nagle przypomniałem sobie, że pocziwy Królikowski poczęstował mnie na pożegnanie w Płoskirowie kilkoma paczkami papierosów, i zaręczył mi, gdy go zapewniałem, że nie palę, że mogą się bardzo przydać, bo o papierosy trudno. Poczęstowałem więc strzegących wejścia mołojców papierosami, a gdy z głębi wagonu wyciągnęło się więcej spragnionych rąk, rzuciłem całe pudełko

do środka, wyciągając z kieszeni następne. To podziało. „*Pustejewo*”, rozległy się głosy i buciory siedzących we drzwiach przestały zagrażać memu nosowi. Wpakowałem się do środka i mimo rzeczywistego przepełnienia ci, którzy kurzyli już mój tytoń, ścisnęli się jakoś opróżniając dla mnie miejsce i to nawet honorowe, bo pod ścianą. Potyczka była wygrana, miałem przed sobą Kijów, jako najbliższy etap.

Drżąc po trochu, przysłuchiwałem się jednak toczonym obok rozmowom. Towarzystwo, a przynajmniej ci, którzy się wypowiadali, było najwyraźniej bolszewickie. Wynosili się na wschód, za Dniepr, chcąc się wydostać z obszaru zajmowanego przez Niemców i Austriaków. Nie wiedzieli dokładnie gdzie się obszar zaczyna; toczyli spory na temat traktatu brzeskiego i słynnej formuły Trockiego: „*Ni wojny — ni mira*”. Jedni twierdzili, że za Dnieprem znajdują się już wśród swoich, drudzy — najwiśdoczniej lepiej poinformowani, mówiący z dużą swadą i wyrobieniem — przewidywali, że Niemcy będą się pchać aż do Kaukazu i że po przekroczeniu Dniepru trzeba się będzie wziąć na północ, ku Moskwie.

Minęliśmy o świcie Żytomierz, gdzie zauważyłem na stacji mundury niemieckie i, co mnie bardzo zaniepokoiło, przekonałem się, że legitymują ludzi przy wyjściach z peronu, zaś osobników w papachach i szynelach wojskowych, którzy próbują wyjść, Niemcy bezceremonialnie zaganiają z powrotem do pociągu. Doszedłem do przekonania, że prawdopodobnie dlatego otworzyli bez przeszkód ruch pasażerski na wschód, żeby się pozbyć najbardziej niepożądanego elementu z terenu przez siebie okupowanego; wcale zaś nie mają zamiaru transportować tego elementu z miejsca na miejsce w obrębie swej władzy. Zacząłem się więc zastanawiać jak też to będzie w Kijowie, nie miałem bowiem literalnie nic, czym mógłbym się wylegitymować. Austriacki dokument podróży oczywiście spaliliśmy zaraz po przekroczeniu frontu. Zacząłem żałować, że nie zaopatrzyłem się w jakikolwiek pozór dokumentu osobistego w Winnicy i jako stary konspirator zbłądziłem się, nie przewidując sytuacji w jakiej mogę się znaleźć na dworcu w Kijowie. Zastanawiałem się poważnie, czy — jeśli w Kijowie zajdzie to samo co widziałem w Żytomierzu — nie zostać w pociągu i wędrować na ślepo za Dniepr, gdzie nie mogłem znaleźć żadnego oparcia. Co zaś do Kijowa to rozporządzałem tylko jednym nazwiskiem tamtejszego komendanta P.O.W. nie znałem nawet jednak jego adresu. Wiedziałem, że był dyrektorem banku, ale nie wiedziałem jakiego; nie miałem zresztą żadnej pewności, czy nie opuścił Kijowa, lub nie stracił życia w czasie tragicznych losów tego miasta w ostatnich miesią-

cach. Na szczęście, nie zaniedbałem w Winnicy poprosić Ołtarzewskiego — tak się nasz miły skaut nazywał — o jakiś adres kogoś znajomego w Kijowie, do którego mógłbym się udać, jeśli Komendy P.O.W. nie odnajdę. Dostałem adres pana Józefa Korzuchowskiego, sekretarza Polskiego Komitetu Międzypartyjnego (przedstawicielstwo obozu Romana Dmowskiego).

Żaden z moich ewentualnych punktów oparcia nie nadawał się — rzecz prosta — do legitymowania się wobec żandarmów niemieckich; niepokój mój więc wzrastał. Postanowiłem jednak spróbować szczęścia. Gdy pociąg zatrzymał się na dworcu kijowskim i znaczna część pasażerów zaczęła się tłoczyć do wyjść, zatrzymałem się na peronie i przyjrzałem się sytuacji. Jak się należało po niemieckiej metodyczności spodziewać procedura była taka sama jak w Żytomierzu: od wychodzących żądano legitymacji bez specjalnego ich badania, jeśli chodziło o ludzi ubranych po cywilnemu; natomiast szynele i papachy były po prostu odpędzane brutalnie bez żadnej dyskusji. Żandarmi wskazywali gestami powrót do pociągu. Udałem zupełny brak zainteresowania tym co się dzieje przy wyjściu; wolnym krokiem przesunęłem się na drugi koniec peronu, przysiadłem na ławce, powoli otworzyłem swą walizkę, wyjąłem i włożyłem do kieszeni niewielki neseser podróżny, zaś resztę, to jest trochę bielizny i zapasowe buty, zostawiłem i zapaliwszy papierosa, zacząłem spokojnie spacerować, rozglądając się za jakimś możliwym wyjściem. Spostrzegłem wkrótce furtkę prowadzącą wprost na plac przed dworcem, która jednak była przymknięta i pilnowana przez Niemca. Chwilę później, w gromadzie tłoczącej się do wyjścia ze stacji, zaczęła się awantura: żandarmi niemieccy puścili w ruch kolby karabinów, rozległy się krzyki i przekleństwa; wartownik, pilnujący bramki, na której moje nadzieje spoczywały, opuścił swój posterunek i biegiem ruszył w tamtym kierunku. Szybkim ruchem wzdłuż ściany dworca przesunąłem się do bramki znalazłem się za nią, pozostawiając moją walizkę na peronie. Tuż obok oczekiwało kilku *izwoszczyków*, wsiadłem i kazałem się wieźć na ulicę Prorezną, numer 17. Nikt mnie nie zatrzymał, byłem wolny w Kijowie.

Gdy zadzwoniłem do mieszkania Józefa Korzuchowskiego na ulicy Proreznaj, służąca która otworzyła mi drzwi powiedziała mi, że ani pana ani pani w domu nie ma i nie miała najmniejszej ochoty wpuścić mnie do środka. Moja czapczyna z Chmielnika, sukienny worek udający palto, z grubsza tylko oskrobane z błota buty najwyraźniej nie budziły w niej zaufania. Jednakże przez uchylone drzwi zobaczyłem w głębi szeroko otwarte drzwi do czystutkiej i lśniącej łazienki. Ten widok wzbudził we mnie

tak nieodpartą tęsknotę, że niemal siłą wdarłem się do środka i oświadczyłem przestraszonej służącej, że będę na państwa czekał; po czym zakwaterowałem się w łazience, rozłożyłem szczęśliwie uratowany neseserek, otworzyłem krany i zafundowałem sobie upragnioną kąpiel. Służąca tymczasem, zaniepokojona tą inwazją, zatelefonowała do swego pana, relacjonując mu całą przygodę. Korzuchowski, dowiedziawszy się że przybysz nie jest służącej nawet z widzenia znany i wiedząc że w jego gabinecie rozłożone są różne poufne dokumenty, przeraził się nie na żarty i natychmiast przyjechał do domu, zdecydowany pozbyć się intruza. Ale — jak mi później opowiadał — gdy otworzył drzwi od łazienki i zobaczył jegomościa, spoczywającego beztrząsco w wannie i szorującego sobie szczotką paznokcie, widok ten rozbroił całkowicie wszelkie podejrzenia. Istotnie trudno było podejrzewać szpiega, czy złodzieja o takie zachowanie. Rozchmurzył więc groźnie nastawione oblicze, zostawił mnie w łazience dla dokończenia mej toalety i po krótkiej chwili odbyliśmy całkiem przyjazną rozmowę, w której powiedziałem mu o sobie wszystko, wytłumaczyłem w jaki sposób dostałem jego adres, zaś od niego otrzymałem z ulgą wiadomość, że dyrektor Bromirski żyje i jest w Kijowie; Korzuchowski wiedział, że jest on głową miejscowych piłsudczyków i dał mi adres zarówno banku jak i jego mieszkania. Znalazłem się więc na równej drodze, po której mogłem się już bez trudu posuwać dalej.

Tegoż dnia nawiązałem kontakt z Bromirskim, znanym od wielu lat w szeregach P.P.S. a potem P.O.W., obywatelem Jodem; zaprosił mnie na wieczór do siebie. Odbyliśmy długo w noc posuniętą rozmowę, w której poinformowałem go o rozwoju wypadków od chwili wybuchu wojny, o polityce Komendanta i wynikających z niej wskazań na sytuację obecną. Dla pozyskania pełnego zaufania Bromirskiego, dopomogły mi bardzo opowiadania Komendanta z czasów jego pobytu w Kijowie, szczegóły jego ówczesnych prac i drobiazgi dotyczące wszystkich ludzi z jego otoczenia, które Bromirski znał i które mogły go najlepiej przekonać, że jestem prawdziwym i bliskim współpracownikiem Piłsudskiego. Jeśli bowiem chodzi o zwrot w polityce Piłsudskiego w roku 1917, o zajęcie przez nas frontu anty-niemieckiego i w konsekwencji, znalezieniu się w walce z Radą Regencyjną i obozem aktywistycznym, to Bromirski, jak cały szereg innych peowiaków i polityków Obozu Niepodległościowego w Rosji, był zdezorientowany. Przyczyniły się do tego zarówno instrukcje Kunowskiego przekazane mu przez kierowników P.O.W. w Petersburgu, jak i stare przyzwyczajenie prowadzące do automatycznego przeciwstawiania się wszystkiemu, co robi Obóz Demokra-

tyczny. Bromirski przyznał mi się później, że w szczególności to, że odnalazłem go za pośrednictwem Józefa Korzuchowskiego, sekretarza Koła Międzypartyjnego, nastawiło go raczej nieufnie do mojej osoby jako rzekomego emisariusza obozu piłsudczyków z Warszawy. Toteż dopiero po dobrych kilku godzinach rozmowy stanął przede mną na baczność i poddał się pod rozkazy moje, jako Naczelnego Komendanta P.O.W. i pełnomocnika Konwentu na ten teren.

Następne dni kilka spędziłem na rozmowach z wskazanymi mi przez Bromirskiego ludźmi, należącymi do P.O.W. oraz do P.P.S. miejscowej. Objęcie kierownictwa nie przyszło mi łatwo. Wśród peowiaków spotkałem nastawienie, które mi przypominało znany z opowiadań Komendanta i Sławka okres pierwocin organizacji bojowej P.P.S. Zasady dyscypliny wojskowej, wprowadzone przez nas w P.O.W. na terenie kraju od pierwszej chwili, były tu nieznane; Bromirski, który był człowiekiem niezmiernie prawym, ideowym i w sprawach politycznych niewątpliwie wyrobionym, był jednak zupełnym cywilem i P.O.W. też prowadził cywilnymi metodami. Byłem zaskoczony, chwilami nawet rozbawiony, ale częściej zirytowany, gdy wskazani mi przez Bromirskiego jego najbliżsi współpracownicy w organizacji, na pierwszych moich z nimi odprawach, odpowiadali na moje dyrektywy i wskazania długą dyskusją, z nogą założoną na nogę i papierosem w zębach. Musiałem w radykalny sposób zmienić te obyczaje, stawiając moich rozmówców na baczność i w ostry sposób nakazując zachowanie form dyscypliny wojskowej. Byli tym zaskoczeni, ale poddali się. Wkrótce potem zauważyłem, że im się nawet te nowe formy wcale podobały.

Mimo to jednak — aż do końca mego pobytu na ukraińskim terenie niektórzy — nawet wybitni peowiaci odsunęli się od współpracy i dopiero po szeregu miesięcy przystąpili do niej, przekonawszy się, że przywiezione przeze mnie kierunek i metody nie są żadną herezją, ani moim osobistym wymysłem. Było wśród nich kilku, którzy potem zostali wybitnymi działaczami naszego obozu i zajęli wysokie stanowiska w służbie państwowej. Jeszcze po wielu, wielu latach mogłem zauważyć u nich głębokie zażenowanie, gdy wspominaliśmy te czasy.

Rozmowy z działaczami P.P.S., młodszymi od Bromirskiego, skończyły się zupełnym niepowodzeniem. Ci w żaden sposób nie mogli strawić faktu, że w momencie ówczesnym mamy współdziałać z obozem Romana Dmowskiego. Ani fakt uwięzienia Piłsudskiego i Sosnkowskiego, ani moje powoływanie się na obecność P.P.S. krajowej w Konwencie, nie miało dostatecznej siły

przekonywującej. Musiałem tedy machnąć ręką na ich boczenie się wobec wprowadzonego przeze mnie nowego kursu i zająłem się reorganizacją P.O.W., nastawieniem jej na działania bojowe i dywersyjne przeciw państwom centralnym.

Wkrótce wrócił do Kijowa Schaetzel, który objął stanowisko Szefa Sztabu Komendy Naczelnej P.O.W. na Ukrainę i Rosję i wziął na siebie główną część pracy organizacyjnej, co zostawiało mi czas na działalność polityczną. Lis-Kula pozostał w I-szym Korpusie. Wkrótce nawiązałem z nim ścisłą łączność.

Natychmiast po przyjeździe do Kijowa, przy pomocy Korzuchowskiego załatwiłem „legalizację” swego pobytu w Kijowie. Skierował on mnie do prezesa Komitetu Polskiego w Kijowie p. Moskalewskiego, późniejszego wojewody lubelskiego w wolnej Polsce, który korzystając z uprawnień pozostawionych mu przez władze okupacyjne, wystawił mi paszport pod wybranym przeze mnie nazwiskiem i imieniem Stanisława Zaleskiego. Przy tej sposobności przeprowadziłem z p. Moskalewskim długą rozmowę na temat stosunków w kraju, polityki Piłsudskiego i jego obozu ze szczególnym uwzględnieniem stosunku do Rady Regencyjnej i obozu aktywistycznego. Istota rzeczy w tej dziedzinie była wciąż jeszcze mało znana po wschodniej stronie dawnego frontu. Rzeczy te jednak stały się szczególnie aktualne wobec rozciągnięcia wpływów polityki aktywistycznej i utworzenia placówek Rady Regencyjnej na tym terenie. Z faktu, że Piłsudski i obóz niepodległościowy, zaś po ostatnim przejściu II-ej Brygady Legionów pod Kaniów, całość Legionów zajęła front anty-niemiecki — nie zdawano sobie tutaj sprawy. Rozmowa z Moskalewskim najwidoczniej została przezeń uznana za ważną, gdyż w kilka dni potem w jego mieszkaniu odbyło się posiedzenie Komisji Porozumiewawczej Koła Międzypartyjnego, na które zostałem zaproszony, dla wygłoszenia referatu o sytuacji politycznej w kraju. Spotkałem tam najwybitniejszych przedstawicieli obozu Romana Dmowskiego z p. Jerzym Zdziechowskim i J. Bartoszewiczem na czele. Celem mego referatu było nie tylko przedstawienie sytuacji, lecz i stwierdzenie, że zaistniał wspólny front między nami, z jednym nieprzyjacielem zewnętrznym, tj. z państwami centralnymi i ze wspólnym przeciwnikiem wewnętrznym, tj. obozem aktywistycznym. Zauważyłem, że szczególne zainteresowanie wśród zebranych wzbudziła moja pewność, iż wojna zakończy się klęską Niemców i Austrii, a zwycięstwem koalicji. Było zjawiskiem dość paradoksalnym, że tezę tę głosił wobec przedstawicieli Komitetu Narodowego oficer I-szej Brygady. To zagadnienie odgrywało ogromną rolę w ukształtowaniu poglądów i postępowania Polaków, zarówno cywilnych jak wojskowych na terenie dawnej

Rosji. Zachwiała się i właściwie upadła pierwotna wiara w zwycięstwo koalicji. Ludzie, którzy patrzyli na klęskę militarną potęgi rosyjskiej, a następnie na rozkład i anarchię rewolucji, doszli do przekonania, że Niemcy którzy dotychczas zwyciężali w walce na dwa fronty, mają zapewnione właściwie zwycięstwo z chwilą, kiedy przestał istnieć front wschodni, wiążący choćby przez samą swą rozległość olbrzymie siły niemieckie i austriackie. W sferach politycznych, mających aż do zwycięstwa bolszewików kontakt z Zachodem, wiedziano lepiej niż w kraju o ogromnych stratach francuskich i o momentach zupełnego zachwiania się dyscypliny w armii francuskiej. Wiedziano też o mizernej wartości bojowej armii włoskiej, która utrzymywała front właściwie tylko dzięki pomocy francuskiej. Przy całej więc sympatii dla aliantów zachodnich i zaufaniu do polityki Romana Dmowskiego z trudem ukrywano upadek wiary w zwycięstwo. Drugim czynnikiem, osłabiającym siłę obozu narodowego na wschodzie, była obawa przed grozą bolszewizmu. W porównaniu z tym co się działo na terenie Rosji Niemcy i Austriacy wydawali się raczej zbawieniem i ostoją i warszawska Rada Regencyjna mimo wiedzy, że jest ona pozbawiona wszelkiej istotnej władzy, nabierała pozorów zbawiennego autorytetu. Wśród wojska, a w szczególności wyższych oficerów, którzy przeżyli z bolszewizowaniem armii rosyjskiej, bolszewizm właśnie zarysowywał się jako wróg główny i najgroźniejszy. Żywiono jeszcze pewne nadzieje, że kontrrewolucja i „biała armia” mogą jeszcze zlikwidować bolszewizm i przynieść restytucję caratu, ale w danej chwili wciąż jeszcze realniej wyglądało ewentualne oparcie — a przynajmniej ratunek życia i mienia — o potęgę państw centralnych. Przyjęcie tego oparcia ułatwione było przez tytułarny charakter władzy polskiej, reprezentowanej przez Radę Regencyjną w Warszawie.

W tym wszystkim należy szukać wytłumaczenia postępowania generała Dowbora-Muśnickiego i wielu innych Polaków do niedawna wyższych oficerów armii carskiej. Jeśli chodzi o wpływy polityczne, którym oni ulegali, były to zawsze wpływy ugrupowań społecznie prawicowych, jak Stronnictwo Polityki Realnej, lub Narodowa Demokracja. Jednak w okresie, kiedy toczyły się opisywane przeze mnie wypadki, wyłamali się oni zdecydowanie spod tych wpływów. Gdy gen. Dowbór-Muśnicki rozpoczął rokowania z niemieckimi władzami wojskowymi i z Radą Regencyjną, zmierzającą w kierunku uznania władzy tej ostatniej, odrzucił brutalnie próby patronującego mu dotychczas Koła Międzypartyjnego, usiłujące powstrzymać go na tej drodze. Z wysłannikiem Koła, p. Jerzym Zdziechowskim, nie chciał w ogóle rozmawiać.

Znalazłem się więc, jako emisariusz Piłsudskiego, zmierzający do ustalenia wspólnego frontu wszystkich formacji wojskowych polskich przeciwko państwow centralnym, w sytuacji zgoła odmiennej niż widzieliśmy ją w Warszawie w chwili mego wyjazdu. Jeszcze w czasie mej podróży zaszedł fakt, który — zdawałoby się — ułatwiał zadanie, te bowiem oddziały legionowe, które wraz z gen. Hallerem złożyły przysięgę na braterstwo broni z armiami państw centralnych, poszły nareszcie, po 10 miesiącach zwłoki, drogą wytkniętą przez Piłsudskiego; zbuntowały się przeciw władzom austriackim i poszły na wschód. Byliśmy przekonani, że formacje wojskowe po drugiej stronie frontu, pozostające pod przemożnym wpływem politycznym Komitetu Narodowego i Romana Dmowskiego, wytrwają przy tej linii i że w ten sposób cały polski wysiłek zbrojny, z wyjątkiem drobnej grupy tzw. Wehrmachtu, będzie ujednolicony politycznie w antyniemieckiej orientacji. Tymczasem jednak zarysowała się sytuacja, w której przez decyzję gen. Dowbora-Muśnickiego zatańczyliśmy jak gdyby kontredansa: całość Legionów i P.O.W. znalazła się po jednej stronie, gdy tymczasem potężne liczebnie formacje wschodnie zmieniały front, opowiadając się za Radą Regencyjną, a tym samym — państwami centralnymi. Zaczęliśmy szukać wyjścia z tej sytuacji. Z P.O.W. i z politykami uznającymi autorytet Józefa Piłsudskiego sprawa była stosunkowo łatwa. Chwilowe nieporozumienie zostało wyrównane. Wystarczyło, że ja i inni emisariusze przybyli z kraju wyjaśnili ludziom istotną politykę Piłsudskiego i jej zwrotny moment, którym była odmowa przysięgi i uwięzienie Piłsudskiego i Sosnkowskiego. Pewne trudności i opieszałość w przyjęciu moich rozkazów i instrukcji napotkałem tylko na dalekiej północy, w okręgu petrogradzkim, gdzie instrukcje Kunowskiego narobiły największej zamętu. Nie miało to jednak większego znaczenia i wkrótce zostało wyrównane. Na południu P.O.W. stawała coraz silniej na nogach.

Najwięcej trudności miałem ze środowiskiem polskim w Odesie, gdzie zarówno wśród P.O.W., jak P.P.S., zarysowywała się skłonność do uznawania Rady Regencyjnej i do wiary w zwycięstwo państw centralnych. Udałem się więc tam, aby rozmówić się z seniorem tamtejszych piłsudczyków, inżynierem, zajmującym do niedawna wysokie stanowisko w zarządzie krzyworożskich kopalni rudy żelaznej, który z powodu choroby nie mógł przybyć na moje wezwanie do Kijowa. Gdy przyszedłem do niego, zorientowałem się od razu, że ten zacny i dzielny człowiek jest zupełnie politycznie zdeorientowany. Pierwsza moja z nim rozmowa trwała od godziny 10-ej rano do 2-ej w nocy, z krótkimi przerwami na posiłki. Były chwile w czasie tej rozmowy,

kiedy chciałem już zrezygnować i pójść na środki drastyczne, jak pozbawienie mego rozmówcy stanowiska Komendanta Okręgu i poszukania innej obsady. Groziło to jednak prawdopodobnym rozłamem wobec jego ogromnego autorytetu wśród miejscowej Polonii. Traktował on z wyraźną nieufnością moje twierdzenia i relacje o stosunkach w kraju; wykazywał wyraźną podejrzliwość co do autentyczności mojej interpretacji polityki Piłsudskiego; zadawał mi wyraźnie podchwytliwe pytania, kontrolował na każdym kroku, wszystko co mówiłem o sprawach przedwojennych, kiedy miał on bezpośredni kontakt z Komendantem i brał żywy udział w akcjach P.P.S. W czasie przerw w dyskusji przy stole zachowywał się z nieco oziębłą uprzejmością, nie wychodzącą poza granice koniecznej gościnności. Zwyciężyłem jednak w końcu, przy czym niewątpliwie zadecydowało moje powodzenie w przekonaniu go, że naprawdę relacjonuję mu wolę i decyzje Piłsudskiego, a nie moje, czy też jakiegokolwiek zespołu politycznego warszawskiego; z chwilą kiedy w to uwierzył zaczął już grać autorytet Komendanta, który był dla niego — jak i dla tylu innych — bezwzględnie miarodajny. Powiedział mi on potem, że gdy przed kilku tygodniami zjawił się u niego Lis-Kula i próbował mu przedstawić to samo, wywołał w nim przekonanie, że ma do czynienia z młodzikiem, próbującym nieudolnie podszyć się pod autorytet Piłsudskiego. Że po skończeniu rozmowy ze mną nie spał do rana, lecz w rezultacie uznał moje przedstawienie sprawy za wiarygodne i obowiązujące. Następane kilka dni, jakie spędziłem w Odessie, nacechowane już były serdecznością i absolutną lojalnością ze strony Komendanta Okręgu.

Skorzystałem z pobytu w Odessie, aby nawiązać łączność z Dowództwem tamtejszych oddziałów polskich, tworzących dość luźno zorganizowany, czy też organizujący się II-gi Korpus, nominalnie pozostający pod dowództwem gen. Michaelisa, który jednak nie był w Odessie obecny. Najwybitniejszym z miejscowych dowódców był pułkownik Skrzyński; drugim z kolei pułkownik Rybiński. Gdy zgłosiłem się w dowództwie polskim i przedstawiwszy się w moim prawdziwym charakterze jakiemuś oficerowi sztabowemu, poprosiłem o rozmowę z dowódcą; zostałem przyjęty przez płk. Rybińskiego. Próbowałem w dłuższej rozmowie przedstawić mu sytuację i wynikające z niej wytyczne; zostałem wysłuchany grzecznie i uprzejmie, ale nie mogłem się zorientować czy mój rozmówca po prostu nie rozumie tego, co do niego mówię, czy też żadnym słowem nie chce się w jakimkolwiek kierunku zobowiązać. Na dźwięk nazwiska Józefa Piłsudskiego pochylał wprawdzie głowę z szacunkiem, ale spoglądał

w sufit, gdy wyrażałem przewidywania klęski niemieckiej, lub deklarowałem brak uznania dla Rady Regencyjnej w Warszawie.

W czasie pobytu w Odessie przypadek zrzucił, że spotkałem mego kolegę gimnazjalnego z Siedlec, sprzed strajku szkolnego jeszcze. Nazywał się Goldwasser i był jednym z tych, którzy starali się przekonać mnie do marksizmu. Spotkaliśmy się nad morzem i w pewnej chwili siedliśmy na tej samej ławeczce, aby się wygrzać w ciepłym kwietniowym słońcu. Spojrzałem na niego z ukosa i uderzyło mnie coś znajomego w jego twarzy; po chwili spostrzegłem, że i on również przypatruje mi się z uwagą. Zapytałem więc po prostu, czy nie znamy się przypadkiem. Odpowiedział mi, że ma to samo wrażenie i po chwili dogadaliśmy się do naszego kilkoletniego koleżeństwa. Stojący na redzie portu turecki krążownik Hamidje, skierował naszą rozmowę na sytuację bieżącą. Wkrótce doszedłem do niezbitego przekonania, że rozmawiam z autentycznym bolszewikiem, których w Odessie pozostało dużo, tworząc potężną i zwartą konspirację.

Goldwasser był niewątpliwie doskonale poinformowany o sprawach rosyjskich, z ciekawością zaś wypytywał mnie o moje poglądy na sytuację wojenną i międzynarodową. Ciekaw też był stanu rzeczy w Polsce, którą opuścił w roku 1915; okazało się też, że wie bardzo dużo o sprawach polskich na terenie tutejszym; wypytywał mnie o moje poglądy na stosunki w polskich formacjach wojskowych, zagadnął też po drodze o moje przekonania polityczne i społeczne. Dowiedziawszy się, że mieszkam w Kijowie, powiedział mi że właśnie się do Kijowa wybiera w dniach najbliższych i chętnie by mnie tam odwiedził. Zgodziłem się na to z gotowością, chcąc mieć sposobność zorientowania się w umysłowości i psychice tego nowego dla mnie zjawiska, jakim byli bolszewicy, których znałem przed wojną jako ówczesnych Esdeków i lewicę P.P.S., ale nie miałem pojęcia jak wyglądać może ich myślenie od czasu kiedy wpadła im w ręce władza nad imperium rosyjskim. Wymieniwszy adresy w Kijowie, rozstaliśmy się przyjaźnie.

Wróciwszy do Kijowa zająłem się „zatrudnieniem” P.O.W. Zgłosił się do organizacji oficer saperów, specjalista od materiałów wybuchowych, kapitan Głazek, późniejszy pułkownik wojsk polskich. Postanowiłem przy jego pomocy stworzyć oddział bojowy i przystąpić do sabotażu na liniach komunikacyjnych niemieckich. Znana w Kijowie pensja żeńska pani Peretiatkowicz, nie funkcjonująca wówczas jako zakład naukowy, została nam oddana do dyspozycji. W salach szkolnych kapitan Głazek rozpoczął przeszkolenie kilkunastu ochotników, obznajmiając ich ze wszystkimi rodzajami materiałów wybuchowych, detonatorami,

sznurami Bickford'a itd. Pierwsze drobne próby i doświadczenia robione były w kominkach i piecach, następne już wkrótce w podkijowskich lasach. Sprawa poszła szybko. Już w miesiąc po zainaugurowaniu przeze mnie tego kursu wysadziliśmy tory kolejowe pod transportami niemieckimi, gdy zaś niedługo potem Kijów opuszczałem były w pełnym toku przygotowania do tak poważnej operacji, jak wysadzenie mostu na Dnieprze pod Jekaterynosławiem. O ile mi wiadomo, już po moim wyjeździe, akcja ta została pomyślnie przeprowadzona.

Działania bojowe uważałem za potrzebne z dwóch względów. Po pierwsze, poszczególne, niegroźne nawet same w sobie zamachy na linie kolejowe, czy mosty, zmuszały Niemców do osłony wojskowej wszystkich tego rodzaju obiektów, co na ogromnych przestrzeniach rozpraszało dość znaczne siły. Po drugie — dawało to zaprawę i wzmacniało psychologiczne samopoczucie młodzieży, spragnionej akcji, której zwyczajne zbiórki i teoretyczne wykłady nie zaspakajały.

Kijów stał się w tym czasie bardzo ruchliwym punktem, przez który przewijało się mnóstwo Polaków. Niedługo po moim przybyciu, zjawił się ku wielkiej mojej radości Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Groziło mu wcielenie do armii austriackiej, od którego z powodzeniem wykrczał się przez pewien czas po krzysie legionowym; gdy jednak nie wróżyło to dalszych szans powołenia — ruszył naszym śladem i dotarł do Kijowa. Miał mój adres i gdy zjawił się pewnego pięknego poranku podzieliłem się z nim mym maleńkim pokoikiem. Miałem jedno łóżko, a drugiego nie było gdzie wstawić, rozwiązaaliśmy więc sprawę w ten sposób, że zdejmowaliśmy materac z łóżka i kładli na podłodze i na przemian jednej nocy Wieniawa spał na łóżku, a ja na materacu i na odwrót. Po kilku dniach jednak ruchliwy Wieniawa odnalazł w Kijowie swoich znajomych, rodzinę Ksawerego Glinki; przeniósł się do ich gościnnego domu, co doprowadziło szczęśliwie do nawiązania kontaktu, poszukiwanego przez nas od dawna. Kontakt z Aliantami. Zofia Glinczanka zwierzyła się bowiem pod największym sekretem Wieniawie, że jest zaręczona, ale to wielka tajemnica, ponieważ jej narzeczony jest oficerem francuskim, ukrywającym się w Kijowie. W ten sposób Wieniawa zapoznał się z porucznikiem Vilaim, oficerem francuskiego 2-ème Bureau. Było to nam potrzebne zarówno ze względów politycznych, aby zorientować Francuzów w zmianach, które zaszły w Polsce w związku z przejściem Obozu Niepodległościowego do akcji przeciw państwom centralnym, jak i ze względów wojskowych, gdyż mogliśmy im przekazywać cały szereg ważnych wiadomości natury militarnej, nie

tylko z kraju, ale i z frontu włoskiego, na którym się znajdowała znaczna ilość byłych legionistów wcielonych po kryzysie przysięgowym do armii austriackiej. Vilaim miał dobrze zorganizowany kontakt z misją francuską w Jassach, która już w drodze radiowej przekazywała wiadomości dalej.

Wieniawa nie pozostał długo w Kijowie. W porozumieniu ze mną i w myśl udzielonych mu w Krakowie wskazówek Komendy Głównej P.O.W. udał się do Moskwy, aby zorientować się u źródła jak wyglądają rządy bolszewickie i czego się można od nich spodziewać. Wciąż jeszcze nie mieliśmy dostatecznych danych na to, czy jest możliwe jakieś z nimi porozumienie; rzecz zaś była aktualna wobec krytycznej sytuacji polskich formacji wojskowych, które znalazły się na terenie okupowanym przez Niemców i Austriaków i nad którymi wisiła w każdej chwili groźba rozbrojenia z walką, lub bez walki.

Nawiasem mówiąc, w związku z przybyciem Wieniawy i jego kilkodniowym u mnie pobytem, zaszły dość komiczne komplikacje w mojej sytuacji mieszkaniowej. Właściele mieszkania, od których odnajmowałem mój pokój i u których się stołowałem, nie mieli oczywiście pojęcia o mojej działalności i nic nie wiedzieli poza nazwiskiem paszportowym o mojej osobie. Początkowo nic ich specjalnie w moim trybie życia nie interesowało, ponieważ prawie nikt mnie nie odwiedzał i musiałem robić wrażenie jednego z wielu byłych wojskowych z tych czy owych względów przejściowo przebywających w Kijowie. Po pewnym czasie jednak zaczęło mnie odwiedzać coraz więcej ludzi; byli to oficerowie z I-szego czy II-go Korpusu, przyjeżdżający z kraju Legioniści; zaś w czasie pobytu Wieniawy, o czym wkrótce głośno było w Kijowie, sporo ludzi zaczęło zgłaszać się do niego. Pokój mój był odgradzony tylko jakąś szafą i firanką od przedpokoju i słyszałem rozmowy przy wejściu do mieszkania. Niektórzy z odwiedzających mnie znali moje paszportowe nazwisko i pytali o pana Zaleskiego; inni znali mój pseudonim peowiacki i pytali o pana Świtka; byli i tacy, którzy wymieniali nazwisko Miedziński. Oczywiście otwierające drzwi osoby zwykle usiły odprawić wszystkich oprócz tych, co Zaleskiego szukali, a wtedy ja wychodziłem zza firanki i prosiłem przybysza do siebie. Gdy zaś do tego wszystkiego zaczęli się zgłaszać ludzie do pana Wieniawy i też byli proszeni do mego pokoju, właścicielka mieszkania przyszła do mnie i zapytała wręcz ilu właściwie panów mieszka w tym pokoju, ponieważ przyjmowani są wszyscy, którzy aż o czterech panów pytają. Zapewniłem ją, że tylko ja jeden tu mieszkam i że tylko udzielałam informacji tym, którzy się o innych moich przyjaciół pytają.

Pozornie uspokojona zacna niewiasta przyszła do mnie następnego dnia i zapytała, czy mógłbym jej pożyczyć 250 rubli, ponieważ chwilowo zabrakło jej pieniędzy, a musi porobić zakupy. Wyjąłem więc banknot tej wysokości z paczki, doręczonej mi poprzedniego dnia przez Bromirskiego i dałem jej. Gdy następnego dnia zwróciła mi pożyczkę i wsuwałem banknot z powrotem pod opaskę, zwróciłem uwagę na kolejność numerów i stwierdziłem, że jest to banknot ten sam, nie był więc wcale na żadne zakupy użyty. Tegoż dnia przy obiedzie zasiadł przy stole jakiś typowy wąsaty szlagon, który mi się bardzo bacznie przypatrywał i dość natrętnie zadawał mi pytania, zmierzające do ustalenia skąd się tu wzięłem i kto jestem. Przedstawił mi się jako brat pani domu. Jednocześnie zaszło drugie zagrożenie dla mojej konspiracji: zaczął przychodzić na obiady pan, który był moim kolegą uniwersyteckim we Lwowie i który musiał mnie i moje prawdziwe nazwisko na pewno znać, bo miałem z nim, jako jednym z najwybitniejszych przedstawicieli młodzieży narodowodemokratycznych niejedną tęgą przeprawę na wiecach akademickich. Oczywiście, nie miałem żadnych podstaw aby sądzić, że chciałby mi on w jakikolwiek sposób zaszkodzić. Niemniej przeto dekonspiracja mego prawdziwego nazwiska była rzeczą bardzo niepożądaną. Był to mój późniejszy w niepodległej Polsce przyjaciel, Michał Browiński. Okazało się jednak, że spotkanie to rozwiązało komplikacje mieszkaniowe, znał on bowiem dobrze rodzinę u której mieszkałem i oczywiście świetnie orientował się kim jestem i co tu robię. Uśmieł się też serdecznie, gdy jego znajomi zwierzyli mu się ze swoich ze mną kłopotów. Pani domu, spostrzegłszy że jestem osobnikiem, który używa wielu nazwisk, do którego przychodzą dziwnie i nieraz podejrzanie wyglądający ludzie, który nie ma żadnego zajęcia, a jednak najwidoczniej ma pieniądze, powzięła podejrzenie, w którym braciszek z Żytomierza ją utwierdził, że prawdopodobnie jestem fabrykantem, albo przynajmniej kolporterem fałszywych banknotów. Dlatego też pożyczyła ode mnie banknot, tylko po to, aby udać się z nim do banku i stwierdzić czy jest prawdziwy, czy fałszywy. Mimo, że banknot był prawdziwy, postanowiono na wszelki wypadek wymówić mi mieszkanie i dopiero Browiński rozproszył podejrzenia, zapewniając, że jestem dobrym i uczciwym Polakiem.

Tymczasem, zarówno z I-szego Korpusu jak i z kwatery II-giej Brygady pod Kaniowem, dochodziły coraz bardziej niepokojące wiadomości. Wojska niemieckie i austriackie otaczały korpusik Hallera coraz ściślejším pierścieniem. W Bobrujsku i w Warszawie Niemcy naciskali na likwidację korpusu Dowbora. Prowadziliśmy w Kijowie narady co robić i jakiego wyjścia szu-

kać. Wśród wojskowych szukających rozwiązania o jakimś politycznym sensie, przeważał pomysł, że należy naśladować Czechów, których legion utworzony poprzednio przy armii rosyjskiej poszedł na wschód, przebijając się aż na Syberię, ku Białym wojskom admirała Kołczaka, podtrzymywanym i zasilanym przez Stany Zjednoczone. Od pierwszej chwili nie wydawał mi się ten pomysł realny. Czesi przebili się wówczas, gdy Bolszewicy nie mieli jeszcze w swych rękach terenu Rosji tak silnie, jak w danej chwili. Mogłaby więc być mowa o naśladowaniu ich przez wojska Dowbora tylko przy cichej zgodzie bolszewików; co zaś do sił polskich na południu, włącznie z korpusem Hallera, miały one przed sobą nie tylko bariery Dniepru, ale i olbrzymią przestrzeń, na której wszystkie linie komunikacyjne były w rękach niemieckich. W moim myśleniu widziałem tylko jedno wyjście: zrezygnować z myśli, aby zorganizowane i uzbrojone oddziały polskie w tej sytuacji mogły się ostać. Byłem przekonany, że Niemcy uderzą natychmiast, jeśli by oddziały polskie na południu, otoczone przez nich ze wszystkich stron, próbowały ruszyć na wschód. Korpus Dowbora miał wprawdzie nieco lepszą sytuację, graniczył bowiem z terytorium bolszewickim — nie sądziłem jednak ani przez chwilę, aby bolszewicy mieli jakikolwiek powód do wpuszczania na swoje terytorium uzbrojonego korpusu polskiego, który — przepuszczony ewentualnie przez nich — mógł powiększyć syberyjskie kontrewolucyjne siły rosyjskie.

Postanowiłem upewnić się co do tego ostatniego punktu, wyzyskując przypadkowy kontakt z Goldwasserem. Udałem się pod wskazanym adresem. Było to najwidoczniej mieszkanie jakiejś ongiś zamożnej rodziny żydowskiej. Goldwassera znalazłem i postanowiłem sprawę otwarcie. Próbował mi początkowo zapewniać, że nie ma nic wspólnego z polityką i żadnej łączności z partią Bolszewików; gdy jednak wskazałem mu na to, że przychodzę do niego z pełnym zaufaniem i oddaję się właściwie w jego ręce, będąc przedstawicielem organizacji walczącej z Niemcami i Austriakami i będącym osobiście szczególnie poszukiwanym przez władze wojskowe zarówno austriackie jak i niemieckie, panujące obecnie w Kijowie, oczekuję więc od niego wzajemnej lojalności — odpowiedział mi wreszcie, że ma pewne znajomości i jeśli mu konkretnie przedstawię jakieś zagadnienia, to postara się uzyskać dla mnie odpowiedź. Przedstawiłem mu zatem konkretne pytanie czy — jeżeli korpus Dowbora pobije się z Niemcami i wycofa się za Dniepr i Berezynę — przepuszczą go dalej i pozwolą na transport wzdłuż linii syberyjskiej aż na Daleki Wschód, gdzie już Stany Zjednoczone zajmą się jego dalszym transportem na front zachodni dla dalszej walki z Niem-

cami. Zwróciłem mu uwagę, że wobec zajmowania przez Niemców całej Ukrainy i Kaukazu oraz ewentualnej możliwości ich marszu na Moskwę, możemy chyba uważać Niemców za wspólnego wroga. Goldwasser przyrzekł mi, że postara się zasięgnąć języka u swych przyjaciół dobrze poinformowanych i w możliwie krótkim czasie da mi odpowiedź.

Istotnie, już w dwa dni później zjawił się u mnie z gotowymi opiniami. Były one następujące: współczują oni z dążeniami Polski do wolności, nie mają oczywiście żadnej skłonności do dopomagania imperialistom niemieckim, czy austriackim w ich celach zaborczych w stosunku do Polski. Stanowisko Lenina, dające prawo wszystkim narodowościom dawnej Rosji do decydowania o swym losie włącznie do oderwania się (*wpłót' do oddzielenia*); natomiast, jeśli chodzi o formacje wojskowe polskie na terenie Ukrainy i Białej Rusi są one — ich zdaniem — opanowane od góry przez żywioły reakcyjne, dążące do kontrrewolucji i przywrócenia caratu. Dowód-Muśnicki pozostaje w porozumieniu z białogwardyjskimi dowódcami rosyjskimi, zaś formacje polskie na Ukrainie myślą tylko o odebraniu chłopom ukraińskiej ziemi i sprowadzeniu z powrotem polskich obszarników. Bolszewicy gotowi są wierzyć, że masa żołnierska polska tych dążeń nie podziela; gotowi są podjąć rozmowy na temat dopomożenia Polakom do wyjścia z ich obecnego tragicznego położenia, ale pod warunkiem *sine qua non*, że obecni dowódcy i ich sztaby będą usunięci i pozbawieni wszelkiej władzy, zaś dowództwo obejmą rady żołnierskie. Gotowi są oni nawet dopomóc w tym, ponieważ w Moskwie i w niektórych innych miastach, np. w Orle, znajduje się dość duża ilość żołnierzy polskich współdziałających z rewolucją i w wypadku porozumienia z nami, mogą być na tutejsze tereny skierowani i dopomóc nam w reorganizacji formacji polskich na rewolucyjnych podstawach. Oświadczył mi też, że jeślibyśmy w zasadzie przyjęli ten warunek podstawowy i jeśli przekonamy jego przyjaciół, że mamy dość silne wpływy w oddziałach polskich, aby plan ten przeprowadzić, to gotów on jest zapoznać mnie z odpowiednimi ludźmi dla omówienia sprawy.

Rozmowa ta wystarczyła mi, aby uznać za beznadziejne i bezcelowe jakiegokolwiek próby porozumienia i nie szukałem już nadal żadnych kontaktów z bolszewikami.

Jeśli chodzi o moje osobiste poglądy na ówczesną fazę rewolucji rosyjskiej i na istotne oblicze bolszewizmu, były one w obecnym momencie dostatecznie już urobione; przypadkowe spotkanie z Goldwasserem wyzyskałem tylko dla potwierdzenia

ostatecznego mego przekonania, że mowy być nie może o porozumieniu z bolszewikami i że stanowią oni zjawisko groźne i ponure, nie przynoszące nic dobrego ani Rosji, ani Polsce, ani całemu światu. Przekonaniu temu dałem niedwuznaczny wyraz wkrótce potem po powrocie do Warszawy, gdy nasi socjaliści i postępowcy — jeszcze wówczas nie zorientowani — szukali u mnie informacji. Spotkałem w Kijowie cały szereg ludzi, którzy przeżyli pierwszy rok rewolucji w Rosji. Odnalazłem też moich bliskich krewnych, którzy przeżyli pierwszą okupację Kijowa przez bolszewików. Jeden więc z celów mojej podróży na wschód, zorientowanie się co do charakteru nowego etapu rewolucji, był już załatwiony. Poza tym wszystko to co słyszałem i to co widziałem w moich podróżach na wschód od dawnego frontu między Odessą i Bobrujskiem, utwierdziło mnie w przekonaniu, że Komendant miał rację, przewidując klęskę państw centralnych mimo likwidacji frontu wschodniego. Perspektywy roztaczane tak często zarówno w Warszawie, jak i w Kijowie, że Niemcy nie tylko będą mogli uderzyć pełnią swej potęgi na zachodzie, ale uzyskają również olbrzymią bazę ludnościową i materiałową na całej przestrzeni Rosji południowej z Kaukazem włącznie — oceniłem jako całkowicie bałamutne w obliczu rzeczywistości na całym tym terytorium. Zupełny rozstrój całego aparatu produkcyjnego w dziedzinie zarówno przemysłu jak rolnictwa, całkowity zanik aparatu administracyjnego, z wyjątkiem pewnych improwizacji w największych miastach, opłakany stan dróg i linii komunikacyjnych, wszystko to wskazywało, że dziesiątki miesięcy co najmniej muszą upłynąć zanim z terenu tego Niemcy będą mogli czerpać jakiegokolwiek ważkie dostawy. Równie jasne było dla mnie, że opanowanie tego olbrzymiego terenu, rekonstrukcja produkcji i dostaw, zorganizowanie jakiejś takiej administracji i bezpieczeństwa będzie wymagała ogromnego aparatu ludzkiego, zarówno cywilnego jak wojskowego. Uderzało mnie tylko, że politycy zarówno polscy jak rosyjscy, których spotykałem w Kijowie, najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy z tego stanu rzeczy.

W świecie politycznym polskiego Kijowa panowała dezorientacja i niepewność, zarówno co do przewidywań na przyszłość, jak i co do kierunku działania. Grupy, reprezentowane w Komitecie Międzypartyjnym z Narodową Demokracją na czele, pod wpływem katastrofy wojskowej i politycznej imperium rosyjskiego straciły swą poprzednią pewność zwycięstwa koalicji, chociaż nie zdradzały się z tym na zewnątrz. Wyłamanie się gen. Dowbora-Muśnickiego spod ich poprzednio dominującego wpływu było też dla nich ciężkim i deprymującym ciosem.

Wśród lewicy — z P.P.S. na czele — nie wyklarował się jeszcze jasny stosunek do rewolucji rosyjskiej w jej bolszewickim stadium. Wywołało to bezczynność i skłonność do biernego oczekiwania na dalszy rozwój wypadków. My, piłsudczycy, byliśmy grupą raczej uprzywilejowaną. Autorytet Komendanta — mimo że od roku niemal byliśmy od niego odcięci — dawał nam dostateczną pewność, a na skutek tego i aktywność większą, niż wszystkim innym. Mieliliśmy bezwzględna wiarę w trafność jego przewidywań i robiliśmy wszystko, aby w momencie zbliżającego się końca wojny skupić jak najpoważniejszą, zorganizowaną i gotową do dyspozycji siłę. Toteż niejednokrotnie w rozmowach z polskimi i niepolskimi politykami, wywoływaliśmy zdziwienie naszą zdecydowaną postawą, będącą pozornie bez podstaw w aktualnej rzeczywistości wojennej i politycznej.

Tymczasem strona przeciwna, to znaczy obóz aktywistyczny, pod auspicjami Rady Regencyjnej umocnił się był właśnie w przekonaniu o zwycięstwie państw centralnych i ośmielony sukcesem przez poddanie się I-go Korpusu Radzie Regencyjnej, rozwinął swoją działalność i poza wojskiem na terenie kolonii polskiej w Kijowie. Kreowane tu zostało *quasi* dyplomatyczne przedstawicielstwo Rady Regencyjnej w osobie Władysława Raczkiewicza. Zaczęto urządzać zebrania dyskusyjne, z referatami przyjeżdżających z Warszawy współpracowników Studnickiego i Sikorskiego. Władysław Raczkiewicz działał dyskretnie i ostrożnie, nie angażując się zanadto po stronie swych mocodawców. Złożyłem mu wizytę i poinformowałem go zarówno o obecności i działaniu P.O.W. na tym terytorium, jak i o kierunku tego działania. Mówiłem rozmyślnie w sposób dość zdecydowany zarówno o naszym stosunku do Rady Regencyjnej, jak i o przewidywaniach Piłsudskiego co do zakończenia wojny. Starałem się zaszachować go uchwałą I-go Zjazdu wojskowych Polaków w Rosji, pod jego przewodnictwem, która powołała Józefa Piłsudskiego na honorowego przewodniczącego Zjazdu. Raczkiewicz był jednak bardzo dyplomatyczny i odpowiedział mi, jedynie najbardziej ogólnikowymi i konkretnie nic nie mówiącymi formułkami. Poszedłem też na jedno z zebranych publicznych, na którym referat wygłaszał jeden ze znanych współpracowników Studnickiego. Zastałem nadspodziewanie liczne zgromadzenie, mimo że do niedawna jeszcze kierunek Komitetu Narodowego bezwzględnie dominował w polonii kijowskiej. Przestrzegano mnie, abym tam nie chodził, wobec tego że zebranie będzie na pewno pod obserwacją agentów, a może nawet oficjalnych przedstawicieli okupacyjnych władz niemieckich. Uspokoilem moich przyjaciół, że nie zamierzam zwrócić na siebie uwagi i zachowam ścisłą ostrożność

konspiracyjną. Gdy jednak mówca przypuścił ostry atak na Piłsudskiego, powtarzając przeciwko niemu, I-szej Brygadzie i P.O.W. wszystkie zarzuty znane z okresu kryzysu przysięgowego, gdy w dodatku, licząc na brak informacji w dalekim Kijowie o historii lat wojennych w kraju, pozwolił sobie na kilka jaskrawych kłamstw i przekręceń — zimna krew mnie zawiodła, przerwałem mówcy, oświadczyłem, że jestem oficerem I-szej Brygady i korzystając z osłupienia, które zapanowało na trybunie prezydialnej, zdążyłem w kilkuminutowym przemówieniu w ostry sposób zdementować prelegenta i w kilku słowach zarysować rolę jaką odegrał więzień magdeburski, protestując przeciw atakowaniu go zaocznie. Zaskoczenie udało mi się i widocznie wyraźna pasja i przekonanie z którym mówiłem podziało na zebraną publiczność, bo nadspodziewanie rozległy się dość burzliwe oklaski. Oczywiście odebrano mi głos i prelegent kontynuował swój referat, ale najwidoczniej stracił kontenans, płatał się i zakończył jakimiś niezgrabnymi frazesami. Gdy zarządzono przerwę, zbliżyło się do mnie szereg nieznanych mi osób spośród zebranych, którzy złożyli mi serdeczne gratulacje, zaś jeden z panów wszedł na krzesło i zaproponował tym spośród zebranych, którzy solidaryzują się z protestem wygłoszonym przed chwilą przez przedstawiciela piłsudczyków, aby opuścili salę. Wobec tego nie pozostało mi nic innego, jak zastosować się do tego wezwania, co zresztą było wskazane ze względów konspiracyjnych. Okazało się też, że liczebność zebrania bynajmniej nie świadczyła o istotnych przekonaniach uczestników, bo wraz ze mną niemal połowa zebranych opuściła salę.

Był to kwiecień 1918 roku. Mieliśmy już wówczas zorganizowaną wcale niezłą łączność z Warszawą, opartą głównie na oficerach austriackich Polakach, podróżujących służbowo, a kierowanych do nas przez Komendę Główną P.O.W. w Krakowie, lub przez Komendę Okręgową Lwowską oraz na kolejarzach Polakach, funkcjonujących na linii Lwów-Kijów. Zjawiało się też coraz więcej oficerów legionowych, przeważnie obywateli austriackich, wcielonych po kryzysie przysięgowym do armii austriackiej i dezertujących do P.O.W. bądź na terenie kraju, bądź na naszym terenie. Między innymi spotkałem wówczas po raz pierwszy w życiu podporucznika artylerii I-szej Brygady, Józefa Becka. Był on wtedy oficerem sztabowym w jednym z oddziałów II-go Korpusu polskiego na Ukrainie. Nie spotkał się nigdy w Brygadzie, gdyż z natury rzeczy artylerzyści kwaterowali zawsze osobno. Znałem tylko ze słyszenia i ze spisu korpusu oficerskiego jego nazwisko. Pewnego ranka, gdy otworzyłem drzwi mego prywatnego mieszkania, udając się do kwa-

tery Komendy Naczelnej, spotkałem eleganckiego młodego podporucznika, w doskonale skrojonym mundurze, który właśnie do mnie przyszedł. Wziąłem go więc z sobą do Komendy Naczelnej. Rozmawialiśmy idąc ulicami Kijowa i pamiętam żywo niezwykle wrażenie, jakie wywarł na mnie ten młody człowiek; niemal z każdego zdania przezeń wypowiedzianego biła wręcz niezwykła inteligencja, niepospolity dowcip i umiejętność ujmowania tematów w kapitalnych skrótach.

Gdy wkrótce potem przyszła likwidacja wojskowych formacji polskich na Ukrainie, Beck nie reflektował na pozostanie w sieci organizacyjnej P.O.W. Ciągnęło go dalej na wschód. Chciał zobaczyć własnymi oczami rzeczywistość po czerwonej stronie. Był też jednym z tych naszych emisariuszy, którzy się udali do Moskwy, Orła i na Kaukaz, gdzie znajdowały się większe polskie skupienia.

W końcu kwietnia udałem się pod Kaniów, aby się przekonać jak wygląda sytuacja w oddziałach gen. Hallera, rozlokowanych tam i otoczonych dokoła przez kordon wojsk niemieckich, na razie blokujących tylko i obserwujących bacznie wobec toczących się jeszcze między Niemcami a Radą Regencyjną pertraktacji. Pertraktacje te zmierzały do rozwiązania takiego samego, jak z korpusem gen. Dowbora, to znaczy poddania się gen. Hallera i jego żołnierzy pod władzę Rady Regencyjnej, która po złożeniu broni miała ewentualnie uzyskać jak najłagodniejsze warunki kapitulacji. Pertraktacje te nie wróżyły powodzenia, szczególnie dla oficerów i żołnierzy poddanych austriackich.

Kurier Rady Regencyjnej, wiozący list z odnośnymi propozycjami do gen. J. Hallera, trafił jakimiś drogami do mnie po przybyciu do Kijowa i przedstawił mi zarysy dość interesującego planu nawiązania kontaktu z Komendantem w Magdeburgu, zaś w dalszej perspektywie próby zorganizowania jego ucieczki. Opierało się to wszystko na fakcie że ów młody podoficer legionowy, należący do tych, którzy złożyli przysięgę i wstąpili do tzw. Wehrmachtu, miał prywatne stosunki z rodziną gen. Bartha ze sztabu Beselera, do którego należał między innymi nadzór nad owymi „polskimi siłami zbrojnymi”, powszechnie nazywanymi Wehrmachtem. Ten młody człowiek, pochodzący z bardzo znanej rodziny starych pepeesowców, uzdolniony muzyk i ujmująco sympatyczny towarzysz, zaofiarował się, że uzyska przez gen. Bartha — jego zdaniem bardzo zacnego i przychylnego Polsce człowieka — możliwość udania się do Magdeburga, widzenia się z Komendantem, zaobserwowania na miejscu warunków i możliwości ucieczki, w razie uzyskania zgody Komendanta na jej plan. Mimo

że szanse nie wydawały mi się wielkie, jednak najmniejsza nawet szansa uzyskania kontaktu z Komendantem była dla nas tak cenną i kuszącą, że wziąłem poważnie pod uwagę jego propozycję. Nie mogłem oczywiście, pozostając w Kijowie, sprawdzić faktów przedstawionych mi przez owego pana S., zweryfikować jego osoby i prawdomówności, ani szans jego planu. Po namyśle jednak zgodziłem się skierować go do warszawskich władz P.O.W., którym przesłałem jego inicjatywę do oceny na miejscu. W kilka miesięcy później po powrocie do Warszawy dowiedziałem się, że inicjatywa ta została podjęta do rozpracowania, że zajęli się nią Jodko-Narkiewicz i Turowicz, którzy pana S. znali jako syna ich starego towarzysza. Skończyło się to jednak po kilku konferencjach aresztowaniem przez władze niemieckie Jodki i Turowicza. Zostali oni po niedługim stosunkowo areszcie zwolnieni, sprawa została zaniechana, zaś rola młodego S. nie została nigdy całkowicie wyjaśniona.

Skorzystałem jednak wówczas z jego podróży do gen. Hallera, aby udać się tam wraz z nim. Nie byłem pewny jak ścisła jest kontrola niemiecka, blokująca teren rozkwaterowania hallerczyków — zresztą mogło się to zmieniać z godziny na godzinę — sądziłem więc, że jego towarzystwo przy świetnych dokumentach niemieckich jakie posiadał, może mi się przydać.

Udałem się do kwatery gen. Hallera bez zamiaru mówienia z nim samym. Nie znałem go osobiście, a poza tym wiedziałem, że bliżsi mu przekonaniami panowie z Komitetu Międzypartyjnego mają z nim stały kontakt. Natomiast, chciałem pomówić ze znanymi mi oficerami II-giej Brygady, którzy przeprawę pod Rarańczą organizowali, oraz z szefem sztabu, płk. Żymirskim, którego znałem dość dobrze na to, aby wiedzieć, że będę mógł z rozmowy z nim osiągnąć dużo wiadomości. Żymirskiego niestety nie zastałem. Spędziłem pod Kaniowem cały dzień, przeprowadziłem cały szereg rozmów ze znajomymi oficerami i z żołnierzami. Z rozmów tych wynioskowałem, że duch w tych oddziałach jest dobry. Powiedziano mi tylko poufnie, że istnieją niedobre podejrzenia co do roli Żymirskiego, który jakoby wpływa na gen. Hallera w kierunku kapitulacji i wyjechał jakoby do Kijowa po to właśnie, aby wybadać warunki, które Niemcy gotowi są zaofiarować. Odniosłem jednak wrażenie, że jeśli Radzie Regencyjnej nie uda się bądź wpłynąć na dowództwo Korpusu tak jak na gen. Dowbora, bądź też nie uda się jej osiągnąć od Niemców i Austriaków — szczególnie od tych ostatnich — warunków kapitulacji możliwych do przyjęcia, to żołnierze bić się będą i starcie zbrojne z Niemcami nastąpi. A to w moim przekonaniu było rzeczą główną i najważniejszą. Wpraw-

dzie, spotkałem się i w Korpusie Hallera z ogólnikowymi i nieprzemyślanymi projektami przedzierania się dalej na wschód, uważałem jednak taką operację za beznadziejną i pozbawioną jakichkolwiek szans powodzenia.

W ogóle miałem już wówczas zupełnie wyrobione przekonanie, że wschodnie formacje polskie uratować się jako zorganizowane i uzbrojone jednostki nie dadzą; że wszelkie próby przedzierania się szlakiem czeskiego Legionu nie mają żadnych widoków powodzenia i mogą skończyć się jedynie rozproszeniem i wessaniem wielu tysięcy żołnierzy i oficerów na terenach dalekich od kraju. Miałem zaś dobrze w pamięci, to co mi mówił Piłsudski o doniosłości posiadania możliwie największej siły wojskowej w kraju, w momencie zakończenia wojny i jego naleganie na to, aby starać się jak największą ilość Polaków z Rosji wyciągnąć. Sądziłem tedy, że najlepiej będzie jeżeli ten materiał ludzki, posiadający w dużym procencie wojskowe przeszkolenie zarówno w armii rosyjskiej, jak w I-szym i II-gim Korpusie polskim, lub w Legionach czy w Korpusie gen. Hallera, znajdzie się w kraju, choćby nawet nie na wolności, lecz w obozach internowanych, które przecież znajdują się w polskiej dyspozycji w momencie klęski państw centralnych. Sądziłem dalej, że politycznie będzie rzeczą ogromnej wagi, aby likwidacja formacji polskich odbyła się nie w formie kapitulacji, lecz w zbrojnym starciu choćby najkrótszym, choćby bez żadnych widoków powodzenia — z Niemcami. Dążyłem bowiem w ten sposób wyraz jednolitego antyniemieckiego frontu wszystkich polskich sił zbrojnych. Pozostanie wówczas przy koncepcji wiązania Polski z państwami centralnymi tylko drobna grupka tak zwanego Wehrmachtu, co choćby wobec jej znikomej liczebności nie będzie miało żadnego znaczenia politycznego.

Z tym utrwalonym już stanowczo przekonaniem udałem się w kilka dni po powrocie spod Kaniowa do Bobrujska, aby porozumieć się z Lisem-Kulą i z tamtejszymi piłsudczykami, aby poznać stan rzeczy na miejscu i powziąć decyzję co do kroków, które musimy podjąć na terenie Korpusu gen. Dowbora.

W pierwszych dniach maja znalazłem się w Bobrujsku. Znalazłem tam grono pierwszorzędnych ludzi, na których oparł się Lis Kula po swym przybyciu do korpusu i przy pomocy których rozwinęła się już wcale poważna sieć organizacyjna, sięgająca niemal do wszystkich pułków i formacji, a w niektórych nawet dominująca. Głównymi współpracownikami Lisa byli Ignacy Matuszewski, pracujący w sztabie gen. Dowbora jako szef Biura Wywiadowczego, oraz doktor Hubicki, lekarz wojskowy w stop-

niu generała. Organizacja nasza miała też ścisłą łączność z likwidującą się właśnie misją francuską przy Korpusie gen. Dowbora, na czele której stał gen. Rampon. Pani doktor Anna Hubicka, która ukończyła studia w paryskiej Sorbonie i świetnie mówiła po francusku, była łączniczką z gen. Ramponem i przez nią był on doskonale poinformowany o stanowisku piłsudczyków i o polityce Legionów i P.O.W. Od chwili wejścia gen. Dowbora w układy z Niemcami i jego poddania się Radzie Regencyjnej, kontakt między misją francuską, a organizacją piłsudczyków w I-szym Korpusie stał się jak najbardziej przyjazny i ścisły.

Lis-Kula po przebyciu do Korpusu zameldował się u gen. Dowbora i najzupełniej otwarcie i szczerze podał mu zarówno swoje dane personalne, jak i cele, dla których nasza grupa przybyła na wschód. Został przyjęty raczej przyjaźnie. Gdy gen. Dowbór dowiedział się, że spędził on szereg miesięcy na froncie włoskim i został specjalnie przeszkolony w najnowszych wówczas metodach prowadzenia walki, w taktyce oddziałów szturmowych ze szczególnym uwzględnieniem walki granatami ręcznymi — gen. Dowbór przydzielił Lisa w charakterze instruktora do Legii Oficerskiej, powierzając mu przeszkolenie jej w tych formach walki.

Spędziłem szereg wieczorów na omawianiu z elitą naszej organizacji nie tylko zagadnień bieżących, ale i całokształtu sytuacji politycznej, w czym w dużej mierze wyreczyłem Lisa-Kulę, który nie miał ani zamiłowania do polityki, ani dostatecznego w tych sprawach wyrobienia. Przez kilka dni też krążyłem po Bobrujsku przysłuchując się rozmowom i badając nastroje zarówno wśród oficerów jak i żołnierzy. Rozporządzając już informacjami od Matuszewskiego i państwa Hubickich, niewiele czasu potrzebowałem dla zorientowania się w sytuacji. Diagnoza moja była następująca: ogromna większość żołnierzy Korpusu, a prawdopodobnie i oficerów, szczególnie piechoty, ma dosyć wojny i dosyć rewolucji, zwłaszcza od czasu uchwycenia władzy przez bolszewików i nie da się poderwać do żadnej akcji, zmierzającej do powrotu na wschód. Marzeniem ich jest powrót do siebie, do swych siedzib w Polsce, z których wyrwani zostali w 1914 i 1915 roku. Dlatego też — chętnie lub niechętnie, ale akceptowali w głębi duszy poddanie się przez Dowbora Radzie Regencyjnej i układy z Niemcami. Niewątpliwie jednak istniała spora garść oficerów i żołnierzy inteligentów, — szczególnie w pułkach kawaleryjskich — których można porwać do starcia z Niemcami. Połączone wpływy naszej piłsudczykowskiej grupy wraz z wpływami Obozu Narodowego mogły, zdaniem moim, doprowadzić do tego celu, przy czym inicjatywę i organizację my,

piłsudscy, gotowiśmy byli wziąć na siebie. W tym też kierunku postanowiłem działać.

Były pewne przesłanki, które pozwalały przypuszczać, że gen. Dowbór-Muśnicki wraz z jego najbliższym otoczeniem, nie powinien się czuć zbyt mocno na tej drodze, na którą wszedł poddając się Radzie Regencyjnej, za czym musiała iść nieunikniona kapitulacja wobec Niemców i rozbrojenie Korpusu. Zarówno gen. Dowbór jak i najwyższe hierarchicznie osobistości z jego sztabu oraz zarządu cywilnego, zajętego przez Korpus terytorium, byli to przecież ludzie dla których na pewno Roman Dmowski i jego obóz był zawsze wysokim autorytetem. Trudno przypuścić, aby ten stan rzeczy załamał się tak nagle i definitywnie. Następnie, dopuszczenie, a w pewnej nawet mierze autoryzowanie działalności Lisa-Kuli również wskazywało na brak całkowitej pewności. Sądziłem więc, że warto zrobić próbę przekonania kierownictwa Korpusu. Za pośrednictwem dr. Hubickiego zawiadomilem gen. Dowbora o mojej obecności w Bobrujsku w charakterze Komendanta Naczelnego P.O.W. oraz świeżo przybyłego z kraju emisariusza piłsudczyków, i zaproponowałem, aby wysłuchano mego referatu o stanie rzeczy w Polsce, o polityce Piłsudskiego kontynuowanej przez nas w myśl instrukcji danych przez niego przed uwięzieniem i o wnioskach wynikających z tego w sytuacji obecnej. Ostrzegano mnie, że rezultatem może być rozkaz opuszczenia terytorium Korpusu. To jednak nie nastąpiło; przeciwnie, propozycja moja została przyjęta i zaproszono mnie na konferencję do Szefa Sztabu Korpusu, płk. Szprenglewskiego. Gen. Dowbór-Muśnicki nie był obecny, czego zresztą należało się spodziewać. Natomiast był obecny szef zarządu cywilnego i kilkunastu oficerów, zarówno z tegoż zarządu, jak i ze Sztabu Korpusu. Wygłosiłem na tym posiedzeniu obszerny referat, trwający przeszło godzinę. Poza krótkim przedstawieniem historycznego przebiegu pierwszych lat wojny w Polsce i polityki prowadzonej przez Piłsudskiego, stwierdziłem, że znikoma mniejszość w kraju stoi po stronie Obozu Aktywistycznego i Rady Regencyjnej, że zatem opowiadanie się za takową jest w sprzeczności z ogromną większością opinii politycznej w Polsce. Postawiłem też tezę, że państwa centralne — mimo zwinięcia frontu wschodniego — wojnę przegrają; że zatem polska racja stanu wymaga teraz właśnie bardziej niż kiedykolwiek zamianowania jednolitego frontu polskiego po stronie koalicji. Wniosek, wypływający z tego wszystkiego, brzmiał, że nie należy wchodzić w żadne układy z Niemcami i że wszelkie zbrojne formacje polskie, gdziekolwiek są, nie powinny składać broni, zaś próby rozbrojenia przyjmować oporem i walką niezależnie

od szans zwycięstwa. Wskazałem na odmowę przysięgi przez Legiony i manifestację o światowym zasięgu, jaką było pójście do więzienia niemieckiego Piłsudskiego i Sosnkowskiego, zamiast zgody na tę przysięgę; następnie, na bunt Korpusu Hallera, który z opóźnieniem wprawdzie, ale udowodnił solidarność całego obozu legionowego z Piłsudskim. Zaryzykowałem następnie przepowiednię — która sprawdziła się w przeciągu dni kilku — że Korpus gen. Hallera nie złoży broni i postawi opór Niemcom, mimo że znajduje się w daleko gorszej sytuacji niż Korpus I-szy. Że zatem ta, i tylko ta jedynie droga stoi przed Korpusem I-szym. Starcie zbrojne z Niemcami będzie wyrazem istotnego stanowiska narodu polskiego, podczas gdy kapitulacja zaciemni tylko istotny stan rzeczy, pozwalając w przyszłości przeciwnikom aspiracji państwowych narodu polskiego na twierdzenie, że Polacy są rozbici i znaczna ich część popiera państwa centralne, i wiąże los Polski z ich zwycięstwem.

Przemówienie moje zostało wysłuchane z uwagą, widziałem nawet że niektóre jego ustępy zrobiły duże wrażenie. Do dyskusji jednak nie doszło. Po zakończeniu mego referatu zabrał głos jeden z najwyższych obecnych przedstawicieli gen. Dowbora, nie pamiętam w tej chwili czy był to płk. Szprenglewski, czy też szef zarządu cywilnego admirał Porębski, który podziękowawszy mi uprzejmie za szereg ciekawych informacji, oświadczył ogólnikowo i wymijająco, że sytuacja jest niezmiernie ciężka i skomplikowana i wymaga wielkiej rozważliwości w działaniu; po czym zakończył górnym frazesem, zapewniając mnie, że oczywiście żołnierzy polski dobrowolnie broni nie złoży. Na tym zebranie zostało zakończone. Płk. Szprenglewski udał się z raportem do gen. Dowbora i następnego dnia dowiedzieliśmy się, o stanowisku zajętym przez dowództwo Korpusu wobec mego wystąpienia: uznano je mianowicie za usiłowanie pchnięcia I-go Korpusu na drogę nierozważnej i nieodpowiedzialnej polityki.

Gdyśmy się o tym dowiedzieli, spodziewaliśmy się w konsekwencji, że Lis-Kula zostanie pozbawiony swego stanowiska instruktora Legii Oficerskiej, ja zaś odesłany będę pod eskortą do Żłobina. Ani jedno, ani drugie jednak nie nastąpiło. Gdy zaś zwróciłem się do Sztabu z prośbą o danie mi środków transportowych dla wyjazdu do Starego Bychowa dla odwiedzenia tamtejszych oddziałów i zebrania wiadomości o tym co się dzieje po drugiej stronie rzeki u bolszewików, dano mi motocykl z przyczepką do dyspozycji nie tylko nie stawiając żadnych przeszkód, ale i nie zadając żadnych pytań.

Moja wycieczka do Starego Bychowa była związana z roz-

ważanymi wciąż jeszcze planami ewentualnego cofania się na wschód po starciu z Niemcami, miałem bowiem wyrobione zdanie co do tego, chciałem jednakże upewnić się jeszcze w moim przekonaniu, zasięgnąwszy opinii oficerów stacjonowanych na pograniczu z bolszewikami i mających — jak sądziłem — wiadomości stamtąd.

W Starym Bychowie spotkałem kilku oficerów kawalerii o zdecydowanych przekonaniach, uznających autorytet Piłsudskiego i wypowiadających się bez zastrzeżeń za koniecznością starcia z Niemcami.

Mieli oni istotnie dobre i obfite informacje od strony bolszewickiej. Jeden z nich dwukrotnie przeprawiał się za rzekę, by zasięgnąć języka; urodzony i wychowany w Rosji, świetnie mówił po rosyjsku, znał też doskonale obyczaje i żargon bolszewicki, tak że mógł być przez nich brany za swego. Jego zdaniem nie podobna w najmniejszej mierze liczyć na dobrą wolę z ich strony i polegać na jakichkolwiek ich przyrzeczeniach, jeśli by je nawet dawali. W rozmowach toczonych na temat I-go Korpusu bolszewicy mówili już nie tylko o usunięciu obecnych dowódców polskich z Dowborem na czele od władzy, ale zapowiadali, że wstępnym warunkiem do jakichkolwiek rozmów z Polakami musiałoby być wydanie im Dowbora zakutego w kajdany. Zdaniem moich informatorów stosunek bolszewików do polskich formacji wojskowych był wręcz nienawistny i gdyby nawet wdali się w jakieś układy z nami, to tylko po to, aby wciągnąć nas w pułapkę i po swojemu „zlikwidować”.

Po powrocie do Bobrujska ustaliliśmy tedy, że zadaniem naszym w I-szym Korpusie w momencie gdy będzie groziła definitywna kapitulacja i złożenie broni, jest doprowadzenie do starcia z Niemcami; że chwila ta jest bliska i należy całą naszą organizację w Korpusie postawić w stan pogotowia i opracować natychmiast szczegółowy plan działania.

Na drugi dzień po powzięciu tej decyzji otrzymałem wiadomość z Kijowa o tym, że Korpus Hallera pod Kaniowem został zaatakowany przez otaczających go Niemców, że opór został postawiony i po zażartej bitwie część żołnierzy została wzięta do niewoli, reszta zaś w znacznej ilości poszła w rozsypkę. Generał Haller z większością swego sztabu zdołał się uratować i znajduje się w dość bezpiecznym schronieniu pod Kijowem. Do Kijowa ściga poważna ilość rozbitków Korpusu. Ocenilem, że sytuacja wymaga mego natychmiastowego powrotu do Kijowa, tym bardziej że pobyt w Bobrujsku przyniósł mi pewną pozytywną, a bardzo doniosłą niespodziankę, a mianowicie: szef Misji fran-

cuskiej, gen. Rampon, wobec wiszącej w powietrzu kapitulacji gen. Dowbora, musiał ewakuować się z Bobrujska bezzwłocznie i konspiracyjnie. Posiadał on jeszcze dość znaczne sumy ze swego funduszu dyspozycyjnego. Zwierzył się on pani Hubickiej, że chciałby przekazać zbędne mu w obecnej sytuacji pieniądze w odpowiednie ręce pod dwoma warunkami. Po pierwsze, że pod żadnym warunkiem nie dostaną się one do dyspozycji generała Dowbora-Muśnickiego; po drugie, że użyte zostaną na walkę z Niemcami. Wystawiłem tedy na ręce pani Hubickiej, w imieniu Komendy Naczelnej P.O.W. potwierdzenie odbioru miliona rubli w carskich banknotach, z zobowiązaniem, że warunki postawione przez gen. Rampona będą dotrzymane. Wiedząc, że P.O.W. w kraju napotyka już na coraz większe trudności z powodu braku funduszy, uważałem za konieczne jak najprędzej pieniądze te wywieść i do kraju przekazać. Moja dalsza obecność w Bobrujsku była zresztą zbędna, gdyż według podziału funkcji kierownictwo akcji w zorganizowanych polskich formacjach wojskowych nie należało do mnie. Lis-Kula był odpowiedzialny za sprawy w I-szym Korpusie i poza tym najlepiej nadawał się na dowódcę ewentualnej akcji. Moją funkcją była Komenda Naczelna P.O.W. w Kijowie i tam musiałem wracać.

W Kijowie zastałem niesłychane ożywienie w związku z bitwą Kaniowską, zaś moja gospodyni przywitała mnie wyrzutem, że bez przerwy niemal zgłaszają się do mnie różni interesanci.

Niewiele dni minęło, a ruch wzmógł się jeszcze bardziej, gdy po nieudanym „zamachu stanu” z naszej strony w I-szym Korpusie zaczął się i stamtąd ogromny napływ ludzi do Kijowa. Na razie jednak zająłem się sprawami pieniężnymi. Bromirski przez swój bank zmienił owe milionowe subsydium francuskie po bardzo dogodnym kursie na ćwierć miliona marek niemieckich. Stare banknoty carskie były wciąż jeszcze najbardziej poszukiwaną walutą na terenie Kijowszczyzny. Niemieckich marek nie znano i nie miano do nich zaufania, „kierenki” były w powszechnej pogardzie, zaś inne namiastki waluty, jak kupony od najróżniejszych akcji, z dnia na dzień zmieniały swą wartość, lub traciły ją całkowicie. W kraju zaś Reichsmarki miały siłę kupna bardzo wysoką. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności znaczną część tych pieniędzy mogliśmy przesać do Komendy Głównej P.O.W. w Krakowie przez lotnika austriackiego, brata jednego z oficerów I-szej Brygady, resztę zaś w kilka tygodni później przewiozłem do kraju sam. Pieniądze te pozwoliły naszej robocie w kraju przetrwać aż do września 1918 roku, to jest do chwili kiedy udało nam się skonfiskować milion dwieście tysięcy koron w akcji oddziału lotnego P.O.W. w Bąkowcu pod Radomiem,

wzorowanej na bezdańskiej akcji Piłsudskiego. Ta z kolei zdobywcza na nieprzyjaciela doprowadziła nas szczęśliwie aż do 11 listopada.

Przebieg wypadków w Bobrujsku odnotuję tylko pobieżnie, nie brałem w niej bowiem bezpośredniego udziału; są zresztą dokładnie znane z innych źródeł. Jak wiadomo, w kilka dni po moim wyjeździe z Bobrujska gen. Dowbór na skutek instrukcji Rady Regencyjnej podpisał kapitulacyjny protokół, na podstawie którego oddziały I-go Korpusu miały złożyć broń, zaś oficerowie i żołnierze mieli być odtransportowani do kraju z zaleceniem, chociaż bez przymusu, wstępowania do tzw. Wehrmachtu. Przyszedł więc moment działania z naszej strony. Nastąpiła jednak nieprzewidziana przed moim odjazdem komplikacja; przybył do Bobrujska niespodziewanie oficer artylerii Legionów, Bartel de Weydenthal, działający na tamtym terenie pod pseudonimem „Płk. Barta”. Był to oficer wybitny, o dużym wykształceniu wojskowym i niepospolitej indywidualności, lecz o dość nierównym charakterze i niewątpliwym braku szczęścia, które jego uwielbiany mistrz, Napoleon I, tak bardzo cenił u oficerów. Podejmowane przez niego akcje nigdy nie miały powodzenia. Porażką skończyła się prowadzona przezeń w kwietniu bitwa oddziałów polskich ze zbrojną ludnością miejscową pod Niemirowem. Zginął później tragicznie przy wycofywaniu się oddziałów polskich z Odessy, dowodząc tylną strażą osłaniającą odwrót.

Gdy Bartel de Weydenthal zjawił się w Kijowie wkrótce po moim przybyciu, powstała przez pewien czas sytuacja dla mnie kłopotliwa, był on bowiem starszy szarżą ode mnie, niewątpliwie górował nade mną wykształceniem wojskowym, gdy jednak postępowanie jego zaczęło zmierzać do objęcia zwierzchnictwa nad całością naszej pracy, nie uważałem za możliwe zwierzchnictwo temu się poddać nie tylko dlatego, że formalnie ja byłem mianowany Komendantem Naczelnym P.O.W., ale i dlatego, że nie mogłem mu przyznać ani większego ode mnie wyrobienia politycznego, ani znajomości metod działania politycznego i organizacyjnego w ówczesnej sytuacji i warunkach pracy konspiracyjnej. Zwróciłem się więc do Komendanta Głównego o definitywne wyjaśnienie z zakresu kompetencji. Otrzymałem w odpowiedzi instrukcję, potwierdzającą moją niezależność od Bartla de Weydenthala zarówno w pracach P.O.W., jak i w mych uprawnieniach politycznego przedstawiciela Konwentu. Utrzymywałem więc z nim stały kontakt o charakterze doradczym jedynie. Bartel posiadał jednak pisemne pełnomocnictwo Śmigłego do działania w sprawach wojskowych. Gdy przyjechał do Bobrujska w tym samym dniu, kiedy ja wyjechałem, przedstawił to pełnomocnic-

two Lisowi-Kuli, który poddał się jego rozkazom. Nic nie wiedziałem o jego zamiarze udania się do I-szego Korpusu, a w szczególności o zamiarze odebrania roli kierowniczej Lisowi. Gdybym o tym wiedział, byłbym się temu stanowczo przeciwstawił. Jestem też do dziś przekonany, że gdyby Lis akcję w I-szym Korpusie prowadził nie byłby jej przerwał w krytycznym momencie, już po aresztowaniu Dowbora i wprowadzeniu naszych sił do akcji. Celowość naszego działania nie polegała bowiem na tym, aby porwać za sobą całość czy większość Korpusu, tym mniej zaś na tym, aby szukać zwycięstwa w starciu z Niemcami. Na wiadomość o aresztowaniu Dowbora i objęciu dowództwa przez piłsudczyków, Niemcy niewątpliwie uderzyliby natychmiast; po pierwszych strzałach na pewno dałaby się porwać do walki i oporu znaczna część niezdecydowanych poprzednio oficerów i żołnierzy. Doszłoby do bitwy i przez to samo cel nasz byłby osiągnięty. Oczywiście bitwa byłaby przegrana, zakończyłaby się tak samo rozbrojeniem i odtransportowaniem Korpusu do obozów internowanych w kraju, ale manifestacja jednolitego frontu polskiego przeciwko państwu centralnym rozległaby się głośnym echem na cały świat. Tym bardziej, że w warunkach posiadania pełnego zapasu broni i amunicji i oparcia o fortyfikacje bobrujskie, przy zdecydowanym charakterze i kapitalnym talencie Lisa jako dowódcy, bój miałby na pewno charakter poważny i w żaden sposób nie dałby się ukryć przed światem.

Decyzję Bartla de Weydenthala rezygnacji z boju uważałem i uważam dotychczas za ciężki błąd, zaś jego uprawnienie do objęcia dowództwa za wysoce wątpliwe. Dlatego też — mimo że były to rzeczy, których nie mogłem przewidzieć — żałowałem zawsze głęboko że nie wstrzymałem mego wyjazdu z Bobrujska, przynajmniej o kilkanaście godzin, aby móc rzucić na szalę swój wpływ za pozostawieniem kierownictwa naszej akcji w I-szym Korpusie w rękach Lisa-Kuli.

Jak już wspominałem, dla P.O.W. w Kijowie nastały gorączkowe czasy. Trzeba było zająć się rozbitkami Korpusu Hallera; napłynęły również setki ludzi z I-go Korpusu, którzy woleli pozostanie na tym terenie, niż odtransportowanie przez Niemców do kraju. Wszystkich tych, którzy mieli zaczepienie na miejscu włączaliśmy do sieci organizacyjnej P.O.W. Dla innych organizowaliśmy wraz z Radą Międzypartyjną przeprawę na Murmańsk i Archangielsk z ewentualną perspektywą przedostania się do Francji. Ludzie przybywający z I-go Korpusu przywozili też z sobą poważne nieraz transporty materiałów wybuchowych, amunicji, detonatorów itd., które musieliśmy magazynować bądź do użycia dla naszej rozwijającej się akcji dywer-

syjnej na Ukrainie, bądź dla przesłania do kraju, z którym mieliśmy coraz lepszą łączność.

Tymczasem sytuacja ogólna wciąż jeszcze nie wróżyła oczekiwanego przez nas zakończenia wojny przez klęskę państw centralnych. Na froncie zachodnim przysłyły nowe zwycięstwa niemieckie. Tu na terenie dawnego frontu wschodniego w umysłowości wszystkich tych, którzy byli świadkami rozpadu armii i całej potęgi imperium rosyjskiego, dominowało przekonanie o nieuniknionym zwycięstwie niemieckim. Miałem możność wówczas zetknięcia się z wybitnymi przedstawicielami dawnego ustroju rosyjskiego. Zjawił się w Kijowie w przejeździe do Berlina nie kto inny jak Milukow, jeden z najwybitniejszych polityków rosyjskich, świetny publicysta, długoletni poseł do Dumy i ostatni minister spraw zagranicznych Rosji demokratycznej przed przewrotem bolszewickim. Towarzyszył mu drugi wybitny przedstawiciel stronnictwa Kadetów (Konstytucyjnych Demokratów) — Demidow. Towarzyszący im Polak, Karol Wędziagolski, który odgrywał wybitną rolę w pierwszej fazie rewolucji rosyjskiej, jako członek stronnictwa Socjal-Rewolucjonistów, bliski współpracownik słynnego Borysa Sawinkowa. Na poufnej konferencji z przedstawicielami polskiej polityki, usłyszałem poglądy Milukowa, dające się streścić w tym, że zwycięstwo państw centralnych jest nieuniknione po upadku frontu wschodniego, że Rosja została przez bolszewików wtrącona w rozpaczliwą przepaść anarchii, z której nie jest w stanie wydobyć się bez pomocy zewnętrznej; wobec tego on i jego przyjaciele zamierzają zwrócić się o tę pomoc do Niemców.

Jako dwudziestopięcioletni młody człowiek i oficer niskiej szarży czułem się dość onieśmielony w rozmowie z mężem stanu potężnego mocarstwa, który jeszcze niewiele miesięcy przedtem odgrywał niepospolitą rolę w polityce światowej. Zwróciłem mu jednak uwagę, że udaje się on o pomoc do niewłaściwego źródła, nie tylko dlatego że trudno przypuszczać aby Niemcy wykazali jakiegokolwiek altruistyczne pobudki polityczne, ale i dlatego że oni sami są — zdaniem moim i mego politycznego obozu — w przededniu klęski. Milukow potraktował moje uwagi z delikatną pobłażliwością i niezachwianą pewnością siebie, jeśli chodzi o wynik wojny. Natomiast poważniej odniósł się co do mego zastrzeżenia, co do wyciągania ręki przez Rosję o pomoc niemiecką. Tu widać było, że nie czuje się pewny i że trafiłem w drażliwe miejsce. Popełnił też zadziwiającą niedyskrecję, jak na dyplomatę; powiedział mi, co dosłownie pamiętam: „Tonący brzytwy się chwyta. Jesteśmy w takiej otchłani, że wyciągamy rękę do każdego możliwego oparcia. Niemcy są dla nas tą

drabiną (*leśtnica*), po szczeblach której może nam się uda podnieść do krańca przepaści, a potem gdy staniemy już na nogach będziemy umieli tę drabinę odrzucić”.

W maju 1918 roku otrzymałem od Komendanta Głównego P.O.W., Śmigłego, rozkaz przybycia do kraju dla złożenia ustnego raportu. Dał mi on też znać, że według wszelkiego prawdopodobieństwa nie wrócę już do swojej poprzedniej pracy w Kijowie. Abym więc przed wyjazdem odpowiednio sprawy ułożył. W tym czasie do pracy w P.O.W. napłynął cały szereg ludzi zarówno z I-go Korpusu jak i z innych rozbitych formacji polskich na tym terenie. Było to niezwykle pożądane, bo prawdę mówiąc po swym przyjeździe zastałem dość ubogi skład personalny, tym bardziej że cały szereg najzdolniejszych może i najwybitniejszych jednostek nie mógł się pogodzić z wprowadzanym przeze mnie nowym frontem i pozostali oni na uboczu. Obecnie jednak mogliśmy wzbogacić sieć organizacyjną P.O.W. i sztab Komendy Naczelnej przez szereg dobrych i wypróbowanych sił. Ożywił się również kontakt z krajem i nie bez wpływu na polityczną orientację i umocnienie oraz autoryzację „nowej linii” był przyjazd ludzi tak wybitnych jak np. Andrzej Strug; to wpłynęło na opozycję rekrutującą się głównie z lewego skrzydła i przekonało ich, że nie mają do czynienia z jakąś moją osobistą herezją.

Wśród nowoprzybyłych do Kijowa niewątpliwie najwybitniejszą postacią był Ignacy Matuszewski. Był to człowiek o niezwykłej inteligencji, wybitnym talencie politycznym, nie mówiąc już o jego świetnej karcie wojskowej, świadczącej nie tylko o odwadze, ale i o kwalifikacjach samodzielnego dowódcy. Matuszewski w roku 1917 odchylił się początkowo od linii wytkniętej nam w kraju przez Komendanta; nie było w tym zresztą nic dziwnego; przez lata wojny nie miał żadnego z nami kontaktu. Początkowo więc, po wybuchu rewolucji, przeciwstawiał się tworzeniu odrębnych formacji wojskowych polskich; dał temu wyraz na pierwszym zjeździe wojskowych Polaków w przemówieniu świetnie zresztą sformułowanym. Wkrótce potem znalazł się jednak w szeregach I-go Korpusu i niezależnie od swej pracy w sztabie generała Dowbora odznaczył się niepospolicie w znanej skądinąd śmiałej i kapitalnie przeprowadzonej operacji mińskiej.

Z Matuszewskim właśnie odbyłem wówczas szereg długich rozmów, nie związanych z zagadnieniami bieżącymi naszej pracy, lecz wybiegających daleko naprzód. Matuszewski w myśleniu

swym szedł już wówczas całkowicie po linii wytycznych Komentanta. Jak my wszyscy, nie miał żadnych wątpliwości, że wojna się skończy porażką Niemiec i będziemy mieli Polskę niepodległą. Ale przewidywania jego szły dalej. Na podstawie obserwacji rewolucji rosyjskiej od jej początku, na podstawie zapoznania się z umysłowością i charakterem bolszewików, na podstawie wreszcie głębszych dociekań historiozoficznych na temat stosunków polsko-rosyjskich, Matuszewski wróżył z całym przekonaniem, że od pierwszej chwili nowe państwo polskie będzie straszliwie zagrożone przez bolszewicką Rosję; że musi dojść do wojny polsko-rosyjskiej, której wynik dopiero zadczyduje o tym czy nowa Rzeczpospolita się utrzyma i stanie na mocnych nogach. Sądził on, że ten stan rzeczy musimy mieć stale na uwadze i przygotowywać się do nieuniknionej rozprawy.

Poglądy Matuszewskiego odpowiadały całkowicie mojemu przekonaniu i upewniły mnie w nim dostatecznie, aby w pracach P.O.W. wziąć natychmiast pod uwagę jego przewidywania. Dotychczas bowiem uważaliśmy naszą pracę na tamtym terenie za krótkoterminową, która się zakończy w momencie rozstrzygnięcia wojny na zachodzie i powstania niepodległej Polski. Wówczas spłyniemy wszyscy z powrotem do kraju i ściągniemy cały zorganizowany przez nas materiał ludzki dla zasilenia powstającego wojska polskiego. Perspektywy przyszłości wysunięte przez Matuszewskiego spowodowały zmianę w naszej taktyce organizacyjnej. Przyjęliśmy założenie, że w tej przewidywanej wojnie polsko-rosyjskiej potrzebna będzie zorganizowana sieć placówek na ewentualnych tyłach nieprzyjaciela i przygotowanie dróg łączności z krajem. Uznaliśmy też za konieczne posunąć jak najdalej na wschód i pozostawić w momencie zakończenia wojny jak najwięcej zakonspirowanych punktów oparcia i informacji. Ta nasza decyzja, dzięki inicjatywie Matuszewskiego w czas powzięta, przyniosła niewątpliwie poważne rezultaty w czasie wojny 1919 i 1920 roku.

Zwróciliśmy też uwagę na konieczność skierowania części naszych ludzi coraz trudniejszymi, ale wciąż jeszcze możliwymi drogami — przez Archangielsk i Murmańsk — na zachód, do Paryża, dla kontaktu, informacji i — o ile możliwości — porozumienia z Komitetem Narodowym w Paryżu i z wojskiem polskim na zachodzie. Mieliśmy bowiem wprowadzić wiadomości, że pierwotne polskie formacje we Francji zostały w pierwszej fazie wojny krwawo zdziesiątkowane, byliśmy jednak przekonani, że pod koniec wojny uda się je zregenerować i rozszerzyć. Udał się już tą drogą Wieniawa. Obecnie skierowaliśmy na nią Hubickich oraz szereg oficerów, którzy nie nadawali się spe-

cialnie i nie byli szczególnie potrzebni do prac P.O.W. na miejscu, mogli jednak być bardzo przydatni w regularnych oddziałach wojskowych we Francji.

W czerwcu 1918 roku otrzymałem z Komendy Głównej rozkaz niezwłocznego przybycia. Przekazałem więc Naczelną Komendę P.O.W. Lisowi-Kuli; Schaetzel pozostał szefem sztabu. Przy współpracy Matuszewskiego i kilku dobrych i doświadczonych oficerów, specjalnie dobranych z całego terenu, mogłem być spokojny, że pozostawiam w Kijowie wyjątkowo dobrą obsadę. Elementy „opozycyjne” również zaczęły się już przystosowywać i stawać do pracy pod nowym kierownictwem. Placówka kijowska, mając nawiązaną już łączność z Petrogradem, Murmańskiem, Moskwą, Odessą i Kaukazem z jednej strony, zaś Krakowem i Warszawą z drugiej, stała na mocnych nogach.

Druga część zadania wyznaczonego mi przez Konwent, to jest zorientowanie się w tym co się dzieje w Rosji i zapoznanie się z istotnym obliczem nowych jej władców, była już też właściwie dokonana. Miałem relację z całego szeregu źródeł, od obserwatorów i uczestników rewolucji.

Udałem się do kraju dobrze już zorganizowaną drogą. Od Kijowa do Radziwiłłowa wystarczył mi paszport Kijowskiego Komitetu Obywatelskiego; z Radziwiłłowa do Brodów nasi kolejarze przewieźli mnie w wagonie bagażowym pod zręcznie ustawionymi kuframi, walizami i pakami. W Brodach ubrano mnie w kolejarski płaszcz i czapkę i przejechałem do Lwowa na parowozie pośpiesznego pociągu jako pomocnik maszynisty. We Lwowie zajeżdżałem na tymże parowozie aż do ogrzewalni, a stamtąd przeprowadzono mnie jakimiś skomplikowanymi przejściami i kanałami z pominięciem dworca i wszystkich kontrolowanych wyjść, tak że wychyliłem się z podziemi od razu na Gródeckiej ulicy. We Lwowie dostałem nowy komplet dokumentów, zarówno na Małopolskę jak i na obie okupacje. Pamiętam też, że udało mi się od spotkanego tam Michała Sokolnickiego, członka Konwentu, wyszachrować sleeping do Krakowa przezeń zamówiony. Nawiasem mówiąc, Sokolnicki, który był nieoficjalnym szefem dyplomatycznej służby Piłsudskiego, wracał właśnie z Jass po nawiązaniu kontaktu z przedstawicielami Anglii i Francji.

W Krakowie, w podziemiach wawelskich złożyłem raport Śmigłemu i dostarczyłem do kasy P.O.W. niecierpliwie oczekiwane pieniądze, to znaczy resztę subsydium gen. Rampona. Zaraz następnego dnia udałem się do Warszawy. Na stacji granicznej omal nie spotkała mnie, a raczej P.O.W., katastrofa, wiozłem

bowiem do Warszawy wyasygnowaną mi z Komendy Głównej poważną kwotę pieniężną, a nie ostrzeżono mnie w Krakowie, że wprowadzona została kontrola walutowa między Małopolską i okupacją austriacką z jednej strony, a okupacją niemiecką z drugiej, i że wolno było przewozić tylko minimalne sumy pieniędzy pod karą konfiskaty nadwyżki. Byłem więc zaskoczony, gdy kazano mi pokazać oprócz dokumentów również i portfel i gdy kontrolujący urzędnik, zobaczywszy plik banknotów — a było tego kilkanaście tysięcy marek — spojrzał na mnie już nie tylko ze zdumieniem, ale po prostu z przerażeniem. Ale był to Polak i widocznie dobry Polak, bo po krótkiej chwili wahania i obojętności się dokonał prędko zamknął portfel i oddał mi go bez słowa. Dotarłem do Warszawy bez przygód, gdy jednak zjawiłem się w swoim dawnym mieszkaniu u rodziny, dowiedziałem się, że muszę czym prędzej zmienić kwatery, gdyż w czasie mojej nieobecności dwukrotnie były rewizje i poszukiwano mnie zarówno w Warszawie, jak i u moich rodziców na wsi. Oczywiście nie było trudności w znalezieniu nowej kwatery. Moje nowe dokumenty były wystawione na nazwisko nie mające nic wspólnego z moimi nazwiskami i pseudonimami dawniejszymi. Zostałem jednak przestrzeżony, że Feld-Polizei niemiecka i jej szef Schultze, nie tylko specjalnie interesują się od szeregu miesięcy moją osobą, i wszystkich aresztowanych peowiaków przy przesłuchaniu o mnie wypytują, ale znają nawet mój sposób ubierania się.

W P.O.W. w Warszawie zastałem znaczne zmiany. Na czele KN 1 w Warszawie stał mój stary przyjaciel i pionier P.O.W. Adam Koc, który był internowany w Beniaminowie po kryzysie przysięgowym, ale przed kilku miesiącami dostał rozkaz ucieczki stamtąd, gdyż był w P.O.W. niezbędnie potrzebny. Cały szereg wybitnych ludzi siedziało w Twierdzy Modlińskiej ze Sławkiem i Adamem Skwarczyńskim na czele. Wśród polityków z P.P.S. i Stronnictwa Ludowego Niemcy wyrwali również wielu czołowych działaczy, w tymże Modlinie uwięzionych. Z drugiej strony, zjawili się ludzie z katorgi rosyjskiej, zwolnieni przez rewolucję 1917 roku, którym udało się przedostać do kraju. Między innymi Aleksander Prystor, który został skazany na 10 lat katorgi w 1913 roku i Czesław Świrski, skazany na śmierć za udział w operacji Bezdańskiej, „ułaskawiony” następnie na dożywotnią katorgę. Obaj byli wyrwani z naszych szeregów w początkach nowej polityki Piłsudskiego. Znaleźli się między nami po 6 czy 7 latach zupełnej izolacji; przyglądali się naszej robocie z ciekawością, pobłażliwie porównując nasze działania z pracą rewolucyjną i konspiracyjną za ich czasów, nie bardzo dowie-

rzając rezultatom naszej „masowej” działalności. Za ich czasów zasięg organizacyjny P.P.S. i jej organizacji bojowej szedł w setki, a co najwyżej tysiące ludzi w całym kraju. Gdy słyszeli od nas o kilkunasztu tysiącach ściśle zorganizowanej sieci i kilkudziesięciu tysiącach organizacji luźniejszej, przymrużali oczy z dyskretnym uśmiechem i widzieliśmy, że jeśli nawet nie uważają nas za blagierów, to ani przez chwilę nie traktują poważnie efektywnej możliwości naszej roboty. Dopiero wrześnieowy wyczyn naszego oddziału lotnego — opanowanie pociągu austriackiego pod Bąkowcem i konfiskata miliona koron wywożonych z Polski pieniędzy podatkowych, a następnie przebieg dnia 11 listopada, przekonały ich, żeśmy tradycjom 1905 roku wstydu nie przynieśli.

Konwent z powodzeniem utrzymywał jednolitość polityki i działań Obozu Niepodległościowego. Jasne już było, że uwięzienie Komendanta i Sosnkowskiego nie rozbiło jedności piśsudczyków i nie zahamowało energii naszego działania. W czasie mej podróży z Kijowa, we Lwowie, w Krakowie, w Warszawie, spotkałem w kierowniczych ośrodkach naszej pracy, zarówno w P.O.W., jak w dziedzinie politycznej, pewność i stanowczość działania. Na ostatnim, przed moim powrotem, posiedzeniu Konwentu zapadły uchwały następujące:

- 1) „Stwierdzając w społeczeństwie polskim upadek autorytetu władzy i wojska austriackiego, przy jednoczesnym bezkrytycznym lęku w stosunku do siły niemieckiej, postanowiono przełamać psychologię społeczeństwa przez intensywną akcję terrorystyczną w stosunku do Niemców”.
- 2) „Przyjęto do wiadomości i zaakceptowano plan Rydza-Śmigłego utworzenia bazy operacyjnej na okupacji austriackiej, jako na terenie słabszego przeciwnika i jednoczesnego rozwinięcia intensywnej akcji dywersyjnej na okupacji niemieckiej, celem związania walką sił niemieckich i uniemożliwienia im interwencji na terenie okupacji austriackiej”.

Wśród uchwał tegoż posiedzenia Konwentu znajdujemy również decyzję nawiązania stosunków z państwami Ententy.

Wszystkie te decyzje były planowo wykonywane. W czasie mojej nieobecności zaszły istotnie duże zmiany w stosunkach na terenie dawnej Kongresówki i zaboru austriackiego. Słabość monarchii austro-węgierskiej przejawiała się na każdym kroku w życiu codziennym. Zarówno w Galicji, jak i w okupacji austriackiej władze państwowe na każdym kroku zdradzały niepewność, liczenie się z ludnością, czasami nawet wyraźne dążenie do zaskarbiania sobie jej względów na niepewne, a szybko zbliżające się

jutro. Praca P.O.W. na tych terenach prawie że nie wymagała konspiracji. Inaczej było na okupacji niemieckiej. Wprawdzie okupacyjny aparat wojskowy trzymał się z dużą pewnością siebie, ale Feld-Polizei z wymienionym już Schultzem na czele, orientowała się już od drugiej połowy roku 1917, że teren jest niebezpiecznie podminowany przez zorganizowaną działalność piłsudczyków. Jak się zdaje jednak Schultze nie znajdował dostatecznego posłuchu wśród oficerów niemieckiej armii regularnej, odkomenderowanych na stanowiska administracyjne w okupacji. Trzeba też pamiętać, że nie ma żadnej analogii między stosunkami ówczesnymi, a okupacją hitlerowską po 1939 roku. Mimo stanu wojennego Niemcy wówczas zachowywali raczej znaczną praworządność, nie było mowy o odpowiedzialności zbiorowej, o braniu zakładników; władze policyjne w odpowiedzi na naszą akcję dywersyjną musiały ewentualnie podejrzanych i aresztowanych ludzi stawiać przed sądem i rzeczywiście przedstawiać dowody przestępstwa, które nie zawsze zostały przez sąd uznawane i wyroki uniewinniające były dość częste. Na rozprawach przed sądem wojennym Schultze stawał często sam w charakterze oskarżyciela i próbował oficerom zasiadającym na ławie sądowej zarysowywać groźny charakter P.O.W., żądając kary śmierci na oskarżonych. I zdarzało się, że w odpowiedzi na to, sędziacy oficerowie zadawali mu pytania: — Czy ci spiskowcy mają artylerię? — Nie — odpowiadał Schultze. — A karabiny maszynowe mają? — O ile mi wiadomo również nie — musiał przyznać Schultze. — To cóż Pan oficerów jego cesarskiej mości straszysz jakąś gromadką nieuzbrojonych szczeniaków? — brzmiała odpowiedź, i zapadał wyrok stosunkowo łagodny jak na warunki wojenne, kilkuletniego więzienia. Niemniej przeto, Schultze zaczął być dla nas groźny. Na własną rękę stosował coraz dotkliwsze represje; przetrzymywał aresztowanych jak najdłużej bez sądu i zaczął stosować bicie i tortury w wypadkach, kiedy był pewny, że uwięzieni mogą zdradzić w znacznej części lub nawet w całości sieć organizacyjną P.O.W. Próbowano tych sposobów z Wacławem Jędrzejewiczem, o którym Schultze najwidoczniej wiedział, że zajmuje wysokie stanowisko w organizacji. Próbowano z doktorem Szymonem Lilienfeld-Krzewskim, który był szefem służby łączności przy Komendzie Naczelnej i gdyby się załamał mógłby wydać adresy wszystkich komend okręgowych i obwodowych, których likwidacja byłaby oczywiście klęską dla całej organizacji. Nie było wprawdzie wypadku, aby ktoś z wybitniejszych członków P.O.W. załamał się i cokolwiek wydał. Natomiast trudno było wykluczyć całkowicie takie wypadki. Mieliśmy też coraz więcej danych na to, że Schultze gromadzi coraz więcej wiado-

mości o naszej organizacji i staje się wręcz groźny. Zapadła więc decyzja, że musi zginąć. Warszawski Oddział Lotny, prowadzony wspólnym wysiłkiem przez P.O.W. i P.P.S., otrzymał polecenie wykonania wyroku śmierci. Wywiad ustalił, bez trudu, że Schultz z niemiecką zaiste regularnością i punktualnością odwiedza swą przyjaciółkę, tancerkę występującą w jednym z podrzędnych teatrzyków warszawskich. Ulica Smolna nadawała się dobrze do akcji i dawała możliwości wycofania się przez dobrze wystudiowane przejścia i ogrody, prowadzące ku Wiśle. Któregoś lipcowego popołudnia, gdy Schultz wyszedł na ulicę po zakończonej wizycie, kilka dobrze wycelowanych kul położyło go na miejscu i sprawcy zamachu wycofali się bez strat. Mury Warszawy pokryły się dwujęzycznymi plakatami, ogłaszającymi wysoką nagrodę pieniężną za wskazanie sprawców. Co tydzień zmieniano plakaty, podwyższając sumę obiecanej nagrody, aż doszła w końcu do jakiejś ogromnej cyfry. Z przyjemnością obserwowaliśmy grupy publiczności warszawskiej, zbierające się pod plakatami i wymieniające między sobą filuterne uśmiechy i mrugnięcia. Okazało się też wkrótce, jak doniosłe znaczenie miała osobista praca i zaciętość Schultzego. Działalność Feldpolizei przeciwko P.O.W. zmalała po śmierci Schultzego w uderzający sposób; ilość rewizji i aresztów spadła do minimum; reżym w stosunku do uwięzionych złagodniał.

Moje zajęcia w tym czasie skoncentrowały się prawie wyłącznie na pracy politycznej. Szeregi P.O.W. zostały zasilone znaczną ilością oficerów legionowych, których w miarę potrzeby wyciągaliśmy z obozu internowanych w Beniaminowie, bądź też jeśli chodzi o obywateli austriackich, wcielonych po kryzysie przysięgowym do armii austro-węgierskiej, dawaliśmy im rozkaz dezercji i ściągaliśmy ich na teren Kongresówki, gdzie mogli pracować bezpiecznie.

Adam Koc nie potrzebował więc mojej pomocy w dziedzinie organizacyjno-wojskowej. Natomiast tak samo jak przedtem Kasprzycki, pozostawił mi polityczną reprezentację. W dalszym ciągu zasiadałem w Centralnym Komitecie Narodowym Warszawskim wyjeżdżając często do głównych ośrodków prowincjonalnych na obu okupacjach, gdzie zresztą działalność Obozu Niepodległościowego i P.O.W. splatała się ściśle, opierała się przeważnie na tym samym gronie ludzi, mogłem więc jednocześnie reprezentować Komendę Naczelną P.O.W. i C.K.N. bez najmniejszych komplikacji. P.O.W. przetrzymała kryzys Magdeburgski nadspodziewanie dobrze. Po aresztowaniu Piłsudskiego i Sosnkowskiego rozrosła się nawet bardzo poważnie pod względem liczebnym; zyskała też kapitalnie na popularności, gdyż autorytet Piłsud-

skiego stał się powszechny i ogólnonarodowy. Jedynym objawem negatywnym było pewne zachwianie się w szeregach tzw. Młodzieży Narodowej, spowodowane nie jakimś kryzysem ideologicznym, ale jedynie tym, że do Konwentu, który objął decydującą rolę w kierownictwie Obozu Niepodległościowego jako całości, nie wprowadziliśmy przedstawicieli tej organizacji. Było to niewątpliwie niedopatrzenie z naszej strony. Nie wzięliśmy pod uwagę, improwizując w pośpiechu Konwent, ścisłego charakteru i tradycji tej organizacji, która trzymała się niezłomnej zasady nie uznawania żadnej władzy nadrzędnej, w której nie miałyby swojej reprezentacji. Młodzież Narodowa nie zmieniła swej orientacji politycznej, ale wycofała szereg swych wybitniejszych przedstawicieli z odpowiedzialnych stanowisk w P.O.W. Nawiasem mówiąc, nie wszyscy tego rozkazu usłuchali. Na ogół zaś, nie przyniosło to szczególnego uszczerbku w naszych pracach. Jeżeli chodzi o współdziałanie P.O.W. z głównymi członkami politycznej struktury Obozu Niepodległościowego, tj. P.P.S. i Stronnictwa Ludowego — wzmogło się ono raczej i zacieśniło. Świadomie i planowo staraliśmy się dopomóc do rozwoju pracy Ludowców w Kongresówce, gdzie była ona przed wojną niezmiernie słaba. Cały szereg peowiaków nie tylko za wiedzą, ale z najgorętszą zachętą Komendy Naczelnej, oddał się pracy na wsi z wybitnie dobrym i szybkim rezultatem. Juliusz Poniatowski, Bagiński, Bojakowski i wielu innych ludzi z P.O.W. stali się pionierami rozwoju Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenia” w byłym zaborze rosyjskim. Z drugiej strony starzy i wybitni działacze ludowi jak Błażej Stolarski, Tomasz Nocznicki i Malinowski oddawali nam swe wpływy dla wciągnięcia młodzieży chłopskiej do P.O.W. Wieś w Kongresówce zaczęła się budzić; ponure wspomnienia z ostatniego powstania przestawały nas męczyć, gdy widzieliśmy coraz liczniejsze gromady młodzieży chłopskiej w szeregach P.O.W. Ciekawą jest rzeczą, że już w latach 1890, w czasie pierwszych prób rozciągnięcia wpływów P.P.S. na wieś, Józef Piłsudski napisał w liście do jednego ze swych przyjaciół: „Wydaje mi się, że idea niepodległości może łatwiej trafić do duszy chłopą polskiego, niż hasła walki klasowej”. Po dwudziestu latach potwierdziły się znakomicie te słowa, gdy praca P.O.W. sięgnęła na wieś.

Jeśli w szeregach najściślejszej organizacji piłsudczyków, którą niewątpliwie była wówczas P.O.W., utrzymana została całkowita zwartość i wierność jej wskazaniom, na terenie stronnictw politycznych sprawa przedstawiała się nieco gorzej, szczególnie w zakresie wpływów Krakowa z jego N.K.N.-em i zastępem fachowych polityków z Parlamentu wiedeńskiego nie uznających w grun-

cie rzeczy autorytetu politycznego Józefa Piłsudskiego. Wpływy te sprawiały nam czasami dywersję i w Warszawie. Z akcją miejscowego obozu aktywistycznego dawaliśmy sobie wcale dobrze radę, gdyż w tym ostatnim raczej zaczęły zarysowywać się tarcia. Władysław Studnicki ze swoją maniącką wiarą w przyjaźń polsko-niemiecką, z bezkrytycznym nałogiem przeciwstawiania się we wszystkim Romanowi Dmowskiemu, z bezkrytyczną zresztą wiarą w zwycięstwo państw centralnych, zaczął już nieco tracić grunt wśród swych wyznawców. Zaczął też przeciwstawiać się Radzie Regencyjnej i jej ostatnim rządów, widząc w ich postępowaniu chwiejność i zbytnią kompromisowość; zaczęło już głośno być w Warszawie o szykowanym przezeń zamachu na Radę Regencyjną.

W Małopolsce słabość i grożąca dekompozycja potęgi austro-węgierskiej wywołała zwrot nawet w obrębie wpływów N.K.N. W końcu maja wielu polityków z Ludowcami na czele — którzy jak Włodzimierz Tetmajer i Jan Dąbski odnosili się zawsze z największym uznaniem do Piłsudskiego — doszło do przekonania, że nadszedł już czas aby stanąć wyraźnie na torze wytkniętym przez Piłsudskiego, gdy szedł do Magdeburga. Uchwalili oni i przedstawili N.K.N.-owi rezolucję, stwierdzającą, że dążeniem polityki polskiej jest nie tylko państwo niepodległe, ale i zjednoczenie wszystkich zaborów oraz dostęp do morza. Oczywiście, było to całkowitym zerwaniem z dotychczasową polityką zarówno Aktywistów warszawskich jak i N.K.N.-u. Rezolucja ta została odrzucona przez większość N.K.N. i spotkała się oczywiście z wściekłym kontratakiem ze strony Studnickiego i Aktywistów warszawskich.

Gdy jednak wkrótce po moim powrocie z Kijowa sprawa ta wpłynęła na porządek dzienny obrad C.K.N.-u warszawskiego, postawiłem wniosek całkowitej akceptacji i poparcia stanowiska Włodzimierza Tetmajera i Jana Dąbskiego. Spotkałem się z wyraźną niepewnością i wahaniem ze strony niektórych przedstawicieli Komitetu i być może, że gdybym reprezentował tylko Stronnictwo Niezawisłości Narodowej, wniosek mój nie łatwo by przeszedł, lub spotkał się z dążeniem do odroczenia. Jednakże reprezentowałem P.O.W. i Konwent. I to zaważyło na szali prawdopodobnie silniej niż wszelkie argumenty. Wniosek mój przeszedł. Lecz tu zaszła rzecz dość niespodziewana; w kilka dni później, gdy tylko wiadomość o naszej uchwale doszła do Krakowa, Artur Śliwiński — przewodniczący C.K.N.-u — otrzymał depezę od Ignacego Daszyńskiego, zapowiadającą jego przyjazd do Warszawy dla omówienia spraw bieżących z C.K.N.-em. Gdy po przyjeździe Daszyńskiego zebraliśmy się raz jeszcze w mieszkaniu

Artura Sliwińskiego, Daszyński zaatakował z pasją naszą uchwałę jako niedojrzałą i demagogiczną; ironizował i wyszydzał nasze stanowisko, zarzucając nam, że pchamy Polskę na niepoczytalne drogi, operując frazesami zapożyczonymi od dmowszczyzny, puszczając w obieg walutę bez pokrycia, jak się wyraził, tj. maksymalistyczne postulaty, za którymi nie jesteśmy w stanie postawić żadnej siły, czyniącej prawdopodobnym osiągnięcie tych postulatów. Z jego przemówienia wynikało poza tym niezbicie, że przewiduje on zwycięstwo państw centralnych, a w najgorszym razie pokój kompromisowy, w którym decydujący głos w sprawie Polski będzie miał Wiedeń i Berlin. Daszyński, jak zwykle, mówił świetnie; zrobił na zebranych głębokie wrażenie i — gdy skończył i przewodniczący zapytał, kto chce zabrać głos, wszystkie oczy skierowały się na mnie, jako na sprawcę poprzedniej uchwały. Prawdę mówiąc, poczułem się bardzo nieswojo. Perspektywa starcia z rozgniewanym tygrysem, z uwielbianym przeze mnie mówcą, parlamentarzystą o europejskiej sławie i jednym z największych autorytetów politycznych naszego obozu, nie była dla mnie, młodzika, i początkującego polityka, ośmielająca. Toteż drżał mi nieco głos, gdy zacząłem mówić, opanowałem się jednak i rozgrzałem w miarę rozwijania mych argumentów, i wkrótce z nieśmiałej obrony przeszedłem do kontrataku. Powaga i niebezpieczeństwo sytuacji podnieciły mnie i zacząłem mówić tak dobrze, że aż sam się sobie dziwiłem. Znalazłem też podtrzymanie, szczególnie dla mnie cenne, bo ze strony przedstawicieli P.P.S. Stary, zasłużony robociarz, Wojtek Malinowski, przyszedł mi z pomocą, co niewątpliwie musiało mieć dla Daszyńskiego poważne znaczenie. Toteż gdy zabrał głos raz jeszcze, daleki był od poprzedniej pewności siebie i drwiącego tonu. Zebranie zakończyło się utrzymaniem poprzedniej uchwały; gdy zaś następnie gospodarz zatrzymał nas na posiłek i przeszliśmy na rozmowę nieoficjalną, Daszyński z właściwym sobie taktem był dla mnie szczególnie miły, przypominał łaskawie nasze poprzednie spotkania w Krakowie i na froncie w I-szej Brygadzie i traktował mnie bardzo przyjaźnie. Mówił też z ogromnym uznaniem i serdecznością o Komendancie, tak że w rezultacie rozstaliśmy się wszyscy zupełnie tak, jak gdyby przed godziną nie miała miejsca próba zepchnięcia nas z linii polityki tegoż Komendanta.

Lipiec 1918 roku, kiedy właśnie miały miejsce opisywane przeze mnie zdarzenia, był chyba najbardziej krytycznym momentem, największą próbą wytrzymałości psychicznej od czasu kiedy straciliśmy bezpośrednie kierownictwo Komendanta. Czytelnicy, którzy nie pamiętają tych czasów i przebieg pierwszej wojny światowej znają tylko z historii, zechcą wziąć pod uwagę, że

do końca niemal wynik ostateczny wcale nie był tak jasny ani konieczny jak się to widzi *ex post*. Jeśli nawet najwyższe niemieckie sfery kierownicze zdawały sobie sprawę z nieuniknionej przegranej, dla nas w Polsce nie było to bynajmniej widoczne. Wiedzieliśmy wprawdzie już od roku, że Niemcy są zagrożeni dotkliwie brakiem materiału ludzkiego i że nawet likwidacja walki na froncie wschodnim sprawy tej nie załatwiła. Wiadomo też było, że sytuacja żywnościowa w Niemczech jest ciężka; chociaż głosili oni, że produkcja Ukrainy i Rosji południowej rozwiąże zagadnienie żywnościowe, stan rzeczy na tamtym terenie nie wróżył, aby mogło to przyjść szybko. Z drugiej strony jednak dochodziły do nas wiadomości, w najwyższym stopniu niepokojące o stanie rzeczy po drugiej stronie zachodniego frontu. Już przed moim wyjazdem do Kijowa Jodko-Narkiewicz wspominał mi o wiadomościach otrzymanych przez Szwajcarię i Wiedeń, że zarówno armia francuska pod Verdun, jak i Anglicy na północnym skrzydle frontu, ponieśli olbrzymie straty w ludziach; co gorsze, że w lecie 1917 roku miał miejsce otwarty bunt w armii francuskiej, obejmujący niemniej jak kilkanaście dywizji. Nie bardzo wtedy wierzyliśmy w prawdziwość tych wiadomości, jednakże bezpośrednio przed moim wyjazdem z Kijowa dowiedziałem się, że Miłukow w swoich tam rozmowach potwierdził autentyczność tego faktu; mógł on, a nawet musiał jako minister spraw zagranicznych w rządzie Kiereńskiego, mieć o tym raporty od ambasady i rosyjskiej misji wojskowej we Francji. Potwierdzał on, że katastrofa wisiała na włosku i sytuacja została drastycznymi środkami opanowana przez Pétaina, gdyż na szczęście wywiad niemiecki nie doniósł o tym na czas swojemu dowództwu, które nie mogło wyzyskać okazji, kiedy między linią okopów niemieckich a Paryżem było zaledwie kilka dywizji francuskich, które nie odmówiły posłuszeństwa. Oczywiście, nikt nie miał zaufania — aż do przesady — do komunikatów niemieckich, donoszących o spustoszeniach dokonywanych przez łodzie podwodne na Atlantyku i nieproporcjonalnie wysokich stratach zadawanych przez lotnictwo niemieckie przeciwnikom. Rozumieliśmy, że cyfry tych strat wielokrotnie przewyższające własne straty niemieckie — jeśli nawet prawdziwe — tłumaczyć się mogą po prostu tym, że liczebność samolotów koalicyjnych góruje bez porównania nad liczebnością niemieckich. Wiedzieliśmy też, że jeszcze w maju 1918 roku angielska próba ofensywy została ponownie przez Niemców złamana z ogromnymi dla Anglików stratami. Nie dał się też jeszcze odczuć ani zauważyć w przebiegu wypadków na froncie wpływ armii Stanów Zjednoczonych.

Wszystko to przy próbie głębszej analizy musiało nam nasu-

wać przypuszczenie ogromnego prawdopodobieństwa, że przy wyczerpaniu i zmęczeniu obu stron walczących każda z nich może uważać znośny kompromis za rozstrzygnięcie lepsze, niż ryzyko szukania pełnego zwycięstwa.



W tym czasie Adam Koc już po raz drugi w życiu odgrywał przodującą i ważką rolę w pracach P.O.W. Był Komendantem Naczelnym na okupację niemiecką. Pomimo jednak, że Komenda Główna — zgodnie z zaleceniem Komendanta — została zaraz po jego aresztowaniu przeniesiona do Lublina następnie zaś, gdy funkcje Komendanta Głównego objął Rydz-Śmigły, pozostawała w Krakowie, Warszawa jako stolica z natury rzeczy przodowała, szczególnie w politycznej stronie naszej pracy. W lecie 1918 roku w czasie długotrwałej nieobecności Rydza-Śmigłego, który przebywał w Kijowie, Adam Koc zastępował go i miał w naszych sprawach głos decydujący. Trzykrotnie odegrał on ogromną rolę w pracach organizacyjnych i w polityce obozu piłsudczyków. Po raz pierwszy, było to w jesieni 1914 roku, gdy po wybuchu wojny przebieg wypadków odchylił się znacznie od przedwojennych przewidywań dzięki Kocowi głównie piłsudzycy, odcięci od Komendanta przez linie frontu, zorganizowali się, nie załamali się pod wpływem szalejącego w pierwszych miesiącach wojny moskalofilstwa i przystąpili do aktywnego działania, które trwało i rozwijało się aż do przesunięcia się frontu działań wojennych i odzyskania kontaktu z Piłsudskim. Ciężko ranny na froncie w czasie wołyńskich walk I-szej Brygady, internowany w Beniaminowie po kryzysie przysięgowym, został znowu powołany na Komendanta Naczelnego w Warszawie z początkiem roku 1918 i w krytycznych czasach magdeburskich zapisał znowu kapitalny rozdział w swej karcie służbowej. Zawsze spokojny i niewzruszony był niezawodnym stabilizatorem i koordynatorem wszystkich naszych działań; umiał też pobierać decyzję, w czym górował nad wielu najwybitniejszymi piłsudczykami. W szereg lat później, wpływ jego po raz trzeci głęboko zaważył w okresie Sulejówka — okresie również niezmiernie ciężkim w historii obozu piłsudczyków. Bo właśnie w okresach najcięższych grały najwydatniej cechy charakteru Adama Koca oraz autorytet osobisty, którym się cieszył w całym naszym obozie, niezależnie od rangi czy zajmowanego stanowiska. Jego ujmujący takt w postępowaniu z ludźmi, umiejętność wyłuskiwania istoty rzeczy w momentach spornych i przekonywującego jej przedstawienia, powodowały, że cieszył się on powszechnym zaufaniem; ale ponadto wszyscy byliś-

my serdecznie przywiązani do niego, co jest niewątpliwie rzeczą niezmiernie cenną i dopomagającą w efektywności działania nawet najpoważniejszym autorytetom.

Od lipca 1917 roku stosunek P.O.W. do kreowanych przez okupantów zaczątków państwowych instytucji polskich był dość skomplikowany. Z jednej strony bowiem zwalczaliśmy i zwalczać musieliśmy polityczną podstawę ich działania, opierającą się na perspektywach zwycięstwa państw centralnych i wynikającej stąd rezygnacji ze znacznej części postulatów niepodległościowych, z drugiej zaś strony — uważaliśmy za pożyteczne wszystkie prace, zmierzające do przygotowania aparatu wykonawczego przyszłego państwa w tych dziedzinach, w których władze okupacyjne to dopuszczały — to jest oświaty, a następnie sądownictwa i w pewnym zakresie administracji. Trzymaliśmy się też zasady Komendanta o licytacji wzwyż nie tylko po obu stronach walczących frontów, lecz i na terenie naszego działania. W dalszym ciągu graliśmy na niemiecko-austriackim pragnieniu uzyskania polskiego rekruta; gdy więc starano się go uzyskać pod autorytetem Tymczasowej Rady Stanu, wysunęliśmy żądanie stworzenia rządu polskiego i pokryliśmy cały kraj sloganami, mówiącymi krótko: Nie ma wojska polskiego bez rządu polskiego. Gdy autorytet Tymczasowej Rady Stanu upadł całkowicie po wystąpieniu Piłsudskiego i solidaryzujących się z nim jej członków, i gdy próby rekrutacji prowadzonej przez Sikorskiego skończyły się zupełnym fiaskiem, państwa centralne zdecydowały się na powołanie Rady Regencyjnej i rządu przez nią mianowanego i ponownie podjęły próbę rekrutacji już pod egidą tegoż rządu. Wtedy zmieniliśmy nasz slogan propagandowy, żądając Sejmu: Nie ma wojska polskiego bez Sejmu polskiego, głosiły nasze nowe plakaty i napisy na murach, oraz cała nasza nielegalna literatura. Jednocześnie, każdemu z rządów Rady Regencyjnej notyfikowaliśmy nasze drugie żądanie, bez spełnienia którego będziemy w dalszym ciągu zwalczać wszelkie próby tworzenia armii polskiej: Uwolnienie Piłsudskiego z więzienia.

Gdy tworzyła się Rada Regencyjna i gdy wiadome się stało, że kandydatami do niej są książę Zdzisław Lubomirski i książę arcybiskup Al. Kakowski, uznaliśmy za konieczne przestrzec ich przed przyjmowaniem tej godności. Sądziliśmy bowiem, że osobisty autorytet obu tych osobistości może niepotrzebnie zaważyć pozytywnie na powadze Rady Regencyjnej. W tym bowiem czasie książę Zdzisław Lubomirski cieszył się rzeczywiście ogromną popularnością, szczególnie w stolicy, zaś arcybiskup Kakowski z natury rzeczy, jako metropolita warszawski, miał ogromny autorytet wśród wiernych.

Tak więc w grudniu 1917 roku Konrad Libicki i ja zgłosiliśmy się jako przedstawiciele Komendy Głównej P.O.W., w pałacu arcybiskupim na Miodowej, a następnie we Frascati u obu regentów *in spe*. W obu wypadkach przeprowadziliśmy analogiczne rozmowy, ujmując sprawę w ten sposób, że P.O.W. uznaje wprawdzie konieczność wyzyskiwania wszystkich możliwości dla podbudowy przyszłych organów niepodległego państwa, jednakże najwyższe szczeble władzy państwowej tworzone już obecnie, z konieczności prowadzić będą do zbyt ścisłej współpracy z rządami okupacyjnymi i dzięki temu w momencie klęski tych ostatnich spowodują w sposób nieunikniony niepopULARNOŚĆ wśród społeczeństwa polskiego tych osobistości, które się w ten sposób zaangażują. P.O.W. uważa, że powstająca Polska niepodległa będzie potrzebowała pewnej liczby autorytetów, pewnej liczby osób cieszących się powszechną popularnością. Zaliczamy do nich zarówno księdza arcybiskupa Metropolity Warszawskiego, jak księcia Prezydenta, Zdzisława Lubomirskiego. Sądzymy zatem, że ich popularność i autorytet nie powinny być wystawiane na szwank przez przyjęcie nominacji cesarza niemieckiego i austriackiego do Rady Regencyjnej.

W obu wypadkach przyjęto nas uprzejmie i kurtuazyjnie, nie kwestionując bynajmniej uprawnień P.O.W. do zabierania głosu i udzielania rad, czy przestróg. Odpowiedź jednak była w obu wypadkach ogólnikowa i zrobiła na nas wrażenie, że pozytywna decyzja jest już przez obie zainteresowane osoby powzięta. Ksiądz Zdzisław Lubomirski rozmawiał z nami sam, ksiądz arcybiskup Kakowski w towarzystwie ks. Kanonika Chełmickiego, późniejszego kierownika kancelarii Rady Regencyjnej (zwanego powszechnie, a złośliwie kierownikiem Rady Regencyjnej), który właściwie wyręczał księdza arcybiskupa w sformułowaniu odpowiedzi na nasze przedstawienia.

W miesiąc później, po utworzeniu przez Jana Kucharzewskiego rządu z ramienia Rady Regencyjnej, Adam Koc i ja udaliśmy się do niego dla zakomunikowania mu stanowiska P.O.W. w stosunku do jego rządu. W tym wypadku główny akcent kładliśmy na domaganiu się od państw okupacyjnych zwrócenia wolności Józefowi Piłsudskiemu. Kucharzewski mówił z nami zupełnie otwarcie, zwracając naszą uwagę na to, że w danych warunkach jego rząd jest przecież rządem tylko z imienia i niestety nie ma żadnej możliwości negocjowania z rządami okupacyjnymi na stopie równości. Że będzie on się starał przekonać Berlin i Wiedeń, iż zwolnienie Piłsudskiego jest rzeczą w najwyższym stopniu wskazaną i potrzebną, ale żadnych realnych środków

nacisku przecież nie posiada. Tego oczywiście kwestionować nie mogliśmy.

W ciągu lata i jesieni 1918 roku, aż do października, stosunki między P.O.W. i obozem niepodległościowym z jednej strony, zaś Radą Regencyjną i jej organami z drugiej, zarysowywały się w kierunku coraz ostrzejszej opozycji z naszej strony. P.O.W. organizowała jak najostrejsze manifestacje po pertraktacjach brzeskich, w których państwa centralne zaofiarowały sowieckiej Ukrainie Chełmszczyznę, Wołyń i perspektywę Małopolski wschodniej, co zresztą spowodowało ustąpienie rządu Kucharzewskiego i przejścia kierownictwa rządu w ręce J. K. Steczkowskiego.

Rozbicie się próby porozumienia z bolszewikami w Brześciu i potężne manifestacje w Polsce przeciwko tej próbie naszym dokonywanej kosztem, przyniosły nie tylko dalszy marsz armii pod Leningrad na północy i aż do Kaukazu na południu, ale i próby przejednania opinii polskiej zarówno przez cofnięcie pewnych koncesji brzeskich (Chełmszczyznę), jak i przez oddanie Radzie Regencyjnej poważnej dziedziny administracji państwowej, tj. sądownictwa, na terenie byłego zaboru rosyjskiego. Nacisk policyjny w jesieni 1918 roku nie tylko na okupacji austriackiej, ale i niemieckiej zelżał znakomicie. Tak że nie tylko aktywiści, ale i obóz niepodległościowy mógł urządzać zgromadzenia polityczne, korzystając z niedopuszczalnej poprzednio swobody wypowiedzania się. Gdy zarządzono wybory do Rady Stanu, mające stanowić namiastkę parlamentu, P.O.W. i obóz niepodległościowy wybory te zbojkotowały. Obóz Romana Dmowskiego, na który próbowaliśmy wpłynąć w tym samym kierunku, postanowił jednak wziąć udział w tych wyborach, porzucając swą dotychczasową zasadę bojkotowania wszystkiego, co nosiło cechy współdziałania z władzami okupacyjnymi. Wobec niepopularności aktywistów i bojkotu wyborów przez obóz niepodległościowy stronnictwa spod znaku Komitetu Narodowego — ściśle mówiąc Narodowa Demokracja — uzyskały w tych wyborach ogromną większość, co jednak zostało wyrównane przez nominację połowy Rady Stanu przez Radę Regencyjną. W rezultacie, powstało ciało bez znaczenia, które żadnej roli odegrać nie mogło.

Muszę tu zanotować dość charakterystyczny szczegół z kształtowania się stosunków politycznych w tym okresie. Mianowicie, obóz aktywistyczny, którego wpływ w społeczeństwie niemal zanikał na rzecz bądź obozu niepodległościowego, bądź prawicowo-koalicyjnego, otrzymał niespodziany sukurs dzięki napływowi Polaków ze wschodu, zarówno cywilnych jak i wojskowych ze zlikwidowanych formacji polskich. Ci bowiem, pod wpływem tego co widzieli w Rosji — rewolucji bolszewickiej i katastrofy

frontu wschodniego — przynosili z sobą lęk przed anarchią i dziczą bolszewicką, w porównaniu z którą stan rzeczy w Polsce okupowanej przedstawiał się jako oaza sprawiedliwości i praworządności, oraz przekonanie o prawdopodobnym zwycięstwie państw centralnych w wojnie. Dzięki temu pewna ilość wybitnych oficerów z Korpusu Dowbora i innych oddziałów, wstąpiła do tzw. Wehrmachtu polskiego, zaś niektórzy wybitni politycy, przed rewolucją bolszewicką opowiadający się w Rosji bądź za Piłsudskim, bądź za Dmowskim, zaciągnęli się pod chorągwie Rady Regencyjnej, a nawet Władysława Studnickiego.

Tymczasem w październiku sytuacja na froncie zachodnim zaczęła się zarysowywać groźnie dla Niemców. Rada Regencyjna, której stosunki z własną bazą polityczną, tj. aktywistyczną grupą Władysława Studnickiego, zaczęły się psuć, jak już wspominałem poprzednio, postanowiła uniezależnić się od tej bazy i powierzyć rząd Narodowej Demokracji. Przedstawiciel tego stronnictwa, pan Świeżyński, przyjął misję tworzenia rządu. W Warszawie rozeszły się poważne wiadomości, że Studnicki zamierza, nie bez wiedzy okupantów, obalić Radę Regencyjną w drodze zamachu stanu. W tym wypadku P.O.W. postanowiła opowiedzieć się po stronie Rady Regencyjnej i notyfikowaliśmy to (Adam Koc i ja) księciu Regentowi Lubomirskiemu. Gdy pewnego dnia wieczorem wyznaczono nam przyjęcie przez niego we Frascati, zastaliśmy tam niemal wojenny stan rzeczy i szereg oficerów Wehrmachtu, pełniących służbę bezpieczeństwa. Byli oni wyraźnie zdumieni i zaskoczeni, widząc dobrze im znanych przedstawicieli P.O.W., udających się na poufną konferencję z Regentem.

Oczywiście, Studnicki nie był w stanie dokonać czekogolwiek efektywnego, szczególnie gdy nawet polski Wehrmacht miał przeciwko sobie.

W tym momencie, Świeżyński i jego stronnictwo nawiązało pertraktacje z obozem niepodległościowym. Ogłaszając listę swego gabinetu Świeżyński wymienił jako ministra spraw wojskowych Józefa Piłsudskiego. Oczywiście o porozumieniu z tym ostatnim mowy być nie mogło; zwrócono się tedy do nas z propozycją, aby obóz niepodległościowy i P.O.W. zaakceptowały to pociągnięcie w formie objęcia stanowiska wice-ministra przez płk. Śmigłego-Rydza, Komendanta Głównego P.O.W. i członka Konwentu. Śmigły, który niedawno powrócił z Kijowa i przebywał w Krakowie, został zaproszony do Warszawy. Przygotowaliśmy dla niego kwaterę w pensjonacie na Moniuszki 4, w którym ja mieszkiałem. Gdy poszedłem na dworzec kolejowy przywitać go, nie znalazłem go wśród pasażerów opuszczających pociąg

i byłem zdumiony, gdy jakiś nieznany mi pan pociągnął mnie nagle za rękaw i zagadnął po nazwisku. Był to właśnie Śmigły, który zgolił swój piękny zarost przed wyprawą do Kijowa i zmienił się rzeczywiście nie do poznania.

Nastąpił tydzień, w którym musieliśmy powziąć decyzje nie łatwe, a bardzo poważne. Długie godziny spędziłem wówczas ze Śmigłym, z którym po raz pierwszy w życiu nawiązaliśmy bliskie stosunki osobiste. Miałem z tego czasu dwie fotografie nas obu; na jednej z nich Śmigły napisał: „Na pamiątkę wice-ministerialnych czasów”, a na drugiej: „Na pamiątkę wspólnych niepokojów”.

Pertraktacje polityczne toczyły się dwoma torami. Między Świeżyńskim i jego przyjaciółmi spod znaku Romana Dmowskiego oraz przedstawicielami stronnictw lewicy niepodległościowej; jednocześnie zaś i całkowicie poufnie, między Śmigłym a przedstawicielami Komitetu Narodowego, w prywatnym mieszkaniu dr. Jana Kołodziejskiego, rodzonego brata znanego później Henryka Kołodziejskiego, długoletniego bibliotekarza Sejmu i Senatu i szarej eminencji lewicy parlamentarnej. Dr Jan Kołodziejski był jednak członkiem stronnictwa Narodowo-Demokratycznego.

Próba bezpośredniego porozumienia między P.O.W. a obozem Komitetu Narodowego wynikła stąd, że rokowania między polityką reprezentacją lewicy niepodległościowej (C.K.N.) przez Świeżyńskiego, mimo istnienia wspólnej, zasadniczej platformy przeciw państwow centralnym utknęły z miejsca na praktycznej sprawie podziału tek w rządzie. Narodowa Demokracja i pokrewne jej ugrupowania pewne już wówczas zbliżającej się klęski państw centralnych, sięgały właściwie po całokształt władzy i ofiarowały stronnictwom lewicy drugorzędne tylko — oprócz spraw wojskowych — teki. Było to nie do przyjęcia dla lewicy, szczególnie dla P.P.S. Śmigły zajął początkowo stanowisko, wypływające z jego osobistego charakteru i dotychczasowej przeszłości, to znaczy, że reprezentuje on tylko wojsko, ściśle biorąc P.O.W., i że decyzje polityczne należą do przedstawicieli stronnictw politycznych naszego obozu, którym zawsze gotów jest się podporządkować. Starałem się w naszych rozmowach zwrócić mu uwagę na to, że faktyczny stan rzeczy w Warszawie i na terenie zaboru rosyjskiego w ogóle jest odmienny od tego, z którym on miał do czynienia w Małopolsce, a w szczególności w Krakowie; że mianowicie nie ma tu ani zwartych i dobrze zorganizowanych oraz liczebnych stronnictw politycznych, z wyjątkiem P.P.S. i że sztaby polityczne nie reprezentują bynajmniej tego wyrobienia

politycznego, jakie mieli już za sobą politycy galicyjscy. Że liczebność, zwartość i siła organizacyjna P.O.W. na tym terenie uprawnia Śmigłego raczej do decydującego głosu. Doradzałem mu, aby próbował podciągnięcia toczących się pertraktacji na wyższy poziom, tym bardziej, że efektywna siła obozu narodowego też nie da się porównać z naszą, leży bowiem głównie w zarysowyjącym się zwycięstwie koalicji i we wpływach w dalekim Paryżu, zaś na miejscu w kraju P.O.W. góruje również i nad nimi gotowością do zdecydowanej i powszechnej na całym terenie akcji. Starałem się przekonać Śmigłego, że ma on podstawę do sięgnięcia po rolę arbitra, arbitra między stronami, nie zaś tylko organu wykonawczego jednej ze stron. Wysuwane przeze mnie propozycje były następujące: starać się za wszelką cenę stworzyć rząd ogólnonarodowy; przenieść siedzibę tego rządu na okupację austriacką, gdyż zgodnie z majowymi przewidywaniami Konwentu oczywiste już było, że monarchia austro-węgierska runie wcześniej niż Niemcy; z chwilą kiedy to nastąpi rząd ten notyfikować ma wobec całego świata, że stoi po stronie koalicji przeciwko Niemcom i ogłasza pełną niepodległość i zjednoczenie ziem Rzeczypospolitej Polskiej, jeśli pozostająca w Warszawie Rada Regencyjna nie będzie chciała czy mogła na to się zgodzić, przejść nad nią do porządku dziennego. Śmigły, który nigdy przedtem nie zajmował się polityką i dopiero po uwięzieniu Komendanta i Sosnkowskiego zaczął się z tą dziedziną zaznajamiać, wciąż jeszcze czuł się nieswojo na gruncie politycznym. Po długich rozważaniach zgodził się jednak w zasadzie na proponowaną przeze mnie taktykę i odbył kilka konferencji z przedstawicielami Komitetu Narodowego sam, bez udziału polityków z C.K.N. Nie napotkał jednak na zrozumienie. Projekt przeniesienia rządu na okupację austriacką i wyzyskanie wcześniejszych tam niż w Warszawie możliwości działania, został początkowo przyjęty z ogromnym zainteresowaniem, ale po naradach wewnętrznych w Stronnictwie Narodowo-Demokratycznym został odrzucony, ze względu na to, że na terenie okupacji austriackiej wpływy lewicy niepodległościowej były znacznie silniejsze, niż na okupacji niemieckiej i mogły wziąć górę nad wpływami obozu narodowego. Ten partykularny wzgląd zadecydował. Kiedy zaś — z drugiej strony — w C.K.N.-ie ja spróbowałem z upoważnienia Śmigłego wpłynąć na naszych polityków, aby okazali mniej sztywności w targach o podział tek w rządzie, spotkałem się z zupełnym niepowodzeniem, a w dodatku gdy wiadomość o mojej próbie pojednawczego stosunku do prawicy rozeszła się i dotarła do moich najbliższych nawet przyjaciół w P.O.W., przyjęta została z wyraźną niechęcią i spotkałem się z gorzkimi wyrzutami za zbyt daleko

idącą kompromisowość. Urazy i żale z niedawnej przeszłości w stosunku do Obozu Narodowego za ich stanowisko wobec polityki legionowej były tak silne, że przesłaniały głębsze perspektywy interesu narodowego.

Wobec zdecydowanie egoistycznego stanowiska obu obozów próba mediacji upadła. Śmigły wobec tego nie przyjął zaofiarowanego mu stanowiska wiceministra spraw wojskowych w zastępstwie Józefa Piłsudskiego. Stworzony przez Świeżyńskiego 23 października rząd miał więc charakter czysto prawicowy i konserwatywny.

W czasie swego krótkotrwałego istnienia, rząd ten wysunął jednak wobec okupantów żądanie zwolnienia Józefa Piłsudskiego z więzienia, aby mógł objąć stanowisko w rządzie. Otrzymali odpowiedź, że byłoby to możliwe tylko pod warunkiem gwarancji, że Piłsudski zachowa lojalność wobec państw centralnych; jednocześnie rząd berliński zwrócił się do Piłsudskiego w Magdeburgu przez specjalnego wysłannika z propozycją złożenia oświadczenia o lojalności; wobec odmowy Piłsudskiego, sprawa upadła. Rząd Świeżyńskiego wkrótce znalazł się w konflikcie z Radą Regencyjną i otrzymał dymisję, którą musiał przyjąć. Nawiasem mówiąc, gdyby moja inicjatywa przeniesienia rządu na okupację austriacką została przyjęta, konflikt z Radą Regencyjną mógłby być skończyć się całkiem inaczej — jej porażką.

W kilka lat później, w kwietniu 1920 roku, doszło do mnie ciekawe i pochlebne dla mnie echo tego okresu. Którejś nocy obudził mnie telefon od popularnego w I-szej Brygadzie i P.O.W. kpt. Lilienfeld-Krzewskiego, lepiej znanego pod nazwiskiem kaprala Szczapa. „Mówię z Belwederu, byłem w tej chwili na dłuższej rozmowie u Komendanta i muszę Ci koniecznie powtórzyć natychmiast, co Komendant o Tobie powiedział. Czy mogę do Ciebie zaraz przyjechać?”. Zaciekawiony, zgodziłem się. Okazało się, że Szczapa siedział późno wieczorem w adiutanturze belwiderskiej na pogawędce i zdarzyło się, że po wcześniejszym niż zwykle zakończeniu wszystkich audiencji, Komendant zeszedł na dół i zauważywszy Szczepę wziął go do siebie, aby mu towarzyszył przy ostatniej szklance herbaty. Komendant był w dobrym humorze, a ponieważ lubił Szczapę za jego dobry humor i dowcip i wiedział, że Szczapa nie będzie mu zadawał niedyskretnych pytań politycznych, przetrzymał go przez dłuższy czas, zadając rozmaite pytania dotyczące przeszłości, z okresu jego magdeburckiego odosobnienia. Szczapa opowiadał o naszych kłopotach i niepewnościach z ostatniego przed listopadem okresu; zwierzał się jak trudno nam było radzić sobie bez Komendanta w rozmaitych wątpliwościach; jak szukaliśmy właściwej linii po omacku,

i między innymi wymienił moją inicjatywę wspólnego z ende-kami rządu w październiku 1918 roku, jako oznakę niepewności i chwiejności. A na to Komendant fuknął na niego z gniewem i powiedział: „To wszyscy nic nie rozumieliście, a jeden Świtek był mądry”. Poczciwy Szczapa był tak tym poruszony i tak pełen poczucia niesprawiedliwości wobec mnie, że nie mógł do-czekać następnego dnia, aby mi to opowiedzieć.

Powracam jednak do wątku mojej opowieści. Śmigły nie powrócił już do Krakowa z Warszawy. Otrzymaliśmy w War-szawie wiadomości z Wiednia i Krakowa, stwierdzające, że koniec monarchii austro-węgierskiej nadchodzi w szybkim tem-pie. Wobec tego Śmigły zdecydował wyjazd do Lublina, biorąc mnie z sobą. Stanęliśmy w Lublinie 1 listopada. Na dworcu kolejowym zastaliśmy już gromady żołnierzy austriackich najroz-maitszych narodowości, walczących bezradnie o miejsca w po-ciągach odchodzących w kierunku Lwowa, Krakowa i dalej. Wita-jący Śmigłego mjr Burhardt-Bukacki, niedawno wyciągnięty z Benjaminowa i zastępujący Naczelnego Komendanta okupacji austriackiej, Zdanowicza-Opielińskiego, śmiertelnie chorego, za-meldował Śmigłemu, że likwidacja okupacji jest już w toku i Lublin obejmowany jest przez władze polskie, na razie z ramienia Rady Regencyjnej. Że jednak rozbieraniem, udających się do domu wojsk austriackich, zajmuje się P.O.W. Czynione jest nato-miast wszystko, aby oddziały składające się z Polaków zatrzymać i uzyskać w ten sposób gotowe wojsko.

Istotnie nakaz kwaterunkowy dla Śmigłego i dla mnie został już wystawiony przez polską Komendę miasta, zaś po drodze z dworca do miasta, zauważyliśmy na moście na Bystrzycy zas-tawę obsadzoną przez peowiaków, których jedynym umunduro-waniem były maciejówki i pasy wojskowe, a którzy zatrzymywali maszerujące na dworzec oddziały austriackie; przepuszczali je dalej dopiero po złożeniu karabinów i amunicji.

Po przybyciu do hotelu, zostawiłem Śmigłego z Burhardtem-Bukackim i udałem się do miasta, by nawiązać kontakt z Ko-mendą P.O.W. Miasto wrzało i przez dłuższy czas nie mogłem znaleźć moich starych znajomych i podkomendnych peowiaków. Gdy w rezultacie nawiązałem jakiś przypadkowy kontakt, do-wiedziałem się, że wszyscy są niesłuchanie zajęci i padają z nóg ze zmęczenia, że zostały wydane rozkazy mobilizacyjne i ściąga się ludzi z najbliższych Lublina ośrodków organizacyjnych, po-nieważ lubelskie siły peowiackie nie są w stanie dać sobie rady. Niepodobna jednak spodziewać się większego dopływu ludzi spoza Lublina przed upływem co najmniej 24 godzin, bo wszyscy są zajęci rozbieraniem Austriaków na miejscu, zaś wszędzie, gdzie

są obecni oficerowie legionowi, organizuje się już oddziały wojska polskiego, zbrojąc je odebraną Austriakom bronią.

Gdy wróciłem do Śmigłego, zdziwiłem się nieco zauważywszy jego małe stosunkowo zainteresowanie tym co robi P.O.W. Później dopiero dowiedziałem się, że był to skutek jego rozmowy z Burnardt-Bukackim, który działając według swej najlepszej wiedzy i wiary, wprowadził Śmigłego w błąd. Burhardt-Bukacki, chociaż stary drużyniak i oficer I-szej Brygady, należał jednak do typu „formalistów”, przywiązujących ogromną wagę do zewnętrznych form życia wojskowego. P.O.W. nie znał, gdy zaś przybył do Lublina Zdanowicz-Opiełiński, jeden z najwybitniejszych i najbardziej doświadczonych peowiaków, leżał już w malignie i nie mógł go należycie w stan rzeczy wprowadzić. Brac peowiacka, w cywilnych ubraniach, częstokroć obchodząca się z karabinem jak z dubeltówką, i nie dość pewnie wypowiadająca formalne meldunki wojskowe — nie budziła w nim zaufania. Stwierdził natomiast, że w koszarach lubelskich znajduje się kilka tysięcy żołnierzy Polaków i — łącznie z personelem generalnego gubernatorstwa — kilkuset Polaków, oficerów austriackich. Bukacki doszedł więc do przekonania, że zanim się uda coś zrobić z nielicznej stosunkowo w Lublinie P.O.W. można i trzeba znacznie łatwiej oprzeć się na gotowym wojsku, to znaczy Polakach z armii austriackiej. W tym też kierunku szedł jego raport złożony Śmigłemu, a nacechowany pesymizmem co do P.O.W. Śmigły, znający doskonale Bukackiego jako jednego z najświetniejszych oficerów I-szej Brygady, potraktował jego raport z nadmiernym nieco zaufaniem i w ciągu dnia następnego, mimo mych delikatnych sugestii, aby udać się do Komendy P.O.W., i wejść w kontakt ze starymi peowiakami, a nie tylko z Burhardtem-Bukackim — nie reagował. Odbył natomiast konferencję z gen. Rozwadowskim, który właśnie przybył z Warszawy z ramienia Rady Regencyjnej, dla rozciągnięcia jej władzy na okupację austriacką.

Iluzje jednak nie długo trwały. W ciągu 24 godzin Polacy z armii austriackiej, przeważnie starsze roczniki z Landsturmu, udali się tą samą drogą co i inne narodowości padającej monarchii: na dworzec i do domów. Ta była tylko różnica, że z większą gotowością i ochotą niż inni oddawali broń i amunicję peowiakom. Ogromna większość oficerów poszła ich śladem; szukali tylko komu by oddać rachunki i zbywającą gotówkę, jeśli za takową byli odpowiedzialni i otrzymać pokwitowanie. W ciągu niewielu godzin, owe „gotowe wojsko”, które Burhardt-Bukacki przedkładał ponad peowiaków, rozplynęło się niemal bez śladu. Natomiast w gmachu zajętym przez Komendę P.O.W.

wrzało gorączkowe życie i napływała tam coraz większa ilość młodzieży ze wszystkich stron.

Przez kilka dni trwała niewyjaśniona sytuacja pod względem politycznym. Cały obszar okupacji austriackiej był jeszcze wciąż zajęty przejmowaniem broni, amunicji i składów austriackich oraz improwizowaniem obywatelskiej władzy miejscowej, przy czym inicjatywa zwykle spoczywała w rękach P.O.W. Tu i ówdzie organizowano już oddziały wojska, ba, nawet zarządzano pobór, co zresztą nie napotykało na większe sprzeciwy. Rada Regencyjna — w dość niezdecydowany sposób — próbowała rozciągnąć swą władzę na okupację austriacką, w której w rzeczywistości nie miała żadnego oparcia; oprócz bowiem garści aktywistów w samym Lublinie wpływy polityczne na tym obszarze podzielone były między P.O.W. i lewicę niepodległościową z jednej strony, zaś obóz narodowo-demokratyczny z drugiej. Lewica, a w szczególności P.P.S., górowała w Zagłębiu Dąbrowy Górniczej i Sosnowca oraz na przemysłowym obszarze Ostrowieckim. Sam Lublin był nastrojony raczej prawicowo i klerykałnie. We wsi lubelskiej i w Radomskim dość silnie już rozwinęły się wpływy Ludowców. Siłą zorganizowaną i uzbrojoną w Lublinie była jednak P.O.W. Gen. Rozwadowski, który już wówczas oddał się do dyspozycji Rady Regencyjnej, musiał skonstatować ten stan rzeczy, gdy przybył jako pełnomocnik Rady Regencyjnej do Lublina i prawdopodobnie na jego wniosek skierowany został do Lublina silny batalion „Wehrmachtu”, aby stworzyć oparcie dla ewentualnego efektywnego objęcia władzy przez Radę Regencyjną. Jako jej reprezentant przybył do Lublina gen. Bolesław Kajetan Olszewski, b. oficer armii rosyjskiej, który był również jednym z wyższych dowódców w polskich formacjach wojskowych na wschodzie. Jednocześnie zjechali do Lublina wybitni politycy obozu niepodległościowego, między innymi niemal wszyscy członkowie Konwentu. Z Krakowa przybyli Daszyński i Moraczewski, z Warszawy — Malinowski, Sieroszewski, Downarowicz i świeżo wypuszczony z więzienia Stanisław Thugutt, który nie był członkiem Konwentu, należał jednak do C.K.N. Zapowiedziany był również przyjazd Witosa i Kiernika, reprezentujących potężne Stronnictwo Ludowe Małopolski.

Późnym wieczorem, 4 lub 5 listopada, w jakimś mieszkaniu prywatnym, w źle oświetlonym pokoju na poddaszu zebrało się to grono dla powzięcia decyzji co należy uczynić w nowopowstałej sytuacji. Śmigły i ja reprezentowaliśmy P.O.W. Po dłuższych obradach ustalono, że wobec trwającej niezachwianie okupacji niemieckiej, która według posiadanych przez nas wiadomości, nie zdradzała jeszcze żadnych objawów zachwiania się,

nie możemy dopuścić rozciągnięcia władzy Rady Regencyjnej i jej rządu, jako czynników zależnych od Berlina, na wolny już obszar okupacji austriackiej. Zapadła więc decyzja sformowania niezwłocznie rządu i proklamowania niepodległej Rzeczypospolitej. W dyskusji wysunięte zostały obawy, czy Beseler nie odpowie na to pchnięciem wojsk niemieckich na Lublin oraz czy przybyły do Lublina batalion Wehrmachtu nie wystąpi czynnie w obronie władzy Rady Regencyjnej. Uznaliśmy, że ryzyko inwazji niemieckiej musimy podjąć, aby w momencie kapitulacji niemieckiej i zawarcia pokoju, Polska nie była reprezentowana jako sojusznik państw centralnych przez Radę Regencyjną i rząd, czerpiący swą władzę z nominacji cesarza niemieckiego i austriackiego. Co do niebezpieczeństwa akcji zbrojnej ze strony Wehrmachtu Śmigły i ja oświadczyliśmy, że siły P.O.W. ściągnięte już w danym momencie do Lublina są wystarczające dla postawienia oporu. Przewidujemy jednak, że uda nam się porozumieć z oficerami legionowymi, stanowiącymi obsadę tego batalionu i przekonać ich, że niezależny rząd polski muszą uznać za swoją władzę i z chwilą powstania tego rządu posłuszeństwo wobec Rady Regencyjnej ich nie obowiązuje.

Wysunięta w dyskusji propozycja porozumienia z obozem Rady Narodowej i stworzenia rządu o charakterze ogólnonarodowym, koalicyjnym, została odrzucona; przy czym głównym rzecznikiem stworzenia rządu o charakterze wyłącznie ludowo-robotniczym był Stanisław Thugutt, który pozyskał dla swego stanowiska głosy socjalistów. Śmigły, po krótkiej, poufnej naradzie ze mną, uznał, że musimy się ograniczyć do reprezentacji siły wojskowej, decyzje polityczne pozostawić zaś przywódcom stronnictw. Ustalona została lista członków rządu, oraz wytyczne punkty odezwy, proklamującej niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej i powstanie rządu. Stanowisko ministra spraw wojskowych i Naczelnego Dowódcy Sił Zbrojnych powierzone zostało Śmigłemu-Rydzowi, któremu rząd przyznał rangę generała. Kroki wykonawcze postanowiono rozpocząć niezwłocznie i już o świcie zająć gmachy urzędowe, rozplakatować odezwę do ludności i przystąpić do działania. Postanowiono również nie czekać na opóźniony przyjazd Witosa i Kiernika, przyjmując w założeniu, na podstawie odbytych w Krakowie rozmów, ich poparcie oraz wejście Wincentego Witosa w skład rządu. Resztę nocy spędziliśmy wraz ze Śmigłym na postawieniu w stan pogotowia P.O.W. i obsadzeniu przejść przez Bystrzycę dla osłonięcia miasta przed ewentualną akcją skoszarowanego za rzeką batalionu Wehrmachtu.

W krótkim czasie przybył do hotelu, w którym kwaterowa-

liśmy, uzbrojony pluton peowiaków dla osłony i wykonywania doraźnych rozkazów Śmigłego. Przypadła mi wówczas dość nie miła rola załatwienia sprawy z gen. Olszewskim, jako pełnomocnikiem Rady Regencyjnej, który mieszkał w tym samym hotelu. Udałem się więc do jego pokoju, zostawiwszy na korytarzu asystę zbrojną peowiaków. Zapukawszy, zakomunikowałem generałowi, że przybywam z ramienia gen. Śmigłego i świeżo utworzonego rządu niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej. Generał Olszewski, absolutnie zaskoczony, poprosił o danie mu chwili czasu na ubranie się, po czym gdy wszedłem, z wyraźnym niedowierzaniem zapytał mnie co się naprawdę stało i jaki jest cel mojej nocnej wizyty. Poinformowałem go w krótkich słowach i oświadczyłem, że jego funkcje z ramienia Rady Regencyjnej są siłą faktów nieważne i upoważniony jestem do zaproponowania mu, aby zadeklarował poddanie się władzy rządu. Gen. Olszewski oświadczył mi, że złożył przysięgę Radzie Regencyjnej i dopóki z tej przysięgi zwolniony nie zostanie nie zamierza zastosować się do wyrażonego przeze mnie żądania. Odpowiedziałem na to, że upoważniony jestem w takim wypadku do uzyskania od niego deklaracji, że nie zamierza w żaden sposób przeciwdziałać objęciu władzy przez nowoutworzony rząd. — „A co będzie, jeżeli nie złożę takiej deklaracji?” — zapytał gen. Olszewski. Oświadczyłem na to, że w takim wypadku muszę z rozkazu gen. Śmigłego prosić go o pozostanie w pokoju i z prawdziwą przykrością muszę go uprzedzić, że zbrojna warta będzie postawiona przy jego drzwiach. Gen. Olszewski niemal bez namysłu oświadczył, że przeciwko sile nic poradzić nie może, natomiast żądanej przeze mnie deklaracji odmawia. Wobec tego, odmeldowałem się z największą możliwie kurtuazją, generał z równą kurtuazją odprowadził mnie do drzwi, spojrzał na stojących na korytarzu dwóch nieumundurowanych peowiaków z karabinami, spojrzał raz jeszcze na mój mundur bez odznak i na tym się na razie sprawa zakończyła. Dałem dowódcy plutonu peowiackiego rozkaz zachowywania się wobec generała z największą uprzejmością i oddawania mu należnych honorów wojskowych, z tym tylko że nie wolno mu opuszczać hotelu. Służbie hotelowej poleciłem dostarczanie mu posiłków do pokoju i spełnianie wszystkich jego poleceń.

Tymczasem na linii Bystrzycy zapanowała sytuacja naprężona. Batalion Wehrmachtu otrzymał już wiadomości o tym co się stało i kompania z karabinami maszynowymi znalazła się wkrótce przed mostem na Bystrzycy. Tu napotkała jednak na obsadzone przez peowiaków okopane pozycje i dowódca oddziału zakomunikował dowódcy tej kompanii, że ma rozkaz nieprzepuszczania

przez most nikogo. Dowódca kompanii, oficer legionowy, dawny strzelec krakowski i członek organizacji bojowej P.P.S. z 1905 roku, próbował sforsować psychicznie peowiackiego dowódcę, wydając rozkazy do akcji, wysuwając karabiny maszynowe na pozycję i stawiając 5-minutowe ultimatum na otwarcie wolnej drogi. Trafiał jednak na oficera I-szej Brygady, który rzecz prosta sterroryzować się nie dał, odpowiedział, że działa z rozkazu Rydza-Śmigłego i żąda posłuszeństwa dla tych rozkazów, zaś w razie próby sforsowania mostu otworzy ogień.

Tak się zdarzyło, że tym oficerem Wehrmachtu był por. Jan Latour, mój starszy przyjaciel z siedleckich czasów, który mnie wówczas wciągnął do P.P.S. — pierwszy człowiek za pośrednictwem którego zapoznałem się z ideologią Józefa Piłsudskiego. Od tego czasu po raz pierwszy zetknęliśmy się znówu w tym tragicznym momencie nad Bystrzycą. Widząc że bez starcia nie przejdzie i nie mając dość kategorycznych rozkazów, Latour nie mógł oczywiście wziąć na siebie odpowiedzialności otworzenia ognia, i zajmwszy pozycję bojową, posłał raport do swego dowódcy mjr. Zarzyckiego z prośbą o dalsze rozkazy. Mjr Zarzycki, który kwaterował w mieście, otrzymawszy meldunki o tym co się w ciągu nocy stało, postanowił słusznie poszukać wyjaśnienia sytuacji u źródła i przybył na kwaterę Śmigłego. Był wyraźnie poruszony i wzburzony, gdy go do Śmigłego wprowadzałem, ale jednocześnie musiał być nieco onieśmielony autorytetem Śmigłego, dowódcy 1-go pułku I-szej Brygady i niewątpliwie najwybitniejszego po Piłsudskim i Sosnkowskim tej brygady oficera. Śmigły poprosił mjr. Zarzyckiego na rozmowę w cztery oczy. Zarówno ja jak i towarzyszący Zarzyckiemu adiutant usunęliśmy się do drugiego pokoju. Po rozmowie, która trwała nie więcej niż 10 minut, Śmigły wezwał nas i powiedział, że właśnie porozumiał się całkowicie z majorem Zarzyckim, który poddał się władzy Rządu Rzeczypospolitej i w tej chwili złoży przysięgę służbową, do złożenia której i my zostaliśmy wezwani.

Mjr Zarzycki zasiadł natychmiast wraz ze Śmigłym do pisania rozkazu dla swego batalionu, do mnie zaś przybiegł łącznik od komendanta plutonu peowiackiego z hallu hotelowego, który prosił mnie o niezwłoczne przybycie. Zbiegłem na dół i zastałem grupę kilku oficerów z batalionu mjr. Zarzyckiego, którzy przedarli się właśnie przez zastawę peowiacką i wpadli na mnie na schodach, groźnie żądając wydania ich dowódcy, który rzekomo jest tu aresztowany. Dramatyczne napięcie rozładowało się jednak natychmiast, gdy oświadczyłem tym oficerom, że mjr Zarzycki cieszy się pełną wolnością, że właśnie złożył przysięgę na wierność nowoutworzonemu Rządowi Rzeczypospolitej, więc proszę ich za

mną, aby mogli uczynić to samo. Po chwili osłupienia, rewolwery poszły do futerałów i udaliśmy się zgodnie na górę, gdzie po chwili istotnie nowoprzybyli złożyli przysięgę, wezwani do tego przez swego dowódcę.

W ciągu tego dnia miałem jeszcze jedno zetknięcie z generałem Olszewskim, który przysłał mi życzenie, abym się niezwłocznie do niego zgłosił. Zastałem sytuację istotnie przykrą dlatego, że podoficer peowiacki zmieniający wartę przed jego mieszkaniem wpadł na pomysł postawienia jej wewnątrz pokoju generała. Nic dziwnego, że ten ostatni uczuł się tym obrażony i zastałem go zdenerwowanego i rozdrażnionego.

Przeprosiłem go najgoręcej jak mogłem, usunąłem wartę na korytarz, a przy tej sposobności zapytałem go raz jeszcze, czy nie zechciałby złożyć deklaracji nieprzeciwdziałania, a wówczas otrzyma pełną swobodę ruchów i nie będzie na żadne przykrości narażony. Nie był to oczywiście odpowiednio wybrany moment i spotkałem się z kategoryczną i raczej opryskliwą odmową.

Stanowisko jego uległo zmianie dopiero dnia następnego, w niedzielę. W południe tego dnia wyznaczona została Msza Polowa na Placu Katedralnym dla całego nowoutworzonego wojska polskiego, włącznie z P.O.W., batalionem warszawskim oraz sporym zastępem Polaków oficerów armii austriackiej, którzy zgłosili się do służby i cały szereg spośród nich został już przez Śmigłego wprzęgnięty do pracy w tworzącym się ministerstwie i sztabie. Hotel, w którym kwaterowaliśmy, znajdował się w pobliżu katedry. Gen. Olszewski przez okno swego pokoju mógł widzieć przeciągające oddziały i słyszeć echa odbywającej się na Placu Katedralnym uroczystości. Gdy po zakończeniu tej uroczystości wróciłem do kwatery, otrzymałem znowu zaproszenie do gen. Olszewskiego. Był on znowu wyraźnie poruszony, ale tym razem bez gniewu. Poprosił mnie o wyjaśnienia i informacje co się dzieje. Zapytał, co to za oddziały wojskowe przeciągały ulicą i dokąd zmierzały. Otrzymaawszy odpowiedź, zapytał się, kto odbierał przysięgę i czy to była przysięga kościelna. Gdy powiedziałem mu, że przysięgę po Mszy Polowej odbierał kanonik wyznaczony przez biskupa, po czym odbył się przegląd przez gen. Śmigłego i defilada przed nim, — generał upewnił się jeszcze, czy rzeczywiście grano hymn narodowy, którego dźwięki do niego doszły. Wysłuchawszy wszystkich moich wyjaśnień, powiedział mi gen. Olszewski: — „Więc Panowie tę swoją rewolucję tak jakoś po katolicku i po narodowemu robicie. To chyba mogę wierzyć, że wy z bolszewikami nie macie nic wspólnego”. — Oczywiście z całego serca zapewniłem zacnego gene-

rała, że tego obawiać się nie potrzebuje. W rezultacie, generał Olszewski polecił mi zameldować gen. Śmigłemu, że w tym stanie rzeczy nie może on wprawdzie poddać się jego rozkazom dopóki nie zostanie zwolniony z przysięgi złożonej Radzie Regencyjnej, jednak w sumieniu swoim nie widzi przeszkód do złożenia przyrzeczenia, że temu co się dzieje przeciwdziałać nie będzie. Chciałby więc rozmówić się co do tego z gen. Śmigłym. Nie miałem żadnych wątpliwości co do decyzji Śmigłego, zdjąłem więc natychmiast warę sprzed drzwi generała i zameldowałem przebieg rozmowy Śmigłemu. Olszewski został przezeń natychmiast przyjęty i po krótkiej rozmowie otrzymał zapewnienie całkowitej wolności i swobody ruchów.

Minęło zatem niebezpieczeństwo „wojny domowej”.

W ten sposób powstał i objął władzę pierwszy, niezależny od okupantów rząd, którego władza rozciągała się na okupację austriacką. W Krakowie już w dniu 1 listopada, a w Cieszynie bodajże o dwa dni wcześniej, powstały zaczątki władzy polskiej, również ograniczone terytorialnie i nie sięgające nawet w tytule po prerogatywy rządu.

Eksperyment lubelski — eksperyment ekskluzywnych rządów jednej tylko części narodu — od początku nie wróżył jednak powodzenia. Nie będę tu opisywał szczegółów jego działalności, ani rozpatrywał jego pierwszych kroków; są to rzeczy skądinąd znane. Tkwiłem wówczas w ciągu tych niewielu dni, które nas dzieliły od powrotu Piłsudskiego z Magdeburga do Warszawy — pogrążony w pracy ściśle wojskowo-organizacyjnej u boku Śmigłego, która wypełniała nam dni i noce bez reszty. Zarówno w Lublinie, jak we wszystkich mniejszych ośrodkach, mobilizowaliśmy P.O.W., ściągaliśmy do szeregów wszystkich byłych wojskowych, przejmowaliśmy spadek po wojskach okupacyjnych, obserwując wciąż bacznie granicę okupacyjną wobec niewykluczonej możliwości ataku niemieckiego. W gmachu byłego gubernatorstwa mieścił się zarówno rząd, jak i wojskowy sztab Śmigłego-Rydzka. W tej części gmachu, którą zajmowało wojsko panował ożywiony ruch i wrzała nieprzerwana praca 24 godziny na dobę. Zostało mi jednak w pamięci, że w drugiej części gmachu, do której od czasu do czasu zaglądać musiałem, panowała pustka i cisza. Moi przyjaciele ministrowie snuli się po korytarzach, odbywali między sobą konferencje w tej czy innej sali, ale życia tam nie było. Brak kontaktu ze światem zewnętrznym był niewątpliwym i uderzającym. Raz tylko, w niedzielę, Daszyński polecił zorganizować manifestację robotniczą i wówczas na krótką chwilę zebrał się dość pokaźny tłum przed siedzibą rządu i Daszyński i Thugutt wygłosili gorące przemówienia, przyjęte oklas-

kami i okrzykami i na tym się skończyło. Co wieczór wprawdzie odbywały się posiedzenia rządu, toczyły się dyskusje i zapadały uchwały, ale wszystko to robiło wrażenie jak gdyby jakiejś próby teatralnej wobec pustej sali. Społeczeństwo lubelskie trzymało się z dala i w rezerwie. Z ośrodków prowincjonalnych przybywały od czasu do czasu nieliczne delegacje, do których ten czy inny minister wygłaszał przemówienie. Rząd nie był w stanie nawet zorganizować jakichś takich kancelarii czy sekretariatów, wobec tego że cały aktywny element ludzki został wciągnięty i pochłonięty przez prace organizacji wojska. Śmigły zdołał ściągnąć sobie do pomocy kilku wybitniejszych oficerów legionowych nie tylko z okupacji austriackiej, lecz i z Warszawy. Rząd cywilny nie mógł liczyć nawet na tę pomoc, bo Warszawa i okupacja niemiecka były już również gorączkowo zajęte przygotowaniami do oczekiwanego z godziny na godzinę zakończenia wojny i rozprawy z okupacją niemiecką. Nadszedł 10 listopad. Około 12-ej w południe odebrałem telefoniczną wiadomość z Warszawy o powrocie Komendanta. Gdy zameldowałem o tym Śmigłemu, otrzymałem od niego rozkaz przygotowania się do niezwłocznego wyjazdu do Warszawy dla złożenia raportu Komendantowi. Oczywiście w rozmowie telefonicznej, Warszawa nie mogła mi podać żadnych szczegółów, ani tym bardziej informacji o danym już rozkazie rozbrajania Niemców w dniu następnym; centrala telefoniczna bowiem była operowana dalej przez Niemców. Ostatni wieczór w Lublinie spędziłem na rozmowie ze Śmigłym, który podał mi dla przedstawienia Komendantowi dość ogólnikowe zresztą dane ze stanu naszych sił na okupacji austriackiej, polecając mi przedstawić Komendantowi całokształt sytuacji oraz polityczny stan rzeczy według mojej własnej wiedzy i orientacji. Miałem w ciągu nocy wyjechać autem z Lublina do Dębina i stamtąd ruszyć do Warszawy pociągiem, sprawdziliśmy bowiem, że wieczorem 10 listopada władze okupacyjne między Dębinem a Warszawą urzędują bez zmiany i ruch kolejowy funkcjonuje normalnie. Tegoż wieczora zgłosił się do mnie pan Zygmunt Seyda, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli Narodowej Demokracji, prezes polskiego Sądu Okręgowego w Lublinie. Prosił o zabranie go do Warszawy, gdyż w jakiś sposób dowiedział się o mojej zamierzonej podróży. Oczywiście orientowałem się doskonale, że udaje się on do stolicy z raportem do swoich centralnych władz politycznych, tak samo jak ja z raportem do Piłsudskiego.

W nocy z 10 na 11 listopada, wyruszyłem więc samochodem do Dębina tak, aby trafić na pociąg do Warszawy odchodzący o 6-ej godzinie rano. Niewiele mówiliśmy po drodze z p. Z. Seydą,

gdyż obaj, jak mi się zdaje zdawaliśmy sobie sprawę, że dopiero w Warszawie zorientujemy się jaka jest sytuacja i co stoi przed nami. Byłem oczywiście ubrany po cywilnemu, odpowiednio do moich fałszywych dokumentów i przed wejściem na dworzec dęblński pożegnałem się z p. Seydą, nie chcąc go ewentualnie narażać w wypadku, gdybym ja napotkał na jakieś trudności, gdyż zastaliśmy w Dęblinie funkcjonujące jeszcze najzupełniej regularnie władze niemieckie. Zauważyłem jednak, że kontrola dokumentów była bardzo zdawkowa i że urzędnicy i wojskowi niemieccy poszeptują między sobą niespokojnie. Pociąg ruszył punktualnie i dopiero na trzeciej czy czwartej stacji za Dęblinem, już o białym dniu, zauważyłem zbliżające się z kilku stron grupki umundurowanych żołnierzy i żandarmów niemieckich pośpiesznie ładujących się do wagonów. Zaś następna stacja, był to o ile sobie przypominam Sobolew — tuż obok historycznych Maciejowic — była już obsadzona przez kilkunastu peowiaków, uzbrojonych w karabiny i najwidoczniej świeżo zdobyte niemieckie pistolety automatyczne na pasach, którzy nie pozwalali wsiąść do wagonów żadnemu Niemcowi, zanim nie oddał broni i amunicji. Będący już w wagonach Niemcy, mimo że niektórzy z nich nie byli rozbrojeni, nie reagowali; rozbierani zaś poddawali się temu spokojnie jak baranki. Był to oczywiście widok niezmiernie miły sercu memu, jak i całej polskiej publiczności w wagonach. Kolejarze Polacy kręcili się z rozradowanymi minami, pomagając tu i ówdzie peowiakom w rewidowaniu Niemców. Na stacji Garwolin zdarzył się szczególny, a dość charakterystyczny wypadek; i tu również czekali na pociąg umundurowani Niemcy. Już po przybyciu pociągu na stację, podjechała furmanka z oficerem niemieckim i kilku żołnierzami. Gdy weszli na peron, podbiegli do nich peowiacy z wycelowanymi pistoletami, żądając oddania broni. Żołnierze, starsi ludzie, obciążeni przeładowanymi plecakami i niosący jeszcze oprócz tego ciężkie walizy w rękach, pozwolili sobie zdjąć karabiny bez oporu. Oficer jednak odmówił wydania broni i próbował butnie zakrzyczeć zabierających się do niego peowiaków. W tej chwili jednak wyskoczył z wagonu jakiś pan, który miał pod rozpiętym płaszczem mundur korpusu Dowbora, stanął między oficerem niemieckim a peowiakami i najwidoczniej wystąpił w jego obronie. Widząc to wyskoczyłem z wagonu również, ostro huknąłem na owego jegomościa i odciągnąłem go na bok, zaś peowiakom kazałem Niemca rozbroić, zaś od dowborczyka zażądałem wyjaśnień, co ma znaczyć jego postępowanie, przedstawiając mu się jako oficer wojsk polskich. Odpowiedział mi na to, że ja widocznie nie rozumiem co się dzieje, on zaś przeszedł rewolucję w Rosji i wie co to znaczy, gdy cywile

zaczynają rozbrajać oficerów. „Pan nie wie, co to znaczy broń w rękach tłumu, ale jutro może się Pan przekonać na własnej skórze, czym się to kończy”. Opanowałem trzęsącą mną wściekłość, widząc, że jegomość po prostu nic nie rozumie. Powiedziałem mu tylko, że jeżeli nie chce być w pierwszym dniu wolności Polski aresztowany, to niech wraca natychmiast do wagonu, a za chwilę przyjdę do niego i wytłumaczę mu, że to co się dzieje nie ma nic z rewolucją bolszewicką wspólnego. Przywołałem do siebie kierującego rozbrojeniem peowiaka, jak się okazało komendanta obwodu garwolińskiego, który znał mnie zarówno z widzenia, jak z nazwiska, pochwaliłem jego i jego ludzi i zachęciłem do kontynuowania akcji. Pociąg już ruszał, wróciłem więc do mego „dywersanta”. W paru słowach zawiadomiłem go o powrocie Piłsudskiego z Magdeburga i wyłożyłem po krótku, że to co widział i czemu usiłował przeszkadzać jest zorganizowaną akcją Polskiej Organizacji Wojskowej, toczącą się w tej chwili na całym terenie okupacyjnym. Już po kilku minutach rozmowy nastąpiło doskonałe porozumienie i kapitan Sz. z Korpusu Dowbora na następnej stacji wysiadł, wziął udział w rozbrajaniu Niemców i powrócił z pięknym automatycznym pistoletem, który ofiarował mi na pamiątkę naszego niefortunnego spotkania. Wkrótce potem zaciągnął się do wojska, jako oficer zawodowy, a gdy go ostatni raz spotkałem był pełnym pułkownikiem w Korpusie Kontrolerów.

Po przybyciu do Warszawy, około godziny 1-ej po południu, udałem się do mego warszawskiego mieszkania w pensjonacie na Moniuszki 4, które opuściliśmy wraz ze Śmigłym 1 listopada. Tam chciałem się dowiedzieć, gdzie mam szukać Komendanta. I właśnie tam go znalazłem — zajął wraz z Sosnkowskim pokój Śmigłego i mój. Z niesłychanym wzruszeniem stałem przed drzwiami w chwili, gdy mnie meldowano Komendantowi. Moja radość została jednak niespodziewanie zgaszona w następnym momencie. Gdy wszedłem do pokoju, zastałem Komendanta i Sosnkowskiego siedzących przy stole i spożywających śniadanie. Gdy wyprężyłem się na baczność i zameldowałem swoje przybycie z raportem od Śmigłego, Komendant spojrzał na mnie oziębłe, nie podał mi nawet ręki na powitanie, powiedział krótko: „Poczekajcie” i przez dłuższą chwilę popijał herbatę, rozmawiając przyciszonym głosem z Sosnkowskim. Nic nie rozumiałem; czułem tylko, że coś jest złe i bardzo złe. Zdawało mi się, że widzę wyraz współczucia w oczach kilku moich starych przyjaciół, pełniących służbę adiutancką przy Komendancie, stojących opodal. Żywo stanęły mi w pamięci ostatnie dni przed uwięzieniem Komendanta, jego ówczesna łaskawość, a nawet serdeczność dla

mnie i — przyznając się otwarcie — łączy mi w oczach stały. Gdy wreszcie Komendant wstał od stołu, przeszedł do sąsiedniego pokoju i kazał mi iść za nim, zdążyłem już się opanować, chociaż w dalszym ciągu nie wiedziałem za co mnie spotka tak oczywista niełaska.

Pierwsze słowa Komendanta wskazały mi o co chodzi: „Co wyście mi narobili z tym waszym rządem w Lublinie? Związałyście mi ręce. Pozbawiliście swobody działania teraz, kiedy jej najbardziej potrzebuję”. Przedstawiłem Komendantowi dość zwięźle przebieg wypadków w Lublinie od 1 listopada. Powiedziałem, że uważaliśmy za naturalne skorzystanie z obalenia władzy austriackiej i stworzenie tymczasowej władzy polskiej na tym terenie. Że nie uważaliśmy za możliwe poddanie się władzy Rady Regencyjnej, zależnej w dalszym ciągu od Niemców; że nie wiedzieliśmy jak długo jeszcze potrwa okupacja niemiecka i wojna i kiedy Komendant powróci; że Śmigły i my wszyscy uważaliśmy stworzony przez nas stan rzeczy za tymczasowy i trwać mający tylko do chwili jego powrotu; że wreszcie z chwilą kiedy to nastąpiło wszystko zależy przecież od jego decyzji i rozkazów.

„To wam się tylko tak zdaje”, odpowiedział gniewnie Komendant. I ku memu zdumieniu zadał mi kilka pytań, z których wynikało jak gdyby, że nie jest nawet pewny, czy Śmigły jest w jego dyspozycji, czy też Rządu Lubelskiego. Upewniłem Komendanta, że co do tego nie może być najmniejszej wątpliwości i że każdy jego rozkaz będzie niewątpliwie wykonany zarówno przez Śmigłego, jak i przez całą dotychczas przez nas zorganizowaną na okupacji austriackiej siłę.

„Przypuśćmy, że tak jest jak mówicie, jeśli chodzi o wojsko. Ale nie powiecie mi chyba, że to dotyczy również panów polityków”.

Odpowiedziałem na to, że większość polityków w Rządzie Lubelskim to są ludzie, których stosunek do Komendanta jest taki sam, jak Śmigłego czy mój. Wymieniłem Moraczewskiego, Sieroszewskiego, Downarowicza, Malinowskiego, Poniatowskiego.

„A Daszyński, a Thugutt?”, zapytał niecierpliwie Komendant. „Czemu ich nie wymieniacie?”.

Gdy odpowiedziałem niepewnym milczeniem, Komendant mruknął pod wąsem: „Widzę, że nie rozumiecie jeszcze, jakiegoście mi piwa naważyli”. Powiedziałem wówczas, zgodnie z moim istotnym przekonaniem, że cały stworzony przez nas w Lublinie aparat opiera się właściwie tylko na P.O.W., jako na jedynej sile zorganizowanej, ta zaś oczekuje tylko rozkazów

Komendanta i tylko jego autorytet uznaje. I z całą pewnością nie da oparcia nikomu, kto by się chciał Komendantowi przeciwstawić; z chwilą gdyby politycy chcieli wyłamać, zawisną w próżni.

„Upraszczacie sprawę i nie mam cierpliwości z wami o tym mówić. Może niedługo sami zrozumiecie”.

Następnie Komendant wypytał mnie jeszcze o sprawy wojskowo-organizacyjne, jak postępuje mobilizacja P.O.W., jakie zapasy broni i amunicji objęliśmy po Austriakach. Jakie są nastroje ludności itd. Na zapytanie z jakimi rozkazami mam wrócić do Śmigłego, otrzymałem odpowiedź, że nie potrzebuję do Śmigłego wracać, gdyż Komendant wezwie go natychmiast do siebie. Że mam zostać w Warszawie, gdzie mogę być potrzebny w związku z przebiegiem spraw politycznych; że mam się codziennie meldować u Komendanta, lub u Sosnkowskiego i być w każdej chwili do odnalezienia przez adiutanturę.

„Czuwajcie nad swoimi przyjaciółmi z C.K.N.'u”, dorzucił jeszcze Komendant na pożegnanie i odprowadził mnie już nieco łaskawiej, chociaż widziałem, że jest niezmiernie zatroskany.

Tegoż samego wieczora jeszcze Komendant przeniósł się z pensjonatu na Moniuszki do obszernego mieszkania na ulicy Mokotowskiej, postawionego do jego dyspozycji, gdzie też zainstalowana została jego tymczasowa adiutantura i sztab.

Gdy zgodnie z zaleceniem Komendanta nawiązałem łączność z Arturem Słowińskim jako prezesem C.K.N.'u, okazało się, że ten ostatni jest zdekompletowany wobec wyjazdu niemal wszystkich jego członków do Lublina, gdzie weszli w skład rządu. Wszyscy oni byli już jednak w drodze powrotnej do Warszawy i instytucja ta przestała już właściwie istnieć. Śmigły wezwany telefonicznie był już również w drodze. Tymczasem w toku były nieprzerwane konferencje, odbywane przez Komendanta z wszystkimi ugrupowaniami politycznymi. Jednocześnie, odbywały się pod autorytetem Komendanta pertraktacje z Radą Robotniczą i Żołnierską niemiecką. Niemcy zajmowali jeszcze w znacznej sile forty Cytadeli i szereg innych ośrodków. Tu i ówdzie w fortecach i koszarach stały jeszcze nierozbrojone oddziały niemieckie, na rozprawienie się z którymi P.O.W. nie miała dość sił i cięższej broni. Na wschodzie, poza linią graniczną dawnej Kongresówki, znajdowały się potężne siły tzw. Oberostu, w których mimo rad żołnierskich, panowała wciąż jeszcze pełna dyscyplina i które nawet wypuszczały swego rodzaju ekspedycje karne na zachód od Bugu (Biała, Międzyrzec), mszczące się krwawo na tamtejszych oddziałach P.O.W. za rozbrojenie załóg i posterunków niemieckich. Sprawa tego wiszącego nad nami zagrożenia

od wschodu była pilniejszą, niż wszystkie inne. Trzeba tu było działać szybko, dopóki nie minęło oszołomienie Niemców, wywołane przebiegiem 11 listopada.

Opinia polska, nie wyłączając sztabów stronnictw politycznych, prawie zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy. Widział to tylko Piłsudski i działał szybko, zarówno w Warszawie, jak i w Berlinie, żądając jak najszybszej ewakuacji wszystkich sił niemieckich i domagając się ominięcia terytorium polskiego przy ewakuacji wojsk Oberostu z terenów wschodnich do Niemiec, pod groźbą, że inaczej może żywa noga niemiecka z terytoriów polskich nie ujść.

W ciągu najbliższych kilku dni — mimo że kilka razy na dzień zaglądałem do kwatery Komendanta, — zaś wieczorami przesiadywałem tam długie godziny — nie miałem możliwości dłuższej rozmowy z Komendantem ani też z Sosnkowskim, obaj bowiem byli bez przerwy zajęci przez całe dnie i do późna w nocy. O tym co się dzieje miałem tylko pośrednie wiadomości.

Rada Regencyjna złożyła całą władzę wojskową w ręce Piłsudskiego, niezwłocznie po jego przybyciu. Akt ten był właściwie tylko formalnym potwierdzeniem stanu rzeczy, który już zaistniał, wszyscy bowiem dowódcy wojskowi na terenie obu okupacji i w Małopolsce zachodniej poddali się władzy Piłsudskiego natychmiast po otrzymaniu wiadomości o jego przybyciu — gen. Rozwadowski w Warszawie, Śmigły w Lublinie, Roja w Krakowie. Oczywiście, też jego tylko rozkazom podlegała sieć organizacyjna mobilizującej się P.O.W. na całym tym obszarze.

Jednocześnie z oddaniem mu władzy wojskowej Rada Regencyjna pozostawiła mu zadanie utworzenia rządu cywilnego, wysuwając postulat aby był to rząd ogólnonarodowy, któremu Rada Regencyjna przekaze swą władzę. Już po trzech dniach 14 listopada, Rada Regencyjna postanowiła zlikwidować nawet fikcję formalnej swej władzy, przekazując jej całokształt Józefowi Piłsudskiemu.

[Próbie stworzenia rządu Piłsudski podjął natychmiast. Napotkał na trudności niezmiernie zarówno z lewej jak z prawej strony, przy czym niepoślednią rolę odegrał fakt dokonany stworzenia rządu jednostronnego w Lublinie. Mało kto wówczas zdawał sobie sprawę z tego, nawet w najbliższym otoczeniu Piłsudskiego. Jego rozmowy z lewicą niepodległościową, a w szczególności z Daszyńskim, były otoczone największą poufnością. Było to zrozumiałe wobec tego, że w zorganizowanym świecie politycznym jedną z podstaw jego siły i autorytetu było oparcie właśnie o stronnictwa lewicy. Wiadomość, że oparcie to nie jest pełne i niekwestionowane mogła być niezmiernie utrudnić mu per-

traktacje z obozem prawicy, która i tak wykazywała nadmierną skłonność do dominacji w tworzonych naczelnych władzach państwa].

Już w dwadzieścia cztery godziny po przybyciu do Warszawy Ignacego Daszyńskiego Komendant, wracając późnym wieczorem z całodziennych konferencji, zauważył mnie w poczekalni, przywołał do siebie, odszedł ze mną na bok i przyciszonym głosem powiedział mi: „Macie już skutki waszego 'mądrego' pośpiechu w Lublinie. Z Ignacym do ładu dojść nie mogę. Rozmawia ze mną jak gdyby był na wiecu w ujeżdżalni. Gniewem ludu mi grozi i barykadami. Nie rozumie i nie widzi, co stoi przed nami, że musimy myśleć o całych dzielnicach kraju, gdzie wpływ lewicy jest minimalny; że musimy zorganizować nie tylko radę ministrów, ale cały aparat administracyjny; że musi powstać skarb, że trzeba uruchomić fabryki; osłonić się wojskiem, które trzeba uzbroić, nakarmić, odziać. Że na to wszystko trzeba ogromnego wysiłku i trzeba zaprząć wszystkie siły, wszystkich ludzi, których lewica ma właśnie najmniej. Nie myśli o tym, że będziemy potrzebowali pomocy, pomocy z zewnątrz; że Paryż jest ważny, nie tylko Warszawa i Kraków. Świat na nas patrzy i musimy mu się zaprezentować jako naród zdolny do pełnego wysiłku, a nie gromada skłóconych gadułów, gotowych strzelać do siebie o podział strzępów władzy...”.

W tej chwili przerwano naszą rozmowę, gdyż przybył z mel-dunkiem do Komendanta Ignacy Boerner, który z jego ramienia prowadził pertraktacje z niemiecką radą żołnierską, prosząc o natychmiastowe przyjęcie przez Komendanta. Komendant udał się do swego gabinetu wraz z nim i Sosnkowskim.

Boerner, stary działacz P.P.S. — towarzysz Emil — zwany przez nas najczęściej „prezydentem”, ponieważ w 1905 roku ogłosił i prowadził przez dni kilkanaście tzw. „Republikę Ostrowiecką” — został doskonale przez Komendanta wybrany do pertraktacji z Niemcami. Nie tylko dla tego, że świetnie mówił po niemiecku, ale dlatego głównie, że miał niesłychaną pewność siebie, potrafił przemawiać tak, jak gdyby stała za nim niezmierna potęga i niełatwo dawał się zbić z tropu jakimikolwiek argumentami. W tym momencie, kiedy musieliśmy wyzyskać zachwianie psychiczne Niemców, rozgardiasz w Berlinie i psychiczne nastawienie szeregów wojska niemieckiego do bezpiecznego powrotu do domu — postawa Boernera działała znakomicie. A trzeba było kuć żelazo póki gorące, bowiem wśród Niemców — załoga Warszawy liczyła ich jeszcze kilkanaście tysięcy w pełni uzbrojonych i opartych o forty Cytadeli — byli oficerowie sztabowi, którzy nie ulegli pierwotnej panice i starali się wszystkimi siłami

przeprowadzić decyzję trzymania Warszawy do dyspozycji nowych władz berlińskich, ewentualnie do zakończenia kongresu pokojowego. I w każdej chwili też mogła im przyjść z pomocą cała potęga Oberostu, stojąca tuż na wschód i północ od Bugu. Istotnie w kilka dni później zapadły w Berlinie postanowienia utrzymania stanu posiadania, przywrócenia dowództwa oficerów w wojsku i ograniczenia rad żołnierskich do charakteru doradczego. Przyszło to jednak za późno. Piłsudski zdążył już tymczasem przeprowadzić układ, na mocy którego gwarantował wojskom niemieckim bezpieczny powrót do granicy Niemiec, z warunkiem pozostawienia w Polsce broni, amunicji i składów wojskowych.



Aby dokładnie zdać sobie sprawę z podłoża przebiegu wypadków w Warszawie w pierwszych dwóch tygodniach po powrocie Piłsudskiego z więzienia — musimy się cofnąć nieco wstecz. Kluczem do zrozumienia ówczesnej postawy Piłsudskiego oraz jego wymagań i oczekiwań będzie kilka zdań z relacji generała K. Sosnkowskiego z czasów, kiedy we wrześniu 1918 roku, znalazł się we wspólnym z Komendantem więzieniu.

„Wielka wojna — mówił Komendant — nie tylko musi pociągnąć za sobą wielkie wstrząsy, wewnętrzne w państwach zwyciężonych, lecz spowoduje na całym świecie znaczne przeobrażenia społeczne i ekonomiczne. Polska wciśnięta pomiędzy państwa, przeżywające kryzysy wojenne, rozpocznie wyścig do nowej mety dziejowej, mając przed sobą kilka lat uprzywilejowanych wyrażnie przez historię. Wśród ogólnego powojennego chaosu młode państwo polskie mieć będzie wszelkie szanse, by wygrać wyścig, stać się ostoją ładu i porządku na wschodzie Europy, zyskując mocarstwowe znaczenie”.

Moment powyższy jest niesłychanie charakterystyczny dla umysłu Józefa Piłsudskiego. Zastanówmy się przez chwilę. Przecież są to myśli więźnia, od piętnastu miesięcy odciętego od świata; wnoszącego o stanie rzeczy na arenie wielkiej wojny tylko na podstawie drobnych zmian w zachowaniu się jego więziennych dozorców; nie wiedzącego nic o tym co się dzieje w kraju oprócz tego, że trwa tam okupacja, zaś ze strony polskiej dopuszczane są do głosu tylko te czynniki, którym wypowiedział walkę. W tym samym czasie kiedy ogół Polaków, pozostających na wolności zadaje sobie co najwyżej pytanie, co wyniknie z wielkiej dziejowej zawieruchy, a najśmielsi tylko snują marzenie, że będzie z tego jakaś niepodległa Polska — dla Piłsudskiego nie istnieją tu żadne wątpliwości; ta sprawa jest

dla niego dawno rozstrzygnięta — jego myśl szuka już tylko drogi do dominującej na wschodzie roli tej Polski. Jego przesłanki wskazujące taką możliwość są trafne i realne, jeśli chodzi o okoliczności zewnętrzne. Jest tu i drugi rys, tak dla niego charakterystyczny: przystąpienie do uporczywej realizacji jego zuchwałych marzeń, natychmiast gdy stanął wolny w Warszawie. Nie chciał on ani dnia stracić z tych przewidzianych przez siebie kilku lat słabości rozbitych potęg zaborczych, w ciągu których jedynie mogła się Polska szeroko rozeprzeć łokciami, wydrzeć sobie szerokie granice, stanąć na mocnych nogach jako wielkie państwo.

Rzecz oczywista, warunkiem koniecznym dla realizacji tych ambitnych dla Polski planów było sprzęgnięcie i pełne wyzyskanie wszystkich sił narodu, porzucenie nie tylko sporów przeszłości, ale i rozsądny kompromis w zakresie istotnych różnic programowych czy przekonaniowych.

Tu jednak spotkał Piłsudskiego zawód niezmiernie głęboki. Okazało się, że ze swego 18-stomiesięcznego magdeburskiego odosobnienia wyszedł on bez porównania lepiej i głębiej przygotowany do przełomowej chwili dziejowej, niż wszyscy ci politycy i działacze, którzy spędzili ten czas na wolności, którzy — zdawałoby się — powinni byli widzieć nadchodzący moment, przemyśleć perspektywy dnia jutrzejszego i zrozumieć kategoryczny nakaz tej właśnie postawy, której Piłsudski od nich wymagał — skupionego, wytężonego wysiłku dla najistotniejszych interesów narodu, wartych doprawdy chwilowego poniechania, a choćby tylko zawieszenia broni, w walce o sprawy wtórnego znaczenia. Druga rzecz, gdzie również Piłsudskiego spotkał zawód, szczególnie ze strony najbliższego mu obozu politycznego, to realizm w ocenie rzeczywistości zarówno wewnętrznej jak zewnętrznej.

W dotychczasowym przedstawianiu tego okresu przez historyków figuruje zawsze błąd polegający — jeśli chodzi o zagadnienie tworzenia naczelnych władz państwowych — na tym, że widzą oni jak gdyby starcie między Piłsudskim i stronnictwami lewicy niepodległościowej z jednej strony, zaś obozem Romana Dmowskiego — z drugiej. W rzeczywistości sprawa przedstawiała się zgoła odmiennie. Piłsudski stanął odosobniony i napotkał ze strony lewicy — a w każdym razie jej politycznej reprezentacji — trudności nie mniejsze niż ze strony obozu przeciwnego; zaś pod względem realizmu w ocenie rzeczywistości bodaj, że jeszcze większe. Relacja Sosnkowskiego o magdeburskich marzeniach Piłsudskiego czyni zrozumiałym zarówno sposób w jaki przyjął mój raport po przyjeździe z Lublina, jak

i głębokie rozgoryczenie wywołane przez nieustępliwe i bezkompromisowe stanowisko Daszyńskiego. Piłsudski widział absolutną konieczność stworzenia rządu ogólnonarodowego. Dyktowane to było nie tylko stanem zagrożenia zewnętrznego, lecz i postulatem twórczego wyzyskania tych kilku lat „uprzywilejowanych” dla postawienia nowego państwa na stopie rokującej możności odegrania poważnej roli w Europie. Z perspektywy historycznej było to oczywiście jedyne rozumne i słuszne rozwiązanie.

W tych dniach listopadowych 1918 roku, które opisuję, w momentach akcji należałem do tych, którzy byli zbyt zajęci aby móc zastanawiać się i analizować. Tym razem — chociaż Warszawa wrzała gorączkowym życiem — znalazłem się na uboczu. W P.O.W. mnie nie potrzebowano; do akcji mobilizacji i tworzenia wojska regularnego było dość oficerów nadających się do tego lepiej ode mnie; pertraktacje polityczne prowadził bezpośrednio Komendant przy pomocy Sosnkowskiego; jeśli chodzi o obóz lewicy niepodległościowej — trudności, które napotkał, wychodziły ze strony P.P.S. i Ludowców, zaś w kierownictwie tych dwóch grup nie miałem głosu. Nie byłem też potrzebny w kończących się pertraktacjach o ewakuację i rozbrojenie Niemców. Obserwując więc tylko z boku to co się działo, przemyślałem i miałem czas zrozumieć jak dalece Komendant miał rację w swym rozgoryczeniu i zagniewaniu, z którym spotkałem się 11 listopada. Rozwazałem nasze decyzje lubelskie i stanowisko zajęte następnie przez Daszyńskiego i Thugutta w Warszawie wobec koncepcji rządu ogólnonarodowego, reprezentowanej przez Piłsudskiego. Zdałem sobie sprawę, że ani przez chwilę nie braliśmy pod uwagę ogólnej sytuacji, w której powstająca Polska się znajduje, ani też nie robiliśmy rachunku sił, sięgając po władzę dla jednego tylko obozu wyłącznego. Obliczaliśmy tylko szanse objęcia tej władzy, nie próbując nawet zdać sobie sprawę z tego co z nią zrobimy nazajutrz i czy stać nas na wykonanie niezmiernie skomplikowanego zadania, którym jest stworzenie aparatu państwowego po wiekowej z górą przerwie. Nie było przecież żadnej analogii między objęciem władzy państwowej w normalnych warunkach istnienia tego państwa, kiedy chodzi tylko o kierownictwo polityczne i o nadanie tego czy innego programowego kierunku działaniom rządu. W takich wypadkach wystarcza pewien zastęp rzetelnych i uzdolnionych ludzi, posiadających program ideologiczny. Sytuacja w Polsce w owym momencie była całkowicie odmienna. Trzeba było wypełnić próżnię przez okres zaborów pozostawioną; nie chodziło o nadanie kierunku administracji państwowej — trzeba było ją stworzyć. Jakież zasoby w tej dziedzinie reprezen-

tował obóz lewicy niepodległościowej. Moja znajomość rzeczy w tej dziedzinie — a była ona dość gruntowna — dawała mi odpowiedź rozpaczliwie negatywną. To prawda, że zebrała się w Lublinie grupa ludzi o pięknych charakterach, wypróbowanym patriotyzmie i ideowości, ludzi zdolnych i ofiarnych. Ale jakież było ich wyposażenie do podjęcia zadania budowy aparatu państwowego we wszystkich dziedzinach? Tak jak znałem ich wszystkich, powiedzieć mogłem że żaden z nich nie miał dokładnego pojęcia o funkcjach, składzie i kompetencjach administracji powiatowej; żaden z nich nie wiedział w jaki sposób zabrać się do organizacji maszyny skarbowej, nie mówiąc już o kwestiach podstawowej polityki finansowej i walutowej; któż z nich wiedział z której strony zacząć odbudowę produkcji przemysłowej kraju, w którym we wszystkich ośrodkach fabrycznych sterczały ku niebu wygasłe kominy, rozmontowane maszyny, puste składy surowców. Niewątpliwie można było znaleźć w kraju pewien zastęp ludzi obeznanych praktycznie z tymi zagadnieniami. W największej ilości mógł ich dać zabór austriacki, posiadający zastęp wyrobionej biurokracji miejscowej, ludzi zaprawionych w samorządach miejskich i wiejskich, a nawet wysokich urzędników obeznanych z organizacją i funkcjonowaniem administracji państwowej na najwyższym poziomie, tj. rządu centralnego włącznie z dyplomacją, finansami i skarbem, gospodarczą gałęzią administracji wojskowej. Jeśli chodzi o zabór rosyjski, mogłoby się i tu znaleźć szczupły stosunkowo zastęp ludzi, obeznanych z wyższą polityką finansową i zagadnieniami technicznymi. Wszyscy ci ludzie byli jednak z minimalnymi wyjątkami związani politycznie i przekonaniowo z obozem bądź skrajnej, bądź umiarkowanej prawicy. Oczywiście gotowi byli dać cały swój wysiłek i stanąć do dyspozycji rządu koalicyjnego; można jednak było przewidzieć bez trudu, że pozostaną na uboczu, lub nawet ustosunkują się nieprzyjaźnie, wobec próby wyłącznych rządów lewicy społecznej.

Kilka dni doświadczeń lubelskich powinno było być dostateczną pod tym względem przestrożą. Rząd ludowy zawisł wówczas w próżni i niewątpliwie odczuwać to musiał; mimo to jednak Daszyński i Thugutt już po tej próbie stanęli w zdecydowanej opozycji wobec Piłsudskiego, gdy szukał on rozwiązania dającego możliwość pociągnięcia do pracy nad stworzeniem państwa wszystkich zdolnych i potrzebnych ku temu sił bez wyjątku. Gdy osiągnęli swoje — wbrew niemu — w przeciągu dwóch miesięcy przekonali się, że nie są w stanie wywiązać się z podjętego przez siebie zadania. Już w połowie stycznia 1919 roku rząd Moraczewskiego z nieukrywaną niemal tęsknotą oczekiwał przebiegu rokowań Piłsudskiego z Paderewskim, który pozwoliłby

im na zrzeczenie się nadmiernej odpowiedzialności przez stworzenie takiej właśnie sytuacji, do jakiej dążył Piłsudski od pierwszej chwili po powrocie z Magdeburga. Ale stracone zostało dwa miesiące bezcennego czasu i ponadto głęboko i dotkliwie zmieniona została atmosfera, w której naród polski przystąpił do odbudowy swego państwa.

Gdy mówię o błędach polityków lewicy niepodległościowej muszę zaznaczyć od razu, że analogiczna krótkowzroczność i partykularyzm wystąpił ze strony prawicy. Tam również nie widziano konieczności zjednoczonego wysiłku i nie widziano — jeśli chodzi o warszawskich przedstawicieli tego obozu — doraźnych a groźnych niebezpieczeństw, jakie w danej chwili nad Polską wisiły. Prawica musiała się liczyć z Piłsudskim osobiście. Jego autorytet i popularność zmuszały ich do tego. W szerokich masach ludności pracującej jego nazwisko tylko budziło zaufanie i prawica nie była w stanie przeciwstawić mu nikogo. W jego też rękach znalazło się tworzenie wojska i on jedynie rozporządzał szeroką i zdyscyplinowaną siecią organizacyjną na terenie całego kraju. Ale prawica nie mogąc przeciwstawić się Piłsudskiemu, ani przejść nad nim do porządku dziennego, nie mogąc pozbawić go wysokiego miejsca w budujących się naczelnym władzach państwowych, nie chciała w żaden sposób pójść na prawdziwy kompromis z lewicą, ze stronnictwami robotniczymi i chłopskimi. Chciała raczej osłonić się tylko imieniem Piłsudskiego od tej strony, zagarniając lwią część władzy w swoje ręce. Prawica uważała jak gdyby, że zwycięstwo koalicji było ich zwycięstwem i że na skutek tego automatycznie po prostu cała władza im się należała; gotowi byli co najwyżej na kompromis pozorny przez dopuszczenie do rządu na mało znaczących stanowiskach przedstawicieli lewicy, oraz na kompromis nieunikniony, narzucony siłą rzeczy w stosunku do osoby Piłsudskiego. Z obu więc skrzydeł napotkał Piłsudski w swym optymistycznym dążeniu do odegrania roli arbitra i koordynatora wysiłku narodowego analogiczne trudności.

Zostało mi z tych dni w Warszawie nieodparte wrażenie, że cały tamtejszy świat polityczny, zarówno jak i cały ogół społeczeństwa, myślał i postępował tak, jak gdyby ten szmat ziemi, który był już zwolniony spod obcej władzy, stanowił odosobnioną wyspę, która nagle wynurzyła się z odmętów i otoczona jest szerokimi wodami izolującymi ją bezpiecznie od reszty świata. Myślano i rozprawiano niemal wyłącznie o zagadnieniach wewnętrznej gry sił, o podziale władzy, tak jak gdyby żadne

siły zewnętrzne nie istniały, tak jakby wszystko było ugruntowane i zapewnione; a tymczasem cały zabór niemiecki był jeszcze w niewoli. W Małopolsce Wschodniej wrzała już ciężka wojna polsko-ukraińska. O kilka godzin na wschód od Warszawy i na północ od niej, w pełnej sprawności funkcjonowała jeszcze władza okupacyjna, oparta na półmilionowej armii Oberostu.

Trudno jednak dziwić się oszołomionemu nagłą wolnością świata Warszawy, iż przeceniał bezpieczeństwo Polski, polegając na gwarancji kapitulacji niemieckiej, podpisanej 11 listopada, która to zresztą kapitulacja ani słowem o Polsce nie wspominała. Dziwniejsze jest może, że w czasach gdy piszę te słowa spotykamy jeszcze wystąpienia historyków politycznych, zdaniem których dzień 11 listopada 1918 roku i w ogóle przebieg dni listopadowych w Warszawie, nie ma żadnego specjalnego znaczenia, ponieważ zwycięstwo koalicji i kapitulacja niemiecka wszystko załatwiła i było rzeczą mało ważną co się w Polsce wówczas działo. Dość znamienne jest rzeczą, że głosy tego rodzaju wychodzą od uczniów i czcicieli Romana Dmowskiego. Albowiem on właśnie, w odróżnieniu od swych własnych zwolenników w Warszawie, oceniał sytuację w jakiej znajdowała się Polska w momencie zakończenia wojny, jako wręcz tragiczną. Dał temu wyraz w swej książce „Polityka polska i odbudowanie państwa”. Rozdział VIII tej książki — „Rozejm”, zaczyna się od opisu zdarzeń w drugiej połowie października 1918 roku, kiedy to „Zwycięstwo sprzymierzonych nad Niemcami było już faktem”. W rozważaniach wstępnych autor wyraża żal, że rozwój wypadków nie dał czasu na wkroczenie armii sprzymierzonych zarówno do Berlina, Wiednia i Budapesztu, jak do Pragi i Warszawy. Taki koniec wojny oszczędziłby „wielu niepotrzebnych komplikacji między innymi i Polsce”. W opisie dni, bezpośrednio poprzedzających zawarcie rozejmu, które R. Dmowski spędził w Waszyngtonie, znajdujemy następujące wyrzuty:

„Pojechałem ostatni raz do Waszyngtonu, by pożegnać się z prezydentem. Tam mi pokazano tekst konwencji rozejmowej z Niemcami, mającej być niebawem podpisaną.

Wojna kończyła się już faktycznie, kończyła się w ten sposób, że Europa Środkowa, którą zwycięzcy mieli przebudowywać, nie znajdowała się w ich rękach. Konwencja zawierała dwa artykuły dotyczące Polski. Jeden zapewniał sprzymierzeńcom komunikację z Polską przez Bałtyk i ujście Wisły, czyli przez Gdańsk. Była to jedyna logiczna rzecz w tym całym nielogicznym położeniu, w jakie rozejm Polskę postawił. I dlatego prawdopodobnie nie została potem wykonana... Drugi zobowiązywał Niemców do

ewakuowania wszystkich zajętych podczas wojny terytoriów.

Stało mi przed oczyma położenie Polski. Wojska polskiego właściwie w kraju nie ma, alianci ze swoim wojskiem nie przyszli, wojska niemieckie usuwa się do Niemiec, a na jego miejsce wlewa się fala bolszewicka ze wschodu.

Udałem się natychmiast do Lansinga i zażądałem uzupełnienia tego artykułu zastrzeżeniem, że na Wschodzie ewakuacja wojsk niemieckich nastąpi dopiero wtedy, gdy państwa sprzymierzone tego zażądata. Chodziło mi o zyskanie na czasie dla uzbrojenia Polski jako tako. Przecie mieliśmy zapewnioną komunikację przez Gdańsk..." (Podkr. moje).

W tak ponurych barwach rysowała się sytuacja Polski po zwycięstwie koalicji na Zachodzie w oczach Romana Dmowskiego. Pod wieloma względami obraz ten był prawdziwy. Jeśli chodzi o sytuację na wschodzie niebezpieczeństwo było, jak się wkrótce okazało, jeszcze większe. Gdy bowiem na skutek decyzji paryskich w kilka miesięcy później niemieckie siły Oberostu opuszczały wschodnie kresy Rzeczypospolitej, z reguły i planowo oddawały władzę w ręce bądź bolszewików, bądź na północy Litwinom, nie zaś Polakom. I nie tylko oddawały władzę, lecz pozostawiały broń i amunicję w wielu wypadkach z artylerią włącznie, w pełnej świadomości, a prawdopodobnie i z intencją, że broń ta użyta będzie przeciwko Polsce.

Uderzające jest zestawienie cytowanych przeze mnie przedtem myśli Józefa Piłsudskiego w Magdeburgu i myśli Romana Dmowskiego w Waszyngtonie, snutych niemal dokładnie w tym samym czasie. To jednak zanalizuję na innym miejscu. W tej chwili stwierdzić chcę tylko uderzającą zbieżność w ocenie niebezpieczeństwa sytuacji, które jednakowo widział Roman Dmowski w Waszyngtonie i Józef Piłsudski, gdy stanął w Warszawie.

Równie uderzającą jest jednak całkowita rozbieżność w szukaniu dróg wyjścia i obrony. Roman Dmowski, stwierdzając, że niemożliwe jest wyjście z sytuacji przez zamianę wrogiej okupacji Polski na przyjacielską, koalicyjną, widzi jedyne załatwienie sprawy w przedłużeniu okupacji wrogiej i tego załatwienia się domaga. Na szczęście dla jego stronnictwa jego rozmowa z Lansingiem nie była wówczas w Polsce znana; mogło to być zadać groźny cios wpływom Narodowej Demokracji w kraju. Kardynalny błąd — bardzo zresztą charakterystyczny — popełnia Dmowski, gdy w ocenie ówczesnej sytuacji Polski traktuje jej siły własne jako równe zeru, jej terytorium jako zupełną próżnię, z której jedne siły zewnętrzne mogą odpływać, a inne wpływać

do niej jak chcą; i tylko w tym widział swobodę wyboru. Próżni jednak nie było. Znalazły się siły własne, które potrafiły wyzyskać moment krytyczny, aby jednego wroga z terytorium usunąć, a drugiego nie wpuścić. Niezależnie od efektywnych rozmiarów tych sił, znalazła się uosobiona w osobie Piłsudskiego decyzja, wola, gotowość natychmiastowej akcji opartej na tym, co było również jego planowym wysiłkiem i pracą podjętą w momencie wybuchu wojny, a nawet wcześniej; to znaczy gotowe kadry wojskowe powstałe z Legionów, gotowa sieć organizacyjna P.O.W., która pozwoliła na zaskoczenie Niemców w krytycznych godzinach i która dała jednocześnie pierwsze kilkadziesiąt tysięcy tak niezbędnego wojska, zasilonego również przez wszystkich tych, którzy świadomie, czy nieświadomie szli za myślą przewodnią Piłsudskiego, tworząc gdzie tylko można polskie oddziały wojskowe, ucząc się walki i gotowości do niej z taką bronią jaką się ma, przeciw każdemu nieprzyjacielowi, nie wdając się w kalkulacje jaka jest przewaga sił i jakie szanse zwycięstwa.

Wbrew krótkowzroczności warszawskich polityków zarówno spod znaku Romana Dmowskiego, jak i swego własnego, Piłsudski widząc niebezpieczeństwo rozwinął natychmiastową akcję przeciw niemu, opierając się na tym co posiadał. Słusznie ocenił kolejność i pilność zagadnień. W przeciągu kilku dni zlikwidował okupację niemiecką na terenie Kongresówki; dokonał tego dosłownie w przeddzień momentu, kiedy Berlin wyszedł z anarchii, ustalając nowe republikańsko-socjalistyczne władze, które natychmiast przesłały zarówno do Poznania, jak do Warszawy instrukcje przywracające dyscyplinę w armii i zalecające utrzymanie stanu posiadania na całym terytorium.

Ale likwidacja okupacji w Gen. Gub. warszawskim z niepospolitej wagi osiągnięciem, którym było pozostawienie przez Niemców broni, amunicji i składów wojskowych — bynajmniej nie rozwiązywały jeszcze stanu zagrożenia ze strony niemieckiej. Stojący za Bugiem i Narwią Oberost, który ani przez chwilę nie uległ tej dezorganizacji, którą wywołała nasza akcja 11 listopada na terenie Gen. Gub., zaczął zdradzać intencje zaczepne. Już w dniach 18-20 listopada, Oberost zaczął wypuszczać ekspedycje karne zza Bugu, które atakowały skutecznie tu i ówdzie świeżo formowane załogi polskie, zadając ciężkie straty, jak na przykład w Białej i Międzyrzeczu. W razie decyzji wycofywania się do Niemiec z terytoriów wschodnich groziła Polsce nawała półmilionowej, w pełni uzbrojonej i zdyscyplinowanej armii niemieckiej. Mogliśmy jej w razie czego przeciwstawić 50 czy 60 tysięcy świeżo zmobilizowanego wojska, przeważnie nie umiejącego jeszcze strzelać, uzbrojonego byle jak w odebraną okupantom broń,

niemal bez artylerii. Zlikwidowanie tego zagrożenia uznał Piłsudski za sprawę drugiej z kolei pilności i szukał rozwiązania jak najszybszego. Nie podobna było go znaleźć inaczej, jak w drodze pertraktacji z Berlinem. Przechodząc więc do porządku dziennego nad wszelkimi niuansami dyplomatycznymi, Piłsudski zaproponował rządowi niemieckiemu przysłanie do Warszawy swego reprezentanta dla załatwienia tej sprawy. Berlin zgodził się na to i do Warszawy przybył płk Kessler, co już było dobrym znakiem, albowiem był to ten sam pełnomocnik rządu, który był wysłany do Magdeburga z misją zwolnienia Piłsudskiego z więzienia. Pertraktacje zostały w przeciągu kilku dni zakończone. Piłsudski uzyskał zobowiązanie, że ewakuacja Oberostu odbędzie się z pominięciem terytorium polskiego określonymi szlakami, prowadzącymi z pominięciem wolnego już terytorium Polski przez Prusy Wschodnie i Pomorze. W ten sposób drugie z kolei zagrożenie, doniosłość którego oceniał jednakowo zarówno Piłsudski, jak Dmowski, zostało zlikwidowane.

To nawiązanie stosunków przez prowizoryczny rząd Polski z rządem niemieckim nastąpiło już w momencie, kiedy wewnętrzne pertraktacje zmierzające do utworzenia rządu zakończyły się powstaniem jednostronnego rządu lewicy.

Przyjazd Kesslera do Warszawy stał się też jednym z głównych punktów ataku, który został przypuszczony przez całą opozycję pravicową na Piłsudskiego natychmiast po jego decyzji powierzenia rządu lewicy, z Jędrzejem Moraczewskim na czele. Ataki te wymierzone były nie w rząd, ale w Piłsudskiego osobie, gdyż nikt niemal nie wiedział, że to rozwiązanie sytuacji nie było po jego myśli i zostało mu *de facto* narzucone. Komendant swoim obyczajem z cywilną odpowiedzialnością za dany stan rzeczy wziął na siebie, nie tłumaczył się, nie osłaniał, ani nie wygradzał od tej odpowiedzialności. Jego ówczesne starcie z Ignacym Daszyńskim — któremu sekundował Stanisław Thugett — nie zostało ujawnione. W relacjach, nawet bardzo dobrze poinformowanych piłsudczyków, znalazły się też błędy, wynikające z nieznaności zakulisowego stanu rzeczy. W jednej z tych relacji, dotyczącej zebrania na Szpitalnej 1, na którym — 14 listopada wieczorem — Piłsudski zawiadomił zebranych wybitniejszych członków swego obozu, że powierzył tworzenie rządu Daszyńskiemu, znajdujemy bardzo istotny, choć na pozór drobny błąd w sformułowaniu jego enuncjacji. Sprawozdawca cytuje słowa Piłsudskiego: „A więc powierzamy tworzenie rządu Ignacemu” — tak jak gdyby Komendant formułował zbiorową decyzję zebranych, przez siebie akceptowaną i wykonywaną. Byłem na tym zebraniu i słyszałem te słowa. Brzmiały one:

„Tworzenie rządu powierzyłem Ignacemu”. Wiedziałem na równi tylko z kilku osobami wśród zebranych, że Piłsudski przybył wprost z konferencji z Daszyńskim, na której po raz ostatni próbował bezskutecznie przekonać go o konieczności rządu koalicyjnego.

Tym stanem rzeczy tłumaczy się też, że gdy po trzech dniach rząd został wreszcie utworzony i dekretem Piłsudskiego mianowany, na czele stanął Jędrzej Moraczewski, a nie Ignacy Daszyński. Tłumaczenie tego faktu podawane przez niektórych historyków, że Moraczewski był osobistością łatwiejszą do przyjęcia dla prawicy niż Daszyński, jest niczym nieuzasadnione. Walka między lewicą a prawicą była już otwarta, jej podstawą nie była kwestia osoby, lecz kwestia jednostronnego składu rządu. W tym stanie rzeczy wysunięcie na czoło rządu Jędrzeja Moraczewskiego, którego autorytet i popularność w klasie robotniczej nie dawała się nawet porównać z autorytetem i popularnością Daszyńskiego, musiało mieć inny podkład. Mianowicie to, że napięcie stosunków osobistych między Piłsudskim, a Daszyńskim było tak wysokie i ostre, że Daszyński nie widział po prostu możliwości harmonijnej i gładkiej współpracy z Piłsudskim dla siebie. Wycofał się więc na rzecz Jędrzeja Moraczewskiego, którego stosunki z Komendantem były nacechowane zaufaniem, który daleko wcześniej niż Daszyński ocenił wielkość Piłsudskiego jako męża stanu. Moraczewski w czasach magdeburskich zajmował czołowe stanowisko w Konwencie, konsekwentnie wierzył w przewidywania Piłsudskiego co do końca wojny, starał się nawiązać współpracę z obozem Komitetu Narodowego już w lecie 1918 roku, wówczas kiedy Ignacy Daszyński wciąż jeszcze przewidywał negocjowany pokój, prawdopodobne austriackie rozwiązanie sprawy polskiej i zżymał się na nas w Warszawie, gdy opowiedzieliśmy się za postulatem Polski zjednoczonej i z dostępem do morza. Jestem przekonany, że Moraczewski starałby się wszelkimi siłami pomóc Piłsudskiemu do stworzenia rządu ogólnonarodowego i nie stałby na stanowisku faktu dokonanego w Lublinie, gdyby on miał decydujący głos w partii socjalistycznej. Miał go jednak wówczas bezapelacyjnie Daszyński.

Nie wiem, czy kierownictwo obozu prawicowego miało jakkolwiek wiadomości o tym, że rząd Moraczewskiego nie był wynikiem ani inicjatywy, ani nieskrępowanej woli i swobody decyzji Piłsudskiego. Prawdopodobnie nie, skoro nawet we własnym obozie Piłsudskiego rzecz ta była mało komu znana. Piłsudski był zbyt dumny, aby o tym komu mówić. Politykom lewicy zaś zbyt wiele zależało na korzystaniu z nazwiska Piłsudskiego, aby ujawnić prawdziwy stan rzeczy. Sądzę jednak, że

obóz Romana Dmowskiego, nawet gdyby wiedział prawdę, uderzałby tak samo w osobę Piłsudskiego, ponieważ podważenie jego autorytetu i popularności było dla nich najważniejszym etapem dla uchwycenia władzy w swoje ręce równie wyłącznie, jak chciał Daszyński dla lewicy.

Czym się kierował Piłsudski, dopuszczając do stworzenia jednostronnego rządu? Aby odpowiedzieć na to pytanie trzeba wziąć pod uwagę jako fakt podstawowy, że stanowisko obu stron, z którymi Piłsudski miał do czynienia nacechowane było równą ekskluzywnością. Zarówno lewica jak prawica chciała mieć w swojej dyspozycji kluczowe politycznie i społecznie stanowisko. Jedni i drudzy gotowi byli co najwyżej do pozornych ustępstw, to jest dopuszczenia przedstawicieli innego skrzydła na drugorzędne stanowiska. Piłsudski więc, nie mogąc uzyskać kompromisu rzeczywistego, miał do wyboru tylko jedno z dwojga: akceptować i osadzić u władzy bądź jednostronny rząd prawicowy, bądź lewicowy. Z dwojga złego wybierając, brał pod uwagę doraźne konsekwencje. Wprowadzenie rządu lewicy pociągało przejście do bezwzględnej opozycji stronnictw prawicowych, ziemianstwa i mieszczaństwa, a nawet dość poważnej części inteligencji zawodowej, nie tylko spod znaku Romana Dmowskiego, ale nawet z obozu postępowego, usposobionego poprzednio pozytywnie w stosunku do Piłsudskiego. Opozycja ta, jak można było z góry przewidzieć, będzie choćby w najostrejszej formie walką słowną, atakami w prasie i na zgromadzeniach publicznych; inną, niewątpliwie ciężką jej formą będzie uchylene się od pracy przy tworzeniu aparatu państwowego i gospodarczego całego zastępu ludzi. To wszystko, chociaż z niezmierną szkodą, można przez pewien czas wytrzymać, szczególnie jeśli jedyną siłą zbrojną i gotową do ewentualnej akcji czynnej ma się po swojej stronie.

Natomiast, dopuszczenie rządu prawicowego — poza wszelkimi względami natury ideologicznej i praktyczno-politycznej — wróżyło równie ostrą i bezwzględną opozycję ze strony mas pracujących, ze strony wszystkich tych, którzy podlegali wpływowi socjalistów i ludowców. To mogło wywołać nie tylko ataki słowne, nie tylko bierne przeciwstawienie się rządowi, mogło doprowadzić do tego, że powstające państwo polskie przeżywałoby pierwsze dni swego istnienia w ogniu walki domowej. Gdy Daszyński w sporze z Piłsudskim mówił o barykadach, nie były to puste słowa. W szeregu miejscowości w kraju, w przeludnionych powiatach Małopolski Wschodniej, gdzie posłuch znajdował już Dąbal i Okoń w Zagłębiu Sosnowieckim, w Ostrowieckim i w Radomskim tu i ówdzie w Lubelszczyźnie, wpływy

lewicy były dość silne na to i nastrój ludności dość podniecony, aby barykady mogły stanąć i aby znaleźli się na nich ludzie z karabinami. Trzeba też pamiętać, że świeżo formowane wojsko, składające pilnie i gwałtownie potrzebne, — wojsko na razie ochotnicze — składało się w ogromnej większości z elementów związanych ideologicznie z lewicą. Rdzeń wojska tworzyła P.O.W. Poważny procent pierwszych ochotników stanowili robotnicy, związani z P.P.S. Organizatorami i pierwszymi dowódcami tego wojska byli przeważnie oficerowie legionowi. Oddanie rządu prawicy i ewentualne proklamowanie czynnego oporu przeciwko temu ze strony lewicy — czym groził Piłsudskiemu Daszyński mogło rzeczywiście spowodować, że przynajmniej część wojska znalazłaby się po antyrządowej stronie barykady. Niezależnie od wyniku ewentualnej walki sam fakt rozpoczęcia wskrzeszonego życia państwowego przez Polskę od wojny domowej byłby nie tylko ciężką tragedią wewnętrzną, ale niewątpliwie wpłynąłby fatalnie na stosunek świata zewnętrznego do Polski. Z jednej strony wzmocniłby tendencję do traktowania Polski, jako bezsilnego obiektu, którego losy decydować mogą według swego uznania mocarstwa obce; z drugiej strony zaś, musiałby spowodować stanowisko wyczekujące i opóźnienie pomocy, której Polska gwałtownie potrzebowała, zarówno dla zorganizowania swej obrony, jak i dla podniesienia z ruin swego gospodarstwa i aparatu produkcyjnego. Konieczność szybkiego stworzenia rządu, choćby prowizorycznego, była oczywista. Przy wszystkich złych stronach oparcia tego rządu wyłącznie na lewicy, Piłsudski wolał mieć w opozycji prawicę, niezdolną do przekształcenia opozycji w rewolucję, niż lewicę do takiego przekształcenia zdolną. Trzeba bowiem podkreślić fakt, że w wyniku przedwojennej i wojennej akcji Piłsudskiego, w wyniku jego roboty strzeleckiej i legionowej, lewica posiadała poważny zastęp ludzi przeszkolonych w walce i gotowych do niej, podczas gdy prawica do poczynań wojskowych usposobiona wrogo, lub niechętnie i opierająca całą swą politykę w tej epoce na falcie zwycięstwa tej czy innej siły obcej, tego atutu w rękach nie miała. Wpływy jej w wojsku ograniczały się raczej do pewnej ilości wyższych oficerów z dawnej armii rosyjskiej, z niewielkim dodatkiem z dawnej armii austriackiej; ci jednak nie mieli żadnych szans na pociągnięcie za sobą wojska, szczególnej gdyby to być miało pod znakiem przeciwstawienia się Piłsudskiemu.

Piłsudski liczył się też — i słusznie — z tym, że życie samo, że próba praktyczna, w krótkim czasie przekona lewicę, iż podjęta przez nią próba stworzenia i poprowadzenia aparatu państwowego własnymi tylko partykularnymi siłami, jest praktycz-

nie zadaniem nie do wykonania. Wiedząc zaś, że ma do czynienia z ludźmi dobrej woli, sądził, że taki przebieg sprawy otworzy w krótkim czasie ponowną możliwość podjęcia realizacji jego magdeburskich marzeń, to znaczy wprzęgnięcia wszystkich sił narodu do wspólnego wysiłku, bez szukania rozstrzygnięć przez barykady czy zamachy stanu.

Wreszcie, *last but not least*, musiał w tej decyzji Piłsudskiego mieć swoje miejsce związek ideologiczny, istniejący w ciągu poprzedzającego dwudziestolecia, a szczególnie ostatniego dziesięciolecia, między całą jego działalnością, a politycznym obozem lewicy niepodległościowej, który dał mu swą wiarę, swe poparcie i zastępy swej młodzieży, na których oparł akcję strzelecką, legionową, P.O.W.; przez cały ten czas prawica polityczna akcję tę wyszydzała, lżyła, starała się poderwać i zniszczyć. Nie do pomyślenia niemal było, aby w tej sytuacji, nie mogąc osiągnąć kompromisu, Piłsudski mógł oddać władzę rządowi prawicowemu. Przez ogromną większość tych, którzy za nim szli, krok taki byłby przyjęty — nawet w wypadku posłuszeństwa — z poczuciem ciężkiej krzywdy.

Rachuba Piłsudskiego sprawdziła się. Rząd Moraczewskiego władzę objął i na tej części terytorium Polski, która była wolna, sprawował ją, nie napotykając na opór czynny. Na terenie byłego zaboru pruskiego, który był wciąż jeszcze w rękach niemieckich administracyjnie i wojskowo, politycznie zaś podlegał przemożnemu wpływowi prawicy, zarysował się wręcz wrogi stosunek do tego rządu, identyfikowanego z bolszewizmem; w rezultacie, tamtejsze społeczeństwo polskie pod wpływem inspiracji ze swej politycznej góry nie kwapiło się bynajmniej z dążeniem do pozbycia się władzy niemieckiej; dominowały tam głosy, że lepiej w tym stanie rzeczy czekać na decyzję kongresu pokojowego, niż łączyć się z resztą Polski pod rządami Warszawy. Terytorium całych kresów wschodnich i południowych, z Wilnem i Lwowem włącznie, w danej chwili nie wchodziło w grę. Było rzeczą jasną, że załatwienie tej sprawy nastąpi w innej drodze, przez akcję zbrojną.

Jakkolwiek się działo w innych dziedzinach rządzenia, stwierdzić należy, że jeśli chodzi o budowę siły zbrojnej ten kilkumiesięczny okres rządów lewicy zmarnowany nie był. Oczywiście, inicjatywa i bezwzględny, niemiłosierny wprost nacisk ze strony Piłsudskiego grał tu decydującą rolę. Miał on jednak pełną pomoc i współdziałanie ze strony Moraczewskiego i podlegających mu władz cywilnych. Jakimś cudem zapełniały się koszary, rosły bataliony, szwadrony i baterie, a wkrótce potem dywizje i korpusy.

Jakimś cudem znalazły się w rękach żołnierzy karabiny i bagnety, szable i armaty, takie czy inne, wyciągnięte z niemieckich, austriackich, a nawet dawnych rosyjskich składów wojskowych. Niełada wysiłku trzeba było, aby dobrać do tego przypadkowego uzbrojenia odpowiednią amunicję, aby żołnierza przyodziać, obuć, nakarmić. Ale to wszystko szło naprzód i doprawdy w tych ponurych skądinąd czasach, gdy człowiek chciał odetchnąć optymizmem, to szedł do koszar, lub na pola ćwiczeń wojskowych, gdzie wrzało gorączkowe życie i gdzie widać było poprawę i postęp z dnia na dzień.

Jednakże listopadowe decyzje polityczne Piłsudskiego przyniosły niepospolitej wagi skutki negatywne, które ciężko zawazyły na charakterze życia politycznego Polski, zarówno w najbliższej, jak i dalszej nieco przyszłości.

To prawda, że Piłsudski postawiony wobec konieczności kreowania rządów jednostronnych, wybrał zło mniejsze, oddając rządy lewicy. To prawda, że uniknął przelewu krwi i wojny domowej z wszystkimi tego konsekwencjami. Ale prawica, która uczuła się niebywale skrzywdzona przez fakt pozbawienia jej rządów, odpowiedziała na to opozycją wściekłą i nieokiełznaną, chociaż tylko słowną. W prasie i na zgromadzeniach publicznych atakowano nie tylko rząd, ale przede wszystkim Naczelnika Państwa, z rozpętaną demagogią. Nie była to krytyka rzeczowa ani ideologiczna. Szafowano najcięższymi obelgami i oskarżeniami o zdradę. Szerzono najdziksze plotki i insynuacje osobiste. Wprowadzony został fatalny obyczaj szarpania i poniewierania autorytetu najwyższych władz wskrzeszonego państwa. W momencie kiedy wobec rozbicia wewnętrznego istnienia autorytetu, mogącego odegrać rolę arbitra i doprowadzić do niezbędnego w sytuacji Polski kompromisu, było rzeczą niezmiernie wagi — autorytet ten szarpano i niszczone bezlitośnie i bezrozumnie.

A przecież — rzecz rzadka w historii Polski — autorytet taki istniał w dniu 10 listopada. Ogromna popularność Józefa Piłsudskiego, datująca się od chwili kryzysu przysięgowego i wywiezienia do Magdeburga, rosła i szerzyła się w ciągu półtora roku wojny. Wyszła ona poza jego własny obóz tak dalece, przeniknęła tak głęboko do obozu poprzednio mu przeciwnego, że gdy Stronnictwo Narodowe zdecydowało się utworzyć rząd z ramienia Rady Regencyjnej w październiku 1918 roku, uważało za konieczne tekę spraw wojskowych w tym rządzie oddać manifestacyjnie Józefowi Piłsudskiemu. Wieść o jego powrocie do Warszawy zelektryzowała cały kraj i pozwoliła na spontaniczny zryw rozbrojenia Niemców. Nie tylko Rada Regencyjna uznała za rzecz nieuniknioną powierzenie władzy w jego ręce — a przecież

złożona ona była z ludzi związanych w ciągu całego swego życia raczej ze stronnictwem Romana Dmowskiego i z prawicą społeczną; przedstawiciele wszystkich istniejących stronnictw i grup bez protestu przyjęli objęcie przezeń władzy i uznali w nim arbitra, z którym prowadzili pertraktacje. W ówczesnej sytuacji, której grozę tak wyraziście formułował Roman Dmowski, istnienie takiego arbitra było błogosławionym darem Opatrzności. I oto w przeciągu dni niewiele, gdy sytuacja zewnętrzna stała się bodajże jeszcze cięższa niż w dniu 11 listopada, gdy każdy człowiek przytomny i patrzący choć trochę dalej, niż z dziś na jutro, musiał zdawać sobie sprawę z tego, że jakiś autorytet rozjemczy jest nieodpartą koniecznością dla wyjścia z impasu, zaczęto jedynego człowieka, który do roli tej się nadawał, szarpać i lżyć bezprzytomnie. I cóż z tego, że w kilka miesięcy potem znowu Sejm Rzeczypospolitej przez niego powołany, chociaż w większości z jego politycznych przeciwników złożony, jednomyślnie oddał mu zarówno najwyższą godność w państwie, jak i najważniejszą dla istnienia i przetrwania tej Rzeczypospolitej władzę — władzę Naczelnego Wodza. Zły obyczaj zainicjowany w listopadzie, fatalna metoda braku poszanowania i podrywania autorytetu naczelnej władzy państwowej, przetrwała i od tej chwili coraz to podnosiła głowę ku niezmiernej szkodzie publicznej.

Powołanie rządu Jędrzeja Moraczewskiego nie zastało mnie już w Warszawie. Bodajże na drugi dzień po stwierdzeniu przez Komendanta, że stworzenie rządu ogólnonarodowego jest niemożliwe i powierzeniu misji tworzenia rządu Ignacemu Daszyńskiemu, Komendant powiedział mi krótko: „W najbliższym czasie nie będziecie mi tu potrzebni. Wracajcie ze Śmigłym do Lublina”.

Pobyt Śmigłego w Warszawie trwał bardzo krótko. Jego audiencja u Komendanta nie zajęła więcej niż pół godziny czasu, z czego można było wywnioskować, że ograniczyła się tylko do zdania przezeń sprawy z akcji mobilizacyjnej na terenie byłej okupacji austriackiej i otrzymania instrukcji co do dalszego formowania wojska na tym terenie. Śmigły otrzymał doraźną nominację na Dowódcę Okręgu Generalnego (D.O.Gen., późniejsze D.O.K.). Po wyjściu Śmigłego od Komendanta, nawiązałem rozmowę z Sosnkowskim na temat roli Śmigłego w okresie magdeburskim. Zwróciłem uwagę „szefa” na to, że w okresie tak ciężkim i krytycznym, gdy Komendanta i jego zabrakło i odpowiedzialność za całą naszą pracę zarówno organizacyjną jak polityczną spadła niespodziewanie na barki Śmigłego, sprostał on — zdaniem moim — temu zadaniu i przeprowadził nas przez ten okres, nie tylko bez załamania, ale z ogromnymi osiągnięciami, dzięki czemu Komendant po powrocie do Warszawy miał

się o co oprzeć i mógł operować nie tylko swoim autorytetem, ale i potężną i całkowicie posłuszną mu organizacją. Powiedziałem Sosnkowskiemu, że w związku z tym Śmigły zyskał sobie całkiem inną pozycję w naszych szeregach, niż półtora roku temu, kiedy był tylko najwybitniejszym z dowódców pułku I-szej Brygady. Że jeszcze kilka dni temu był on właściwie pierwszą osobą w hierarchii obozu niepodległościowego, że dzięki swemu decydującemu głosowi w Konwencie odgrywał rolę polityczną, nie tylko wojskową; wobec tego sądziłem, że należałoby mu się aby bądź Komendant, bądź Szef w jego zastępstwie, znaleźli trochę czasu na wysłuchanie opinii Śmigłego i zapytanie o jego zdanie, choćby dlatego, żeby nie urazić jego ambicji. Być może, że ten ostatni zwrot był niefortunny. W każdym razie Sosnkowski obruszył się na mnie. Zwrócił mi uwagę na koszmarną sytuację, w której się znalazł Komendant od pierwszej minuty po prostu po powrocie do Warszawy. „Widzicie chyba sami, co się dzieje”, mówił Sosnkowski, „widzicie ten ponury korowód stronnictw i partyjek, grup i grupiek, z którymi Komendant musi rozmawiać i u których nie znajduje śladu zrozumienia dla olbrzymich zadań, które przed nami stoją, ani dla grozy naszej sytuacji. Nikt nie widzi dalej niż koniec swego nosa, nikt nie zdaje sobie sprawy z tego co się dzieje już o parę mil za rogatkami Warszawy. A jednocześnie mamy Niemców w Cytadeli, mamy potężne armie niemieckie na północy i wschodzie, nienaruszona stoi władza niemiecka w zaborze pruskim i wojna się toczy w Małopolsce Wschodniej. I Wy chcecie, żeby Komendant w obliczu tego wszystkiego znajdował czas na wysłuchiwanie referatów historycznych, albo robił z najbliższymi ludźmi ceremonie dla uszanowania ich ambicji. I chyba nie znacie Śmigłego” — dodał w końcu Sosnkowski. „Śmigły i ambicja... Nie ma chyba człowieka, któremu ambicja byłaby tak zupełnie obcą. A polityką Śmigły się nigdy nie interesował i jeśli mu została w ostatnich czasach narzucona, to na pewno odetchnął z ulgą, że już nie potrzebuje się nią zajmować”.

Miałem pewne wątpliwości co do zdania Szefa, ale nie śmiałem z nim się spierać, tym bardziej że dorzucił mi jeszcze jedno zdanie:

„Zrozumcie — gdy mówicie o czasie — że zarówno Komendant jak ja nie znaleźliśmy jeszcze wolnej chwili, aby sprowadzić krawca, czy wstąpić do sklepu i kupić sobie trochę bielizny. Wyruszyliśmy z Magdeburga, tak jak staliśmy, w naszych starych i zniszczonych kurtczynach, w pocerowanej i niedopranej bieliźnie i to trwa dotychczas. A nie będę już Wam mówił o stanie nerwów i o okrutnym rozczarowaniu Komendanta, gdy nie zna-

laźł cienia zrozumienia nawet u swoich czołowych ludzi...”.

Zameldowałem się tedy u Śmigłego i powróciłem z nim do Lublina w nieokreślonej bliżej funkcji oficera do szczególnych zleceń. Wyczuwałem u Śmigłego przygnębienie i smutek, mimo że jak zawsze był na pozór całkowicie opanowany i spokojny.

Mój pobyt w Lublinie nie potrwał długo, zaledwie dni kilka. Śmigły oddał się bez reszty pracy nad organizacją wojska, począwszy od własnego sztabu, który w danej chwili był całkowicie przypadkową kompozycją, zaimprovizowaną z nadmiernej ilości byłych oficerów austriackich pozostałych po okupacji, z niewielkim dodatkiem oficerów legionowych. Wprowadzanie ładu i porządku, ustalenie kompetencji w samym Lublinie, równomierne rozdzielenie materiału oficerskiego i racjonalne obsadzenie dowództw na całym terenie Okręgu, było zadaniem niełatwym, wymagającym pełnego wysiłku i masy czasu. Nie tylko Śmigły, ale nawet ja, nie mieliśmy chwili wolnej w tych pierwszych tygodniach. Było to jednak raczej lepsze, niż przebywanie w atmosferze warszawskiej, w której rozpętało się już piekło demagogicznie nieprzytomnej opozycji wobec nowej władzy.

Pod koniec listopada otrzymałem rozkaz niezwłocznego zameldowania się u Komendanta, dopełniony przez informację prywatną, że do Lublina już prawdopodobnie nie wrócę.

Stałem w Warszawie 29 listopada. Audjencję u Komendanta wyznaczono mi na dzień następny; tegoż dnia jeszcze jednak zaproszony zostałem na obiad w kasynie Sztabu Generalnego, na którym miał być Komendant już jako Naczelnik Państwa i Wódz Naczelny (pierwotnie wszedł on do rządu Moraczewskiego jako minister Spraw Wojskowych; po kilku dniach dopiero zorientowano się, że jako głowa państwa nie może on w skład rządu wchodzić). W ciągu dnia zwrócił się też do mnie Wieniawa, jako szef adiutantury Komendanta, z tym że wobec świeżego zainstalowania się Komendanta w Belwederze, chciałby on aby pierwszy wieczór tam Komendant mógł spędzić w otoczeniu najbliższych sobie ludzi; więc po oficjalnym obiedzie w Sztabie Generalnym mam przybyć do Belwederu na nieoficjalną herbatkę.

Na obiedzie w kasynie sztabowym spotkałem premiera i wszystkich prawie ministrów, zaś obok nich całą starszyznę wojskową z kierownikiem M.S.Wojsk. i Szefem Sztabu Generalnego włącznie. Nie wiem z jakiego tytułu — protokół był jeszcze wówczas w powijkach — ale wyznaczono mi miejsca przy stole pomiędzy gen. Leśniewskim, a jednym z ministrów. Początek obiadu był sztywny, dość często zapadała przy stole krępująca cisza. Panowie generałowie zezem patrzyli na panów ministrów,

odmalowanych już przez prasę opozycyjną jako odpowiedniki Leninów i Dzierżyńskich; przypatrywali się z podejrzliwą ciekawością wąsatej fizjonomii starego robociarza „Wojtka” Malinowskiego i siwej sukmanie Błażeja Stolarskiego. Starszym generałom austriackim szczególnie nie odpowiadał widok tego rodzaju ekscelencji. Ale i wśród wojskowych panowało również wyraźne skrzępowanie. Eleganccy panowie z byłej armii austriackiej z trudem prowadzili na ceremonialnej stopie postawione rozmowy ze swymi kolegami z byłej armii rosyjskiej, tak zwanymi potocznie „katolikami”. Dawały się zauważyć nawet trudności językowe, szczególnie w terminologii wojskowej, i tu niejednokrotnie oficerowie legionowi z zaboru rosyjskiego ofiarowywali swe usługi w charakterze tłumaczy, znali bowiem terminologię wojskową rosyjską, zarówno jak niemiecką. Pod koniec obiadu, może nie bez współdziałania pewnej — skromnej zresztą — ilości alkoholu, nastąpiło wyraźne ożywienie, zrobiło się gwarно; w różnych miejscach stołu potoczyły się żywe i rzeczowe dyskusje na temat zagadnień bieżących, ze skrupulatnym pomijaniem oczywiście drażliwych momentów politycznych. Nie znałem przedtem osobiście gen. Leśniewskiego, ale w czasie mego pobytu na wschodzie dużo o nim słyszałem i dobrze zapamiętałem tę rzecz szczególnie, że nikt o nim nigdy nie powiedział złego słowa; wszyscy go traktowali z wielkim szacunkiem i uznaniem. Nasza rozmowa przy stole zrobiła na mnie również niezwykle dodatnie wrażenie. Wypytywał mnie o moją służbę poprzednią w Legionach, o nasze przedwojenne prace strzeleckie, wreszcie o szczegóły przeszłości Komendanta, o którym mówił ze szczerym podziwem, choć bez cienia pochlebstwa czy służalczości. Nie wyglądał też na obrażonego, że poczęstowano go sąsiedztwem młodego kapitana. Pod koniec obiadu mówiliśmy już na stopie zażyłej znajomości i Leśniewski wypytywał mnie o obecnych przy stole ministrów, o ich przekonania i przeszłość. Gdy powiedziałem mu parę słów o Błażeju Stolarskim, z drugiej strony obok mnie siedzącym, Leśniewski zainteresował się tak bardzo tą postacią chłopca-ministra, że przy czarnej kawie zaaranżowałem nieznacznie zmianę miejsc i posadziłem ich obok siebie. Z przyjemnością słuchałem następnie bardzo poważnej i ożywionej rozmowy między nimi, która nawiasem mówiąc wcale nie nasuwała wrażenia jakiegokolwiek nierówności w przygotowaniu do debaty nad sprawami polityki państwowej.

Po zakończeniu obiadu, gdy ustawiliśmy się już w *cercle* do pożegnania Naczelnika Państwa, Komendant przechodząc koło mnie zapytał czy zawiadomiono mnie już o godzinie jutrzejszej audiencji, po czym wziął mnie o parę kroków na bok i zapytał,

czy dobrze znam Leśniewskiego. Odpowiedziałem, że go spotkałem wprawdzie dziś po raz pierwszy, i odniosłem wysoce pozytywne wrażenie, ale ze słyszenia znam go już z czasów z mego pobytu w Kijowie i Bobrujsku, gdzie zawsze mówiono o nim z największym poważaniem i uznaniem, zarówno jako o Polaku jak i dowódcy.

Po odejście Komendanta Jędrzej Moraczewski, którego od szeregu miesięcy nie widziałem, przywitał się ze mną serdecznie, zapytał czy jadę do Belwederu i zaproponował podwiezienie tam swoim samochodem. Po drodze dał mi krótki zarys sytuacji politycznej, niepozabawiony humorem. Powiedział mi, że rząd jest właściwie izolowany, że nie tylko prawica społeczna, ale elementy umiarkowane włącznie z tak ważną pozycją jak umiarkowani Ludowcy spod znaku Witosa, osunęli się do roli widzów, nie dają żadnej pomocy i to nie tylko politycznie; cały zastęp urzędników, działaczy społecznych i samorządowych z Małopolski, którzy byłiby niezmiernie cennym materiałem w organizacji administracji państwowej, nie angażuje się również na skutek tego, że nie tylko prawica, ale i umiarkowane czynniki odmówiły rządowi współpracy. Opowiedział mi kilka anegdot o rozpaczliwej nieznajomości rzeczy wśród ludzi zaboru rosyjskiego, którym musi powierzać stanowiska w administracji powiatowej, czy organizującej się wojewódzkiej — nie mówiąc już o władzach centralnych, a którzy po prostu nie wiedzą z której strony zabrać się do rzeczy. „Strasznie zacni ludzie, ale kiepscy muzycanci” — przytoczył niemieckie określenie orkiestry. „Moi własni towarzysze”, powiedział mi Moraczewski, „robociarze z P.P.S., są oburzeni na prawicową opozycję i ciągle przychodzą do mnie, ofiarowując mi swoje poparcie. Ale nie zgadlibyście nigdy w jakiej formie. Ofiarowują mi mianowicie ogłoszenie strajku generalnego dla podtrzymania rządu; i trudno im wytłumaczyć, że takiego poparcia żaden rząd na świecie nie wytrzyma”. Powiedział mi Moraczewski, że Komendant zachowuje niewiarogodną wprost zimną krew i cierpliwość i że w tej chwili wymaga od rządu tylko dwóch rzeczy, to znaczy jak najszybszego przygotowania ordynacji wyborczej i ogłoszenia wyborów; a po drugie, największego wysiłku dla organizacji i zaopatrzenia wojska, nad czym zresztą sam czuwa i ze wszystkich żyły wypruwa.

„W tym wszystkim — mówił Moraczewski — nie mogę wyjść z podziwu, że Komendant po tej bezwzględnej kontrze, którą dostał zarówno od endeków jak i, co tu gadać, od nas, najwidoczniej nie wyrzekł się swojej koncepcji sprzężenia ogólnonarodowego wysiłku. Odłożył ją tylko na później. Nie odrzucił go też od tej myśli wściekłe ataki i obelgi ze strony prawicy.

Mimo to Komendant zamierza właśnie pierwszy wyciągnąć rękę do Dmowskiego i osiągnąć wspólny z nim front, przynajmniej w sprawach zagranicznych i budowy siły obronnej. Ja osobiście nie sędzę, znając dobrze endeczką zaciekłość, żeby się to udało i próbowałem Komendanta przestrzec, ale zbyt mnie krótko tym, że Dmowski odpowiadać będzie wobec historii za swoje postępowanie, a on za swoje. I choćby miał tylko jedną szansę na sto nie zaniecha próby”.

◆

Przybyliśmy do Belwederu. Skąpo oświetlony, cichy i tajemniczy pałacyk belwederski pełen był szczególnego nastroju w ten wieczór listopadowej rocznicy. Nie wiązał się on jeszcze, jak w parę dziesiątków lat później, z postacią Józefa Piłsudskiego. W urzędzeniu, w wyglądzie służby, uderzały jeszcze akcenty obce, nieprzyjemne, z wczorajszej epoki Besslera, Skałona, Emerytyńskiego; górował jednak nad nimi urok wspomnień sprzed lat osiemdziesięciu: wizja ataku podchorążych i ucieczki Konstantego.

◆

Komendant przyjął najpierw Moraczewskiego samego dla załatwienia spraw bieżących. My, pozostali, zwiedziliśmy tymczasem cały gmach, włącznie z historycznym lochem, w którym więziony był przez Konstantego Walerian Łukasiński. Jeden z obecnych znał dokładnie historię Nocy Listopadowej, objaśniał nam ówczesny rozkład apartamentów, sypialnię Księżnej Łowickiej, sypialnię Konstantego, drogę przez główną klatkę schodową, którą sforsowali bagnietami Podchorążowie i boczne, ukryte schody, którymi zdołał uciec Konstanty, a przez które w następnych latach tak często chodziłem do Komendanta sam i wprowadzałem innych na nieoficjalne audiencje. Wskazujący nam drogę stary kamerdyner Rozalski dodawał od czasu do czasu mniej interesujące nas uwagi z czasów ostatnich generał-gubernatorów warszawskich, których obsługiwał lat przeszło trzydzieści.

Po skończonej konferencji z premierem, Komendant zaprosił nas wszystkich na herbatę na górę, z tym że znalazła się i butelka węgryzna dla tych, których herbata nie nęciła. Komendant był w wyjątkowo dobrym humorze — jak mi powiedziano po raz pierwszy od chwili przybycia do Warszawy. Żartował na temat duchów, nawiedzających jakoby Belweder po nocach; zgadywaliśmy kto się też będzie Komendantowi zjawiał — przyjazne, czy wrogie duchy, Łukasiński czy Konstanty, Wybicki czy też może piękna Joanna. Ktoś z obecnych rzucił uwagę na temat przesz-

łości i przyszłości; Komendant podjął ten wątek, mówiąc, że nie poszczególne zjawy, lecz przeszłość w swym całokształcie wy-daje mu się najgroźniejszym upiorem, który dzwoni potępięczy-mi łańcuchami nie w Belwederze specjalnie, lecz w całej War-szawie.

Spotykamy dziś w pismach historyków i we wspomnieniach ludzi stykających się wówczas z Piłsudskim, polemiki na temat czy Piłsudski powiedział wtedy zdanie, że wysiadł z wozu socja-listycznego na przystanku „Niepodległość”. Nie byłem na zebra-niu notabłów lewicy niepodległościowej 10 listopada, na którym zdanie to miało być wypowiedziane. Ale właśnie tego wieczora, 29 listopada w Belwederze, Komendant mówił na ten temat i treść tego co mówił taka była istotnie. Miałbym tylko obiekcję, co do użycia słowa „przystanek”, które właściwie sprzeczne jest z myślą przewodnią Komendanta, głównym zarzutem bowiem, który stawiał leaderom wszystkich stronnictw politycznych, na tle rozmów przeprowadzonych z nimi przy tworzeniu rządu było to, że nie docenili oni epokowej doniosłości momentu, który przeżywamy. Nie widzą tego, że 11 listopada nie jest jednym z wielu przystanków na linii naszego życia politycznego, lecz stacją graniczną między dwoma epokami; epoką niewoli i epoką życia niepodległego. „A przecież — mówił Komendant — jest to największa, najdonioślejsza przemiana jaka w życiu narodu może nastąpić. Przemiana, w konsekwencji której powinno się zapomnieć o przeszłości; powinno się przekreślić wielkim krzy-żem stare porachunki; stare partie i stronnictwa powinny prze-stać istnieć, a nowe powstać na ich miejsce. Przestała przecież istnieć sama podstawa dotychczasowych programów politycznych. Jakaż była najistotniejsza różnica w tych programach dnia wczorajszego? Był nią stosunek do niepodległości. Jedni uważali, że jest to hasło nie do osiągnięcia, nierealne, a zatem upieranie się przy nim może przynosić tylko szkody i straty dla narodowego stanu posiadania. Drudzy wierzyli i konsekwentnie podejmowali walkę. Jedni widzieli ten cel jako bliski i możliwy do osiągnięcia w pełni — drudzy sądzili, że może on przyjść etapami i w kolej-ności tych etapów szukali okresów porozumienia z tą, czy inną potęgą zaborczą. Ludzką jest rzeczą, że w spór stąd wynikający wkładano za dużo pewnie zaciekłości, podejrzliwości i odsądzania strony przeciwnej od czci i dobrej wiary. Ale dziś historia po-wiedziała już swoje; niezależnie od tego kto, co i jak przewidy-wał faktem jest, że stanęła przed nami wolność i życie niepod-ległe z jego ogromnymi i zupełnie nowymi zagadnieniami. Skutki przeszłości, szczególnie na przestrzeni zaboru rosyjskiego i prus-kiego, gdzie byliśmy przez lat sto pięćdziesiąt odsunięci od udziału

w życiu państwowym; skutki zniszczeń wojennych w kraju, który był polem bitwy przez lat cztery, którego warsztaty produkcyjne i zasoby pieniężne zostały zniszczone, są takie że nie ma stronnictwa, czy partii która by mogła powiedzieć, że własnymi siłami potrafi dać radę wszystkim trudnościom. A czas przed nami jest krótki i tylko wspólnym wysiłkiem możemy zadecydować na jakiej przestrzeni, w jakich granicach naszą wolność obwarujemy i jak silnie staniemy na nogach zanim dojdą z powrotem do siły i pełnego głosu nasi sąsiedzi ze wschodu i zachodu”.

W tym miejscu ktoś z obecnych rzucił zdanie o nieuleczalnym egoizmie partyjnym i megalomanii Narodowej Demokracji. Na to Komendant odpowiedział: „A wy też nie udawajcie aniołków. Wy też nie umiecie wyjść poza partykularne pretensje i obrazy z dnia wczorajszego. Nie możecie zrozumieć, że dla mnie to co mówię nie jest teorią, ani pustym słowem. Jednego dnia przytakujecie i oklaskujecie, gdy mówię o przekreśleniu poprzednich sporów i otwarciu nowego rachunku z dniem niepodległości, a drugiego przychodzicie do mnie z pretensjami, że kogoś co wczoraj był przeciwko mnie dopuszczam do wojska i daję mu wysoką szarżę; i przynosicie mi rozmaite czarne listy. Kładzicie mi w uszy okropne rewelacje o tym, co ktoś o mnie przedwczoraj powiedział; a mnie to nic nie obchodzi, słuchać tego nie chcę i nie będę. Kto naprawdę chce mi pomóc, musi tak jak ja patrzeć w przyszłość, a zapomnieć o przeszłości”.

Następnego dnia, po uderzająco skromniutkim śniadaniu w Belwederze — stół Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza przypomniat raczej kwaterę Komendanta I-szej Brygady w czasie batalii wołyńskiej — przyjęty zostałem przez Komendanta. Temat rozmowy był następujący: Organizacja dowództw okręgowych i ich sztabów wymagała obsady tzw. — na wzór organizacji armii francuskiej — Oddziałów II. „Potrzebuję tu waszej pomocy” — powiedział mi Komendant. „Obsada centrali w Sztabie Generalnym jest już załatwiona. Szefowi Sztabu pozostawiam też obsadę w dowództwach liniowych. Ale potrzebuję oficerów do obsady oddziałów II-ch w sztabach D.O.G.-en. Do ich zadań nie jest ważna znajomość wywiadu i kontrwywiadu; natomiast potrzebni mi są ludzie o pewnym wyrobieniu politycznym, dobrej znajomości stosunków, a co najważniejsze w chwili obecnej umiejętności taktownego postępowania, tak, aby w ramach pełnej dyscypliny wobec swych dowódców potrafili dyskretnie pokierować nimi i pomóc im zorientować się w życiu politycznym kraju. Z natury rzeczy dowódcami okręgów będą generałowie; przeważnie, na terenie Kongresówki będą to generałowie z byłej

armii rosyjskiej. Są między nimi ludzie cenni, nadający się bez zastrzeżeń na stanowiska dowódców liniowych; ale na razie mam za mało gotowych wyższych jednostek i muszę im dawać D.O.G.-eny. Nie chciałbym jednak, aby na tych stanowiskach popełniali błędy, czy niezręczności, które będą przeszkadzać w późniejszym ich użyciu, a co gorsza, mogą doprowadzić do niepotrzebnych starć i kolizji na miejscu. Są między nimi ludzie, którzy całe życie przebywali w Rosji. Nic im to nie uchybia, gdyż najczęściej wynikało to stąd, że byli synami zesłańców i wygnańców popowstaniowych; ale faktem jest, że zupełnie nie orientują się w obecnym układzie sił w kraju, zaś przeszedłszy przez rewolucję bolszewicką, przez anarchiczny rozkład w armii rosyjskiej, skłonni są widzieć groźbę rewolucji i bolszewizmu w Polsce, tam gdzie jej wcale nie ma. Nie rozumieją różnicy między charakterem lewicy społecznej w Polsce, a w Rosji. Gotowi są upatrywać bolszewików w P.P.S., czy w Wyzwoleniu i oczekiwać, że jakaś manifestacja lub wiec robotniczy, czy chłopski skończy się rabunkiem miasta, albo zdzieraniem naramienników oficerom. Rozumiecie sami, do jakich to może doprowadzić komplikacji, szczególnie teraz, gdy rząd jest w rękach lewicy. Chcę więc, żebyście mi przygotowali jeszcze w ciągu dnia dzisiejszego listę oficerów, którzy zdaniem waszym nadają się do tych funkcji. Uprzedzam was, że ta służba i na was spadnie i dostaniecie zadanie, na którym mi bardzo zależy. Obejmiecie II Oddział w Kielcach; na dowódcę okręgu ma tam pójść generał Iwaszkiewicz. Ze wszystkiego co o nim wiem jest to świetny dowódca bojowy, ale człowiek o bardzo trudnym charakterze, o bynajmniej niezłamanym, jak u wielu innych, poczuciu swego autorytetu i nie łatwo będzie dawał ucha kapitanowi. Co gorsza zaś, nie orientuje się podobno zupełnie w stosunkach krajowych i z grubsza biorąc wszystko, co jest na lewo od Narodowej Demokracji, pachnie mu bolszewizmem. Dam mu wprowadzić przy ostatniej odprawie instrukcje polecające was, ale musicie dołożyć całej zręczności i taktuu, aby go uchronić od błędów, nie dotykając w niczym jego ambicji jako generała i dowódcy”.

W tym miejscu pokręciłem głową zgoła cywilnie i poprosiłem Komendanta o bliższe wskazówki. „Co będzie jeśli nie znajdzie posłuchu u generała?”. — „Jeśli sprawa będzie mało ważna” — położyć uszy po sobie. „Jeśli będzie groziła poważnym błędem, musicie iść w jak najpoprawniejszej formie na konflikt, a jeśli będziecie mieli rację, to was poprę; ale to jest ostateczność, której musicie unikać. Będziecie mieli prawo przesyłania meldunków i raportów do Sztabu Generalnego. Otrzymywać je będzie Sławek, który będzie mi meldował w razie potrzeby. W rapor-

tach swoich musicie pisać wszystko otwarcie, według własnego przekonania”.

Zapytałem, co będzie jeśli mój dowódca przekreśli mój raport jako niezgodny z jego poglądami.

„Wszyscy dowódcy otrzymają instrukcje, że meldunki szefów II Oddziału mają być przesyłane bez zmiany, z tym, że mogą oni robić swe adnotacje i zastrzeżenia jeśli z treścią raportu się nie zgadzają. Nie wolno wam przysyłać żadnych meldunków poza ich wiedzą. W wypadkach nadzwyczajnych, możecie się zawsze zwrócić telefonicznie do Sławka, który was wezwie do Warszawy dla ustnego raportu. Ale pamiętajcie, że to czego od was oczekuję, to jest harmonijna praca z Iwaszkiewiczem; postarajcie się zyskać jego zaufanie”.

Z tym zostałem odprowadzony. Późnym wieczorem wróciłem do Belwederu z listą kilkunastu oficerów, z których niektórzy — o czym nie wiedziałem — byli już do tej służby powołani; inni zaś zostali bez wyjątku zaakceptowani przez Komendanta. Muszę powiedzieć, że prawie bez wyjątku doszli oni w późniejszych czasach do wysokich, nie wyłączając ministerialnych, stanowisk w służbie państwowej, wojskowej, lub cywilnej. Przy tej sposobności naraziłem się jednak na gniew Komendanta, gdy poprosiłem o tydzień urlopu dla załatwienia swoich spraw osobistych i rodzinnych. Musiałem powołać się na to, że przez ostatnie pół roku w związku z moimi podróżami i szczególnym zainteresowaniem moją osobą ze strony Feld Polizei, nie miałem możliwości zajęcia się rodziną i prawie że nie znam mego świeżo urodzonego syna, muszę zaś ściągnąć ich z sobą do Kielc. Z gorzką uwagą, że widocznie tylko on jeden potrafi nie mieć czasu na sprawy osobiste i rodzinne, urlop został mi udzielony przez Komendanta.

Gdy wyszedłem od Komendanta po zakończonej audyencji, zastałem w adiutanturze wiadomość, że szef Sztabu Generalnego, gen. Szeptycki, wzywa mnie natychmiast do siebie. Sądziłem, że wezwanie to stoi w związku z zapowiedzianą mi przez Komendanta nominacją do Kielc i postanowiłem zapytać jeszcze dodatkowo Komendanta, czy mam w razie zapytania meldować gen. Szeptyckiemu treść dnych mi przez Komendanta instrukcji. Okazało się, że Komendant ma akurat tyle wolnego czasu i zgodził się przyjąć mnie po raz drugi. Na moje zapytanie Komendant odpowiedział że oczywiście nie mam żadnej potrzeby ukrywania faktu, że byłem do niego wezwany, ale nie sądzi aby gen. Szeptycki pytał mnie o treść audyencji. Spostrzegłem, że Komendant jest w pogodnym usposobieniu i zaryzykowałem poruszenie sprawy, która mnie wewnętrznie niepokoiła. Powiedziałem

Komendantowi mianowicie, że Śmigły robił na mnie wrażenie człowieka przygnębionego i niezupełnie pewnego siebie po powrocie z Warszawy do Lublina. Wyraziłem przypuszczenie jaki jest tego powód, że mianowicie jego szarża generalska z nominacji zlikwidowanego rządu lubelskiego nie została przez Komendanta potwierdzona. Śmigły więc nosi mundur bez odznak i unika podpisywania swego stopnia. Oczywiście w życiu wojskowym taka sytuacja jest niełatwa i może istotnie zatruwać człowiekowi życie. Czy zatem Komendant nie sądzi, że jest jakiś sposób załatwienia tego bez dalszej zwłoki. Drugim momentem powodującym prawdopodobnie większą jeszcze zgryzotę u Śmigłego jest to, że po objęciu funkcji ministra Spraw Wojskowych w rządzie lubelskim, w związku z mobilizacją P.O.W. i tworzeniem regularnych oddziałów wojska, musiał on swoim dekretem mianować cały szereg oficerów, a w kilku wypadkach awansować oficerów legionowych; znalazł się bowiem w takiej sytuacji, że miał nadmiar oficerów sztabowych, z pozostałych po okupacji byłych oficerów austriackich, natomiast brak było oficerów niższych stopni do kapitana włącznie. Odniosłem wrażenie, że Śmigłego gnębi myśl, że jego nominacje i awanse mogą być nie uznane, co postawi odnośnych oficerów w niezmiernie przykrej, a jego samego w fałszywej sytuacji. Odpowiedział mi na to Komendant, że nominacje lubelskie nie są wyjątkiem; że również gen. Roja w czasie swego krótkiego dowodzenia w zaborze austriackim ogłosił swoje nominacje i awanse. Że poza tym napływają oficerowie z II-ej Brygady, którzy też zostali awansowani przez płk. Hallera, co wszystko nie ma regularnej podstawy prawnej. Sztab Generalny, w którym przeważają oficerowie armii austriackiej traktuje oczywiście tę sprawę z całą biurokratyczną skrupulatnością. Musi ona znaleźć jakieś kluczowe rozwiązanie przez ogólną weryfikację późniejszą oraz tymczasowe prowizorium. Sprawa generałów, którzy już zajęli i zajmować będą stanowiska wyższych dowódców, ma być załatwiona specjalnie i Komendant mówił już o tym z gen. Szeptyckim. Komendant rozumie, że Śmigły istotnie może się czuć nieswojo, nie może jednak zrobić dla niego wyjątku, a już w szczególności nie może nikogo z oficerów legionowych ustabilizować jako generała, zanim załatwi to dla Sosnkowskiego.

„Dałem już Szeptyckiemu polecenie niezwłocznego załatwienia sprawy i nie rozumiem dlaczego z tym zwleka. Pewnie mu jego referenci wynajdują trudności, a może i generalskie zazdrości wchodzą w grę”.

Komendant zastanowił się chwilę i powiedział: „Skoro już idziecie do Szeptyckiego, który wie, żeście u mnie byli, to

zameldujcie mu, że oczekuję przedstawienia mi do podpisu dekretu o którym z nim mówiłem, z uwzględnieniem nominacji Sosnkowskiego i Śmigłego. Gdy się będziecie odmeldowywać u Śmigłego w Lublinie, możecie go od siebie uspokoić, że sprawa będzie w najbliższych dniach załatwiona”.

Gen. Szeptycki przyjął mnie bardzo gniewnie. Wyładował na moją głowę wszystkie pretensje Sztabu do D.O.Gen. Lublin, z powodu braku raportów o stanie rzeczy w Okręgu i nie dopuszczając mnie do słowa, rozkazał abym natychmiast udał się do I-go Oddziału Sztabu i podyktował tam O. de B. Okręgu Lubelskiego. Zbeształ mnie za elementarny brak dyscypliny, skoro przybyłem do Warszawy i nie zameldowałem się natychmiast w Sztabie Generalnym, mimo że raport organizacyjny Lublina jest od dawna z godziny na godzinę oczekiwany i wielokrotnie ponaglany. Byłem zaskoczony tą burzą, ale oczywiście musiałem przeczekać ją stojąc na baczność, dopóki nie padły słowa: „Co Pan ma na swoje usprawiedliwienie, Kapitanie?”. Wtedy dopiero zameldowałem, że przybyłem do Warszawy na rozkaz z adiutantury Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza i że żadnych innych rozkazów nie miałem; że w Lublinie pełniłem funkcję oficera do zleceń przy Dowódcy Okręgu; że O. de B. nie znam i że mój przydział w Lublinie jest już zakończony, ponieważ dziś właśnie przy raporcie u Naczelnego Wodza otrzymałem rozkaz udania się w przeciągu tygodnia do Kielc i objęcia II-go Oddziału w Sztabie D.O.G.-enu. Zauważyłem, że nowa fala gniewu napłynęła na surowe oblicze szefa Sztabu Generalnego. Została jednak po chwili opanowana. Generał mruknął tylko coś pod wąsem o drodze służbowej, po czym machnął ręką i kazał mi siadać. Zapytał mnie po chwili o moją poprzednią służbę, którą streściłem w kilku słowach. Po czym zameldowałem, że otrzymałem specjalne polecenie od Komendanta, które chciałem zraportować.

„Proszę”, z pewnym zdziwieniem rzekł gen. Szeptycki.

Powtórzyłem zlecenie Komendanta, dotyczące nominacji generalskich. Sprawa ta najwidoczniej nie poprawiła humoru generała; nastąpiła krótka chwila milczenia, po której gen. Szeptycki powiedział mi już znacznie łaskawiej:

„Widzę z tego wszystkiego oraz z przebiegu Pańskiej służby, Kapitanie, że musi się Pan cieszyć specjalnym zaufaniem Pana Komendanta, i tego zaszczytu Panu gratuluje. Ale na przyszłość, spodziewam się od Pana jak i od wszystkich Pańskich kolegów, Legionistów, że będziecie nieco łaskawi na to, co się w wojsku nazywa 'droga służbowa' i co należy do fundamentów życia wojskowego. Skoro powiadomiony już Pan jest o swym nowym

przydziale, nie potrzebuje się już Pan meldować w Oddziale I-szym, lecz w Oddziale II-gim”.

Generał wstał, otrzymałem uścisk ręki na pożegnanie i odszedłem z niewątpliwą ulgą. Zameldowałem się jeszcze w II-gim Oddziale u szefa tzw. wówczas „Sekcji Politycznej Sztabu Gen. W. P.”, którym był Walery Sławek. Powtórzyłem mu rozmowę z Komendantem, dostałem dokumenty urlopowe i podróżne; instrukcje co do mojej przyszłej służby obiecał mi Sławek dać za tydzień, gdy będę po urlopie jechał do Kielc.

W ciągu tego tygodnia, który spędziłem częściowo w Siedlcach, a częściowo na wsi skąd miałem zabrać rodzinę, miałem sposobność zapoznania się ze stanem rzeczy w opinii publicznej w tej części kraju; w ostatnich miesiącach bowiem obserwacje moje ograniczone były wyłącznie do Lublina i Warszawy. To co spostrzegłem nie było wesołe. Panowało ogólne zaskoczenie stworzeniem jednostronnego rządu, co oczywiście wszyscy przypisywali swobodnej decyzji Piłsudskiego. Cały potężny wpływ Narodowej Demokracji oczywiście skierowany był na dyskredytowanie zarówno tego rządu, jak i Piłsudskiego osobiście. Uderzyło mnie też, że w sferach inteligencji zawodowej, idącej pod znakiem postępu i sympatyzującej dotychczas raczej z P.P.S. i z Piłsudskim, dominowało również niezadowolenie z jednostronnego charakteru rządu. Jasne było, że gdyby Piłsudski nie był postawiony w przymusowej sytuacji przez Daszyńskiego i Thugutta, sfery te przyjęłyby to z największym zadowoleniem i gotowością do współpracy; tymczasem zaś, stanęły na uboczu i oczywiście nie przyłączając się do demagogicznej kampanii endenckiej, nie kryły swego niezadowolenia z takiego obrotu sprawy.

Gdy po tygodniu wróciłem do Warszawy i zgłosiłem się u Sławka, spotkała mnie niespodzianka; dowiedziałem się mianowicie, że w ciągu tego czasu nastąpiła bezpośrednio mnie dotycząca zmiana personalna. Postanowione zostało formowanie Dywizji Litewsko-Białoruskiej, dowódcą której mianowany został właśnie gen. Iwaszkiewicz, zaś na D.O.G.-en Kielce wyznaczony został nie kto inny, jak gen. Olszewski. Powiedziałem więc Sławkowi o przebiegu pierwszych dni listopadowych w Lublinie i zwróciłem jego uwagę, że moja nominacja do Kielc przedstawia się w związku z tym w innym świetle. Po pierwsze, Komendant wybrał mnie specjalnie w związku z osobą gen. Iwaszkiewicza, co przestało być aktualne. Po drugie, Komendant podkreślił że oficerowie II-go Oddziału mają się starać o jak najlepsze stosunki ze swymi dowódcami, co może być bardzo utrudnione, jeżeli chodzi o mnie i gen. Olszewskiego. Sławek uznał, że

sprawa jest istotnie dość poważna i że najlepiej będzie jeśli zamelduję ją do rozstrzygnięcia bezpośrednio Komendantowi. Zatelefonował też do adiutantury belwederskiej, aby zameldowano Komendantowi, że on prosi o audiencję dla mnie. Po chwili nadeszła odpowiedź, że mam się meldować o 11-tej wieczorem i Komendant przyjmie mnie po ukończeniu konferencji i audien-
cji formalnych.

O północy wszedłem wprost do sypialni Komendanta przez tzw. schodki Konstantego. Opowiedziałem Komendantowi moje lubelskie przygody z gen. Olszewskim i zapytałem Komendanta, czy nie widzi w tym przeszkód do mojej skutecznej pracy przy nim. „Obawiam się, że trudno się spodziewać aby kapitan, który aresztował generała przed kilkoma tygodniami mógł liczyć na specjalne zaufanie z jego strony”.

„Nie widzę powodu do zmiany mojej decyzji”, powiedział mi Komendant. „Być może, że to Wam utrudni sytuację, ale to jest wasze zmartwienie, a nie moje. A z tego wszystkiego, coście mnie opowiedzieli wynika, że zachowaliście się wobec niego przyzwoicie, w granicach stworzonej sytuacji; następnie, że należy on właśnie do tych generałów, którzy nie znają stosunków w Polsce, a zatem potrzebują w tej dziedzinie pomocy. Jego reakcja na wypadki lubelskie wskazuje, że jest to człowiek pozbawiony uporczywych uprzedzeń i człowiek dobrej woli. Jego karta wojskowa w armii rosyjskiej jest bardzo piękna i ciekawy jest fakt, że w momencie gdy miał zapewniony awans w 1917 roku, zgłosił się do formacji polskich, które wówczas właśnie zdecydowali się Moskale rozwinać. Ten fakt mi się szczególnie podoba. Według mojej znajomości ludzi nie sądzę, aby was spotkały specjalne trudności chyba, że nie potraficie odpowiednio się zachować. Niezależnie od zmiany Iwaszkiewicza na Olszewskiego, teren Kielc, Radomszczyzny i Zagłębia Górniczego jest szczególnie trudny; są tam już ciągłe tumulty i zarysowują się zatargi z władzami wojskowymi, jedźcie więc tam bez zwłoki i pracujcie według tych samych instrukcji, które otrzymaliście ode mnie ostatnim razem”.

Kilkumiesięczny okres mojej pracy w Kielcach nie należy do najprzyjemniejszych wspomnień z mego życia. Była to pod wieloma względami degradacja, tak się bowiem złożyło, że niemal od początku wojny brałem udział w pracach organizacyjnych na dość wysokim szczeblu, mając wgląd we wszystko i udział w decyzjach, z wyjątkiem niespełna rocznego okresu w Brygadzie na froncie. Specyficzne warunki składały się na to, że decyzje musieliśmy istotnie pobierać sami — w pierwszym roku wojny wobec odcięcia od instrukcji i rozkazów Komendanta przez linie

frontu bojowego, a przez ostatnie półtora roku przez ponowną izolację od Komendanta, więzionego w Magdeburgu. Ale nie tylko w pracy P.O.W. znajdowałem się na dość wysokim szczeblu i miałem swój udział w kierownictwie. Gdy w 1916 roku po odesłaniu z frontu wszedłem do pracy politycznej i tam również znalazłem się w ośrodkach kierowniczych, w C.K.N., a następnie w Konwencie. Stwarzało to wprawdzie dla mnie sytuację dość męczącą psychicznie i nerwowo, tak że miesiące spędzone na froncie w okresie ciężkich walk wołyńskich były dla mnie czymś w rodzaju wypoczynku; byłem tam po prostu podporucznikiem, ale nie ciążyła na mnie żadna odpowiedzialność, żadna troska oprócz spełniania rozkazów. Teraz, w Kielcach, znalazłem się znowu głęboko w dole, na poziomie subalterna w prowincjonalnym garnizonie, daleko od ośrodków decyzji, nawet bez dobrej informacji o przebiegu spraw. Mimo bowiem teoretycznej obietnicy z mojej centrali w Sztabie Generalnym, że będę trzymany *au courant* sytuacji ogólnej — w praktyce nie otrzymywałem niemal żadnej informacji, ani instrukcji. Nawet w sprawach doniosłej wagi praktycznej. Komunikacje telefoniczne były fatalne; jedyny wgląd w rozwój sytuacji politycznej, a nawet wojskowej, miałem wówczas tylko, gdy udało mi się raz czy dwa zajrzeć do Warszawy. Samochodów nie mieliśmy; każda podróż do Warszawy i z powrotem w nieopalanym wagonach — a zima była szczególnie mroźna — była ciężką przeprawą. Musiałem przytem obliczać każdą możliwość opuszczenia mego posterunku w Kielcach niemal na godziny, bo istotnie sytuacja na terenie Okręgu Kieleckiego była skomplikowana i zadrażniona i musiałem liczyć się z tym, że zawsze może nastąpić jakaś komplikacja, za którą będę później odpowiedzialny. W dodatku, materialne warunki życia były opłakane. Po przybyciu do Kielc otrzymałem z trudem maleńkie mieszkanie, właściwie nieumeblowane, cały sprzęt bowiem składał się z paru tapczanów z siennikami, kuchennego stołu i kilku stołków oraz prymitywnej umywalni blaszanej. O opał było niezmiernie trudno; gdy wracałem do domu ze służby, zastawałem żonę i dzieci drżące z zimna i częstokroć głodne. Przez pierwsze parę miesięcy nie było możliwości zorganizowania gospodarstwa w domu, obiady trzeba było przynosić z kasyna oficerskiego i często zdarzało się, że ordynans powracał do domu z pustymi naczyniami, gdyż kasyno nie miało dość żywności na wykarmienie wszystkich oficerów z rodzinami. Wspominam o tych rzeczach dlatego, że nie były one moim wyłącznie udziałem; jestem przekonany, że wielu innym działo się jeszcze gorzej; byłem bądź co bądź przecież kapitanem w Sztabie D.O.Gen. Jest to ilustracja tego jak ciężka

była sytuacja ówczesna i w jakich warunkach pracowali wtedy oficerowie, budujący armię gwałtownie potrzebną, gdyż nie tylko mieliśmy już trwającą wojnę w Małopolsce Wschodniej, ale i narastające zagrożenie od granicy czeskiej i — ponad wszystko — zbliżającą się z dnia na dzień konieczność rozprawy na całej granicy wschodniej. I trzeba powiedzieć, że brać oficerska pracowała wówczas z zaciśniętymi zębami i z niesłychaną wydatnością, chociaż dosłownie o głodzie i chłodzie. Nie było mowy o godzinach urzędowych, służba trwała od wczesnego ranka do późnej nocy.

Ogromną ulgą w tym wszystkim był dla mnie fakt, że zgodnie z przewidywaniami Komendanta moje stosunki z gen. Olszewskim ułożyły się doskonale. Nie dawało się odczuć najmniejszego zadrażnienia z powodu wypadków lubelskich. Mój dowódca okazywał mi nie tylko pełne zaufanie w toku służby, ale z jego inicjatywy nawiązane stosunki towarzyskie między naszymi rodzinami stały się wkrótce bardzo przyjazne. Nie znaczyło to bynajmniej, aby gen. Olszewski przyjmował bezkrytycznie wszystkie moje opinie, lub akceptował moje raporty do Sztabu Generalnego, które zawsze przedstawiałem mu do czytania. Już przy jednym z pierwszych raportów oświadczył mi, że nie zgadza się z niektórymi moimi twierdzeniami i zapytał mnie jaka jest przewidziana na taki wypadek procedura; zameldowałem, że mam instrukcje, aby w takim wypadku prosić go o stwierdzenie na moim raporcie, iż się nie zgadza i podanie jego własnej opinii. Generał nie miał oczywiście dostatecznej wprawy w stylizacji, ale gdy powiedział mi o co mu chodzi, z całą lojalnością i ścisłością zredagowałem jego poglądy i utarła się między nami taka praktyka, że w szeregu zagadnień pisałem właściwie dwa raporty, za siebie i za mego dowódcę. Gen. Olszewski był nie tylko znakomitym dowódcą, ale też bardzo rozsądnym i doświadczonym człowiekiem; kilkakrotnie jego uwagi krytyczne o moich raportach trafiały mi natychmiast do przekonania i raport mój zmieniałem. W kilku wypadkach obstawałem przy swoim, tak samo jak on przy swoim, i przyznaję otwarcie, że po jego, a nie po mojej stronie, była racja, jak się później o tym przekonywałem.

Towarzyszyłem też gen. Olszewskiemu w podróżach inspekcyjnych, które obejmowały ośrodki tak poważne jak Radom, Częstochowa, Piotrków i Zagłębie węglowe. Nauczyłem się od niego bardzo dużo w tych podróżach. Przy wszystkich inspekcjach oczywiście natrafiało się na mnóstwo zażeń; podziwiałem niesłychaną cierpliwość i powagę z jaką rozpatrywał najdrobniejsze nawet zażenia, wychodzące od szeregowych rekrutów, których zawsze zachęcał do tego, aby wypowiadali wszystko co

im się wydaje złe, lub krzywdzące. Jeszcze bardziej podziwiałem jego niezwykłą umiejętność przekonywania, tłumaczenia i uzyskiwania w rezultacie zrozumienia u najciemniejszego nawet chłopczyzny wiejskiego, który zgłaszał swoje zażalenia z absolutną pewnością, że mu się krzywda dzieje, a po cierpliwych i nadzwyczajnie przystępnych odpowiedziach i objaśnieniach generała, przyznawał z najwidoczniejszą ulgą, bądź że się mylił, bądź że inaczej niż jest być nie może.

W moim dziale służby miałem sytuację o tyle ułatwioną, że zarówno generał dowódca, jak i szef sztabu, późniejszy gen. Norwid-Neugebauer zostawiali mi wolną rękę i na moich opiniach całkowicie polegali. Natomiast kłopoty płynęły od dołu. Największym z nich były ciągłe tarcia z żandarmerią wojskową, która wówczas odgrywała rolę znacznie większą niż jej przypada normalnie, wobec tego że policja na terenie byłego zaboru rosyjskiego była dopiero w fazie organizacji; było jej bardzo mało, a w dodatku brak było zupełnie ludzi wyszkolonych w tej dziedzinie. W rosyjskiej policji zaborczej Polaków oczywiście nie było, zaś jedyna dzielnica posiadająca przed wojną polską policję, tj. Małopolska, nie mogła dostarczyć materiału nawet dla najszczuplejszej kadry. Stąd na żandarmerię wojskową spadały z konieczności funkcje ogólnej służby bezpieczeństwa. Obsada składała się niemal wyłącznie z Galicjan, pod komendą b. oficerów austriackich, nie znających stosunków w zaborze rosyjskim, a w dodatku sympatyzujących niedwuznacznie z Narodową Demokracją. Wytworzyło to stosunki szczególnie drażliwe przez cały czas trwania rządu Moraczewskiego, mimo bowiem że politycznym oparciem rządu była właśnie lewica, stronnictwo socjalistyczne i chłopskie, żandarmeria wojskowa pojoła w dodatku codziennymi porcjami propagandy opozycyjno-prawicowej, oskarżającej rząd i popierające go stronnictwo o bolszewizm, była nastawiona na poszukiwanie wrogów państwa wśród robotników z P.P.S. i działaczy chłopskich z „Wyzwolenia”. Nie było niemal dnia, abym nie otrzymywał wiadomości o rewizjach, a nawet aresztowaniach tego rodzaju ludzi, dokonanych oczywiście bez mojej wiedzy i bez pytania o moją opinię. Na terenie Okręgu Kieleckiego, w którym lewica była silniejsza niż w jakiegokolwiek innej części kraju, doprowadzało to do nastroju niechęci i zadrażnienia w stosunku do wojska. Zaczęła się wytwarzać sytuacja, w której niedawno utworzona milicja ludowa, zaczęła być uważana przez sfery robotnicze i chłopskie za ich wojsko, podczas gdy właściwa armia nabierała w ich oczach charakteru jakiegoś narzędzia reakcji prawicowej. W czasie jednego z moich pobytów w Warszawie przestrzeżono mnie, że napływają do Sztabu Gene-

ralnego nieoficjalne raporty i relacje ustne, pochodzące od żandarmerii wojskowej, a donoszące o wręcz niebezpiecznym stanie rzeczy, grożącym łada chwila rewoltą o charakterze bolszewickim, z tym że wysiłki żandarmerii dla rozbicia tej roboty natrafiają na przeszkody ze strony II-go Oddziału — czyli mojej — starającego się osłonić „wrogów narodu”. Któregoś wieczora, gen. Olszewski zawiadomił mnie, że otrzymał od żandarmerii raporty donoszące o poważnym składzie broni i amunicji, znajdującym się rzekomo w lokalu kieleckiej P.P.S. Żandarmeria domagała się pozwolenia na natychmiastową rewizję lokalu, twierdząc że broń ta może być w każdej chwili użyta na planowany — ich zdaniem — nocny atak na koszary wojskowe. W raporcie znajdowała się przejrzysta aluzja, że rewizja musi być dokonana w przebiegu najbliższych kilku godzin, gdyż inaczej organizatorzy rzekomego zamachu na wojsko będą na pewno przestrzeżeni i broń może być ukryta w innym miejscu. Znalazłem się w dość drażliwym położeniu. Nie wierzyłem oczywiście w prawdziwość tych doniesień, chociaż niepodobna było wykluczyć, że jakiś karabin, czy skrzynka amunicji mogła być przez pocziwych robotniczy gdzieś na wszelki wypadek schowana. Mogłem oczywiście stanąć na stanowisku, że rewizja w lokalu stronnictwa Prezesa Rady Ministrów jest rzeczą niedopuszczalną i rewizję zatrzymać, lub odwlec do ewentualnej decyzji centralnych władz w Warszawie, co zawsze leżało w moich uprawnieniach. Ale liczyłem się z tym, że gdy do rewizji nie dopuszczę, czy też ją tylko opóźnię, żandarmeria twierdzić będzie, iż jej doniesienie było słuszne i II-gi Oddział uniemożliwił likwidację niebezpieczeństwa, lub dał czas winnym na zatarcie śladów. Zdecydowałem się więc na wykazanie naoczne fałszywości tych alarmów, z tym tylko by gen. Olszewski nakazał odbycie rewizji nie inaczej jak w mojej obecności i pod moją kontrolą. Dowódca żandarmerii zgodził się i miał już przygotowaną swoją ekipę. Ostentacyjnie dotrzymywałem mu od tej chwili towarzystwa, nie zbliżając się nawet do telefonu. Udaliśmy się do lokalu P.P.S., w którym zastaliśmy licznie zebranych członków organizacji odbywających jakieś zebranie dyskusyjne. Wejście żandarmerii obstawienie przez nią domu wywołało niesłychane poruszenie i oburzenie. Obawiałem się, że łada chwila może nastąpić ostre starcie. W kilku słowach porozumiałem się z przewodniczącym i czołowymi przedstawicielami organizacji. Odwołałem się do ich zaufania do mnie i apelowałem o nie przeciwstawianie się rewizji dla wykazania niesłuszności podejrzeń. Na szczęście miejscowi kierownicy P.P.S. znali dobrze mnie i moją przeszłość i zgodzili się ulec moim perswazjom, chociaż nie ukrywali tego, że fakt rewizji i trakto-

wania ich jako elementu antypaństwowego uważają za jaskrawą krzywdę, przeciwko której będą protestować. Była to jedna znaj-przykrzejszych chwil w moim życiu. Ja, który znałem głęboki patriotyzm i ideowość tych ludzi, nie tylko marzących, ale i walczących latami o niepodległość, gdy musieli znieść przetrząsanie ich lokalu przez ludzi niedawno jeszcze noszących zaborcze mundury. Żandarmeria przeprowadziła rewizję domu od piwnic do strychów; żadnej ukrytej broni, ani amunicji nie znaleźli. Zdawało się, że sprawa została ukończona, gdy żandarmeria składała raport swojemu dowódcy o negatywnym wyniku rewizji, ale w tej chwili właśnie usłyszałem z sąsiedniej sali wrzawę i okrzyki oburzenia; pobiegłem tam i zobaczyłem, że żandarmeria próbuje przeprowadzić osobistą rewizję w kieszeniach obecnych. Temu nonsensowi oczywiście położyłem kres i nakazałem żandarmom natychmiastowe opuszczenie lokalu, zaś starego, zacnego robociarza, który miał łzy w oczach z rozżalenia, że coś podobnego go spotkało, prze-prosiłem w sposób nie tylko formalny, ale po prostu serdeczny. Widząc nastrój niesłychanego podniecenia wśród obecnych, wzią-łem na bok kilku notablów, powiedziałem im otwarcie jaka była geneza sprawy, wziąłem na siebie odpowiedzialność za dopuszczenie do rewizji i wskazałem na to, że osiągnęłem w ten właśnie sposób najlepsze zaprzeczenie fałszywości oskarżeń i skom-promitowałem donosicieli. Udało mi się ich przekonać, ale niewątpliwie głębokie rozżalenie na skutek tego incydentu pozostało.

Sprawa ta niewątpliwie wzmocniła moją pozycję i zaufanie mego dowódcy do mnie, tak że na przyszłość osiągnąłem skuteczniejszą kontrolę nad postępowaniem żandarmerii. Przez dłuższy czas jeszcze nadsyłało mi raporty, w których czytałem doniesienia o bolszewicką agitację i bezecne zamiary rozmaitych działaczy „Wyzwolenia” i P.P.S., których doskonale znałem i wiedziałem, że za ich patriotyzm mogę zaręczyć z większą pewnością niż za patriotyzm, a szczególnie rozgarnięcie polityczne donosicieli.

Tymczasem w Warszawie rozegrały się wypadki, których głębsze podłoże i doniosłe znaczenie w wyższej grze politycznej były wówczas w Polsce — szczególnie na prowincji — niedoceniane, tym bardziej, że sprawa trwała zaledwie kilkanaście godzin. Nastąpił zamach stanu Sapiehy i Januszajtisa. O jego właściwym podłożu i głębszym znaczeniu będę mówił obszernie później; w tej chwili zaznaczę tylko jego echa na terenie mojej ówczesnej pracy.

Dominujący pozornie udział wojskowych w tym zamachu, aresztowanie ministrów socjalistycznych i ludowych, łagodne obejście się z zamachowcami ze strony Naczelnika Państwa, wy-

wołało głęboki ferment wśród socjalistów i ludowców. Skrajnie radykalne elementy starały się ferment ten rozdmuchać, kierując szczególnie pod adresem wojska oskarżenia, że jest ono gotowe do odebrania przemocą tzw. zdobyczy ludu pracującego, osiągniętych w listopadzie. Miałem w tym czasie ciężkie zadanie przekonywania zgłaszających się do mnie na prywatne rozmowy ludzi z P.P.S. i „Wyzwolenia”, wyłuszczaćcych swoje obawy, że wojsko stać się może „narzędziem reakcji”. Z podejrzliwością patrzono na fakt, że dowódcami okręgów, dowódcami wyższych jednostek wojskowych, byli w ogromnej większości generałowie z byłych armii zaborczych, których oskarżano — słusznie czy niesłusznie — o endeckie sympatie i wrogie nastawienie do klasy pracującej. Tłumaczyłem im pracowicie niemożliwy do złamania realizm życia wojskowego, konieczność obsadzenia tych stanowisk w ten, a nie inny sposób, nie tylko dlatego że legioniści i peowiacy nie mieli formalnie dość wysokich stopni wojskowych, ale że naprawdę nie mieli w zakresie wyższego dowodzenia i wyższej administracji wojskowej dostatecznego doświadczenia. Przekonywałem ich, że przecież czuwa nad wszystkim Komendant, że czuwamy my, oficerowie Legionów i P.O.W., na niższych stopniach w sztabach dowództwa. Że wreszcie, wśród tych generałów, niezwiązanych co prawda swą przeszłością z naszym obozem ideowym, jest wielu ludzi najlepszej woli, bynajmniej z intrygami partyjnymi niezwiązanych, których doświadczenie jest wręcz niezbędne do zbudowania naszej siły obronnej. Wrzenie jednak trwało i niewątpliwie było starannie rozdmuchiwane przez zarysowującą się już wówczas nową w Polsce siłę, organizującą się właśnie partię komunistyczną, złożoną z dawnych działaczy Socjal-Demokracji Królestwa Polskiego i Litwy oraz dawnej „Lewicy P.P.S.”.

Na moim terenie dało się to najsilniej odczuć w Radomiu. W listopadzie 1918 roku, w okresie przejściowym między upadkiem okupacji austriackiej, a definitywnym rozbrojeniem Niemców — obok tworzących się oddziałów Wojska Polskiego, powstały odrębne oddziały tzw. Milicji Ludowej. Oddziały te znajdowały się w silnym związku z P.P.S. Najradykalniejsze elementy wśród robotników i młodzieży wołały zaciągać się do tych oddziałów. Oczywiście, wielu innych zaciągnęło się do nich niezależnie od żadnych przesłanek ideowych, po prostu dlatego, że w niektórych miejscowościach były one organizowane wcześniej i energiczniej niż armia regularna. Ale o nastroju w nich decydowały oczywiście owe świadome elementy polityczne. Jak już wspominałem, w całym szeregu wypadków, szczególnie po styczniowym zamachu stanu, lewica polityczna zaczęła patrzeć na

Milicję Ludową jako na jedyną siłę zbrojną, popierającą rząd Moraczewskiego i gotową bronić interesów ludu pracującego. Zaczęto też przeciwstawiać Milicję Wojsku. Znalazła się też w Milicji Ludowej pewna ilość oficerów, podtrzymujących te opinie. Zaczęła się zarysowywać możliwość, że może wybuchnąć walka między Wojskiem, a Milicją Ludową, który to fakt miałby, rzecz prosta, szczególnie niepomyślne konsekwencje, zarówno w kraju jak i w opinii zagranicznej, której oczy uważnie obserwowały wówczas wszystko to co się w Polsce dzieje.

Bezpośrednio po warszawskim zamachu stanu zaczęły napływać do mnie informacje w związku z zarządzoną w Warszawie reorganizacją Milicji Ludowej — mającą ją ściślej zespolić z Wojskiem — że Milicja ma być lada chwila rozbrojona przez Wojsko. Otrzymałem też wiadomości, że w szeregach Milicji prowadzona jest agitacja za zbrojnym oporem w razie takiego obrotu rzeczy. Tak się złożyło, że najliczniejszym liczebnie i najradykałniej nastrojonym politycznie oddziałem Milicji Ludowej był jej ośrodek w Radomiu. Nie pamiętam ściśle daty, ale musiało to być między dziesiątym a piętnastym stycznia 1919 roku, zostałem późną nocą zaalarmowany telefonicznie przez Szefa Sztabu D.O.Gen., Norwida. Otrzymał on od dowódcy garnizonu radomskiego meldunek telefoniczny, że w ciągu nocy nastąpił atak uzbrojonej gromady cywilnej na koszary wojskowe, nastąpiła bezładna strzelanina, w wyniku której zabity został jeden żołnierz; zaś po odbiciu ataku okazało się że napastnicy zdołali porwać dwa ciężkie karabiny maszynowe oraz pewną ilość amunicji; że istniejej poszlaki, iż atak był kierowany przez oficerów Milicji Ludowej i że w mieście znajduje się znaczna ilość uzbrojonych w karabiny cywilów. Dowódca zarządził ostre pogotowie w garnizonie; patrole oficerskie strzegą podejść do koszar. Po krótkiej odprawie u gen. Olszewskiego, zdecydował on, że Szef Sztabu i ja mamy się natychmiast udać do Radomia, zbadać sytuację na miejscu i zrobić wszystko dla jej opanowania.

Wsiadliśmy zatem z płk. Norwidem na lokomotywę i o wczesnym świcie stanęliśmy w Radomiu. Idąc z dworca do kwatery dowódcy pułku, zauważyliśmy wyraźne oznaki podniecenia w mieście; spotkaliśmy też kilku oficerów uzbrojonych w karabiny, którym zresztą płk Norwid kazał natychmiast powrócić do kwatery i nie ukazywać się na mieście inaczej niż w przepisowym rynsztunku oficerskim. Dowódca pułku i garnizonu radomskiego podał nam dalsze szczegóły sytuacji. Udział Milicji Ludowej w napadzie na koszary wydawał się pewny, mimo braku istnienia bezpośrednich dowodów. Mój oficer informacyjny w Radomiu uważał to za niewątpliwie. Według jego wiadomości w koszarach

Milicji Ludowej znajdowała się i znajduje się w dalszym ciągu znaczna ilość cywilów, jak się zdaje robotników, uzbrojonych, i batalion Milicji znajduje się w stanie ostrego pogotowia. Niepodobna ustalić w jaki sposób i od czyjego ognia zginął zabity żołnierz, albowiem znaleziono go pod murem jednego z budynków koszarowych, bez broni, w pozycji świadczącej ze starym chłopskim obyczajem załatwiał tam swą naturalną potrzebę. Brak karabinów i amunicji stwierdzony ponad wszelką wątpliwość.

Postanowiliśmy z Norwidem, że wobec dziwnego charakteru tego całego zajścia, spróbujemy zorientować się o co chodzi i o ile możliwości zlikwidować całą rzecz w zarodku, nie dopuszczając do jakowejś „wojny domowej” w Radomiu. Aby uniknąć komplikacji, mogącej narazić *prestige* dowództwa, postanowiliśmy że ja udam się prywatnie i nieoficjalnie do kwatery miejscowego okręgu P.P.S., w którym — jak należało przypuszczać — znajdziemy klucz do całej sytuacji. Zastałem tam ożywiony ruch, szereg ludzi z których wyglądu wyraźnie wynikało, że spędzili noc bezseną. Miejscowy Komitet Wykonawczy był w komplecie. Oczywiście spotkałem szereg ludzi znanych mi dobrze, bądź bezpośrednio bądź ze słyszenia. Oświadczyłem im, że przychodzę prywatnie dowiedzieć się kto i dlaczego robi dom wariatów z tego miasta. Zauważyłem od razu, że wśród obecnych panuje wyraźnie niepewny nastrój i coś w rodzaju kacenjameru po nocnych wypadkach. Na moją prośbę o otwarte przedstawienie rzeczy, usłyszałem coś w rodzaju oskarżenia, że władze wojskowe wydały rozkaz rozbrojenia Milicji Ludowej, że klasa robotnicza Radomia pozwolić na to nie może i że — zdaniem młodocianego referenta — nie mieli oni innego wyjścia, tylko poprawić swe uzbrojenie, aby móc ewentualny atak Wojska na koszały Milicji Ludowej odeprzeć.

Nie było dla mnie rzeczą trudną przedstawić zebranim w odpowiednim świetle cały ponury bezsens tego, co zrobili. Wyraziłem przekonanie, że chyba już otrzeźwieli o białym dniu i że razem ze mną postarają się pomyśleć o tym, jak wybrnąć i nonsens ten zlikwidować. Stwierdziłem, że nie było mowy o żadnym rozbrojeniu Milicji przez Wojsko. Gdy rozległy się głosy, że oni nie mogą mieć zaufania do dowodzących w Wojsku w Radomiu i Kielcach austriackich pułkowników i rosyjskich generałów, zwróciłem im uwagę, że nie przypuszczają chyba, aby taka decyzja mogła wychodzić od dowództw radomskich, czy kieleckich, bez rozkazu władz centralnych z Warszawy i zapytałem retorycznie, czy wiadomo im, że szefem rządu jest towarzysz Jędrzej Moraczewski a Naczelnym Wodzem Wojska Józef Piłsudski. Czy zatem od nich mogli się spodziewać takiego roz-

kazu, a jeżeli nie, to jak mogli dać wiarę podobnie głupim plotkom i wziąć na swój rozsądek i sumienie akt tej doniosłości, jak atak na koszary. Zapytałem, jak im się zdaje, co o nich myśli w tej chwili towarzysze Jędrzej Moraczewski, który już prawdopodobnie meldunek o ich dzikim wybryku otrzymał. Powiedziałem im też, jak wygląda ich nocne zwycięstwo, ofiarą którego padł chłopski syn, peowiak, który na ochotnika wstąpił do Armii Rzeczypospolitej. Zapytałem dalej, widząc że moje zimne przedstawienie sprawy i dość niemiłosierna ironia działa wyraźnie otrzeźwiająco — co zamierzają dalej robić. Czy w dalszym ciągu atakować wojsko? A w razie zwycięstwa ogłosić republikę radomską, niezależną od rządu warszawskiego? Widziałem po oczach moich słuchaczy, że są w zupełnej konsternacji; zaproponowałem im zatem, aby się niezwłocznie namyślili i jeżeli chcą zlikwidować swój nierozsądny odruch w zarodku, to płk Norwid i ja możemy jeszcze wziąć na siebie dopomożenie im w tym. Oświadczyłem jednak, że czas na to jest krótki, bo musimy przecież złożyć meldunek o tym co się stało naczelnej władzy w Warszawie, a jasną jest rzeczą że to może spowodować rozkazy bardzo kateryczne i stanowcze, boć przecież żaden rząd na świecie, nawet socjalistyczny i ludowy, nie może przejść do porządku dziennego nad taką sprawą, jak zorganizowany napad na koszary wojskowe, zabójstwo żołnierza i porwanie broni. Odchodząc, oświadczyłem, że przystępujemy z pułkownikiem Norwidem do zredagowania raportu do Warszawy, który będziemy musieli nadać niedalej, niż za godzinę i w ciągu tego czasu oczekujemy ich przedstawicieli w Komendzie Miasta. Przewodniczący, stary towarzysz, o ile mi wiadomo funkcjonujący jeszcze dotychczas w Radomiu — zwrócił się do mnie z propozycją, że woleliby się z nami spotkać na neutralnym miejscu. Tu już zimna krew mnie opuściła i odpowiedziałem ze złością, że nie ma tu stron wojujących i są tylko przedstawiciele Wojska i Rządu Rzeczypospolitej, oczekujący na należyte wyjaśnienie.

Zdałem sprawę pułkownikowi Norwidowi z mojej rozmowy. Jego zdaniem również najlepszym wyjściem było zlikwidowanie sprawy na miejscu, bez wyciągania o ile możności formalnych konsekwencji. W przeciągu pół godziny otrzymaliśmy telefoniczne zawiadomienie, że trzej delegaci Komitetu Wykonawczego P.P.S. za chwilę do Komendy Miasta przybędą.

Tak się też stało. Podejrzewam, że niezależnie od moich perswazji zdrow rozsądek doszedł już u nich do głosu, a ponadto, porozumieli się prawdopodobnie telefonicznie z władzami partyjnymi w Warszawie i dostali stamtąd dobry kubeł zimnej wody na głowę.

Po krótkim, a doskonałym przemówieniu Norwida, przedstawiciele P.P.S. zgodzili się bez dyskusji na postawione im warunki. Natychmiastowy zwrot porwanej broni i amunicji, która we wskazanym miejscu odebrana będzie przez Komendę Miasta; odebranie przez nich samych broni wszystkim uzbrojonym przez nich cywilom i oddanie jej również do dyspozycji Komendy Miasta; wezwanie ludności do absolutnego porządku i spokoju; wreszcie — manifestacyjny udział P.P.S. w pogrzebie zabitego żołnierza, który odbędzie się dnia następnego.

Widzieliśmy wyraźną ulgę i odprężenie w momencie pożegnania z przedstawicielami P.P.S., którzy złożyli nam słowo, że ustalone warunki zostaną natychmiast i z całą dobrą wolą wykonane.

W ten sposób już o godzinie 11-tej rano cała „rewolucja radomska” została zakończona. Norwid zdecydował, że w tym stanie rzeczy nie ma powodu do przesyłania Warszawie formalnego raportu na piśmie, że lepiej będzie, jeśli on wróci do Kielc z meldunkiem do gen. Olszewskiego ja zaś pojadę wprost do Warszawy z raportem do Komendanta i zależnie od jego instrukcji skieruję sprawę we wskazany przez niego sposób na drogę służbową.

Siedząc w pociągu, miałem czas przemyśleć jeszcze raz całą sytuację i nasunęły mi się bardzo poważne wątpliwości co do nakazanego mi przez Szefa Sztabu postępowania. Oczywiście, Norwid miał rację, uważając sprawę za dość ważną, a jednocześnie drażliwą, aby ją referować wprost i przede wszystkim Komendantowi. Wiedział też dobrze, że mam bezpośredni i nieskrępowany dostęp do Komendanta; nie wiedział natomiast, że miałem już pewne doświadczenie z gen. Szeptyckim jako Szefem Sztabu i otrzymałem od niego poważną przestrożę co do zachowywania drogi służbowej. I oto miałem znowu dopuścić się jaskrawego jej złamania, i to w najpoważniejszej sprawie, jaka miała miejsce od chwili mego stanowiska w Kielcach. Nie bardzo mi to przypadało do smaku — chociaż wyczuwałem intuicyjnie, że muszę wybrać raczej narażenie się Szefowi Sztabu Generalnego i ewentualne konsekwencje dyscyplinarne, a jednak przedstawić sprawę Komendantowi wprost, w moim własnym oświeceniu. Czułem doskonale, że może być znaczna rozbieżność między traktowaniem tej sprawy przez Komendanta i gen. Szeptyckiego; a w dodatku Szef Sztabu Generalnego może wydać rozkazy, idące w kierunku potraktowania sprawy radomskiej z całą formalną ostrością, nawet bez poprzedniego zameldowania jej Komendantowi. A wówczas, mogą przyjąć rzeczy trudne później

do odrobienia. Na szczęście pociąg, jak zwykle w tych czasach, opóźniał się bardzo poważnie i zaczęłam mieć nadzieję, że mogę już Szefa Sztabu Generalnego nie zastać i mieć wytłumaczenie dla prywatnej wizyty w Belwederze wieczorem. Na wszelki wypadek postanowiłem odnaleźć najpierw Sławka, jako bezpośredniego mego zwierzchnika w Sztabie i z nim się poradzić co do dalszego postępowania.

Po przybyciu do Warszawy, gdzieś koło siódmej wieczorem, nie znalazłem Sławka ani w Sztabie, ani w jego mieszkaniu. Dowiedziałem się też, że gen. Szeptycki pojechał właśnie z raportem do Belwederu. To w znacznej mierze uprościło sytuację; zostawiłem więc w adiutanturze meldunek, że przyjechałem z Radomia i że zgłosiłem się o przyjęcie przez Szefa Sztabu, po czym udałem się do Belwederu.

Wieniawa, czy też Stamirowski, powiedział mi że napłynęły już wiadomości o jakowejś rebelii w Radomiu, że jak mu się zdaje gen. Szeptycki jest w tej właśnie sprawie u Komendanta, że audiencja trwa już dość długo i że w tej chwili właśnie będzie przerywana na kolację. Zwykłym obyczajem zostałem na kolację zaproszony.

Staliśmy już wszyscy dookoła stołu, gdy wszedł Komendant, a za nim gen. Szeptycki. Ten ostatni, zobaczywszy mnie, zawołał z wyraźną choć hamowaną irytacją: „A Pan co tutaj robi, Panie Kapitanie? Pan powinien być w tej chwili w Radomiu”. Odpowiedziałem na to: „Właśnie stamtąd przybywam, Panie Generale. Przed chwilą meldowałem się w Sztabie i dowiedziawszy się, że Pan Generał jest w Belwederze, przybyłem z moim meldunkiem tutaj”. Na to Komendant rzucił mi pytanie: „I cóż tam się dzieje?”. „Zupełny spokój i normalny stan rzeczy”, odpowiedziałem. „Karabiny maszynowe i amunicja zostały zwrócone do Komendy Miasta, zaś w jutrzejszym pogrzebie żołnierza zabitego w czasie nocnego alarmu weźmie manifestacyjny udział cała robotnicza ludność Radomia”. — „Podobno na ulicach Radomia jest więcej zbrojnych cywilów niż wojskowych” — powiedział na to gen. Szeptycki. „Czy Pan może zaręczyć, że dzisiejszej nocy nie powtórzy się to samo co wczoraj?”. Odpowiedziałem na to: „Gdy opuszczałem Radom, nie było żadnych uzbrojonych cywilów na ulicach miasta i według mego najgłębszego przekonania wypadki ubiegłej nocy się nie powtórzą. Tego samego zdania jest płk Norwid, z którego rozkazu przybyłem do Warszawy z raportem”. Gen. Szeptycki powiedział jeszcze: „Żołnierz polski został zabity. Czy płk Norwid i Pan przeszliście nad tym do porządku dziennego?”. Odpowiedziałem na to zgodnie z prawdą: „Według stanu faktycznego, który zdołaliśmy

z płk. Norwidem ustalić po przybyciu do Radomia, niepodobna było stwierdzić z której strony padła kula, od której żołnierz ten poległ”.

W tym miejscu Komendant zwrócił się do gen. Szeptyckiego z uwagą: „Będziemy o tej sprawie mówić dalej po kolacji”. Po czym zmienił temat rozmowy, zwracając się do gen. Jacyny z zapytaniem o jakąś sprawę dotyczącą porządku dnia następnego. Wyczułem, że Komendant jest z mego meldunku raczej zadowolony. Po kolacji Komendant i gen. Szeptycki wrócili do gabinetu Komendanta na górę. Gen. Szeptycki odchodząc, polecił mi czekać w adiutanturze na ukończenie jego audiencji, po czym da mi dalsze rozkazy.

Gdy po godzinie zszedł na dół, powiedział mi, że bynajmniej nie podziela mojej pewności, że sytuacja w Radomiu jest opanowana i dlatego poleca mi udać się najbliższym pociągiem z powrotem na mój teren i w ciągu 24 godzin oczekuje ode mnie szczegółowego raportu na piśmie o przebiegu wypadków.

Po chwili zostałem wezwany do Komendanta, któremu zreferowałem szczegółowo stan rzeczy, jego podłoże, które widziałem w nieufności sfer robotniczych do wojska, spowodowanej w dużej mierze zamachem stanu Sapięhy i Januszajtisa. Nie ukrywałem bynajmniej, że radomskie środowisko radykalne wyraźnie skłonne do histerycznych reakcji na byle plotkę, staje się dla mnie niepokojące w zestawieniu z tym, że Radom jest jednocześnie siedzibą najsilniejszego oddziału Milicji Ludowej, która, mając broń w rękę, może zawsze w niebezpieczny sposób zaostriżyć najdrobniejszy nawet konflikt. Zameldowałem też Komendantowi, że według moich obserwacji istnieje z całą pewnością akcja zarówno wśród Milicji Ludowej, jak i wśród radykalniejszych elementów P.P.S., zmierzająca do wywołania konfliktów i rozdmuchiwania ich do największych rozmiarów. Że stan rzeczy z Milicją Ludową, która *de facto* nie podlega ogólnej dyscyplinie wojskowej i która jest skłonna uważać się raczej za ramię zbrojne lewicy politycznej, nie powinien być dłużej tolerowany. Zaznaczyłem, że radomski batalion Milicji Ludowej składa się jednak z dobrego materiału żołnierskiego, że jest wśród nich kilku doskonałych oficerów i że zdaniem moim, nadają się oni doskonale do użycia w ramach armii regularnej, a już szczególnie w operacjach bojowych. Natomiast dalsze przebywanie ich „na marginesie wojska” i obok tak radykalnego środowiska politycznego jak Radom, nasuwa mi obawę, że byłem może zbyt śmiały, gwarantując gen. Szeptyckiemu spokój na tym terenie.

Komendant, mimo wyraźnego zmęczenia, rozmawiał ze mną

dość długo, zapytał mnie jeszcze jak się ułożyły moje stosunki z gen. Olszewskim, przyjął z wielkim zadowoleniem fakt, że ten ostatni nie dał się wytrącić z równowagi wypadkami radomskimi, że dał Norwidowi i mnie *carte blanche* na postępowanie według naszego uznania i akceptował w rozmowie telefonicznej z Norwidem nasze „pokojowe” rozwiązanie sprawy. Poleciał mi też, abym któregoś dnia przywiózł gen. Olszewskiego do Warszawy, gdyż chce go poznać osobiście.

„Z waszego postępowania w Radomiu jestem zadowolony, chociaż nie mogę wam ręczyć, że się to podobało Szeptyckiemu. W obecnej sytuacji politycznej — co wkrótce zrozumiecie — byłoby mi w najwyższym stopniu nie na rękę, gdyby zostały wypadki radomskie rozdmuchane, co oczywiście musiałoby nastąpić, gdybyście zastosowali formalne rygory postępowania, tak jak początkowo chciał Szeptycki. I trudno mu się dziwić jako zawodowemu oficerowi. Jest on jednak dostatecznie obeznany z polityką, aby dać sobie wyperswadować, że niezależnie od praw i regulaminów zlikwidowanie i zbagatelizowanie radomskiej afery w zarodku było najlepsze. Na uporządkowanie sprawy Milicji Ludowej jest istotnie najwyższy czas, ale ja to już wezmę w swoje ręce. Teraz musicie wykonać rozkaz Szeptyckiego i wracać natychmiast na swój teren”.

Na tym się sprawa skończyła.

Wróciłem do Radomia; zatrzymałem się tam kilka godzin, aby stwierdzić że afera poprzedniej nocy istotnie wygasła, warunki postawione przez Norwida zostały skrupulatnie wypełnione, zaś w środowisku P.P.S. i Milicji Ludowej zadominowała reakcja bardziej opanowanych i spokojniejszych czynników i coś jak gdyby zawstydzenie z powodu histerycznego wybryku. W Kielcach, zarówno gen. Olszewski jak i płk Norwid, oczekiwali z niepokojem na reakcję najwyższych władz w Warszawie i z nieukrywana ulgą przyjęli wiadomość, że zastosowana przez nas taktyka została zaaprobowana.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności — bo trudno to nazwać inaczej — incydent radomski nie został podchwycony przez opozycję pravicową, ani przez prasę. Być może, że działała już atmosfera stworzona przez rokowania Piłsudskiego z Paderewskim o stworzenie nowego rządu oraz pełnego i regularnego aparatu państwowego. Być może też, że po prostu krótkotrwałość tego incydentu przy fatalnych warunkach komunikacji i łączności ówczesnej sprawiły, iż pierwsze wiadomości dotarły do środowiska warszawskiego jednocześnie z likwidacją całej sprawy.

Mniej więcej w tym czasie otrzymałem telefon z Belwederu, donoszący mi, że mój przyjaciel Lis-Kula, który objął po mnie

Komendę Naczelną P.O.W. w Kijowie, przebił się wraz z niewielkim oddziałem peowiaków pod jego dowództwem do kraju, że jest już w Warszawie i że chce się koniecznie zobaczyć ze mną. Proponowano mi więc żebym przybył jak można najprędzej do Warszawy. Łączność telefoniczna była wówczas fatalna; stare linie telefoniczne budowane, lub też łątane przez Niemców w czasie okupacji, posługujące się drutem żelaznym, zamiast miedzianym, bez wzmacniaczy, czyniły każdą próbę rozmowy międzymiastowej ciężkim i szarpiącym nerwy doświadczeniem. Trzeba było krzyczeć co siły w płucach, połączenia były przerywane po parę razy na minutę. W rezultacie nie rozumiałem, że musiałbym wyjechać natychmiast, aby się z Lisem zobaczyć, bo miał być w Warszawie tylko 24 godziny. Sądziłem, że oczywiście po swoich przejściach będzie miał choćby kilka dni urlopu dla odpoczynku i wyekwipowania się. Wybrałem się więc do Warszawy dopiero po dwóch dniach, chcąc połączyć mój wyjazd z zaleconym mi przez Komendanta przywiezieniem do Belwederu gen. Olszewskiego. Lisa już nie zastałem. Komendant, który gwałtownie potrzebował pierwszorzędných oficerów bojowych wobec rozszerzenia się walki z Ukraińcami z Małopolski wschodniej na Wołyń, kazał Lisowi natychmiast udać się na tamten front i objąć dowództwo specjalnej grupy operacyjnej, mającej energiczną akcję osadzić na miejscu zarysowującą się groźnie ofensywę ukraińską na tamtym terenie. Nie zobaczyłem go już nigdy w życiu. W powierzonej mu akcji usprawiedliwił całkowicie oczekiwania Komendanta. W kilku błyskawicznych operacjach odrzucił siły ukraińskie, odebrał im kilka kluczowych pozycji operacyjnych, przez piorunującą szybkość swych manewrów wywołał u nieprzyjaciela wrażenie, że ma on do czynienia z wielokrotnie przeważającymi siłami. Już później, po zawarciu układu z Petlurą, opowiadali nam ukraińscy dowódcy w tych starciach, nie ukrywając podziwu dla dowództwa polskiej strony i nie chcąc wierzyć że mieli do czynienia po prostu z kilkoma batalionami i szwadronami oraz jedną, czy dwoma bateriami artylerii. Już jednak w kilkanaście dni po objęciu dowództwa Lis, po zwycięskiej bitwie pod Torczynem, został śmiertelnie ranny, od puszczonej na osłep kuli jakiegoś spóźnionego w ucieczce żołnierza ukraińskiego. W ten sposób, ku nieopisanemu żalowi Komendanta i nas wszystkich, zginął jeden z najlepiej zapowiadających się oficerów naszej armii i jeden z najwspanialszych ludzi, jakich kiedykolwiek w życiu spotykałem. Ten dwudziestokilkoletni młodzieniec, który w czasie jednego z urlopów w I-szej Brygadzie zdawał dopiero maturę, a na wojnę poszedł z gimnazjalnej ławy, był istotnie niepospolitym zjawis-

kiem. Biorąc pod uwagę jego wiek, niepodobna było wytłumaczyć sobie nieomyślnej trafności jego decyzji, jego niezawodnego autorytetu w dowodzeniu, błyskawicznej decyzji — nie mówiąc już o szalonej odwadze osobistej — inaczej jak jakąś iskrą Bożą, którą chyba przyniósł na świat, boć przecież nie miał czasu ani możliwości, aby się tego wszystkiego nauczyć. Już sam jego wygląd zewnętrzny był uderzający. W dziecinnej niemal twarzy o bardzo regularnych rysach, wielkie szare oczy spoglądały na świat i ludzi z ufnością, dobrocią i wesołymi przebiegskami. Te same oczy zmieniały się niezwykle, gdy dochodziło do akcji, stawały się twarde jak stal; jego rozkazy i dyspozycje poparte tym spojrzeniem nie dopuszczały wątpliwości, czy wahania; żołnierze mieli do niego bezgraniczne zaufanie. Znacznie starsi od niego wiekiem oficerowie bez śladu niechęci szli pod jego rozkazy. Już w I-szej Brygadzie był uważany za jednego z najwybitniejszych oficerów. Mimo to cechowała go skromność i prostota, nie było w nim ani śladu tak niebezpiecznego w podobnych okolicznościach przerostu ambicji i pewności siebie. Był on wiernym i oddanym przyjacielem i mimo jego piorunującej kariery nie było chyba człowieka, który by zdradził choćby cień zazdrości lub niechęci do niego. Znałem w tych czasach wielu ludzi, którzy zawiedli pokładane w nich nadzieje; jestem jednak absolutnie przekonany, że nie nastąpiłoby to, jeśli chodzi o Lisa. Jego talent wojskowy wsparty o podstawę kryształowej szlachetności charakteru był naprawdę wyjątkowy i armia nasza straciła przez tę zabłąkaną kulę przyszłego dowódcę niezwyklej miary.

Towarzysząc gen. Olszewskiemu w podróży do Warszawy, miałem nadzieję — poza serdecznym pragnieniem zobaczenia się z Lisem — że uda mi się uzyskać rozmowę z Komendantem, ale to mi się tym razem nie udało. Zawiozłem mego dowódcę na audiencję do Belwederu. Komendant rozmawiał z nim dość długo i zacny generał wyszedł z niej pod głębokim wrażeniem, widziałem, że trudno mu ująć to wrażenie w słowa, powtarzał tylko kilkakrotnie: „To naprawdę wielki człowiek. To błogosławieństwo Boskie dla Polski”. Gdy wróciliśmy do hotelu, gdzie mieliśmy zjeść razem obiad, poprosił mnie, żebym go zostawił na godzinę samego, gdyż jest tak poruszony, że nie mógłby w tej chwili ani jeść, ani mówić o czymkolwiek; musi uporządkować swoje wrażenia i chce sobie za świeżej pamięci zapisać każde słowo, które od Naczelnika usłyszał.

Miałem zamiar spędzić resztę dnia na „zasięgnięciu języka” u Sławka i moich przyjaciół politycznych. Nocnym pociągiem mieliśmy wracać do Kielc, bowiem gen. Olszewski miał następnego dnia odprawę dowódców pułków swego okręgu. Gdy jed-

nak po obiedzie przyszedłem do Sławka i ledwie zacząłem z nim rozmowę na temat bieżącej sytuacji, zbliżających się wyborów i toczących się pertraktacji Komendanta z Paderewskim, rozległ się dzwonek telefonu. Gen. Szeptycki polecił Sławkowi wezwanie mnie z Kielc i skierowanie do niego. Na wiadomość, że właśnie jestem na miejscu gen. Szeptycki kazał mi niezwłocznie zgłosić się u niego.

Zastałem poczekalnię przepełnioną i zasiadłem z rezygnacją do dłuższego oczekiwania na moją kolej, wobec tego że byłem jedynym kapitanem wśród generałów i pułkowników Sztabu Generalnego, z których niemal każdy miał dobrze wypchaną tekę pod pachą lub na kolanach. Ku memu zdziwieniu jednak, po ukończeniu bieżącej konferencji, adiutant wyszedłszy od generała spojrzał na mnie z nieukrywany zduśnieniem, poprosił kilku pułkowników sztabowych, aby wrócili do swoich gabinetów i oczekiwali późniejszego wezwania; kilku innym oświadczył, że generał przyjmie ich dopiero dnia następnego; jednego z generałów wprowadził do Szefa Sztabu na kilka minut trwające, widocznie najbardziej formalne posłuchanie, po czym wprowadził mnie. Nie miałem szczęścia do gen. Szeptyckiego. Z każdym spotkaniem łączyło się jakieś krótkie spięcie. Nie obyło się bez tego i tym razem. Generał zapytał mnie, czy mi wiadomo że zjawiły się ataki w prasie zarówno prowincjonalnej kieleckiej, jak i warszawskiej, na Szefa Sztabu D.O.Gen., ppłk. Norwida-Neugebauera. Zarzucano mu jakieś nieprawidłowości z czasów, gdy w okresie między odmową przysięgi a listopadem pracował jako inżynier w zarządzie miasta Kielc. Odpowiedziałem na to, że istotnie zauważyłem w prasie te ataki, ale nie interesowałem się tym specjalnie, uważając to za część składową opozycyjnej akcji stronnictwa narodowo-demokratycznego przeciwko wszystkim ludziom z Legionów i dawnego obozu Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza, nie wyłączając jego samego.

„Pan jest szefem Oddziału Informacyjnego w Kielcach i dlatego chciałbym wiedzieć co Pan wie o tych zarzutach i jaka jest Pańska opinia” — powiedział gen. Szeptycki.

Zrozumiałem to pytanie, być może mylnie, w sensie który mnie dotknął do żywego. Nie potrafiłem ukryć moich uczuć i troszkę mi drżał głos, gdy zameldowałem generałowi, że zarzuty przeciwko ppłk. Norwidowi dotyczą czasów, o których nie wiem i gdybym chciał się zająć ich sprawdzaniem wyglądałoby to tak, jak gdybym robił wywiad na mego przełożonego oficera; nie sądzę zaś, aby to należało do moich obowiązków. Na to generał zachnął się na mnie bardzo ostro:

„Wcale od Pana nie wymagam, aby Pan śledził swoich przełożonych i niech mi Pan tu nie wyklada, co należy, a co nie należy do Pańskich obowiązków. Niech Pan zrozumie, że ja chcę wiedzieć prawdę. Bo jeżeli te zarzuty są krzywdzące, to moim obowiązkiem jest stanąć w obronie podwładnego mi oficera. A Pańskim obowiązkiem jest dopomóc mi w tym”.

Gen. Szeptycki, mówiąc to, wstał z fotelu, oczywiście wobec tego wstałem i ja i stojąc na baczność poprosiłem o pozwolenie umotywowanie tego co przedtem powiedziałem. „Jeśli chodzi o moją opinię, Panie Generale, mogę ją podać od razu, na podstawie mojej znajomości płk. Norwida jako człowieka. W zarzuty te nie wierzę. Uważam je za składową część bezceremonialnej demagogii. Natomiast pozwolę sobie zameldować Panu Generałowi, że gdybym ja rozpoczął jakieś śledztwo, czy badania w tej sprawie, choćby najostrożniejsze, w takim prowincjonalnym środowisku jak Kielce nie ukryłoby się to ani przez chwilę i wytworzyłaby się sytuacja rozumiana tak, że Szef Sztabu D.O.Gen. jest pod oskarżeniem, zaś ja prowadzę przeciw niemu dochodzenie. Pozwalam sobie sądzić, że to tylko pogorszyłoby stan rzeczy i postawiłoby w fałszywym świetle zarówno płk. Norwida jak mnie”.

Generał Szeptycki stanął przede mną i patrzył mi prosto w oczy przez pewien czas bardzo uważnie. Nie wiedziałem przez chwilę, jak się to skończy. W dodatku nie byłem stuprocentowo pewny, czy miałem rację, czy nie, i starałem się w myśli znaleźć właściwą drogę, czy w razie dalszego gniewu generała i podtrzymania jego polecenia muszę rozkaz przyjąć, czy też wolno mi prosić o zwolnienie z moich funkcji. Ale sroga postawa generała złagodziła. Siadł z powrotem na fotelu i mnie usiąść kazał. Powiedział mi:

„Dotychczas trudno mi się przyzwyczaić do Waszych obyczajów, niepodobnych zgoła do form zachowywanych w zawodowej służbie wojskowej. Ale widzę już, że muszę machnąć na to ręką. Natomiast jest coś w treści tego, co mi Pan powiedział, co mnie zastanawia. Być może, że ma Pan nieco racji co do tego, że jakakolwiek akcja z Pańskiej strony w waszym prowincjonalnym mieście mogłaby jeszcze bardziej rozpętać plotki. Pomyślę o innym załatwieniu sprawy”.

Myślałem, że to jest zakończenie. Tymczasem generał przeszedł na zupełnie swobodną, jak gdyby przyjacielską z jego strony rozmowę. Zaczął mówić o stosunkach w nowotworzącej się armii polskiej, o kłopotach jakie ma na każdym kroku; po czym przeszedł na swe własne wspomnienia z armii austriackiej. Opowiedział mi niemal całą historię swej służby przedwojennej,

nawiązując do tego, jak błyskawicznie, jego zdaniem, chcieliby awansować oficerowie naszej nowopowstającej armii, powiedział, że widzi to jakby lekceważenie wartości stopni wojskowych i związanej z nimi odpowiedzialności. „Czy Pan wie”, zapytał mnie, „ile lat ja byłem kapitanem, zanim awansowałem na majora, mimo ukończenia Akademii Sztabu Generalnego i mimo że do najpośledniejszych wśród moich kolegów nie należałem. Jedenaście lat, Panie Kapitanie! A wy, młodzi ludzie, uważacie jak gdyby, że co trzy miesiące powinien być awans, a jak nie, to jest krzywda”.

Po czym mówił mi jeszcze długo o nieznośnych tarciach, jakie się ciągle zdarzają między oficerami legionowymi i zawodowymi oficerami z byłej służby austriackiej, czy rosyjskiej. Powiedział mi, że ode mnie i innych zdolnych oficerów legionowych spodziewa się wywarcia wpływu, aby to ustało; że nie zaprzecza on nam walorów bojowych i zdolności, ale czy naprawdę nie rozumiemy, że we własnym swoim interesie my, legioniści, powinniśmy wyzyskać jak najprędzej możliwość nauczania się od oficerów zawodowych tego co im dało długoletnie doświadczenie, oraz tej wiedzy, która jest potrzebna do pracy w wyższych sztabach, dowództwach i instytucjach wojskowych, których w żaden sposób nie mogliśmy nabyć w ramach legionowego pułku, czy nawet brygady. Rozmowa trwała niewiarogodny wprost czas, jak na okoliczności sprawy. Przeszło półtorej godziny. Gdy wyszedłem od generała, pożegnany przezeń wręcz dobrotliwie, adiutanci w zapełnionej na nowo poczekalni, przyskoczyli do mnie z zegarkami i zapowiedzieli, że gdy będę następny raz na audycji u generała, to muszą się w poduszki zaopatrzyć. Oczywiście powiedziałem im, żeby zrobili scenę swemu szefowi, a nie mnie, jeśli mają odwagę. Ale istotnie w czasie jednej czy dwóch późniejszych moich raportów u gen. Szeptyckiego, pojawienie się moje wywoływało panikę w adiutanturze.

Gdy już odchodziłem, wybiegł za mną adiutant i załamując ręce tragi-komicznie, oświadczył, że generał wzywa mnie jeszcze raz do siebie, ale usłyszałem tylko jedno zdanie, stanowiące zakończenie sprawy dla której zostałem wezwany. Generał polecił mi zawiadomić płk. Norwida, że ma się stawić u niego osobiście w dniach najbliższych, z uwzględnieniem jego zobowiązań służbowych na miejscu.



Moja praca w Kielcach potrwała jeszcze kilka miesięcy, aż do końca marca 1919 roku. Po wyborach, po ukonstytuowaniu

się na podstawie „Małej Konstytucji” regularnych naczelnych władz państwowych i jednomyślniej uchwale Sejmu, powierzającej Józefowi Piłsudskiemu stanowisko Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza, sprawy zaczęły płynąć spokojniej. Przyszło wyraźne odprężenie w całym kraju w stosunkach wewnętrznych. W środowisku lewicy politycznej zapanowała pewnego rodzaju depresja na skutek wyniku wyborów, dającego największą ilość mandatów partii narodowo-demokratycznej i jej przybudówkom. Jeśli jednak chodzi o kierownicze koła stronnictw, biorących udział w rządzie Jędrzeja Moraczewskiego, to niewątpliwie przyjęli oni odejście od rządów z uczuciem ulgi. Nastąpił krótki okres zacisza, który odbił się i na moim dziale pracy. Sytuacja zewnętrzna państwa budziła jednak najpoważniejsze obawy. Odprężenie w tej dziedzinie, stworzenie warunków w których Polska nie wyglądałaby na twór słaby, na niepewnych nogach stojący i zależny całkowicie od ewentualnej pomocy zewnętrznej, było zadaniem pilnym i kluczowej wagi wobec toczących się narad konferencji pokojowej w Wersalu, gdzie wiele żywotnych dla Polski spraw było na porządku dziennym. Obok toczącej się walki zbrojnej z Ukraińcami przyszedł zbrojny konflikt na pograniczu czeskim i narastało zagrożenie od wschodu, wobec którego byliśmy zdani całkowicie na własne siły, wciąż jeszcze niewielkie mimo postępującej z dnia na dzień organizacji sił wojskowych. Likwidacja konfliktu zbrojnego z Ukraińcami stawała się rzeczą nagłą szczególnie w związku z obradami Kongresu Wersalskiego. Zarysowała się jednak sytuacja, która stwarzała poważną możliwość wyjścia z tego konfliktu, nie tylko przez zwycięstwo orężne, ale i z poważnym atutem politycznym, jakim byłaby perspektywa nie tylko pokojowego, ale i przyjaznego układu stosunków z narodem ukraińskim. Ten ostatni bowiem wzięty był w dwa ognie; świadomy narodowo i patriotyczny odłam narodu ukraińskiego przewodzony przez atamana Petlurę, zaatakowany został przez przeważające siły bolszewickie. Prowadzenie wojny na dwa fronty przeciwko Polsce i Rosji było dla nich oczywiście niemożliwością. Musieli wybierać. Dla polityków ukraińskich z Małopolski wschodniej wybór był trudniejszy niż dla ich rodaków naddnieprzańskich. Górowało wśród nich antypolskie zacietrzewienie, spotęgowane jeszcze ostatnimi walkami. Dla Petlury jednak i jego przyjaciół politycznych sprawa Małopolski wschodniej była zagadnieniem partykularnym, podczas gdy zagrożenie ze strony rosyjsko-bolszewickiej oceniali oni słusznie, jako decydujące i uderzające nie tylko w rozległość terytorialną, ale i w samą możliwość stworzenia własnego państwa niepodległego. Piłsudski trafnie uchwycił tę koniunkturę i podjął nie-

zwłocznie próby porozumienia z Petlurą. W związku z tym wybrał, dla nawiązania najpoufniejszych na razie pertraktacji, Walerego Sławka, którego też zabrał do swej wyłącznej dyspozycji ze stanowiska szefa Sekcji Politycznej Sztabu Generalnego. Na stanowisko to zostałem ja mianowany.

W pierwszych dniach marca 1919 roku otrzymałem z Belwederu telefon z zawiadomieniem, że gen. K. Sosnkowski nareszcie wyzdrowiał i w związku z tym odbędzie się 4 marca, jako w dniu jego imienin, bankiet w Hotelu Angielskim, urządzony przez przyjaciół, w którym weźmie udział Komendant; że z polecenia Komendanta mam przybyć na ten dzień do Warszawy i po uroczystości zameldować się bądź późnym wieczorem, bądź następnego dnia u Komendanta.

Udałem się tedy dnia 4 marca rano do Warszawy i znalazłem się tegoż dnia wieczorem na imieninowym obiedzie w Hotelu Angielskim. Po raz pierwszy od długiego czasu znalazła się tam niemal cała przodująca ekipa piłsudczykowska. Wyżsi oficerowie I-szej Brygady i P.O.W. obok szeregu najwybitniejszych działaczy politycznych naszego obozu. Piłsudski, którego zwykle widywałem ostatnio zmęczonego ogromem pracy, przybitego niekończącymi się trudnościami — był w świetnym humorze. Słuchaliśmy we wspaniałym nastroju szeregu doskonałych i dowcipnych przemówień. Sosnkowski jeszcze wymizerowany chorobą i przygnębiony śmiercią jedynej, ukochanej córki, którą ta sama hiszpanka zabiła w czasie jego choroby, odprężył się też i poweselał w starej kompanii. Nie wiedziałem go od połowy listopada, kiedy też zresztą wiele z nim mówić nie mogłem. Tego wieczora Szef powiedział mi mimochodem, że chciałby mnie ściągnąć do pracy w ministerstwie, ale Komendant ma na mnie inne zamiary i chce mnie zatrzymać w Sztabie Generalnym, gdyż ma specjalne projekty i szczególnie ważną pracę dla Sławka gdzie indziej.

Ów wieczór imieninowy przeciągnął się dość długo w noc. Komendant wyjeżdżając kazał mi zameldować się w Belwederze dnia następnego. Przyznaję, że nie bez zadowolenia dowiedziałem się, że tak czy owak czeka mnie w najbliższej przyszłości przeniesienie do Warszawy. Odosobnienie kieleckie zmęczyło mnie już bardzo i z szeregu rozmów z moimi starymi przyjaciółmi politycznymi zorientowałem się, że pozostałem daleko w tyle za rozwojem wypadków i że się już słabo orientuję w aktualnym stanie rzeczy, zarówno u szczytów życia politycznego polskiego, jak i w skomplikowanej sytuacji międzynarodowej. Tym bardziej więc z upragnieniem czekałem na przyrzeczoną audyencję u Komendanta. Pamiętam jednak, że była ona kilkakrotnie odkładana. Pierwszego wieczora, gdy nadchodziła

już godzina dla mnie przeznaczona, zatelefonował niespodzianie premier Paderewski, że chciałby być niezwłocznie przyjęty przez Naczelnika Państwa; oczywiście więc moja audyencja została przełożona. Przy tej sposobności jednak zostałem przedstawiony Paderewskiemu, który po kilkunastu minutach nadjechał. Ku memu zdziwieniu, przyjechał nie sam, lecz w towarzystwie pani Paderewskiej. Mimo że konferencja Naczelnika Państwa z Premierem trwała półtorej czy dwie godziny, pani Paderewska czekała cały czas w salonie, zabawiana przez Świrskiego i oficerów adiutantury. Zapytałem na boku Stamirowskiego, czy też Świrskiego, czy to jest we zwyczaju, że premierzy przyjeżdżają z małżonkami na konferencje do Naczelnika Państwa. Odpowiedziano mi na to ze śmiechem, że o ile wiadomo nie jest to powszechnie przyjęta taktyka, ale pani Paderewska ją wprowadziła; a nawet, gdy po raz pierwszy Paderewski jako premier przyjechał do Komendanta, pani Paderewska okazywała najwidoczniejszy zamiar udać się razem z mężem do górnego gabinetu Komendanta i adiutantów mieli kłopotliwe zadanie, aby zręcznymi manewrami odwieść ją od tego zamierzenia. Gdy Paderewski wyjechał z Belwederu Komendant przyjął mnie tylko na chwilę, powiedział, że jest bardzo zmęczony, a ponieważ ma zamiar ze mną dłużej porozmawiać lepiej będzie jeżeli przyjdę następnego dnia wieczorem. Zapowiedział mi, że chciałby ode mnie usłyszeć sprawozdanie jak, według obserwacji mojej i moich kolegów, przedstawiają się wpływy bolszewickie na terenie kraju. Żebym się więc do tego tematu przygotował.

Na drugi dzień koło północy nadeszła wreszcie moja kolej. Może dlatego, że byłem uprzedzony i w ciągu dnia zdołałem porozmawiać z kilkoma oficerami w Sekcji Politycznej Sztabu Generalnego i przejrzeć raporty moich kolegów z innych okręgów oraz ułożyć sobie zwarty i zwięzły plan referatu — ten temat zajął nam nie dużo czasu. Komendant interesował się głównie, czy istnieje penetracja komunistyczna w szeregach wojska. Moim zdaniem tak nie było; wskazałem jednak na to, że w szeregach milicji ludowej na pewno to zjawisko istnieje, chociaż w szczerpym stosunkowo zakresie. „Z tym już Boerner sobie da radę”, zauważył Komendant. Według mojej ówczesnej opinii komuniści nie byli w stanie sięgnąć po poważniejsze wpływy w Polsce. Ich młoda, świeżo zorganizowana partia w Polsce, rekrutowała się — z wyjątkiem najniższych szeregów — do których zaciągnęli dość znaczną ilość wygłodzonego i wynędzniałego, bezrobotnego proletariatu w większych miastach — składa się niemal bez wyjątku ze znanych nam dawno i dobrze ludzi z dawnej socjal-demokracji Królestwa Polskiego i Litwy oraz „Lewicy P.P.S.”.

Jeśli zaś o tych chodzi, to momentem krytycznym dla nich nie była data opanowania przez bolszewików władzy w Rosji, lecz data znacznie wcześniejsza, sierpień 1914 roku. Wówczas stało przed nimi praktyczne zagadnienie bądź walki zbrojnej o niepodległość, bądź też pozostania pod sztandarem międzynarodowej solidarności proletariackiej. Wówczas też znaczna część z nich, szczególnie z Lewicy P.P.S., machnęła ręką na całą frazeologię Róży Luksemburg i Horowitza i wstąpiła do Legionów w Galicji, zaś do P.O.W. w Kongresówce, mimo że przedtem ruch strzelecki zwalczali, lub lekceważyli. Są oni dzisiaj doskonałymi oficerami i nie zachodzi najmniejsza obawa „recedywy”. Ci natomiast którzy wówczas nie nawrócili się na program niepodległościowy są, według moich obserwacji, organizatorami partii komunistycznej w Polsce; jeśli zaś znaleźli się w czasie wojny na terenie Rosji, są wybitnymi nieraz podporami leninowskiego ruchu. Zarówno w czasie wojny jak obecnie interesowałem się działalnością tych spośród nich, których osobiście lub ze słyszenia znałem przed wojną we Lwowie, w Krakowie, czy w Warszawie. Może dlatego, że w roku 1914 ani przedtem do wojska nie wstąpili, a dziś są na to za starzy i zanadto przywiązani do politycznej roboty, można znaleźć ich nazwiska czy pseudonimy wśród robotniczych działaczy w Lublinie i Radomiu, w Zagłębiu Górniczym oraz w Warszawie. Można znaleźć pewną ich ilość na stanowiskach urzędniczych — jeśli chodzi o jednego czy dwóch — nawet dość wysokich. Ci ostatni jednak albo istotnie zerwali z przeszłością, albo kamuflują się nadzwyczaj starannie. Zakończyłem swój referat stanowczym poglądem, że nie widzę najmniejszego niebezpieczeństwa komunistycznej roboty w wojsku.

Komendant zwrócił mi uwagę na to, że sprawa ta wygląda całkiem inaczej dzisiaj niż w latach przedwojennych. Że obecnie ci sami ludzie, niezależnie od swojej liczebności, mają potężne plecy w Moskwie; że mogą stamtąd otrzymywać i na pewno otrzymują pomoc pieniężną i techniczną — rzecz w każdej konspiracji olbrzymiej wagi — i że jeśli jeszcze nie działają, to lada chwila mogą zacząć działać, pod instrukcjami tejże Moskwy, jako aparat wywiadu i dywersji na naszym terenie. Że więc oka z nich spuszczać nie można, ani broń Boże lekceważyć. W związku z moim nawiązaniem do przedwojennych czasów, Komendant zapytał mnie o szereg nazwisk dobrze sobie znanych działaczy z S.D. i P.P.S. - Lewicy; zwrócił moją uwagę, że wymienieni przezeń ludzie są istotnie wybitnymi działaczami i organizatorami i mają za sobą tak długi *stage* pracy partyjnej, że trudno przypuszczać aby byli bezczynni. Radził mi więc, abym dobrze przestudiował przez prasę, względnie raporty, którzy z nich figu-

rują wśród działaczy bolszewickich w Rosji; jeśli zaś tam nie napotkam wymienionych przez niego nazwisk i pseudonimów, to istnieje najwyższe prawdopodobieństwo, że znajdują się oni na naszym terenie pod nowymi oczywiście nazwiskami i pseudonimami i prawdopodobnie odgrywają kierowniczą rolę. Zapamiętałem sobie dobrze tę uwagę Komendanta, co mi się bardzo przydało w rok później w czasie kryzysu naszej wojny z armią czerwoną.

W żartobliwej formie pogratulowałem Komendantowi potężnego wyłomu, który zrobił w „listopadowym” układzie sił przez pozyskanie współpracy Paderewskiego i doprowadzenie do wspólnej reprezentacji w Paryżu. Komendant to przyjął ze śmiechem i powiedział: „Widzę, że nie należycie do tych, którzy z tego powodu patrzą na mnie spode łba i podejrzewają, że zaprzędam Polskę endekom”. Czyżby byli tacy — zapytałem ze swej strony — bo mnie z mego prowincjonalnego kieleckiego zakątka wydawało się to kapitalnym sukcesem. „Nie odgrywajcie mi tu ofiary z powodu waszego zesłania z Warszawy; właśnie nie będąc w tutejszym piekielku, mogliście zyskać zdrowszy punkt widzenia na rzeczy. Powiadam wam, że ja tu chwilami od przytomności odchodzę i czuję się jak jedyny człowiek przytomny w domu wariatów. Zresztą, jest w tym co mówicie trochę za dużo optymizmu: bo z tym uregulowaniem spraw w Paryżu wcale nie jest tak dobrze jakby się wam zdawało i jak na zewnątrz wygląda; ale to ostatnie dużo znaczy. Natomiast nawiązanie z Paderewskim jest ważne, ma już swoje rezultaty i może mieć znacznie większe w przyszłości. Nasi fachowi politycy lekceważą sobie Paderewskiego, jako laika i naiwnego artystę, który prawdziwej gry politycznej nie rozumie. A ja wam powiadam, że właśnie u niego spotkałem to, czego nie mogłem znaleźć u wszystkich innych zarówno z mego własnego obozu jak i z przeciwnego: zrozumienie hierarchii spraw w polityce i tej prostej sprawy, że trzeba umieć odrzucać i odkładać na bok rzeczy mniej ważne, dla tych które są w danej chwili najważniejsze. Przez kilka miesięcy nie mogłem się dogadać z nikim, z endekami po prostu dla tego, że żadne argumenty nie miały do nich dostępu, w ich ślepych posłuszeństwie dla instrukcji Dmowskiego. Z jednym Paderewskim, może dzięki jego specjalnej pozycji osobistej, mogłem brać rzeczy na rozum i pod rozwagę i razem szukać ich uzgodnienia, mimo jego ogromnego uznania dla autorytetu politycznego pana Romana. I być może, że Paderewski tylko sam, z całego tamtego obozu, miał odwagę położyć swój podpis obok mojego, skoro w sumieniu swoim uznał, że znaleźliśmy wspólną platformę. I miał też odwagę

podać to Dmowskiemu jako fakt dokonany, nie lękając się jego gniewu. Ale nie wyobrażacie sobie z jakimi historiami miałem do czynienia ze strony tak zwanych naszych ludzi. Wszyscy oni deklamują uroczyście swoje uznanie dla mnie i okadzają mnie komplementami, ale w każdej mojej decyzji doszukują się błędu, a już co najmniej „złego poinformowania”. I przynoszą mi w zamian swoje „dobre informacje”, które są po prostu dziecinną i głupią paplaniną, a są przy tym tak pewni siebie, że pozwalają sobie krzyżować moje instrukcje w przekonaniu, iż gdy do mnie przyjdą ze swymi mądrościami, to je cofnę.

„A teraz pomyślcie tylko jakie to rewelacyjne nowiny ci panowie mi przynoszą. Że mianowicie p. Dmowski i jego Komitet mnie nie lubią i starają się zdyskredytować, a po drugie, że możemy znaleźć sprzymierzeńców przeciwko p. Dmowskiemu wśród lewicowych polityków francuskich i dziennikarzy francuskich i angielskich, którzy gotowi są nam pomóc w zwalczaniu Dmowskiego, jako antysemitę i reakcjonistę. Te wszystkie „nowiny” przynoszą mi rozmaici panowie Baranowscy, czy Kozłowski, Zakrzewscy, czy Zalescy, którzy koszule w zębach nosili, gdy moje drogi i Dmowskiego już się krzyżowały. Z oburzeniem powtarzają mi, że endecy ośmielają się nie uznawać autorytetu Naczelnika Państwa, a sami pozwalają sobie na próby wstrzymania moich instrukcji jako Naczelnika Państwa, wydanych moim delegatom. Ci ludzie nie zadają sobie fatygi pomyśleć jaka odpowiedzialność na mnie spoczywa. Że stoi przede mną walka z Rosją, a nie z p. Dmowskim. Że lada chwila, lada godzina może mi się otworzyć tysiąc kilometrów frontu bojowego na wschodzie. A ja nie mam amunicji, nie mam artylerii, skarb państwa jest pusty. Stoją we Francji cztery dywizje wojska, które mogłyby mi z sobą przywieść do Polski broń, amunicję, armaty. Są inne dywizje na Kaukazie, czy na Syberii. Przecwiczone, gotowe do użycia. I mnie jest wszystko jedno czy Francja mi da pomoc dla moich pięknych oczu, czy pana Romana. Aby ją dała. I tę pomoc może nam dać tylko rząd francuski i Foch. Nie dadzą mi jej, ani socjalistyczni towarzysze francuscy, ani lewicowi dziennikarze angielscy czy amerykańscy. Oni mi nie pomogą i nie dadzą transportu dla sprowadzenia Żeligowskiego, czy Czumy. A moi świątli doradcy wyobrażają sobie, że to będzie tak ślicznie, jeżeli do dyskredytowania mnie i mego obozu we Francji przez Komitet Narodowy my dodamy dyskredytowanie Dmowskiego i Komitetu u lewicy francuskiej. To by się na pewno mogło nam udać, z tym rezultatem, że prawica francuska nie da nam pomocy z powodu mojej osoby, a lewica jej odmówi z powodu osoby Dmowskiego. Śliczny rezultat.

„Wyobraźcie sobie teraz, że ludzie którzy tego abecadła nie rozumieją przychodzą mnie uczyć, a ja muszę zaciskać zęby i cierpliwie im tłumaczyć. I to wszystko po tych czterech latach wojny, które mnie zepsuły pod tym względem, że przyzwyczaiłem się do wydawania wam rozkazów, wiedząc że bez gadania będą wykonane. Wydaje mi się czasami, że zrobiłem błąd pozwalając niemal wszystkim wam z I-szej Brygady i z P.O.W. iść do wojska. A teraz, z tymi którzy w polityce pozostali, mam właściwie sytuację taką samą jak miałem w pierwszych latach organizacji P.P.S., kiedy każdy towarzysz mi się mądrzył i z każdym się musiałem targować o dostosowanie się do mojej decyzji”.

„Ależ Komendancie — zauważyłem ze swej strony — przecież została jeszcze spora garść starszych polityków naszego obozu, którzy nauczyli się już zaufania do Waszej polityki i do trafności Waszej decyzji”.

„Przyznaję się, że i ja tak myślałem. Ale i tu spotkały mnie niespodzianki i powiem wam, że cierpliwość moja się wyczerpała, gdy kiedyś właśnie jeden z tych, o których mówicie i to taki mądrała jak Jodko — przyszedł do mnie i zaczął mnie uczyć jak stara guwernantka, że Dmowski i jego paryskie towarzystwo to są niegrzeczni chłopcy i żebym ja się z nimi nie bawił. Wtedy się przebrała miarka mojej cierpliwości i myślę, że ani Jodko, ani ci panowie których z sobą przyprowadził nie prędko zapomną tego, co ode mnie usłyszeli”.

„Powiem Wam otwarcie, że i ja nie zawsze to wszystko rozumiem”.

Zrobiła się późna godzina i czas było się odmeldować. Przed pożegnaniem, powiedziałem jeszcze jak bardzo się cieszę, że widzę Komendanta po raz pierwszy od 11 listopada nie tak strasznie zmęczonego jak zawsze poprzednio.

„Macie rację — odpowiedział Komendant — mimo że wciąż jeszcze pracuję jak fernalski koń, ale przyszły dwie rzeczy, które mi otwierają perspektywę na trochę lepsze życie. Rozumiecie chyba co to dla mnie znaczy, że Szef wrócił do zdrowia i przyjdzie mi z pomocą. Jestem pewny, że mnie odciąży na jednym odcinku, z którym nie byłem w stanie sobie dać rady; to jest ta wieża Babel, która się nazywa Ministerstwo Spraw Wojskowych. Mówię wieża Babel, bo dosłownie siedzący tam „Austriacy” i „Katolicy” nie rozumieją się wzajemnie nawet w zakresie terminologii wojskowej. Z Katolików będę miał na pewno większą pociechę, w linii, niż w Ministerstwie, bo jest między nimi dużo dobrych dowódców, ale przecież Polacy w armii rosyjskiej do wyższych sztabów i ministerstwa nie byli dopuszczani. Wśród

Austriaków jest sporo takich, którzy tę pracę znają, ale w warunkach wielkiego państwa, pełnych składów, przemysłu wojennego i skarbu państwa dysponującego miliardami. W naszej obecnej sytuacji opadają im ręce i zdaje im się, że nic nie można zrobić. Legioniści oczywiście pełni zapału i gotowi jak zawsze z motyką na słońce, ale w wyższej administracji wojskowej i pracy wyższych sztabów muszą się dopiero wszystkiego uczyć. Polegam na Szefie, że mi tam jakiś ład wprowadzi. A wyobrażcie sobie, że drugim odcieżeniem dla mnie jest nie kto inny jak Paderewski. Bałem się początkowo, że będę miał z nim wielkie trudności, bo w pierwszych rozmowach uparcie stał na paryskim stanowisku posłuszeństwa dla Entente'y i nie widział mojej słuszności, gdy mu mówiłem o konieczności i moim zamiarze polityki faktów dokonanych na wschodzie. Zdradzał też znaczny pesymizm w zakresie naszych własnych możliwości. Ale widzę teraz, że nabiera zaufania do moich poglądów i w miarę jak patrzy na to co się w kraju dzieje, nabiera optymizmu. Myślę też, że zarówno on w zakresie polityki, jak Szef w zakresie spraw wojskowych, wezmą na siebie robotę w Sejmie, gdzie zarysowują się już nie lada trudności”.

To był koniec tej pierwszej mojej długiej rozmowy z Komentantem od czasu naszych rozmów lubelskich przed Magdeburgiem.



Gdy nastąpiło moje odwołanie z Kielc i przeniesienie do Warszawy, połączone z kilkutygodniowym urlopem, zająłem i na drugą stronę Wisły do moich starych Siedlec i nad Bóg. Stwierdziłem i tam budzący otuchę postęp i ład. Gdy więc stanąłem po Wielkiejnocy w Warszawie, bezpośrednio po naszych tryumfach w Wilnie i we Lwowie, byłem usposobiony już nie tylko optymistycznie, ale wręcz radośnie. Wkrótce jednak, już po kilku dniach pobytu w Warszawie, radość moja znacznie przygasła. W stolicy panowała atmosfera kwasów i grymasów. Ku memu zdziwieniu ludzie zdawali się nie doceniać historycznej doniosłości ostatnich kilku tygodni, tj. opanowania przez naszą armię kresów wschodnich i odsunięcia o setki kilometrów wzdłuż całego frontu zagrożenia wschodniego. Osiągnięcie to, które jeszcze przed dwoma miesiącami wydawało się niemal niemożliwe przy szczupłości naszych sił i środków ludzie zdawali się przyjmować jako rzecz zwyczajną i mało ważną. Rozpytywałem moich przyjaciół jak sobie to wytłumaczyć. Odpowiedziano mi na to radą, abym poszedł raz i drugi do Sejmu, przespacerował się po kuluarach i posiedział w bufecie, żebym

się też zapoznał z prasą warszawską i prowincjonalną, a znajdzie odpowiedź. Dowiedziałem się, że pierwszy odruch opinii publicznej po uwolnieniu Wilna i Lwowa był istotnie entuzjastyczny i radosny i pełen dumy z osiągnięć naszego żołnierza. Ale wkrótce został zgaszony w sposób planowy i zorganizowany przez akcję propagandową stronnictw i grup Związku Ludowo-Narodowego. Opowiedziano mi, że w czasie nieobecności Paderewskiego, który musiał udać się do Paryża, aby wesprzeć na Kongresie Wersalskim Romana Dmowskiego, rozpętała się ponownie ze strony Narodowej Demokracji ofensywa przeciw Piłsudskiemu. Dowiedziałem się, iż wybitni posłowie tego stronnictwa na wiadomość o wyprawie wileńskiej, zwrócili się do Ministerstwa Spraw Wojskowych z kategorycznym żądaniem zaniechania tej operacji, pod groźbą obalenia rządu i zgłoszenia votum nieufności dla Naczelnika Państwa w Sejmie. Gdy zaś to stało się siłą faktów nieaktualne wobec błyskawicznego przebiegu operacji wileńskiej i jednoczesnego zwycięstwa pod Lwowem, akcja przeciwko Piłsudskiemu na chwilę tylko ustała; została wznowiona z większą jeszcze zaciekłością na skutek odezwy, wydanej przez Naczelnego Wodza w Wilnie, stwierdzającej, że Polska przychodzi na te tereny nie jako okupantka, lecz przynosi ludności ich wolność i prawo głosu co do ukształtowania stosunków państwowych w przyszłości. Na próżno Paderewski telegrafował i telefonował z Paryża, że odezwa ta zrobiła znakomite wrażenie wśród decydujących czynników politycznych Paryża, Londynu i Waszyngtonu i że tylko dzięki niej nie spotkaliśmy się z ostrym protestem Rady Najwyższej przeciw naszej akcji zbrojnej na wschodzie. Działacze prawicy sejmowej puścili mimo uszu zdanie Paderewskiego; przez plotkę i cały aparat urabiający opinię publiczną zaczęto oskarżać Piłsudskiego, że używa żołnierza polskiego po to, aby oddać kresy Białorusinom, Litwinom i Żydom. Ba, że Piłsudski po prostu dąży do swoich osobistych celów i że, nie widząc dla siebie dostatecznego oparcia w rdzennej Polsce, zamierza się ogłosić wielkim księciem litewskim. Obok tego i w świadomej sprzeczności z faktami stwierdzonymi przez Paderewskiego szerzono opinię, że Piłsudski przez swoje nieogłędne działanie zbrojne na wschodzie ściąga na Polskę gniew mocarstw zachodnich, co może wywołać katastrofalne dla nas skutki w uchwałach Kongresu Wersalskiego.

Istotnie opracowane już zostały w Sejmie wnioski nagłe, bijące bezpośrednio w treść odezwy Naczelnego Wodza. Powiadomiony o tym Paderewski zmuszony był natychmiast opuścić Paryż i wracać do Warszawy. Tu dopiero, przez osobistą interwencję w prawicowych klubach sejmowych zdołał pohamować

akcję ich warszawskich przywódców, ponieważ jego osobisty autorytet i bezpośrednie relacje o prawdziwej sytuacji w Paryżu podziały na większość posłów w tych klubach tak silnie, że przeważały wpływy inicjatorów tej groźnej intrygi zarówno przeciw Piłsudskiemu jak i rządowi Paderewskiego. Co więcej, udało się Paderewskiemu tak radykalnie zmienić treść przygotowanego wniosku nagłego, że stał się on zamiast potępienia poparciem polityki Piłsudskiego w sprawie kresów wschodnich i w tej dopiero formie został przez ogromną większość Sejmu uchwalony. Rozchwiały się też plany „rekonstrukcji” rządu Paderewskiego, idące tak daleko, że właściwie jednego tylko premiera z niej wyłączały. Na ten kryty sztych Paderewski oczywiście zgodzić się nie mógł, zaś popularność jego w kraju i świeżo wypróbowana w Paryżu powaga jego imienia zagranicą nie pozwalała jeszcze Narodowej Demokracji na otwarty na niego atak.

Zgodnie z radą moich przyjaciół postanowiłem odświeżyć moją znajomość warszawskiego świata politycznego i co dzień niemal spędzałem po kilka godzin w Sejmie; zapoznałem się z prasą, przejrzałem raporty z wieców i zgromadzeń warszawskich. Rezultat potwierdził całkowicie to co mi mówiono.

Stanowisko zajęte przez mnie — wówczas szefa sekcji politycznej Sztabu Generalnego — dawało mi dużo czasu na przestudiowanie całokształtu stosunków politycznych w stolicy, tym bardziej że jasne już było, iż owa sekcja polityczna jest swego rodzaju anomalią i przeżytkiem z pierwszych czasów improwizacji w dziedzinie organizacyjnej. Od tego czasu organizacja naczelnych władz wojskowych posunęła się znacznie naprzód i na sprawy polityki wewnętrznej w Sztabie Generalnym na pewno już miejsca nie było. Reprezentacja Wojska w Sejmie należała całkowicie do Ministerstwa Spraw Wojskowych, w którym Sosnkowski wprowadzał właśnie ład organizacyjny. W stronę Ministerstwa też przesunął się cały ciężar pracy organizacyjnej. Sztab stawał się — jak być powinno — instytucją czysto fachową. Z innego jeszcze powodu zmalało znaczenie Sztabu na rzecz Ministerstwa. Odszedł na front gen. St. Szeptycki, który się podał do dymisji na skutek publicznego ataku w prasie ze strony Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego, w którym odsądzono go od polskości z powodu jego ukraińskiego pochodzenia i konieksji rodzinnych. Na jego miejsce przyszedł gen. Stanisław Haller, osobistość błada i pozbawiona indywidualnego ciężaru gatunkowego. Z drugiej strony, w Ministerstwie Spraw Wojskowych od czasu powrotu do zdrowia gen. K. Sosnkowskiego i objęcia przezeń stanowiska wiceministra zadominowała jego niepospolita indywidualność. Tak więc, jeśli przedtem na pierw-

sze miejsce w Wojsku po Naczelnym Wodzu wysuwała się postać gen. Szeptyckiego, który istotnie był pierwszym po Piłsudskim autorytetem, teraz miejsce to zajęte zostało przez Sosnkowskiego. Już w chwili objęcia mojej nowej pracy zorientowałem się w zmianie, która nastąpiła. Za czasów Szeptyckiego na każdym kroku odczuwało się w pracy Sztabu jego rękę. Wszystkie sprawy o jakimkolwiek poważniejszym znaczeniu opierały się o niego i przez jego ręce przechodziły; jego kierownictwo czuło się na każdym kroku, zarówno w Sztabie samym, jak i w najodleglejszych okręgach wojskowych. Gen. St. Haller ograniczał swoją pracę prawie wyłącznie do prac operacyjnych i z operacjami związanych, którymi właściwie kierował Naczelnny Wódz osobiście; można było spędzić długie tygodnie w Sztabie nie zauważwszy nawet istnienia jego szefa i jakiegokolwiek śladu jego obecności. Widziałem go tylko raz przez parę minut przy formalnym meldunku o objęciu mego stanowiska. Jeszcze gorzej było z moim bezpośrednim szefem — szefem II-go Oddziału — majorem austriackim o dziwnie brzmiącym nazwisku. Ten po prostu robił wrażenie, że nie rozumie nic z tego, co się koło niego dzieje; natomiast, wbrew zwykłej regule, wyróżniał się spośród swych kolegów z byłej armii austriackiej brakiem elementarnej ogłady i jakimiś feldfeblowskimi formami postępowania w stosunku do współpracujących z nim oficerów. Zdaje się, że w ten sposób starał się pokryć swą całkowitą niekompetencję w skomplikowanych sprawach, które do jego resortu należały. Na szczęście, szefem głównej komórki Oddziału II-go — Biura Wywiadowczego — był już wówczas mjr Ignacy Matuszewski, który, obok wszystkich zalet świetnego oficera bojowego i wybitnej inteligencji, miał doskonałą orientację w sprawach politycznych zarówno polskich, jak i rosyjskich. On też w kilka miesięcy później objął stanowisko szefa II-go Oddziału, zaś major B. zniknął szczęśliwie z horyzontu i — jak się zdaje — służbę wojskową opuścił. Z moich z nim nielicznych zetknięć pozostało mi w pamięci tylko jedno o charakterze wręcz komicznym. Gdy mu kiedyś zameldowano, że nie mogę się stawić na jego wezwanie, bo jestem w Sejmie, zapytał mnie po mym powrocie po co właściwie tam chodzę. Zapewniłem go stanowczo, że to należy do obowiązków służbowych mojej sekcji; rozważywszy to sobie w dłuższym milczeniu, powiedział mi, że w takim razie powinienem składać raporty z tego co tam słyszałem i widziałem, bo przecież to może być dla niego oraz dla szefa Sztabu interesujące, i że oczekuje ode mnie takiego raportu. Byłem nieco zaskoczony, ale wybrnąłem z tego zadania wręczysz mu następnego dnia raport, zawierający podział Sejmu na kluby, ich

liczebność oraz stosunek — opozycyjny lub popierający — do Rządu. Wręczając ten raport, obawiałem się troszkę, że mój zwierzchnik potraktuje to jako niewłaściwy żart; ku memu zdumieniu, po kilku dniach mój znakomity major przyjął mnie niezwykle łaskawie, oświadczył, że raport mój był wybitnie interesujący i wyraził zdziwienie skąd ja to wszystko wiem. W jego zachwyt uwierzyłem bez trudu; sądzę natomiast, że zaimprovizował już dodatek, że i szef Sztabu również bardzo wysoko mój raport ocenił.

Sławek, przekazując mi służbę — gdy został przez Komendanta posłany do Sztabu gen. Iwaszkiewicza we Lwowie ze specjalnym zadaniem nawiązania stosunków z Ukraińcami nad-dnieprzańskimi i zbadania możliwości zakończenia wojny ukraińskiej — uprzedził mnie, że będę miał bardzo niewiele czasu dla pracy ściśle służbowej, bo na pewno obejmę po nim ciężki spadek uboczny. Powiedział mi mianowicie, że każdy piłsudczyk przybywający do Warszawy z frontu, czy też z prowincji, nie mówiąc już o warszawskich politykach z lewicy sejmowej, przychodził zazwyczaj do niego z krótkim zapytaniem: co słychać? W skomplikowanej sytuacji ówczesnej równie krótka odpowiedź nie była możliwa i zwykle po zakończeniu godzin służbowych pozostawało w poczekalni kilka osób, które nie zdążyły jeszcze otrzymać odpowiedzi na identyczne zapytanie. Właściwą pracę służbową można więc było zacząć dopiero w późnych godzinach, gdy już osoby postronne do gmachu Sztabu wpuszczane nie były bez osobnego zezwolenia. Istotnie przejąłem ten uciążliwy obowiązek „punktu informacyjnego” po Sławku. Niecierpliwiło mnie to nieraz i miałem ochotę zapowiedzieć żandarmerii kontrolującej wejście do Sztabu, aby interesantów do mnie bez specjalnego uprzedzenia nie przyjmowano. Po namyśle jednak nie zrobiłem tego, bo i cóż mieli robić rozproszeni po kraju, lub siedzący na froncie piłsudczycy, do których często nawet gazety nie dochodziły, natomiast ciągle dochodziły najdziwaczniejsze plotki i echa warszawskich intryg politycznych? Musieli mieć przecież jakieś źródło autorytatywne, z którego mogliby zaczerpnąć wiadomości o istotnym stanie rzeczy, nie tylko dla ich własnej wiadomości, ale też i po to, aby mogli zwalczać i prostować złośliwe plotki wymierzone przeciw polityce Komendanta. Na szczęście, moja praca służbowa nie zabierała mi wiele czasu; polegała ona właściwie na czytaniu raportów od moich poprzednich kolegów z okręgów generalnych, robienia z nich wyciągów dla Szefa Sztabu — w wyjątkowo ważnych wypadkach dla Komendanta, i redagowania komunikatu informacyjnego o stanie rzeczy ogólnym, rozsyłanego do wszystkich podległych mi oficerów. Miałem

też do tej pracy dostateczną ekipę w moim oddziale, tak że nie obciążała mnie ona zbyt osobiście. Przyznać też muszę, że owe wizyty, na które przed chwilą narzekałem, dawały mi jednak pokaźną ilość materiału z tego co się dzieje we wszystkich zakątkach kraju i na różnych odcinkach frontu. Poza tym, z rozmów ze starymi przyjaciółmi z P.O.W. i z I-szej Brygady, którzy obecnie zasiadali w Sejmie, dowiadywałem się oczywiście więcej niż z przebiegu jawnych obrad sejmowych; gdy zaś dodać do tego, że panował wówczas dość ożywiony ruch między Paryżem i Warszawą i ludzie przyjeżdżający z Paryża również na mój punkt informacyjny przychodzili, stwierdzić można, iż nie był to czas dla mnie zmarnowany. W przeciągu dwóch miesięcy jakie w Sztabie Generalnym spędziłem wyrównałem sobie wszystkie zaległości, które się wytworzyły w mojej orientacji politycznej przez półrocze mojej służby prowincjonalnej.

Gdy więc w początkach czerwca 1919 roku sekcja polityczna Sztabu Generalnego przestała istnieć i przeszedłem wraz z moimi oficerami pod komendę Sosnkowskiego, do Ministerstwa Spraw Wojskowych, byłem już nie tylko w całokształcie, ale w szczegółach sytuacji politycznej dostatecznie zorientowany.

Zetknięcia moje z Komendantem w owym czasie były rzadkie i krótkie. Wyjeżdżał on wówczas często na front; mnóstwo czasu zajmował mu kryzys sejmowy, ciągłe komplikacje w toku obrad Kongresu Wersalskiego i związane z tym rozmowy z dyplomatycznymi przedstawicielami państw zachodnich, wreszcie, ponowny, a niebezpieczny zwrot w sytuacji na froncie lwowskim, który omal nie doprowadził do wznowienia działań wojennych.

ROK 1920

W kilka dni później, miałem jeszcze jedną próbkę trudności z jakimi borykać się musiał wówczas Komendant. Tym razem ze strony lewicy. Na jednym z końcowych posiedzeń Rady Obrony Państwa, już po kryzysie wywołanym przez R. Dmowskiego, kiedy Naczelnny Wódz postawił kwestię zaufania i otrzymał je wszystkimi głosami oprócz jednego i po ustąpieniu R. Dmowskiego z Rady, postanowiono wydać odezwę do Narodu, która miała być podpisana przez wszystkich członków Rady Obrony Państwa, uchwalono treść tej odezwy i powierzono jej zredagowanie gen. K. Sosnkowskiemu. Sosnkowski, wręczysz mi uchwałę R.O.P. i udzieliwszy szczegółowych instrukcji, polecił mi zredagować odezwę. Została ona na następnym posiedzeniu Rady O.P. przyjęta w zasadzie, z dwoma poprawkami.

Pierwsza polegała na tym, aby wyraźnie przyrzec w odezwie, że każdy żołnierz po zwycięskim ukończeniu wojny otrzyma nadział ziemi; druga zaś — aby sprecyzować ponad wszelką wątpliwość, że Polska nie walczy z Rosją, tylko z bolszewizmem (wniosek W. Trąpczyńskiego). Sosnkowski kazał mi wprowadzić do tekstu odezwy obie te poprawki i doręczyć sobie ostateczny tekst, tegoż dnia wieczorem, następnego dnia bowiem — o ile sobie przypominam 1 sierpnia, odezwa miała być przez członków R.O.P. podpisana i opublikowana.

Moja godzina referatu u gen. Sosnkowskiego została mi zapowiedziana tego dnia przez adiutanturę na 12-tą w nocy. Jednakże już około 10-tej wieczorem wezwano mnie telefonicznie do natychmiastowego zameldowania się. Gdy przyszedłem do pałacu pod Blachą — Sosnkowski przerwał konferencję z szefami departamentów, wyszedł do mnie, zapytał czy odezwa gotowa; powiedział mi, że Belweder zawiadomił go, że ma natychmiast meldować się u Komendanta z tekstem odezwy, mimo że miał wyznaczoną audiencję dopiero o 1-szej w nocy. Kazał mi jechać do Belwederu w swoim zastępstwie i usprawiedliwić go wobec Komendanta, że musi doprowadzić do końca konferencję będącą w toku, a dotyczącą dostaw amunicji na front.

Gdy przyjechałem do Belwederu, dyżurny adiutant poinformował mnie że Komendant ma w swym gabinecie konferencję z lewicowymi członkami Rady Obrony Państwa, kazał jednak abym się zameldował u niego natychmiast. Gdy wszedłem, spostrzegłem od razu, że atmosfera jest niezwykle naprężona. Przemawiał poseł Stapiński, Komendant siedział pochmurny i gniewny. Przerwał na chwilę Stapińskiemu, zapytał mnie czy mam tekst odezwy i kazał usiąść i czekać. Zauważyłem m.in. oprócz Stapińskiego, posłów Anusza i Barlickiego — zebrał się u Komendanta cały komplet przedstawicieli P.P.S. i stronnictw ludowych w Radzie Obrony Państwa — oraz jednego czy dwóch notablów z klubów parlamentarnych lewicy. Stapiński, który najmniej ze wszystkich obecnych znał Piłsudskiego, przemawiał z wielką swadą, ale wśród innych zauważyłem raczej niepewność i zakłopotanie. Posłuchawszy kilka minut, zorientowałem się co się stało — mianowicie, lewicowi członkowie R.O.P. w porozumieniu z reprezentowanymi przez siebie klubami parlamentarnymi, powzięli uchwałę, aby następnego dnia odmówić położenia swych podpisów pod odezwą do Narodu i z Rady Obrony Państwa wystąpić. Przybyli, aby zawiadomić o tym Naczelnika Państwa. Motywowali swój krok tym, że prawica — wbrew podstawowemu celowi dla którego powołana została Rada Obrony Państwa, to jest skupienia całego wysiłku narodowego i soli-

darnej pracy dla zwycięstwa — nie zaprzestała ani na chwilę publicznego działania przeciwko najwyższym władzom państwowym i Naczelnemu Wodzowi, że prasa prawicowa podrywa co dnia zaufanie do Naczelnego Wodza, oskarżając go o błędy, nieumiejętność i lekkomyślność w prowadzeniu wojny; że — co więcej — na zebraniach i wiecach publicznych rzuca się po prostu oskarżenia o zdradę; że nie może się to dziać bez wiedzy zasiadających w R.O.P. reprezentantów prawicy; że wobec tego reprezentanci lewicy nie mogą pokrywać tak niebywałej nielojalności i na znak protestu muszą z R.O.P. wystąpić. Już przed moim przyjściem najwidoczniej Stapiński wypowiedział ten pogląd i spotkał się ze strony Komendanta z apelem, aby zaniechali tego. Niemniej przeto Stapiński — nie orientując się tak dobrze jak reszta obecnych, że z Piłsudskim żadnych targów nie ma — po raz drugi zabrał głos, obstając przy swoim. Komendant posłuchał jeszcze parę minut, po czym przerwał Stapińskiemu i powiedział: „Moi Panowie, to wszystko co mówicie jest mi wiadome. Ja was proszę, abyście zaniechali tego kroku; waszej obrony przed atakami nie potrzebuję. Największą pomocą, której od was w tej chwili chcę, jest abyście utrzymali przynajmniej pozory jednolitości i solidarności, którą Rada Obrony Państwa ma reprezentować. To mi jest potrzebna dla Wojska. Wojsko tego potrzebuje. Jeśli chcecie mnie i wojsku pomagać, to róbcie to, co mi jest potrzebne, a nie to, co ja uważam za szkodliwe”. Stapiński odpowiedział, że niestety uchwała już jest powzięta i nie da się cofnąć przed jutrzejszym posiedzeniem Rady Obrony Państwa. Na to Komendant odpowiedział: „To ja w takim razie podpiszę odezwę do Narodu sam, w imieniu Rady Obrony Państwa. Jak Panowie chcecie, to możecie mnie dezawuować”. Zwrócił się do mnie: „Czy macie odezwę gotową do podpisu?”. Na moje potwierdzenie, kazał ją sobie podać, wyjął pióro, by ją podpisać; na próbę Stapińskiego zabrania jeszcze raz głosu machnął na niego ręką niecierpliwie i gniewnie, odezwę podpisał, odszedł ze mną na drugi koniec gabinetu i dał mi po cichu instrukcje następujące: „Udacie się natychmiast do Grabskiego, choćby był już w łóżku. Powtórzcie mu wszystko coście tu słyszeli; poprosicie go ode mnie, żeby odezwę kazał wydrukować w ciągu nocy i rano rozplakatować. Zakomunikujecie mu też, że wobec groźby rozłamu odwołuję jutrzejsze posiedzenie Rady Obrony Państwa. Jemu zaś pozostawiam — i proszę go o to — aby wytłumaczył prawicowym członkom R.O.P. dlaczego się tak stało”.

Udałem się do Grabskiego natychmiast; opuścił już Prezydium Rady Ministrów i był u siebie w domu. Wysłuchał on

mojej relacji ze zrozumieniem i, jak mi się zdawało, zadowoleniem; powiedział mi, że życzenie Naczelnika Państwa będzie wykonane.

Istotnie na drugi dzień ukazała się na murach stolicy i w prasie owa odezwa z podpisem: „W imieniu Rady Obrony Państwa — Józef Piłsudski”. W ten sposób do rozbicia R.O.P. nie doszło; przeciwko zmianie jej uchwały o podpisanie odezwy przez wszystkich członków R.O.P. nikt nigdy nie zaprotestował. O ile mi wiadomo — sprawa ta nigdy dotychczas opublikowana nie została.



Drugą rzeczą, na którą mi trudno znaleźć wytłumaczenie, jest osobista rola naczelnego autorytetu ówczesnego obozu opozycyjnego, jakim był Roman Dmowski. Każdy bowiem, kto zna mechanikę zorganizowanego działania politycznego, nie może mieć najmniejszej wątpliwości, że takie rzeczy, tak regularne i jednolite działanie, według tych samych przesłanek na całym obszarze kraju, nie mogły mieć miejsca inaczej jak z przyzwolenia co najmniej, a raczej z instrukcji najwyższych władz danych stronnictw, czy grup partyjnych. Były momenty, kiedy nasuwało się nieodparcie przekonanie, że jest to akcja celowa, zmierzająca po prostu do obalenia Naczelnego Wodza i Naczelnika Państwa. Przytoczę choćby następujący wypadek, którego byłem naocznym świadkiem. Czekałem z jakimś pilnym rozkazem wymagającym podpisu Sosnkowskiego w Belwederze, w czasie toczących się obrad Rady Obrony Państwa. Przybyła właśnie wówczas delegacja Ziemi Poznańskiej, prowadzona przez notablów tamtejszych, z księdzem patronem (późniejszym biskupem) Adamskim, na czele. Delegacja ta chciała przedstawić swoje opinie Radzie Obrony Państwa jako głos Ziemi Poznańskiej. Rada Obrony Państwa uznała sprawę za dość ważną na to, aby przerwać swoje obrady dla przyjęcia delegacji i postanowiła, że Naczelnik Państwa oraz gen. Sosnkowski mają wysłuchać delegacji w imieniu Rady.

Byłem, wraz z kilku oficerami adiutantury generalnej i szefem gabinetu cywilnego Naczelnika Państwa, obecny gdy Piłsudski i Sosnkowski wyszli do przyległego do obrad R.O.P. gabinetu, aby delegację przyjąć. Wystąpił na jej czoło ks. Adamski, który gorączkowym i podniesionym głosem wypowiedział przemówienie pełne zwykłej krytyki i zarzutów, zakończone słowami, idącymi tak daleko, że pamiętam osłupienie jakie we mnie wywołały i odruchowy gest ręki do szabli. Słowa te brzmiały: „Naród upatruje w tym wszystkim zdrady i to na najwyższych stano-

wiskach". Przy czym mówca wyrazistym gestem ręki wskazał na Naczelnika Państwa i ministra Spraw Wojskowych. Widziałem groźny błysk w oczach Komendanta i Sosnkowskiego, opanywany jednak natychmiast. Piłsudski zapytał zimnym i przyciszonym raczej głosem: „To wszystko co delegacja ma do powiedzenia?” i natychmiast oświadczył: „Audiencja skończona”. Po czym obaj z Sosnkowskim odwrócili się i wrócili do sali obrad Rady Obrony Państwa.

Była to jak się zdaje chwila, która przepełniła czarę cierpliwości Piłsudskiego; postanowił niezwłocznie przyjąć rzucone mu wyzwanie. Nie jestem pewny, czy na tym samym jeszcze, czy na następnym posiedzeniu, postawił sprawę zaufania w przemówieniu wstrząsającym po prostu przez swoją szczerość, przez otwarte danie wyrazu całej głębi szarpiących nim wówczas uczuć. Znamy przebieg tego posiedzenia z dwóch różnych źródeł. Jednym z nich jest relacja posła Antoniego Anusza, przewodniczącego Komisji Wojskowej Sejmu, posła ludowego z klubu „Wyzwolenia”; drugim — posła A. de Rosseta, członka R.O.P., z ramienia prawicowego klubu „Zjednoczenia Mieszkańskiego. De Rosset oczywiście nigdy nie był piłsudczykiem i zarówno w czasie wojny światowej, jak i później, należał do zwolenników i wielbicieli Romana Dmowskiego. Nie jest więc na pewno jego relacja nacechowana stronnością na rzecz Piłsudskiego. Stwierdza on, że przemówienie Dmowskiego na tym posiedzeniu zawierało długi szereg zarzutów, dotyczących prowadzenia wojny przez Naczelnego Wodza, zarzutów natury nie tylko politycznej, ale i natury operacyjno-strategicznych i dotyczących organizacji armii, w której wytykał ciężkie zaniedbania i błędy. Jednak według opinii de Rosseta — Piłsudski szczegółowo i rzeczowo w odpowiedzi swej udowodnił niesłuszność wszystkich zarzutów.

Biorąc pod uwagę osobiste nastawienie posła de Rosseta i ogromny autorytet, jakim w jego oczach cieszył się R. Dmowski, stwierdzenie to ma niemałą wagę.

Po rzeczowej części swego przemówienia, dotyczącej rzekomych błędów w dowodzeniu wojskiem, Piłsudski postawił bez obstępów sedno zagadnienia. O tej części jego przemówienia słyszałem bezpośrednio relację posła A. Anusza bodaj że tego samego jeszcze dnia, kiedy był on pod żywym ciągle wrażeniem przebiegu owego historycznego posiedzenia R.O.P. Powiedział mi wówczas Anusz, że nigdy w życiu nie był świadkiem podobnie wstrząsającego obrazu; że przemówienie Piłsudskiego osiągnęło rezultat rzadko spotykany w życiu politycznym i w gronie ludzi, na których niełatwo wpłynąć najświetniejszymi nawet słowami;

a jednak — było rzeczą od razu widoczną, że słowa Piłsudskiego podziały zarówno silnie na wszystkich zgromadzonych, niezależnie od tego do jakiego obozu należeli. Znalazło to też potwierdzenie w wyniku głosowania: wszystkimi głosami oprócz jednego Rada Obrony Państwa zawotowała zaufanie do Naczelnego Wodza. Z faktu że R. Dmowski zgłosił niezwłocznie swoje ustąpienie z Rady Obrony Państwa, wnosić wolno, niezależnie od innych przesłanek, że ten głos jedyny był jego głosem.

Relacja posła A. de Rosseta wnosi jeszcze jeden szczegół charakterystyczny, który wskazuje, że emocjonalne wrażenie, jakie wywołał Piłsudski swoim postawieniem sprawy, nie ominęło również i samego Dmowskiego, tak zwykle zimnego i nie ulegającego uczuciowym momentom. Gdy bowiem po swoim przemówieniu Piłsudski wstał, aby opuścić salę obrad przed głosowaniem, ponieważ mógł być krępujący dla obecnych, Dmowski zerwał się z miejsca i z największym naciskiem zaprzeczył, aby się kierował osobistą niechęcią, mówiąc: „Ja, który dowodziłem, że w Polsce jest konieczny autorytet i taki autorytet widziałem w osobie Pańskiej, nie mogłem chcieć tego autorytetu obalić”. Oświadczenie to z różnych względów ma treść bardzo znamiennej. Niestety jednak na podstawie całokształtu działań R. Dmowskiego po osiągnięciu niepodległości, a szczególnie w najkrytyczniejszym okresie roku 1920, trudno jest temu oświadczeniu dać wiarę, chociaż w chwili złożenia go mogło mieć ono akcenty szczerości, pod wpływem emocji w tym historycznym momencie.

Posiedzenie to odbywało się bowiem w sytuacji, w której zdawało się, że wszystkie dane sprzyjają powodzeniu decydującego ataku na Naczelnego Wodza. Front bojowy z katastrofalną niemal szybkością zbliżał się do serca Polski, do stolicy. Dzień za dniem przynosił załamanie wszelkich planów powstrzymania ofensywy, przez przedwczesne i nieuzasadnione najczęściej, opuszczenie przez nasze siły kluczowych pozycji obronnych. A jednak, R. Dmowski gdy się na atak zdecydował — i na pewno nie bez uprzedzenia o tym swoich w Radzie Obrony Państwa zwolenników — gdy Piłsudski rozgrywkę przyjął, zażądawszy bezwarunkowego odeń zaufania, ani jeden ze zwolenników Dmowskiego nie poparł go swym głosem. Ci członkowie Rady Obrony Państwa, od których miałem bądź od razu, bądź później relacje, przyznawali zgodnie, że jeszcze w momencie kiedy R. Dmowski swoje oskarżające przemówienie zakończył, konkludując, że stan rzeczy na froncie jest skutkiem nie czego innego, jak nieudolności dowództwa polskiego i kardynalnych, a karygodnych aktów dezorganizacji armii popełnionych przez Naczelnego Wodza — nikt z obecnych nie przypuszczał, że starcie to może się skończyć

tak całkowitą porażką oskarżyciela. Dopiero przemówienie Piłsudskiego ten stan rzeczy całkowicie zmieniło.

Piłsudski nie od razu przeszedł do kontrataku i w pierwszej części swego przemówienia powstrzymał się od wszelkich akcentów emocjonalnych. Ale odpowiedział zimno, rzeczowo i szczegółowo, punkt po punkcie, na wszystkie zarzuty Dmowskiego, z tym rezultatem, że — cytując dosłownie de Rosseta — „zbił bezwzględnie wszystkie przytoczone przez Dmowskiego fakty”. Później dopiero mówił:

„Ja sam, gdyby o to chodziło, potrafiłbym wymienić więcej niż tu było powiedziane błędów i braków w stanie naszej armii i jej organizacji, ale pytam Panów czy gdziekolwiek i kiedykolwiek na świecie stworzono doskonałą armię w ciągu 20 miesięcy? Ale jednocześnie wiem i niejednokrotnie Panom mówiłem, że z tym wojskiem, jakie ono jest, mogę i muszę zwyciężyć, skoro lepszego narzędzia walki nikt mi nie da; zwycięstwo w trzech czwartych zależy od siły i postawy moralnej wojska i społeczeństwa, a w jednej czwartej od przygotowania pod względem technicznym. Od Was, polityków, powinien iść do wojska walczącego na froncie głos wiary i otuchy, odpowiadający moralnej wartości społeczeństwa i jego niezłomnej woli zwycięstwa. Zamiast tego, dajecie demoralizujący obraz waśni, kłótni, rozdarcia! Generałowie wygrywani przez polityków, zamiast słuchać i służyć, intrygują i frondują! Chwila jest wyjątkowo groźna, nie ma czasu do stracenia. Stoicie nad przepaścią i jutro może zaczniecie się wyrzynać. Nie wiem jakimi słowami mam Was przekonywać, aby Was natchnął duchem pojednania i skłonił do zgody... Jeśli potrzebna jest Wam do tego moja śmierć, to gotowym sobie w łeb wypalić, abyście zrozumieli wreszcie, że to jest już ostatnia chwila ratunku, że musicie się zjednoczyć. Ja wiem co mam robić, ja mam plan, lecz nie narzucam się Wam ze swoim planem. Jestem w ogniu potwornych oskarżeń, tak że mnie samego bierze obrzydzenie do Państwa, w którym tak się traktuje jego najwyższego przedstawiciela. Nie róbcie więc żadnych szopek, żadnych dwuznacznych posunięć z dodawaniem mi opiekunów i kontrolerów. Weźcie zamiast mnie kogoś, mniej Was drażniącego. Jeżeli go postawicie na czele Państwa i Wojska, nie róbcie z nim tego coście robili ze mną. Dajcie mu bezwzględne zaufanie i szczerę, gorliwe poparcie. Nie róbcie igraszek z najwyższą władzą, obarczoną taką odpowiedzialnością, jak w tej chwili”.



Jako szef II-go Oddziału Sztabu Min. Spraw Wojsk. byłem

wówczas odpowiedzialny za bezpieczeństwo i spokój na terenie kraju. Zjawisko, które dopiero w piętnaście lat potem, w czasie hiszpańskiej wojny domowej, znalazło swe określenie w terminie V-ta kolumna, istniało potencjalnie już i wtedy. Ludność robotnicza Polski składała się głównie z bezrobotnych, od szeregu lat wygłodzonych i zbiedniałych; wśród ludu chłopskiego w przeludnionych dzielnicach kraju wieści o oddaniu ziemi chłopom w Rosji miały niewątpliwie charakter nęcący. Istniał też już od dwóch lat aparat organizacyjny w postaci polskiej partii komunistycznej, kierowanej i zasilanej przez Moskwę. Naturalnym zadaniem moim wówczas było dążenie do sparaliżowania tego aparatu organizacyjnego przez unieszkodliwienie jego góry, co jest najbardziej celową akcją przy zwalczaniu każdej konspiracji.

Przez cały czas działalności na tym ówczesnym stanowisku nie przypominam sobie, abym otrzymał jakąkolwiek skuteczną pomoc ze strony tytułarnie anty-bolszewickich organizacji. Natomiast, jeśli chodzi o przeciwdziałanie agitacji komunistycznej wśród ludności robotniczej to P.P.S. działała energicznie i skutecznie, tak samo jak „Wyzwolenie” na wsi. Gdy chodziło o sprawność transportu, obsługującego armię na froncie, obronę tego transportu przed sabotażem, działającym w myśl instrukcji z Moskwy, a niebywale łatwym do przeprowadzenia, np. na kolejach Socjalistyczny Związek Kolejarzy, współdziałał chętnie i skutecznie.

Jeśli chodzi o mój najpoważniejszy sukces — aresztowanie w ciągu zimy 1919-20 najwybitniejszych członków Centralnego Komitetu Wykonawczego Polskiej Partii Komunistycznej — osiągnąłem go również przy pomocy polskich robotniczy o poglądach socjalistycznych. Przez cały rok 1919 bezskutecznie dążyłem do tego celu. Orientowałem się mniej więcej w prawdopodobnym personalnym składzie kierownictwa komunistycznego. Miałem na uwadze pewne nazwiska; licząc się oczywiście, że posługują się oni odmiennymi nazwiskami i pseudonimami, zaopatrzyłem całą podległą mi sieć kontr-wywiadu w ich rysopisy i charakterystyczne cechy. Mimo to — tylko jeden z nich, co do którego udzielił w CKW nie byłem zupełnie pewny, został aresztowany; wspomniałem już poprzednio o mojej z nim rozmowie. W najprawdopodobniejszym miejscu pobytu szefów V-tej kolumny, w Warszawie, nie udało nam się na żaden traf natrafić.

Pewnego dnia, zjawił się w moim prywatnym mieszkaniu znany mi z czasów P.O.W. na okupacji austriackiej stary robotnik, jeden z pierwszych w Polsce socjalistów. W latach 1890 należał do „proletariatu”, następnie do P.P.S. W roku 1914 wstą-

pił do I-szej Brygady, którą opuścił po odmówieniu przysięgi i przeszedł do P.O.W., wprowadzając również trzech synów, którzy w listopadzie 1918 wstąpili do wojska; jeden z nich zginął w Obronie Lwowa, drugi — na ulicach Wilna w kwietniu 1919 roku. Ten stary kotlarz, z fabryki lubelskiej, osiadł na stare lata w okolicach Puław; stamtąd właśnie przybył do mnie z następującą relacją: Jest willa nad Wisłą, tuż pod Puławami, która normalnie pustkami stoi w zimie. W tym roku jednak została właśnie na zimę wynajęta i zamieszkali w niej pewni ludzie nikomu w okolicy nieznani, nie należący też do stałych letników z lat poprzednich. Jest tam dwóch starszych panów i jedna kobieta; nie pokazują się niemal nigdzie, natomiast przyjmują sporo odwiedzających, wyłącznie prawie wieczorami; z chwilą nastania zmroku wszystkie okna willi są zawsze szczelnie zasłonięte. Te i inne szczegóły naprowadziły starego konspiratora Zawadzkiego na podejrzenie, że jest to jakaś sprawa nieczysta; toteż z pomocą kilku swych przyjaciół miejscowych zorganizował obserwację owej tajemniczej willi, przypuszczając, że chodzić może po prostu o jakiś czarny handel, albo nawet fałszowanie pieniędzy; po pewnym czasie doszedł do przekonania, że żadnych na to śladów nie ma i że musi to chyba być jakaś bolszewicka robota. Przyjechał więc z tym do mnie po starej znajomości „Dwóch moich chłopaków — powiedział mi — zginęło, trzeci jeszcze pod Komendantem na froncie służy. To pomyślałem sobie, że mój obowiązek jest strzec żeby naszym chłopcom od tyłu noża w plecy nie pakowali”.

Potraktowałem poważnie tę informację; wynotowałem dokładnie na mapie nazwę i położenie owej tajemniczej willi i na drugi dzień wysłałem szefa sekcji defensywy z odpowiednim zastępem żandarmerii, polecając mu z zachowaniem największych ostrożności otoczyć o zmroku willę, przeprowadzić dokładną rewizję i niezależnie od wyników mieszkańców do Warszawy dostarczyć. Do późna w noc tego dnia czekałem na powrót mego kapitana. Zameldował się wreszcie ze zmęczoną i raczej zawiedzioną miną, stwierdzając, że nic szczególnego nie znalazł. Wahał się nawet, czy aresztować znalezione tam osoby, zrobił to jednak z powodu dwóch okoliczności: znalazł ślady świeżego spalenia większej ilości papierów, a następnie okazało się, że jeden mieszkańców willi posiadał przy sobie dwa paszporty z tą samą fotografią, ale na różne nazwiska. Zapytany o wytłumaczenie zrobił „nie wiadomo dlaczego” dumną minę i powiedział: „Orientuję się dostatecznie w sytuacji, jestem Maks Horwitz, na żadne więcej pytania odpowiadać nie będę”.

Oczywiście, nazwisko to memu młodemu kapitanowi nic nie

mówiło, nie znał historii ruchu socjalistycznego i nie wiedział, że Maks Horwitz był jedną z najwybitniejszych osobistości przedwojennej lewicy P.P.S., od lat zdecydowanym wrogiem niepodległościowej polityki Piłsudskiego i ponad wszelką wątpliwość jedną z decydujących postaci Polskiej Partii Komunistycznej po jej powstaniu. Usłyszawszy ode mnie kogo złowił, szef defensywy wybiegł jak oparzony z mego gabinetu, okazało się bowiem, że trzech aresztowanych pozostawił w samochodzie na ulicy, pod strażą jednego tylko żandarma; resztę swych ludzi zmęczonych i zmarzniętych puścił już do domu. Co do pozostałych dwu osób, przyjrawszy się ich fotografiom paszportowym i dowiedziawszy się, że jeden z nich się jąkał oraz że towarzyszącą im kobietę w czasie podróży nazwano imieniem Wera — stwierdziłem, że Wacław Wróblewski i Wera Kostrzewa muszą być nimi. Że zatem udało nam się aresztować trzech najwybitniejszych członków Centralnego Komitetu Komunistycznego, czyli krótko mówiąc, urwaliśmy głowę komunistycznej dywersji na tyłach naszej armii.

Dwa elementy złożyły się na to, że w krytycznych miesiącach 1920 roku Moskwa zawiodła się całkowicie w swych nadziejach, że ofensywa armii czerwonej dopełniona zostanie jakąś rewolucyjną dywersją „mas ludu pracującego” na tyłach armii polskiej. Jednym z nich był sukces naszych władz bezpieczeństwa w rozbięciu centralnego kierownictwa partii komunistycznej; drugim, było niezachwiane działanie P.P.S. oparte na jej starych tradycjach walki o niepodległość, a szczególnie walki z Rosją. Mamy niejedno świadectwo na to, że w Moskwie istotnie dawano wiarę, iż hasła komunistyczne znajdą posłuch w Polsce. Jak się zdaje, obecni tam komuniści polscy zbyt wiele obiecywali Leninowi i Trockiemu; stąd też późniejsze pretensje i nieufność powojennych rządów sowieckich do Polskiej Partii Komunistycznej i jej czołowych działaczy. Wyraziło się to w odsunięciu ich od kierowniczych stanowisk za życia Lenina, i do bezlitosnej i krwawej likwidacji za czasów Stalina. Faktem jest, że próby zorganizowania dywersji, które zapowiadały się chwilami dość poważnie na przełomie lat 1918-19 i w ciągu roku 1919, nie tylko nie wzmogły się w roku 1920, lecz raczej osłabły w okresie decydujących walk w polu, kiedy najbardziej były Moskwie potrzebne. Tylko w środowiskach żydowskich i to na kresach — hasła komunistyczne znajdowały pewien posłuch, zwłaszcza w krótkim okresie sukcesów armii czerwonej. Trudno zresztą dziwić się temu. Na kresach nawet te elementy żydowskie, które odchodziły od getta, trafiały pod wpływ kultury rosyjskiej raczej niż polskiej; i nie tylko czynniki natury materialnej i społecznej — jak nędza

proletariatu żydowskiego — sprawiały to, że hasła rosyjskiej rewolucji łatwo do nich trafiały. Jest zjawiskiem ciekawym, że wśród młodzieży żydowskiej grały w tym wypadku pobudki natury narodowej i patriotycznej. Fakt że w Rosji bolszewickiej Żydzi doszli do ogromnego udziału we władzy; fakt, że głośne na cały świat się stały nazwiska takie, jak Trocki, czy Litwinow, Zinowiew i Majski i tylu innych, którzy właśnie z tych kresowych miasteczek pochodzili, a oto stali się współwładcami potężnego imperium i brali udział w wielkiej grze światowej polityki, przemawiał do ambicji młodzieży żydowskiej.

ROK 1939

Już po internowaniu w Slanicy, rząd uchwalił zwrócić się do mnie z propozycją, abym wyjechał niezwłocznie do Paryża; ustalono bowiem, że ani ja ani marszałek Sejmu Makowski nie byliśmy jeszcze na liście tych, których rząd rumuński zobowiązał się wobec Niemców internować. Chodziło o to, aby porozumieć się z Łukasiewiczem i innym ambasadorami (Edward Raczyński i Wieniawa), oraz aby przeciwdziałać na terenie paryskim rozpoczętym już machinacjom opozycji. Zgodziłem się na tę propozycję, zakomunikowaną mi przez Kwiatkowskiego, Składkowskiego i Becka, ale prosiłem Składkowskiego, abym przed wyjazdem mógł dostać wyjaśnienia od niego i Becka co do niektórych kwestii dla mnie samego niejasnych. Na tę rozmowę, która odbyła się w gabinecie Składkowskiego, wziąłem z sobą Makowskiego; mówiliśmy więc we czterech. Zacząłem rozmowę stwierdzeniem, że brak mi elementów w dwóch zagadnieniach, które niewątpliwie będą w Paryżu bądź ze strony polskiej, bądź francuskiej atakowane. Pierwsze — które jak przewidywałem będzie wysuwane ze strony francuskiej, dlaczego rząd polski nie przyjął zaofiarowanej pomocy sowieckiej. Zaznaczyłem, że oczywiście znana mi jest cała zasadnicza i słuszna argumentacja w tej sprawie; natomiast chciałbym usłyszeć od ministra Spraw Zagranicznych szczegółowe przedstawienie stanu faktycznego co do owej sowieckiej propozycji. Beck powiedział mi wówczas rzeczy, których nie słyszałem zupełnie od Składkowskiego, gdy mnie informował o tej sprawie w sierpniu w Warszawie. Mianowicie: żadna propozycja pomocy dla nas w razie ataku niemieckiego nie została postawiona rządowi polskiemu przez rząd sowiecki. Natomiast, w czasie pertraktacji z delegacją francuską i angielską w Moskwie, pewnego dnia w czasie przerwy w obradach, Woroszyłow zwrócił się do przewodniczącego delegacji francuskiej,

gen. Dumence'a, z tym że Rosja gotowa jest Polsce takiej pomocy udzielić pod znanymi warunkami. Generał ten zakomunikował tę rozmowę z Woroszyłowem swemu koledze angielskiemu i obaj zatelegrafowali o tym do swoich rządów. Wówczas oba rządy — francuski i angielski — zwróciły się do Becka, komunikując mu ofertę Woroszyłowa i pytając o jego stanowisko; nie ukrywały że przywiązują do tego ogromną wagę. Rozwinęła się szybka wymiana zdań w tej sprawie. Beck stwierdził, że propozycja sowiecka musiałaby być przedstawiona rządowi polskiemu. Ze strony Londynu i Paryża odpowiadało Beckowi, że rządy te poinstruują przewodniczących swych delegacji w Moskwie, aby odpowiedzieli Woroszyłowi, że propozycja musi być skierowana oczywiście do rządu polskiego, ale prosili usilnie Becka aby nie drzczał tej propozycji *à limite*, lecz aby zgodził się *na przyjęcie rozmów z rządem sowieckim*. Beck *odpowiedział zgodą na to ostatnie*. Podkreślał z naciskiem, że otrzymał gorące podziękowania za to, zarówno z Londynu jak i z Paryża. Gorączkowy przebieg wypadków w drugiej połowie sierpnia, fakt że cała sprawa przestała być aktualna z dniem 23 sierpnia, gdy układ w Moskwie został podpisany, mógł spowodować, że nasi dyplomaci na placówkach nie otrzymali żadnych dalszych wyjaśnień oprócz pierwszej instrukcji, podanej im razem z wiadomością o propozycji Woroszyłowa. Instrukcja z natury rzeczy musiała polegać na tym, że propozycja ta na warunkach podanych przez Woroszyłowa jest dla nas nie do przyjęcia i nasze placówki dyplomatyczne musiały sobie przygotować argumentację na wypadek, gdyby rzeczywiście inicjatywa rządu sowieckiego nastąpiła i gdyby rozmowy skończyły się odmową z naszej strony. Przecież Składkowski, gdy informował mnie o propozycji Woroszyłowa, przedstawił mi ją jako oficjalną propozycję rządu sowieckiego. Byłem przekonany, że otrzymał ją Grzybowski w Moskwie, lub Beck od ambasadora sowieckiego w Warszawie. Składkowski dodał mi jedyny komentarz, że jest to nie do przyjęcia dla nas, na co rzecz prosta zgodziłem się z całym przekonaniem.

Dlaczego jednak cała ta historia miała miejsce. Moje wytłumaczenie jest proste: Stalin zagrał chytrze i po mongolsku; był absolutnie przekonany, że Beck odmówi z miejsca i to da Moskwie atut taktyczny do twierdzenia, że była z ich strony jak najlepsza wola, która spotkała się z odrzuceniem ze strony polskiej. Dlatego też, gdy wbrew ich przewidywaniom Beck zadeklarował gotowość do rozpoczęcia rozmów, z propozycją taką już nie wystąpili.

Drugie pytanie, które zadałem już nie tylko Beckowi, ale i Składkowskiemu, brzmiało: Dlaczego Naczelnny Wódz prze-

kroczył granicę razem z rządem, w tym momencie i w tych okolicznościach — jak się to stało? Bo jeśli o to będę pytany w Paryżu, nie czuję się na siłach odpowiadać w sposób dość przekonywujący. Wtedy zabrał głos Składkowski i zaczął mi tłumaczyć w jakiej odległości od kwatery głównej i miejsca pobytu rządu znajdowała się nadciągająca armia czerwona, że przed nią nie było żadnej cokolwiek znaczącej osłony, itd. Wiedząc z rozmowy ze Składkowskim z 17 sierpnia o godz. 2-iej po południu, że mimo to Śmigły wówczas nie miał zamiaru przekraczać granicy, lecz zamierzał przedostać się do grupy wojsk Sosnkowskiego — przerwałem Składkowskiemu i zapytałem się wprost Becka co on ma do powiedzenia w tej sprawie. Beck odpowiedział mi jednym krótkim zdaniem — raczej niechętnie — które brzmiało dosłownie: „Ja ostrzegałem Naczelnego Wodza, że jego sytuacja po przekroczeniu granicy *może być trudniejsza niż Rządu*”. Zdaniem moim Beck powiedział Naczelnemu Wodzowi za mało. Był on bowiem jeszcze dnia 17-go w południe przekonany, na podstawie rozmów z Gafencu, że *rząd i Prezydent otrzymają prawo przejścia przez terytorium Rumunii* w dalszej drodze do Francji; natomiast, z zastrzeżeń rządu rumuńskiego, oraz ogólnej znajomości rzeczy, powinien był być przekonany, że Naczelnny Wódz będzie internowany. Sądzę, że było obowiązkiem Becka wyraźnie przestrzec Naczelnego Wodza.

Beck nie zdawał sobie też najwidoczniej sprawy z osobistego nastawienia Karola, króla rumuńskiego, zarówno wobec niego, jak i w mniejszej nieco mierze, do Prezydenta Rzeczypospolitej. Nastawienie to było wobec Prezydenta niechętnie, wobec Becka wrogie i mściwe, a to z powodów następujących:

Beck nie brał pod uwagę, że jego autorytet osobisty uległ ogromnej zmianie po 12 maja 1935 roku. Przedtem siedł za nim zawsze cień Józefa Piłsudskiego, którego autorytet był ogromny. Dlatego też wówczas Beck mimo swej młodości mógł pozwalać sobie na dość stanowcze naciski wobec Rumunii. Gdy jednak, w roku 1938 i 1939, Beck używał tego samego tonu co za życia Komendanta, budziło to opory i wywoływało niechęć i urazę. Dwa razy w czasie kryzysów czeskich Beck zlekceważył sobie Karola rumuńskiego; raz gdy przybył do Rumunii w październiku 1938 roku, mimo wyraźnego powstrzymywania go z tamtej strony, i domagał się rozmów bezpośrednio z królem; król w ostatniej chwili udał się na wycieczkę jachtem po Dunaju, pozostawiając rozmowy z Beckiem rządowi, ale Beck *par force* przeprowadził swoje, zażądał widzenia się z królem na jego jachcie, został przyjęty w sposób bardzo oziębły i niechętny, przemawiał tonem ultimatywnym i nie tylko nie osiągnął swego,

tj. udziału Rumunii w czynnej akcji przeciwko Czechom, ale spowodował bardzo niechętnie i złośliwie komentarze z swojej wizyty w prasie rumuńskiej. Następnie — kilka miesięcy później — gdy Karol rumuński chciał rozmawiać bezpośrednio z Prezydentem Mościckim przez telefon i zawiadomił o tym ambasadora R. Raczyńskiego, który natychmiast telefonicznie przekazał tę wiadomość Beckowi, Beck zażądał od Prezydenta aby *rozmowy z królem rumuńskim nie przyjął*. Prawdziwość tego ostatniego faktu zweryfikowałem dokładnie. Powiedział mi o tym R. Raczyński w Rumunii, a następnie potwierdził w całej rozciągłości ten fakt St. Łepkowski w Pretorii. Łepkowski był szefem kancelarii cywilnej Prezydenta i otrzymał niemal jednocześnie dwa telefony: jeden z Bukaresztu z zapowiedzią, że król prosi o bezpośrednią rozmowę z Prezydentem Rzeczypospolitej, i z Pałacu Brühla, że Beck prosi, aby Prezydent się od rozmowy uchylił. Co też Prezydent uczynił. Być może, że król angielski, lub inna głowa państwa wysokiego rzędu mógłby przejść nad podobną rzeczą do porządku dziennego, zbagatelizować ją. Ale królik bałkański takich afrontów nie zapomina, i przy pierwszej okazji bierze sobie odwet.

Toteż przy całym moim wysokim pojęciu o inteligencji i talentach Becka, nie mogłem zrozumieć dlaczego nie brał tych momentów pod uwagę, szczególnie w chwilach naszej klęski, dlaczego nie wybrał dla siebie, rządu i Prezydenta drogi przez Węgry raczej niż przez Rumunię i dlaczego było dlań zaskoczeniem, to co nas w Rumunii spotkało.



Mój wyjazd do Paryża nie doszedł do skutku. Beck zatrzymał mnie na 48 godzin w Słanicu, informując mnie poufnie, że wysłał Dziubę na zaaranżowane w tajemnicy prywatne spotkanie z Gafencu i spodziewa się że w wyniku tego spotkania nastąpi jakieś wyjaśnienie sytuacji, w której dopatrywał się wciąż jeszcze nieporozumienia. Dziuba wróciła z niczym; zdaje mi się nawet, że do spotkania jej z Gafencu nie doszło; rozmawiała jedynie z jakąś osobistością mniej odpowiedzialną. Poinformował mnie wówczas Beck poufnie, że zaofiarował Gafencu zwolnienie przez rząd polski rządu rumuńskiego z zobowiązań traktatowych i *casus federis*, w zamian za wypuszczenie Prezydenta i Rządu z Rumunii. Nic z tego oczywiście nie wyszło, ponieważ król powziął już i tak decyzję potraktowania układu z Polską jako świstka papieru. Decyzję tę niewątpliwie ułatwiła Karolowi wiadomość o porozumieniu które nastąpiło między Noëlem a Si-

korskim w Bukareszcie. Rumuni doskonale wiedzieli, że Sikorski wyjechał do Paryża jako kandydat rządu francuskiego na nowego premiera rządu polskiego i że przez internowania Becka, Mościckiego, Składkowskiego i jego ministrów, może śmiało dogodzić Niemcom, nie narażając się ani Francji, ani dochodzącym do władzy emigracji Polakom.

Tymczasem, gdy po 48-godzinnym opóźnieniu przyjechałem do Bukaresztu, poinformowano mnie, że właśnie od dnia poprzedniego ambasada francuska nie wydaje już nikomu z Polaków wizy wjazdowej do Francji, ani rząd rumuński wizy wyjazdowej z Rumunii, inaczej jak za zgodą z Paryża i na wniosek Sikorskiego. W ambasadzie polskiej decydował już o wszystkim nie Raczyński, lecz Poniński i żadne decyzje ani ministra Spraw Zagranicznych Becka, ani ministra Skarbu Kwiatkowskiego nie były honorowane.

Bogusław MIEDZIŃSKI

Na tym urywają się wspomnienia Bogusława Miedzińskiego. Ostatni rozdział — „Rok 1939” — jest jednym z fragmentów niedokończonego pamiętnika. (R e d a k c j a).

RECENZJE

S. SWIANIEWICZ

WSPOMNIENIA BRONISŁAWA MŁYNARSKIEGO

Wspomnienia Bronisława Młynarskiego, pośmiertnie wydane przez *Gryf Publications* stanowią dokument historyczny barwnie ilustrujący przeżycia oficerów polskich, którzy trafili do niewoli sowieckiej we wrześniu 1939. Autor, syn Emila Młynarskiego, sławnego dyrygenta i kompozytora oraz szwagier Artura Rubinstein, doskonale opisuje nastroje Warszawy w pierwszych dniach wojny: ogólny entuzjazm, ogólna wola walki, gotowość do najwyższych poświęceń, a jednocześnie brak ręki kierowniczej, która by ten kapitał moralny potrafiła przeistoczyć w jakąś zharmonizowaną akcję oporu. Autor jest dumny z tego, że polskie państwo, 10-krotnie słabsze militarnie od hitlerowskich Niemiec, pierwsze w Europie zdobyło się na stawienie zbrojnego oporu. Lecz jednocześnie jest wstrząśnięty coraz bardziej uwidoczniającym się faktem, że najwyższe czynniki w państwie nie miały żadnej wyraźnej dotkryny strategicznej i taktycznej na wypadek, gdyby wojna z Niemcami stała się nieunikniona. W ministerstwach, które autor odwiedza z tytułu swojej pracy w Polskich Liniach Żeglugowych, ten brak wyraźnego planu wyraża się w decyzji ewakuacji na wschód. To słowo „ewakuacja” przeraża i oburza autora. „Rząd bowiem — pisze Młynarski — jest symbolem nie tylko władzy, lecz i symbolem światłego przewodnictwa narodu, jest kapitanem statku, który opuszcza — ostatni”.

Autor zostaje powołany dopiero w piątym dniu wojny i dostaje jako porucznik saperów rozkaz udania się do Lublina, gdzie rzekomo ma być jego formacja. Następnie stamtąd skierowują go dalej na wschód. Następny rozdział po opisie Warszawy nosi tytuł: „*Kierunek Wschód*”. Młynarski został więc włączony w rząd dziesiątków tysięcy oficerów i żołnierzy pragnących wziąć udział w walce, lecz pchanych na wschód w nadziei, że tam tworzą się jakieś oddziały, które dadzą możliwość zorganizowanego udziału w tej walce. Tak, zatrzymując się na posiłki w znanych mu do-

mach ziemiańskich, dobrnął wreszcie do Dubna, odległego 35 km. od granicy sowieckiej. W Dubnie komenda placu postanowiła skoszarować blakających się oficerów, wprowadzając regulamin niemal że rekrucki, dzieląc ich na kompanie, plutony i drużyny. Ta inicjatywa zostaje przyjęta niemal że z radością, gdyż daje poczucie jakiegoś ładu. Powstaje oddział liczący około 500 oficerów. Tu też dosięga ich wiadomość o wystąpieniu Sowietów. Młynarski słyszy dookoła opinię, że „Sowieckie wojska przekroczyły granicę polską z wyciągniętą braterską dłonią, by ramię w ramię walczyć przeciwko Niemcom”. Wśród towarzyszy Młynarskiego rozpalają się słowne utarczki ślepych entuzjastów z pesymistami pogrążonymi w kompletne zwątpienie.

Dowódca owego oficerskiego oddziału płk Jakubowski zwołuje odprawę, na którą zjawia się w towarzystwie gen. Billewicza — komendanta garnizonu. Płk Jakubowski wobec ustawionych w czworobok kompanii oświadcza z namaszczeniem, że otrzymał rozkaz, aby nie stawiać żadnego absolutnie oporu w razie spotkania oddziałów Armii Czerwonej, która wkroczyła do naszego kraju, by łącznie z nami walczyć z najeżdżcą niemieckim. Pułkownik nic nie mówi jednak od kogo ten rozkaz otrzymał.

Legenda owego rozkazu była ciekawym fragmentem sowieckiego ataku na Polskę we wrześniu 1939 roku. W chwilach, które Młynarski opisuje, byłem pomiędzy Bugiem i Sanem w składzie resztek armii Dąba-Biernackiego, które wśród częstych utarczek z Niemcami usiłowały sobie przebić drogę do granicy węgierskiej. O tym rzekomym rozkazie nie przeciwstawiania się Sowietom mówiono dużo w sztabach dywizji i pułków, lecz nie spotkałem nikogo, kto by osobiście go czytał. Była to widocznie jakaś bardzo zrzeczna prowokacja sowiecka, aby powiększyć dezorientację wśród polskich dowództw. Należy mieć nadzieję, że jakiś przyszły historyk zajmie się specjalnie tym fragmentem wojny psychologicznej we wrześniu 1939*.

* *Rozkaz Naczelnego Wodza do wojsk po przejściu granicy.* (Tekst ten dostaliśmy dzięki uprzejmości p. St. Jakliczowej z papierów pośmiertnych Generała — *Red.*).

Żołnierze!

Najazd bolszewicki na Polskę nastąpił w czasie wykonywania przez nasze wojska manewru, którego celem było skoncentrowanie się w południowo-wschodniej części Polski tak, by mając dla otrzymywania zaopatrzenia i materiału wojennego komunikację i łączność przez Rumunię z Francją i Anglią móc dalej prowadzić wojnę.

Najazd bolszewicki uniemożliwił wykonanie tego planu.

Wszystkie nasze wojska zdolne do walki były związane działaniem przeciw Niemcom. Uważałem, że w tej sytuacji obowiązkiem moim jest uniknąć bezcelowego przelewu krwi w walce z bolszewikami i ratować to, co się da uratować. Strzały oddane przez K.O.P. do bolszewików przekraczających granicę stwierdziły, że nie oddajemy naszego terytorium dobrowolnie. A po-

Płk Jakubowski zarządził pogotowie marszowe. Po kilku godzinach długa kolumna składająca się z różnego rodzaju oddziałów, samochodów i zarekwirowanych furmanek chłopskich, maszerowała w kierunku południowym. W nocy, koło miejscowości Potutory, kolumna wpada w mistrzowsko zorganizowaną przez Czerwoną Armię zasadzkę. Cztery karabiny maszynowe zieją ogniem w te bezbronne wozy. W rezultacie około 38 zabitych oraz około 60 rannych. Młynarski przeżywa boleśnie śmierć kilkunastoletniego harcerza Stasia, który został w pewnym stopniu usynowiony przez grupę oficerów. Część kolumny wycofuje się na Brzeżany zabierając około 50 rannych. W Brzeżanach na oczekaniu zorganizowano punkty opatrunkowe. Służba sanitarna pracuje sprawnie i bez zarzutu; materiałów opatrunkowych nie brakuje. Nadchodzą meldunki o napadach na inne bezbronne przeważnie kolumny; po czym oddziały sowieckie przeważnie wycofują się po wykonaniu zadania. Sowiety wyraźnie próbowali wolę i zdolność polskiej strony do stawiania oporu.

Następnego dnia wyrusza z Brzeżan na południowy zachód nowa kolumna; tym razem uzbrojona i posuwająca się ubezpieczonym marszem. Jęczy ziemia pod ciężarem dział pułku artylerii najcięższej, którego macierzysta kadra była na Pradze pod Warszawą, a który z jakichś tajemniczych względów został przesunięty raptem na Wołyń; dudnią saperskie bataliony mostowe i pontonowe; toczą się dywizyjony artylerii polowej i konnej; w gęstym pyłe drogi maszerują długie węże piechoty, mijane kłusem przez szwadrony kawalerii (str. 57-58). Siła ta obejmuje około 10 tysięcy ludzi. W następnym rozdziale autor oblicza, że ilość wojska zepchniętego na tereny głębokich Kresów wynosi-

nieważ w pierwszym dniu bolszewicy do naszych oddziałów nie strzelali, ani też ich nie rozbrajali więc sądziłem, że możliwym będzie przez pewien czas wycofać dość dużo wojska na terytorium Węgier i Rumunii.

A chciałem to zrobić w tym celu, by móc Was następnie przewieźć do Francji i tam organizować Armię Polską. Chodziło mi o to, by polski żołnierz brał w dalszym ciągu udział w wojnie i by przy zwycięskim zakończeniu wojny istniała Armia Polska, która by reprezentowała Polskę i Jej interesy.

O tym najważniejszym dziś celu musicie pamiętać.

Choćby warunki Waszego życia były najcięższe musicie przetrwać nie zapominając, że jesteście żołnierzami, których obowiązuje dyscyplina i honor żołnierski. Ci, którzy ulegając słabości ducha, albo podszeptom obcych agentów, sieją wśród Was zwątpienie i chcą w Wasze szeregi wprowadzić rozpręczenie — ci ludzie są na usługach wroga.

Trzeba zacisnąć zęby i przetrwać. Położenie się zmienia, wojna jeszcze trwa.

Będziecie jeszcze bić się za Polskę i wróćcie do Polski przynosząc Jej zwycięstwo.

M.P., Wrzesień 1939 r.

Naczelný Wódz
(—) ŚMIGŁY-RYDZ
Marszałek Polski

ła około 300.000 ludzi znużonych ciałem, lecz duchem zdrowych i mocnych (str. 59).

Mimowoli rodzi się pytanie dlaczego owe 300.000 nie zostały użyte dla stawiania oporu. Kampania wrześniowa nie toczyła się przecież o bezpośrednie zwycięstwo, lecz stanowiła manifestację woli narodu polskiego do walki o utrzymanie własnego niepodległego państwa. Dlaczego ta manifestacja miała być czyniona jedynie wobec agresji z Zachodu, lecz nie ze Wschodu? Nie wiadomo jaki byłby dalszy przebieg wypadków, gdyby znalazł się jakiś wyższy dowódca, który by potrafił jakoś owe 300.000 zorganizować i chociażby przez kilka tygodni stawiać skuteczny opór. Młynarski sobie tych pytań nie zadaje, lecz jedynie wyraża swoje oburzenie na „sowieckie zdradliwe uderzenie nożem w plecy”, oraz solidaryzuje się z tymi, którzy zostali zawiedzeni, oczekiwali bowiem, że „braterska słowiańska dłoń w uścisku serdecznym razem walczyć będzie przeciwko najazdowi germańskiemu”. Ta skłonność do słowianofilskiej terminologii dziwnie kontrastuje z obiektywnymi faktami, które Młynarski opisuje (str. 56).

Owa uzbrojona kolumna, która opuściła Brzeżany, z kolei wpada w zasadkę. „Grają nieprzyjacielskie C.K.M.-y syczą pociski zapalające, zabici zwisają żałośnie na burtach ciężarówek; inne ciała w ostatnich konwulsjach wiążą się w kurzawie drogi. Po pewnej chwili z naszej strony zaczynają się odzywać pojedyncze strzały karabinowe; gdzieś na flanku rechocze ręczny karabin maszynowy. Tu i ówdzie po naszej stronie wołają: „nie strzelać, taki był rozkaz” (str. 63).

Dlaczego nie użyto owych kilku dywizjonów artylerii, aby otworzyć drogę dla całej kolumny? Czy kolumna była poprzedzona strażą przednią? Czy były wysłane kawaleryjskie patrole na rozpoznanie drogi? Młynarski na te pytania nie umie odpowiedzieć, bo był daleko od czoła kolumny. Prawdopodobnie woła dowództwa była sparaliżowana legendą o tym rzekomym rozkazie, aby nie stawiać oporu Armii Czerwonej. W 1939 roku nie było ani woli ani czasu, ani środków technicznych, aby zorganizować nową Konfederację Barską, która by natchnęła nowego Słowackiego.

A jednak pewne gesty w tym kierunku miały miejsce. W pewnej chwili uwagę Młynarskiego przykuwa osobliwa postać. Wysoki, chudy, szpakowaty o krzaczastych brwiach i orlim nosie, w jasnym letnim płaszczu i rozłożystym kapeluszu. Był podobno kapitanem rezerwy, który nie zdążył przebrać się w mundur. Staje w całej swej okazałości i z rewolwerem w dłoni wskazującym na przeciwnika, woła gromkim głosem: „Za mną panowie oficerowie w prawo w lewo, ty-rra-lie-rrą”. Młynarski ma wizję Longinusa, Samosierry, Don Kiszota. Wielu oficerów nie ma karabinów, a jedynie pistolety, z których strzelają do zbliżającej się tyraliery nieprzyjacielskiej. „Longinus” pada na wznak ugodzony kulą sowiecką. Młynarski słyszy zupełnie blisko głosy rosyjskich żołnierzy: „*zdawajsia*”; leżąc w rowie przykłada sobie chłodną

lufę rewolweru do skroni. Myśli kłębią się mu w głowie. Nie ma jednak wyraźnego zamiaru popełnienia samobójstwa. W pewnej chwili nie wiadomo dlaczego rewolwer wystrzelił. Młynarski czuje jak lepka ciecz spływa mu po twarzy. Rana nie okazała się groźna: kula zerwała jedynie kawałek skóry z czaszki. Okrwawiony Młynarski dostaje się do niewoli sowieckiej. Był to wieczór dnia 19 września 1939 roku.

We mnie ten opis dziejów Młynarskiego obudził wspomnienia osobiste. Tego samego dnia 19 września jako oficer informacyjny kombinowanego pułku dywizji Litewsko-Białoruskiej siedziałem na wzgórzu, na zachodnim brzegu Bugu obserwując przez lornetkę ruchy oddziałów niemieckich, które wycofywały się ze wschodu i niezbyt były skłonne do angażowania się do walki z nami. Dręczyło mnie pytanie co się dzieje na tyłach owych oddziałów niemieckich? Była to trzynasta rocznica mego ślubu. Tam na wschodzie, nieco więcej na północ, byli wszyscy moi najbliżsi.

Staralem się również rozwiązać zagadkę pewnej zmiany w taktyce i zachowaniu się przeciwnika. Wydaje mi się, że w okresie pomiędzy 17 a 25 września Niemcy straciły lokalną przewagę w stosunku do naszych oddziałów operujących pomiędzy Bugiem a Sanem. Nasze patrole zaczęły przyprowadzać jeńców niemieckich. Zachowanie się Niemców również uległo zmianie. Przestano rzucać pociski zapalające na stogi siana w polu, co Niemcy robili w pierwszych dniach wojny. Jeden z naszych patroli natknął się niespodziewanie na patrol niemiecki, składający się z kilku czołgów, które jednak nie otworzyły ognia, lecz dowodzący oficer przyjaźnie pokiwał ręką i oba oddziały poszły każdy swoją drogą. Inicjatywa w lokalnych działaniach zaczęła przechodzić w nasze ręce. Na przykład próby 19-tej Dywizji Piechoty zdobycia Tomaszowa Lubelskiego, lub atak gen. Andersa pod Suchowolą, lub potem zdobycie przez 19-tą Dywizję Krasnobrodu. Gdy zwróciłem uwagę ppłk. Tadeusza Rudnickiego, który wówczas faktycznie dowodził naszą dywizją, na to że jakoś dziwnie zmienia się zachowanie Niemców, ten powiedział mi o pogłosce, że generałowie niemieccy odsunęli Hitlera od dowodzenia i szukają sposobu zakończenia wojny. Ja byłem skłonny raczej tłumaczyć te zmiany w zachowaniu się Niemców jakąś grą samego Hitlera.

Wydaje mi się, że w pierwszych dniach po ataku sowieckim wszyscy trzej aktorzy dramatu wrześniowego — Niemcy, Polacy i Sowietarze — wykazywali pewne wahania. Sowietarze macali naszą wolę i zdolność do oporu, szczególnie na Wołyniu, gdzie było pewne nagromadzenie sił polskich. I nie wiadomo co by zrobili, gdyby na taki opór natrafili? Niemcy oczekiwali na rozpalenie się wojny sowiecko-polskiej i ewentualnie zwrócenie się dowództw polskich o zawieszenie broni na Zachodzie. Dowództwa polskie były zdezorientowane z powodu przzerwania się łączności oraz na skutek pogłosek o rzekomym rozkazie Na-

czelnego Wodza, aby nie strzelać do Rosjan. Młynarski daje mistrzowski obraz jak wyglądało owe „macanie” przez Sowiety i z tego powodu jego książkę należy uznać za poważny dokument historyczny.

Temu opisowi przeżyć przed trafieniem do niewoli sowieckiej Młynarski poświęca prawie jedną czwartą swojej książki. Pozostałe trzy czwarte stanowi opis jego przeżyć w Związku Sowieckim, przeważnie w obozie Starobielskim. Pod tym względem jego książka stanowi doskonałe uzupełnienie zarówno *Wspomnień Starobielskich* Józefa Czapskiego jak i materiałów ogłoszonych w *Zbrodni Katyńskiej*. Młynarski daje obszerną charakterystykę zarówno jeńców jak i nadzorców. Odmalowuje rzeczywistość sowiecką tak jak on ją widział z perspektywy obozu i kontaktów z sowieckimi robotnikami, którzy przychodzili na pracę do obozu.

Mogła obozu Starobielskiego znajduje się podobno koło miejscowości Dergacze nie daleko od Charkowa. Píše o tym obszernie Louis Fitz-Gibbon w swojej ostatniej książce*. Młynarski należał do 78 wybrańców, którym — w tym z górą czterotysięcznym obozie — darowano życie i przetransportowano do obozu w Griazowcu koło Wołody. W pamiętnikach Młynarskiego jest pewien fakt, który może nasunąć wytłumaczenie. Gdy Młynarski, tak samo jak i każdy inny jeńiec, był badany przez „śledowaciela” NKWD, rozmowa w pewnym momencie ześliznęła się na tematy muzyczne. Młynarski, który znał osobiście prawie wszystkich wybitniejszych współczesnych muzyków rosyjskich miał sporo fascynujących rzeczy do opowiedzenia swemu dręczycielowi, który istotnie muzyką się interesował. Pomiędzy ofiarą a dręczycielem zawiązała się pewna nić czysto ludzka. NKWD-yści, czy też KGB-owcy, mogą również mieć czasami ludzkie odruchy. Można więc sobie łatwo wyobrazić że gdy była rozważana kwestia komu z jeńców należy życie darować, ów „śledowaciela” potrafił wsadzić nazwisko Młynarskiego na tę listę wybrańców losu.

S. SWIANIEWICZ

* *Unpitied and Unknown: Katyn-Bologoye-Dergachi*. Foreword by Lord George Brown, 496 p.p. Bachman and Turner, London, 1975.

Paweł KORZEC

SPÓR O SPOŁECZEŃSTWO
DRUGIEJ RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
(1918-1939)*

Praca Żarnowskiego¹ stanowi w historiografii poświęconej Polsce międzywojennej ciekawe novum. Wśród licznych, dotąd opublikowanych, prac większość stanowiły monografie. Od czasu do czasu ukazują się również opracowania syntetyczne poszczególnych problemów jak np. historia ruchu robotniczego, historia państwa i prawa, historia spółdzielczości itp. Dotąd jednak w literaturze historycznej Polski Ludowej wyraźnie brakowało syntezy skomplikowanych i tak bardzo kontrowersyjnych dziejów Drugiej Rzeczypospolitej. Warunki polityczne Polski Ludowej, gdzie nad badaniami historii najnowszej ciążyły rozmaite tabu i drażliwe kwestie, wywołują u historyków wyraźną niechęć do podejmowania tematów syntetycznych. Ilustracją tych trudności może być IV tom prestiżowej publikacji Instytutu Historii PAN — „Historia Polski (1918-1939)”, nad przygotowaniem którego od kilkunastu lat pracuje duży zespół specjalistów. Makieta pierwszych rozdziałów tego tomu² ukazała się drukiem w 1969 roku, a na całość tomu trzeba będzie zapewne czekać jeszcze długo. W tym stanie rzeczy pierwsza próba syntezy jest dowodem naukowej i politycznej odwagi.



Jak wynika ze wstępu i zakończenia opracowanie ma być,

* Janusz Żarnowski, *Spółeczeństwo Drugiej Rzeczypospolitej Polskiej (1918-1939)*. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa, 1973, str. 435. Jan Borkowski, *O Spółeczeństwie Drugiej Rzeczypospolitej. Przegląd humanistyczny*, Nr 7 (106), Warszawa, 1974, str. 107-135.

1. Janusz Żarnowski jest profesorem i wicedyrektorem Instytutu Historii PAN. Opublikował kilka książek i rozpraw z historii międzywojennej Polski. Najważniejszą z nich była *Struktura społeczna inteligencji w Polsce 1918-1939*, Warszawa, 1964.

2. *Historia Polski*, tom IV, część I, 1918-1926. Rozdział I-XIII (1918-1921) pod redakcją Leona Grosfelda i Henryka Zielińskiego, Warszawa, 1969, 524 str. + 7 map.

w zamierzeniu autora, szkicem „panoramy społecznej Polski lat 1918-1939, a więc obrazem, w którym obok niezbędnego *quantum* wiadomości szczegółowych zarysowane byłyby także główne linie struktury i rozwoju społeczeństwa³”.

Baza źródłowa książki jest rozległa. Autor wykorzystał swoje liczne prace z tej dziedziny⁴, zachowany bogaty materiał statystyczny, który już został zbadany i opracowany do wielu zagadnień. Trzeba także podkreślić, że nie ograniczył się do bogatego dorobku historiografii, ale sięgnął również do literatury ekonomicznej, socjologicznej, a nawet do dzieł literackich dotyczących tego okresu. Książka Żarnowskiego składa się ze wstępu, 13-tu rozdziałów przedmiotowych i zwięzłego zakończenia — próby podsumowania wyników. Rozbudowany indeks przedmiotowy, 65 tabel statystycznych oraz kilka dobrze opracowanych map są dowodem benedyktyńskiej pracy autora i w ogromnym stopniu ułatwiają korzystanie z pracy. Niezależnie od poruszonych w niej problemów, książka może służyć jako podręczne *vademecum* wiedzy o tym okresie historii Polski. Całość zamykają streszczenia w języku angielskim i francuskim.

13 rozdziałów książki można podzielić na trzy części. Pierwszą stanowi rozdział I-szy, przedstawiający ogólną strukturę społeczno-zawodową narodu polskiego i jej ewolucję. Rozdział ten jest bogato ilustrowany materiałami statystycznymi i służy jako baza wyjściowa do następnych rozdziałów.

Na część drugą składają się rozdziały II-VIII. Omawiają one cechy struktury, życia i ewolucji poszczególnych klas i warstw społeczno-zawodowych. Oto ich tytuły: II — Robotnicy, III — Robotnicy rolni, IV — Chłoptwo, V — Inteligencja i pracownicy umysłowi, VI — Drobnomieszczaństwo, VII — Burżuazja, VIII — Obszarnicy. Wymienione wyżej rozdziały mają przede wszystkim charakter materiałowo-informacyjny.

Zdając sobie sprawę, że podział pod względem społeczno-zawodowym nie odpowiada wielu zasadniczym, a także specyficznym problemom socjalnym, kulturowym i politycznym, autor w części trzeciej wprowadza dodatkowe kryteria społecznej stratyfikacji.

Rozdział IX poświęcony jest analizie składu elity rządzącej. Wprowadzie wykazuje w niej poważne naciski i oddziaływanie poszczególnych klas, w szczególności obszarniczej arystokracji,

3. Żarnowski, *op. cit.*, str. 402

4. Przede wszystkim należałoby wymienić wspomnianą wyżej książkę o inteligencji, artykuł pt. „Program badań historycznych nad strukturą społeczeństwa Polski międzywojennej” — *Dzieje Najnowsze*, 1969, nr 1, str. 113-121 oraz popularno-naukową książkę „Społeczeństwo Polski międzywojennej”, Warszawa, 1969, w której autor nakreślił wiele podstawowych problemów, będących przedmiotem pogłębionej analizy omawianego opracowania.

ale dochodzi do wniosku, że w Polsce wykształciła się odrębna warstwa społeczna — urzędniczo-biurokratyczna, która, zwłaszcza od przewrotu Piłsudskiego w 1926 roku do upadku II Rzeczypospolitej, skupiała w swym ręku niemal całą władzę polityczną. Elita rządząca w sensie społecznym nie pokrywała się z żadną z klas lub grup zawodowych. Weszły do niej elementy urzędniczo-oficerskie, pochodzące ze sfery zubożałej inteligencji szlacheckiej i drobnomieszczaństwa. Słabość i zróżnicowanie narodowościowe burżuazji, rozwinięty etatyzm gospodarczy, a także ponadklasowy i ponadpartyjny program „piłsudczyzny”, sprzyjały wykształceniu się warstwy społecznej, przynajmniej pozornie jednolitej i sprężystej — aparatu władzy.

Rozdział X — *Hierarchia* — omawia różne kryteria hierarchizacji społecznej. Na pierwsze miejsce autor wysuwa poziom i strukturę konsumpcji poszczególnych grup społecznych, określając nawet dość precyzyjnie ich liczebność i wysokość ich budżetów.

Drugim kryterium gradacji społecznej był udział w sprawowaniu władzy. Ważną też rolę odgrywało kryterium wykształcenia.

Rozdział XI — *Geografia*. Miasto i wieś — zajmuje się problemami zróżnicowania regionalnego struktur socjalnych, antagonizmami i konfliktami regionalnymi. Typowy był konflikt: stolica — prowincja. Przetrwały też w niepodległej Polsce silne odrębności i antagonizmy, będące pozostałością dawnego podziału na trzy zabory. Żarnowski, idąc w ślad za niektórymi innymi autorami, poddaje pod dyskusję problem istnienia w Polsce trzech odrębnych klas robotniczych, trzech inteligencji, trojakiego chłopstwa itp. Jeśli nawet uznamy takie postawienie sprawy za zbyt daleko idące, to nie można zaprzeczyć, że procesy integracyjne były powolne i że dla każdej klasy społecznej można było wyodrębnić ogromne różnice w zaborze pruskim, w Galicji i w Kongresówce, nie mówiąc już o całkowicie odrębnym obliczu ukraińsko-białorusko-litewskim tzw. Kresów Wschodnich.

Podobnie skomplikowana była sprawa urbanizacji, roli miast, a zwłaszcza ośrodków wielkomiejskich. Autor wyróżnia trzy typy ośrodków miejskich: w niektórych, jak Kraków, Wilno, Lwów, na pierwszy plan wybijają się funkcje administracyjno-kulturalne, inne — jak Łódź i Katowice — mają przede wszystkim charakter ośrodków przemysłowych. Specyficzna była sytuacja i rola małego miasteczka, bardzo różna w każdym z trzech byłych zaborów.

W rozdziale XII poświęconym kulturze, autor usiłuje wyodrębnić i scharakteryzować poszczególne formacje socjalno-kulturowe. Mówi więc o kulturze ziemiańskiej, inteligenckiej, o kulturze chłopskiej, o zaczątkach odrębnej kultury robotniczej i drobnomieszczańskiej, a także o pozostałościach i wpływach kultury szlacheckiej. Żarnowski przeciwstawia się tezom niektó-

rych socjologów (Chałasiński), identyfikujących w dużym stopniu kulturę inteligencką z dawną kulturą szlachecką.

Ostatni rozdział, XIII — *Narodowości* — zawiera ocenę liczebności poszczególnych mniejszości narodowych. Autor przedstawia specyfikę struktury socjalnej poszczególnych grup narodowościowych, daje także niektóre informacje o ich ugrupowaniach politycznych. Rozdział ten jest bodaj najsłabszy z całej pracy. Autor, unikając wyraźnie wątków politycznych, nie ukazuje w dostatecznym stopniu konsekwencji polityczno-ideowych, będących wynikiem struktury narodowościowej międzywojennej Polski.

Omawiana praca, jak każda synteza, formułuje wiele tez o charakterze dyskusyjnym. Charakter pracy, w dużym stopniu socjologiczny, spowodował tendencje do nadmiernej klasyfikacji i schematyzacji pewnych zjawisk i procesów społecznych, co zazwyczaj prowokuje dyskusję wśród historyków. Sądzę, że taka jest właśnie rola syntezy naukowej: winna ona wywołać dyskusję i doprowadzić do weryfikacji niesłusznych, czy zbyt pochopnych tez. Z tego punktu widzenia książka Żarnowskiego spełnia swe zadanie: dostarcza wiele materiału do rozważań i skłania do dyskusji. Mój generalny zarzut, to zbyt daleko idące odpolitycznienie tematu. Sądzę jednak, że był to zamierzony unik autora. Celu zresztą nie osiągnął, bo i tak nie uniknął polemiki o ostrych, a nieraz i złośliwych podtekstach politycznych.

Książka Żarnowskiego została przyjęta z zainteresowaniem i aprobatą przez środowisko naukowe, a nawet przez bardziej liberalne kręgi inteligencji partyjnej. Wyrazem tego były dwie przyznane mu nagrody, w tym prestiżowa w warunkach polskich nagroda tygodnika *Polityka*.



Tymczasem kilka tygodni później, w reprezentatywnym organie naukowym Ministerstwa Oświaty, ukazał się obszerny artykuł Jana Borkowskiego⁵, również pracownika naukowego Instytutu Historii PAN, poddający druzgoczącej krytyce książkę Żarnowskiego. Ostra, a nieraz nawet wręcz napastliwa forma dyskusji, dość przejrzyste, demaskatorskie aluzje osobiste pod adresem autora, sprawiają wrażenie inspirowanego ataku przeciwko Żar-

5. Jan Borkowski, lat około 50-ciu, pochodzi z rodziny emigrantów polskich we Francji. W czasie okupacji niemieckiej brał udział w komunistyczno-młodzieżowej grupie ruchu oporu „Grunwald”. Po repatriacji był funkcjonariuszem Urzędu Bezpieczeństwa (policja polityczna) w Koszalinie. Odbył następnie studia w Wyższej Szkole Nauk Społecznych (W.S.N.S.) — instytut szkolenia kadr partyjnych) i tam napisał pracę doktorską o Polskim Stronnictwie Ludowym (P.S.L. — partia wicepremiera Mikołajczyka w pierwszych latach Polski Ludowej). Nie została ona opublikowana. W 1968 roku Borkowski był aktywny w kampanii nacjonalistyczno-antysemickiej, zorganizowanej przez partię i rząd PRL pod kierownictwem gen. Moczara.

nowskiemu. Tego rodzaju „naukowe dyskusje” były zjawiskiem charakterystycznym w okresie „stalinizmu”.

Generalnie biorąc pierwsza część polemiki koncentruje się wokół zagadnienia postawy społeczno-politycznej narodu polskiego, jak również politycznego oblicza poszczególnych dzielnic kraju. Borkowski podważa „geograficzny” schemat, przyjęty przez Żarnowskiego, jak zresztą i przez całą historiografię marksistowską. Według tego schematu prowincje uprzemysłowione, o dużym procencie ludności robotniczej, są traktowane jako bastiony radykalizmu społecznego i politycznej lewicy, zaś środowiska gospodarczo zacofane, jako baza konserwatyzmu.

Na podstawie pewnych wyników wyborów w Polsce Borkowski wykazuje aprioryczność i bezpodstawność tego schematu. Pod względem rozwoju gospodarczego w Polsce przodowały tereny dawnego zaboru niemieckiego, a w szczególności Śląsk, które pod względem politycznym zachowały oblicze najbardziej prawicowe, klerykalne, tradycjonalistyczne. Najbardziej zacofana gospodarczo była Galicja, a jednak skrajna prawica miała tu najmniejsze sukcesy wyborcze. Według Borkowskiego prawica odnosiła największe sukcesy w dużych miastach, natomiast wyborcy okręgów wiejskich wykazywali tendencje bardziej umiarkowane. Borkowski przeciwstawia się też wiązaniu sytuacji ekonomiczno-społecznej z określoną postawą polityczną. Postępowe pod względem ekonomicznym chłopstwo okręgów zachodnich popierało Narodową Demokrację. W innych okręgach chłopci popierali Stronnictwo Ludowe, podczas gdy proletariat rolny opowiadał się za Narodową Demokracją.

Borkowski zarzuca także Żarnowskiemu aprioryzm i schematyzm w prezentacji panoramy politycznej społeczeństwa polskiego. Tak więc Żarnowski przypisuje głównie nacjonalizm i prawicowość Narodowej Demokracji i grupom jej pokrewnym, a nie dostrzega tych samych zjawisk w obozie sanacyjno-piłsudczykowski. Tymczasem — zdaniem Borkowskiego — nie było między nimi istotnych różnic. Pierwsi byli antyżydowscy i antyniemieccy, drudzy uprawiali nacjonalizm antyrosyjski i antysowiecki. W stosunku do mniejszości narodowych nie było żadnych różnic. Ich sytuacja była lepsza pod rządami endecko-prawicowymi, niż po przewrocie Piłsudskiego z maja 1926 roku. Podobnie ocenia on jako bezpodstawny podział ruchu ludowego: na prawicowy „Piast” i lewicowe „Wyzwolenie”.

W zasadzie pierwsza część artykułu zawiera interesujące sugestie i spostrzeżenia. Równocześnie jednak przebiega tendencyjność autora. Mamy tu do czynienia z wyraźną rehabilitacją polityczną Narodowej Demokracji, a zwłaszcza apoteozą partii chłopskiej prawicy i jej przywódcy, Witosa. Borkowski zarzuca Żarnowskiemu „grzeszne metody” apriorycznych sądów i ocen, ale sam w swoim daleko idącym „rewizjonizmie” historycznym nie ustrzegł się przed formułowaniem kategoriycznych ocen, opar-

tych na jednostkowych, dowolnie wybranych i tendencyjnie interpretowanych faktach i materiałach. Mimo wszystkich wywodów autora znawca historii Polski nie może zaakceptować próby postawienia znaku równości między nacjonalizmem „piłsudczyków” i endeków, między społecznie radykalnym i postępowym „Wyzwoleniem” i konserwatywną partią chłopską Witosa, idącą najczęściej w bloku politycznym ze skrajną prawicą.



Pierwsza część artykułu stanowi jednak jakby wprowadzenie do zasadniczego problemu, będącego przedmiotem ataku Borkowskiego, a mianowicie stosunków polsko-żydowskich. Ogólny zarzut, wysunięty pod adresem Żarnowskiego, można by lapidarnie określić: przedstawienie narodu polskiego w ciemnych barwach przy równoczesnym bardzo pochlebnym potraktowaniu społeczności żydowskiej, jej poszczególnych grup społecznych i partii politycznych. Tak więc wysunięty został zarzut pielęgnowania mitu lewicowości społeczeństwa żydowskiego i poparcia udzielanego przezeń lewicy. Borkowski kategorycznie odrzuca tezę o dużej roli Żydów w ruchu komunistycznym i lewicowym. Przytoczone przez niego dane statystyczne budzą jednak poważne wątpliwości merytoryczne.

Tak więc np. na poparcie swych wywodów o reakcyjności i prawicowości ludności żydowskiej Borkowski przytacza fakt, że w wyborach do parlamentu sukcesy odnosili syjoniści i klerykałna „Aguda”, natomiast socjalistyczny „Bund” nie zdołał ani razu uzyskać mandatu poselskiego. To jest prawda, ale równocześnie mamy tu do czynienia z jaskrawym przykładem tendencyjności interpretacji faktu wyrwanego z historycznego kontekstu.

Koronny zarzut wysunięty pod adresem Żarnowskiego polega na tym, że ocenia on surowo rolę polskiej prawicy nacjonalistycznej, podczas gdy z dużą wyrozumiałością traktuje syjonistów i ortodoksję żydowską. Mamy tu znów do czynienia nie z próbą wyjaśnienia, a zagmatwania obrazu sytuacji politycznej w międzywojennej Polsce. Z każdego punktu widzenia uproszczeniem jest stawianie znaku równości między nacjonalizmem Narodowej Demokracji a nacjonalizmem niektórych ugrupowań żydowskich. Przecież Borkowski nie może nie wiedzieć, że „prawicowi i nacjonalistyczni” posłowie żydowscy z reguły głosowali w Sejmie solidarnie z polskimi socjalistami; że dzięki m.in. ich głosom, a wbrew polskiej prawicy, kształt konstytucji z 1921 roku był na ogół demokratyczny i postępowy. Czy trzeba przypomnieć, że posłowie żydowscy, jak zresztą i innych mniejszości narodowych, oddali swe głosy na kandydata lewicy chłopskiej „Wyzwolenie”, profesora Gabriela Narutowicza. Gdy zaś został on wybrany, zgodnie z konstytucją, jako pierwszy prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, polska prawica swoją histeryczną kam-

panią antysemicką sprowokowała atmosferę zbrodni i pierwszy w polskiej historii wypadek „królobójstwa”, co omal że nie doprowadziło w 1922 roku do wojny domowej w Polsce.

Wszystko to jednak, co wyżej pisaliśmy, błędnie wobec innych historycznych „rewelacji” Borkowskiego. Stwierdza on kategorycznie, że w Polsce międzywojennej nie było zjawiska rugowania Żydów z różnych dziedzin życia gospodarczego i kulturalnego, a wręcz odwrotnie — to Żydzi wypierali Polaków ze wszystkich atrakcyjniejszych stanowisk: „Szczególnie szybko i radykalnie Żydzi wypierali Polaków z wolnych zawodów, które dawały najwyższe dochody, ale co jeszcze ważniejsze w największym stopniu kształtowały oblicze duchowe społeczeństwa [...]. Kto kogo wypierał i skąd? Żydzi okazali najwięcej ekspansywności. Siła ich opierała się na pieniądzu, którego mieli najwięcej. Byli 'wypierani' na coraz to wyższe piętra społecznej hierarchii, zdobywali najintratniejsze posady [...]. Rysująca się w sposób aż nadto realny perspektywa stania się narodem robotniczo-chłopskim nie mogła nie budzić zaniepokojenia Polaków, nie tylko polskich nacjonalistów. Żaden naród świata nie zgodziłby się z takim losem, chyba że składałby się z samych niewolników⁶”.

Wreszcie sprawa pogromów lat trzydziestych. Borkowski stwierdza że żadnych pogromów nie było. Zdarzały się starcia między Polakami a Żydami, ale były one zawsze wynikiem agresywności i prowokacji tych ostatnich. „Jest rzeczą niewątpliwą — pisze on — że polscy nacjonaści pragnęli zaognienia stosunków polsko-żydowskich, ale i nacjonaści żydowscy nie dążyli do ich złagodzenia. I oni zachowywali się agresywnie. W starciach między studentami w 1931 roku zginął nie Żyd, lecz Polak — Stanisław Waclawski, tak było i w 1932 roku, kiedy we Lwowie zabity został polski student Jan Grotkowski. W 1935 roku jakiś chłop zginął z rąk Żyda w Marcinkańcach, także w Grodnie zginął Polak [...]. Należałoby zliczyć ilu ludzi zginęło w tych zajściach, jest wielce prawdopodobne, że więcej ofiar ponieśli Polacy niż Żydzi. Trudno więc określić te zajścia mianem pogromów⁷”.



Znając warunki polityczne Polski Ludowej możemy z całą pewnością stwierdzić, że artykuł Borkowskiego nie mógłby się ukazać bez uprzedniego placetów wpływowych kół partyjnych. Co więcej — można z dużą dozą prawdopodobieństwa sądzić, że artykuł ten był inspirowany przez te koła, które od 1968 roku mają decydujący wpływ na życie polityczne Polski. Jest rzeczą niemal równie pewną, że koła te chronią autora środkami admi-

6. J. Borkowski, *op. cit.*, str. 130-131.

7. *Ibidem*, str. 132-133.

nistracyjno-cenzuralnymi przed wszelką repliką. „Rewizjonistyczne” i prowokujące tezy Borkowskiego, pozostające w jaskrawej sprzeczności z wynikami dotychczasowych badań, nie mogły nie wywołać reakcji historyków — znawców dyskutowanej problematyki. Tymczasem w ciągu roku, który upłynął od publikacji w *Przeglądzie Humanistycznym* nikt nie podjął dyskusji z autorem artykułu. Nie zareagował nawet tak brutalnie zaatakowany profesor Żarnowski, aczkolwiek merytoryczna polemika z Borkowskim nie wymagała większego wysiłku.

Od lat można zaobserwować nacjonalistyczne tendencje historiografii Polski Ludowej. Nigdy jednak nie przybrały one charakteru tak jawnego i tak brutalnego.

Paweł KORZEC

LISTY DO REDAKCJI

Londyn, 26 kwietnia 1976.

Szanowny Panie Redaktorze,

Przeglądając Spis Treści Nr. 35 *Zeszytów Historycznych* zauważyłem, że mój List do Redakcji został zaopatrzony w adnotację, iż jest on w odpowiedzi na listy St. Korbońskiego i P. Sieranta z *Zeszytu Historycznego* Nr 34. W rzeczywistości list mój dotyczył Wspomnień W. T. Drymmera.

Łączę wyrazy poważania,

Stefan LUBOMIRSKI

Londyn, 22 maja 1976.

Drogi Panie Redaktorze!

Zgłaszam na ręce Pana pretensje do dwu autorów w majowym 36-tym *Zeszycie Historycznym*.

Jeden z nich, często w *Zeszytach* drukowany, wydaje się być skłonny do podzielenia kontrowersyjnej opinii „gości z kraju”, że, nie będąc „z zawodu naukowcem”, nie jest się zdolnym „do obiektywnego przedstawiania wypadków”. Chodzi o p. Romana Korab-Zebryka, który w latach 1937-40 był moim uczniem w Wilnie, o czym pamiętał po latach trzydziestu, zawiadamiając z pewną dumą o uzyskaniu stopnia Doktora Uniwersytetu Warszawskiego oraz przysyłając streszczenie swej pracy oraz odpisy niektórych innych dokumentów oficjalnych, gdzie wyraźnie podkreślał, że do 1940 roku był moim uczniem.

Upoważnia mnie to i skłania do wypowiedzenia zdania kwestionującego słuszność opinii, że niekwapienie się p. Zebryka w „minionym okresie” do „zawodu naukowego” i wieloletnie opóźnienie uzyskania wyższego stopnia naukowego może w jakimkolwiek stopniu dyskwalifikować jego naukową rzetelność.

Mniej wątpliwości wywołuje we mnie wydrukowana w tym samym *Zeszycie Historycznym* (str. 199) opinia o autorze, do którego wyżej zgłosiłem pretensję:

„Nie jest jego winą, że, nie będąc historykiem i nie mając dostępu do źródeł i dokumentów, popełnia pewne błędy faktyczne, opiera się na opiniach ludzi nastawionych stronnictwo i nie ma możliwości wczucia się w atmosferę kraju pod okupacją, której nie zna z osobistego doświadczenia”.

Drugi autor pozwolił sobie na użycie w stosunku do Michała Romera określenia „człowiek o nieokreślonej narodowości”, uprzednio pisząc, że sam on nigdy się nie pozbył połkniętego w pierwszych latach działalności politycznej „litewskiego bakcyła”. Widocznie jednak bakcył ten pozostał tylko w naskórku, a nie przeniknął do serca i mózgu. Gdyby bowiem to nastąpiło, nie miałby wątpliwości, że narodowość Michała Romera była równie określona co Józefa Piłsudskiego; pierwszy z nich w swoim dzienniku napisał że, będąc Polakiem, nie może wziąć udziału w anty-polskiej demonstracji w Kownie, drugi przy zgłoszeniu dymisji ze stanowiska premiera rządu w Warszawie wypowiedział wątpliwość czy jest „Polakiem”.

Dłoni ściskam,

Wiktor SUKIENNICKI

Montreal, 6 maja 1976.

Szanowny Panie Redaktorze,

W Trzydziestym Piątym Zeszycie *Historycznym*, w artykule Józefa Garlińskiego pt. „W poszukiwaniu niemieckich tajnych broni” pojawiły się pewne niedokładności, które, dla ścisłości historycznej, pozwalam sobie sprostować.

1) Moja funkcja w załodze Dakoty 2-go pilota i tłumacza, a nie nawigatora.

Skład załogi był następujący: Dowódca i pierwszy pilot — F/Lt S. G. Culiford, Nowozelandczyk; drugi pilot i tłumacz — F/O K. Szrajer, Polak; nawigator — F/O Williams, Anglik; radiotelegrafista — F/S Appleby, Anglik.

Na ten lot przydzielony zostałem do załogi brytyjskiej. Był to mój dwudziesty lot nad Polskę, nad którą latałem na czterosilnikowym Halifax'ie, jako pilot, zrzucając skoczków i zaopatrzenie dla Armii Krajowej. Powodem mego przydziału do załogi Dakoty przypuszczalnie było dostateczne doświadczenie z lotów nad Polskę i to, że mówiłem po polsku, co było konieczne przy kontakcie załogi z przyjmującą nas Armią Krajową.

2) Z artykułu wynika, że po nieudanej próbie startu załoga jak najszybciej chciała spalić samolot, tylko zapobiegł temu oficer startowy. Zapewniam autora, że tak załoga jak i oficer startowy i wszyscy obecni na lądowisku „Motyl” dali z siebie największy wysiłek, by samolot mógł wystartować i dowieźć tak ważny ładunek i pasażerów do bazy w Brindisi. Bezwarunkowo, że temat możliwości zniszczenia samolotu był poruszany i pamiętam, że rozmawiałem o tym z oficerem startowym. Rzeczą oczywistą było, że gdyby start nie doszedł do skutku to Dakota i sprzęt pokładowy byłyby zniszczone, bo takie były rozkazy, a pilot był całkowicie odpowiedzialny za ich wykonanie. Natomiast przygotowywanie baniek z benzyną do oblania samolotu i zapalek — jest fantazją kogoś kto tam nie był.

Spalenie samolotu nie narażało trudności technicznych. Dakota bowiem miała po dwa zbiorniki z benzyną w każdym skrzydle, które umieszczone były między kadłubem a silnikiem. Każdy zbiornik miał kurek do odwadniania benzyny. Czynność tę wykonywano przed startem. Łatwo więc było spuścić benzynę z tanków i podlać cały samolot. Poza tym na pokładzie Dakoty wmontowany był dodatkowy zbiornik z benzyną, który połączony był rurkami z pozostałym systemem paliwa. Dzięki temu zasięg Dakoty został przedłużony i w ten sposób lot umożliwiony został z Brindisi do Polski i z powrotem. Wyposażeni byliśmy również w raketnicę do sygnalizowania, którą w myśl instrukcji można było użyć w razie konieczności również do zapalenia samolotu z bezpiecznej odległości.

3) Lot powrotny do Brindisi odbył się bez przygód. Samolotów myśliwskich, o których autor pisze, nie widziałem, a jedyny problem to była trudność schowania podwozia po starcie, spowodowana brakiem płynu hydraulicznego, który straciliśmy na ziemi z powodu przecięcia przewodów hamulcowych, przypuszczając, że hamulce były zacięte. Zbiornik hydrauliczny został częściowo wypełniony w powietrzu i podwozie schowane w czasie, kiedy Dakota przelatyla nad Tatrami. W Brindisi lądowaliśmy bez hamulców.

Łączę wyrazy szacunku,

Kazimierz SZRAJER

SPIS TREŚCI

Piotr Wandycz: <i>Stany Zjednoczone a Europa Środkowo-Wschodnia w okresie międzywojennym 1921-1939</i> ..	3
Jan Nowak: <i>Sprawa generała Berlinga</i>	39
Bogusław Miedziński: <i>W s p o m i e n i a</i> (dokończenie) ..	61

RECENZJE

Stanisław Swianiewicz: <i>Wspomnienia Bronisława Młynarskiego</i>	223
(Nota: <i>Rozkaz Naczelnego Wodza do wojsk po przejściu granicy</i>)	
Paweł Korzec: <i>Spór o społeczeństwo Drugiej Rzeczypospolitej Polskiej (1918-1939)</i>	229

LISTY DO REDAKCJI

Stefan Lubomirski: Sprostowanie Spisu Treści w Nr. 35 <i>Zeszytów Historycznych</i>	237
Wiktor Sukiennicki: Polemika z dwoma autorami z Nr 36 <i>Zeszytów Historycznych</i>	237
Kazimierz Szrajer: Sprostowania dotyczące artykułu Józefa Garlińskiego pt. „W poszukiwaniu niemieckich tajnych broni” z Nr. 35 <i>Zeszytów Historycznych</i>	238

ACHEVE D'IMPRIMER LE 15 JUILLET 1976 SUR LES PRESSES
DE L'IMPRIMERIE RICHARD, 24, RUE STEPHENSON, PARIS (18^e)
Dépôt légal : 3^e trimestre 1976.

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

**„ZESZYTY HISTORYCZNE” UKAZUJĄ SIĘ CO
KWARTAŁ NA POZATKU LUTEGO, MAJA,
SIERPŃIA I LISTOPADA KAŻDEGO ROKU.**

PRENUMERATA ROCZNA — F. 95,00.

**PRENUMERATA ROCZNA DLA
PRENUMERATORÓW „KULTURY” — F. 80,00.**

F. 25 (dol. 6,75)